

**Robbins Harold**

**Gdzie podziła się miłość**



*Oto opowieść o pięknej kobiecie, która oddała się dwu namiętnościom - sztuce i mężczyznom. Oto opowieść jej byłego męża - bohatera wojennego, architekta i żeglarza.*

*Jego córka zostaje oskarżona o morderstwo na kochanku matki.*

**Część I**  
**Opowieść Łukasza**  
**Piątkowa noc**

1

Był to pechowy dzień.

Rano straciłem pracę. Po południu Maris wybił długą piłkę i kiedy kamery telewizyjne szły za nim od bazy do bazy, widać było po twarzach Czerwonych z Cincinnati, że choć mają być jeszcze cztery gry, to już jest po meczu. A w nocy rozległ się dzwonek telefonu i zerwałem się z łóżka, gdzie leżałem wpatrując się w szary sufit i starając się nie ruszać, by mojej bezsenności nie zauważyła Elżbieta, która w sąsiednim łóżku też udawała, że śpi.

Bezosobowy głos telefonisty oznajmił:

- Zamiejscowa. Do pana Łukasza Careya.

- Jestem przy telefonie.

Elżbieta zapaliła lampkę nocną. Usiadła i jej długie jasne włosy opadły na nagie ramiona.

- Kto to? - spytała cicho. Zakryłem słuchawkę ręką.

- Nie wiem - odpowiedziałem. - Zamiejscowa.

- Może to w sprawie tej posady w Dayton - szepnęła z nadzieją w głosie. - Pisałeś do nich.

W telefonie zabrzmiał męski głos z lekkim zachodnim akcentem.

- Pan Carey?

- Tak.

- Pan Łukasz Carey?

- Tak - odparłem. Zacząłem się niecierpliwić. Jeśli komuś zachciało się zrobić mi kawał, to tego pożałuje.

- Mówi sierżant Joe Flynn z San Francisco - akcent stał się wyraźniejszy. - Czy ma pan córkę imieniem Daniela?

Strach chwycił mnie za gardło. - Tak, mam - odparłem szybko. - Czy coś się jej stało?

- Tak. Popełniła morderstwo.

Człowiek dziwnie reaguje. O mały włos byłbym się roześmiał. Bo przed chwilą widziałem oczyma wyobraźni, jak Dani leży na jakiejś bocznej drodze brocząc krwią. Zagryzłem wargi i po chwili spytałem:

- Jej się nic nie stało?

- Nie - dobiegł z oddali głos sierżanta.

- Czy mogę z nią mówić?

- Dopiero rano. Teraz wiozą ją do Sądu dla Nieletnich.

- Czy jest w domu jej matka? Proszę ją poprosić do telefonu.

- To niemożliwe. Jest na górze w swojej sypialni. Dostała ataku hysterii. Jest z nią lekarz. Pewnie już zrobił jej zastrzyk.

- Z kim mógłbym porozmawiać?

- Pan Gordon pojechał z pańską córką do sądu.

- Harris Gordon?

- Aha. Ten adwokat. To on prosił mnie, żebym do pana zadzwonił.

Harris Gordon. Adwokat. Jeden z najlepszych adwokatów. I najdroższy. Coś o tym wiem. To on prowadził sprawę rozwodową Nory i bez trudu udało mu się przechytryć mojego adwokata. Trochę mi ulżyło. Jeśli Nora pomyślała o tym, by go wezwać, nie musi być z nią tak źle, jak twierdzi sierżant.

- Nie pyta pan kogo zabiła pańska córka? - W tonie policjanta pojawiła się dziwna nuta.

- Nie mogę w to uwierzyć - oświadczyłem. - Daniela nie mogła zrobić nikomu krzywdy. Ona nie skończyła jeszcze piętnastu lat.

- Zabiła go, zabiła - powtórzył bezbarwnym tonem.

- Kogo?

- Tonią Riccio - odparł, a w jego głosie pojawiło się coś sprośnego. - Kochanka pańskiej żony.

- Ona nie jest moją żoną. Rozwiedliśmy się jedenaście lat temu.

- Wbiła mu w brzuch jedno z tych dłuć rzeźbiarskich pańskiej żony. Było ostre jak brzytwa. Rozorała mu brzuch jak bagnetem. Cała pracownia jest zbroczona krwią. - Sierżant w ogóle nie zwrócił uwagi na moje słowa. - Wygląda na to, że facet zalecał się do obu i mała zrobiła to z zazdrości. Zaczęło mnie mdlić. Przełknąłem ślinę.

- Znam moją córkę, panie sierżancie - oświadczyłem. - Nie wiem dlaczego go zabiła - wciąż jeszcze nie wierzę, że zabiła, ale dam głowę, że nie z tego powodu.

- Nie widział jej pan od sześciu lat. Dziecko w ciągu sześciu lat zmienia się nie do poznania. Dorasta.

- Ale nie tak, by nagle móc kogoś zamordować. W wypadku Danieli jest to zupełnie wykluczone. - Zanim zdążył coś odpowiedzieć, odwiesiłem słuchawkę.

Elżbieta wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczyma.

- Słyszałaś?

Skinęła głową. Szybko podniosła się z łóżka i włożyła szlafrok.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Ja też - potwierdziłem. - Ona jest jeszcze dzieckiem. Nie skończyła piętnastu lat.

Elżbieta wzięła mnie za rękę. - Chodź do kuchni. Zrobię ci kawę.

Siedziałem zamroczony, po chwili włożyła mi do ręki filiżankę z gorącą kawą. Myślałem o wszystkim

i o niczym. Potem człowiek sam nie wie, co w takiej chwili myślał. Tak, widziałem małą dziewczynkę, która pierwszy raz jest w zoo. Widziałem jak się śmieje patrząc na pył wodny nad morzem w La Jolla. I słyszałem dziecięcy głosik:

- Tatusiu, to dużo milej mieszkać na statku. Dlaczego mama też tu z tobą nie mieszka, zamiast w tym starym domu na szczycie wzgórza w San Francisco.

Uśmiechnąłem się w duchu przypominając sobie, jak Daniela mówiła zawsze San Francisco - zamiast San Francisco. Bardzo to drażniło Norę. Nora zawsze wyrażała się poprawnie. Nora zawsze zachowywała się poprawnie. Przynajmniej na pozór. Wobec wszystkich była nieodmiennie damą. Nora Małgorzata Cecylia Hayden. W jej żyłach płynęła dumna krew hiszpańskich donów osiedlonych dawno temu w Kalifornii, gorąca krew irlandzka oraz zimna jak lód woda odziedziczona po bankierach z Nowej Anglii. Taka mieszanka umożliwia udawanie damy. A Nora oprócz tego miała talent, który wyniósł ją wysoko ponad zwykłych śmiertelników.

Kiedy dotykała kamienia, drewna czy metalu - nabierały życia. Ale kiedy dotykała czegoś lub kogoś, kto miał własne życie - unicestwiała je. Wiem. Bo wiem, co zrobiła ze mną.

- Wypij kawę nim ostygnie.

Otworzyłem oczy. Elżbieta wpatrywała się we mnie, gdy piłem. Czuję jak ciepło wypełnia lodowatą dziurę mego żołądka.

- Dziękuję.

Elżbieta usiadła naprzeciwko mnie.

- Byłeś gdzieś daleko. Zmusiłem się do odpowiedzi.

- Myślałem.

- O Danieli?

Skinałem głową i ogarnęło mnie poczucie winy. Ach,

ta Nora! Umiała wślizgiwać się do czyichś myśli wtedy nawet, gdy powinny być zajęte kimś innym.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała Elżbieta.

- Nie wiem. Nie wiem, co robić.

- Biedna mała - powiedziała ciepło. Nie odezwałem się.

- Ale ma przy sobie matkę.

Gorzko się roześmiałem. Na Norę nie można było liczyć. Była zajęta tylko sobą.

- Nora wpadła w histerię. Lekarz dał jej środek nasenny.

Elżbieta spojrzała na mnie z przerażeniem.

- Chcesz powiedzieć, że Daniela jest sama?

- Ich adwokat pojechał z nią do Sądu dla Nieletnich. Elżbieta chwilę patrzyła na mnie, potem wstała i podeszła do kredensu. Wyjęła drugą filiżankę i łyżeczkę. Trzęsły się jej ręce. Łyżeczka upadła na linoleum. Nachyliła się, by ją podnieść, i zatrzymała się w pół drogi.

- Psiakrew! Straszna ze mnie niezgraba. Wstałem i wyjąłem inną łyżeczkę. Nalala sobie kawy i usiadła.

- Że też akurat teraz jestem w ciąży! Uśmiechnąłem się do niej.

- Mówisz tak, jakbym nie miał w tym udziału. Nie odrywała ode mnie oczu.

- Jestem otepiała i nie ma ze mnie żadnego pożytku. Tak mi przykro.

- Nie bądź niemądra.

- Nie jestem niemądra. **Ty** nie chciałeś dziecka. To ja go chciałam.

- Teraz to naprawdę mówisz głupstwa.

- Ty masz córkę. I to ci wystarczało. A ja chciałam mieć **nasze** dziecko. Pewnie byłam o Daniellę zazdrosna. I chciałam udowodnić, że przynajmniej w tym potrafię dorównać Norze.

Obszedłem dookoła stół i usiadłem obok niej. Wciąż na mnie patrzyła. Wziąłem jej twarz w ręce.

- Nie musiałaś niczego udowadniać. Kocham cię. Dalej patrzyła mi w oczy.

- Widziałam wyraz twojej twarzy, ile razy mówiłeś o Danieli, tak strasznie do niej tęskniłeś.

Myślałam, że kiedy będziemy mieć dziecko, będzie ci jej mniej brakować.

Nagle oczy Elżbiety napełniły się łzami. Schwyciła mnie za rękę i położyła ją na swoim napęczniałym brzuchu.

- Łukaszu, pokochasz nasze dziecko? Tak jak kochasz Daniellę?

Schyliłem się i przytuliłem policzek do tętniącego w niej nowego życia.

- Wiesz, że będę je kochał. Już je kocham.

- A jeśli to będzie chłopiec?

- To bez znaczenia. Kocham was oboje. Przycisnęła moją głowę do piersi.

- Musisz tam pojechać. Wysunąłem się z jej ramion.

- Chyba oszalałaś. Przecież ty masz za dwa tygodnie rodzić.

- Poradzę sobie - odpowiedziała spokojnie.

- A co z forszą? Zapomniałaś, że dziś rano straciłem pracę?

- W banku zostało nam czterysta dolarów - zauważyła. - I masz w kieszeni czek za ostatni tydzień.

- Sto sześćdziesiąt dolców. A musimy przecież za coś żyć. Nie wiadomo kiedy uda mi się znaleźć posadę.

- Z Chicago do San Francisco leci się raptem trzy

i pół godziny. Jeśli weźmiesz tani bilet turystyczny, to zapłacisz tam i z powrotem tylko sto pięćdziesiąt dolarów.

- Nie zrobię tego. Nie mogę. Potrzebujemy tych pieniędzy na twój szpital.



- Tym razem *ja* zdecyduję. Pojedziesz. Gdyby Daniela była naszym dzieckiem, tego bym od ciebie żądała.

Podeszła do telefonu. - Idź na górę i się spakuj, a ja zadzwonię na lotnisko. Włóż ten szary garnitur. To jedyny porządny garnitur, jaki masz.

2

Kiedy Elżbieta weszła do sypialni, wpatrywałem się w leżącą na łóżku otwartą walizkę.

- O drugiej trzydzieści masz samolot z lotniska O'Hare. Jedno lądowanie po drodze i w San Francisco będziesz o czwartej rano według tamtejszego czasu.

Stałem nieruchomo, zupełnie otepiały.

- Weź prysznic - powiedziała. - Ja cię spakuję. Spojrzałem na nią z wdzięcznością. Elżbiecie nie trzeba było nic mówić. Sama zawsze wiedziała, czego człowiek pragnie. Poszedłem do łazienki.

Przyjrzałem się sobie w lustrze. Miałem zapadnięte, podkrążone oczy. Sięgnąłem po brzytwę. Wciąż drżała mi ręka.

„Wszędzie było pełno krwi” - przypomniałem sobie słowa sierżanta. Do diabła z goleniem się. Ogołę się rano. Wszedłem pod prysznic i puściłem wodę na cały regulator.

Kiedy wróciłem do sypialni, torba była już spakowana i zamknięta. Podeszedłem do szafy.

- Zapakowałam ci garnitur. Nie ma sensu, żebyś go wygniół w samolocie. Włóż na drogę luźne spodnie i sportową marynarkę.

- Dobrze - zgodziłem się.

Kończyłem wiązać krawat, kiedy zadzwonił telefon. Odebrała go Elżbieta. - Do ciebie - powiedziała, podając mi słuchawkę.

- Halo!

Osoba, która dzwoniła, nie musiała mi się przedstawiać. Ten głos poznałbym wszędzie. Moja była teściowa. Jak zwykle nie marnowała czasu na wstępne uprzejmości.

- Pan Gordon, nasz adwokat, uważa, że dobrze by było, gdybyś przyjechał.

- Jak Daniela?

- Jest u mnie. Zarezerwowałam dla ciebie i twojej żony apartament u Hopkinsa. Z lotniska w Chicago zadepeszuj numer lotu, wyślę po was limuzynę.

- Nie, dziękuję.

- Nie jest to odpowiednia chwila na popisywanie się dumą - oświadczyła sarkastycznie. - Znam twoją finansową sytuację, a chodzi o dobro twojej córki.

- Zawsze chodziło mi o dobro mojej córki.

- No to dlaczego nie chcesz przylecieć?

- Owszem, przylecę, ale na własny koszt.

- Wciąż jesteś taki sam. Czy nigdy się nie zmienisz?

- A pani? - odciąłem się.

Nastąpiła chwila milczenia, potem dorzuciła chłodniejszym tonem.

- Pan Gordon chce z tobą mówić.

Gordon miał ciepły, głęboki głos. Kiedy się go nie znało, łatwo można się było na to nabrać. Za przyjaznym tonem krył się umysł skonstruowany jak stalowa pułapka.

- Jak się pan miewa, pułkowniku Carey. Dawnośmy się nie widzieli.

- Tak - odparłem. - Widzieliśmy się jedenaście lat temu na procesie rozwodowym. - Nie musiałem mu tego przypominać. Prawdopodobnie pamiętał datę i godzinę. - Jak się ma Dani?

- Już wszystko w porządku, pułkownik Carey. Kiedy sędzia zobaczył, w jakim szoku jest to biedne dziecko, powierzył ją mojej opiece. W tej chwili śpi tu, u babki. Lekarz dał jej środek uspokajający. Choć go nie lubiłem, cieszyłem się, że mamy go po swojej stronie.

- Jutro o dziesiątej rano mam ją odwieźć do Sądu dla Nieletnich - powiedział. - Sądzę, że byłoby dobrze, aby pojawiła się w pana towarzystwie.

- Dobrze.

- No to świetnie. Czy zdąży pan tu na siódmą rano? Zjemy razem śniadanie. Mamy parę rzeczy do omówienia, wolałbym nie rozmawiać o tym przez telefon.

- Okay. Będę o siódmej.

Nastąpiła cisza, potem znów wzięła słuchawkę pani Hayden. Miałem wrażenie, że wysiła się na życzliwość.

- Łukasz, cieszę się bardzo, że nareszcie poznam twoją żonę.

- Elżbieta nie przyleci. Usłyszałem w jej tonie zdziwienie.

- Dlaczego?

- Bo jest w ciąży. Ma rodzić lada dzień.

Potem nie mieliśmy już sobie nic do powiedzenia, więc pożegnaliśmy się. Ledwie jednak odłożyłem słuchawkę, znów rozległ się dzwonek. Był to Harris Gordon.

- Zapomniałem o jednym. Jeśli pana dopadną reporterzy, proszę nic nie mówić. To bardzo ważne, żeby nie udzielał pan wywiadów przed naszą rozmową.

- Rozumiem, panie Gordon - odpowiedziałem i przerwałem rozmowę.

Elżbieta ruszyła w stronę łazienki.

- Ubiorę się i odwieziemy cię na lotnisko. Spojrzałem na nią badawczo.

- Myślisz, że powinnaś? Lepiej wezwę taksówkę.

- Nie bądź niemądry - roześmiała się. - Sam

uwierzyłeś w to, co powiedziałaś starszej pani. Przecież mam przed sobą jeszcze dobre dwa tygodnie. Lubię jazdę autem nocą. Świat zamyka się w kręgu świateł reflektorów. Nie widzisz, ku czemu zmierzasz, i czujesz się bezpieczny przynajmniej w zasięgu wzroku, w życiu zdarza się to rzadko. Spojrzałem na szybkościomierz - pięćdziesiąt, potem strzałka cofnęła się na czterdzieści. Nie mieliśmy po co się śpieszyć. Dopiero zbliżała się północ.

Wyjechaliśmy, bo trudno było znieść wyczekiwanie w domu. Na lotnisku będzie ruch, tłumy ludzi. Będziemy mieć uczucie, że coś robimy, choć nic nie było można zrobić.

Kątem oka zobaczyłem blask zapalki, który na sekundę rozświetlił twarz Elżbiety. Wsadziła mi papierosa do ust. Głęboko wciągnąłem dym.

- Jak się czujesz?

- Okay.

- Nie chcesz o tym rozmawiać?

- O czym tu mówić? Dani znalazła się w tarapatach i jadę do niej.

- Mówisz tak, jakbyś tego oczekiwał. Spojrzałem na nią zaskoczony. Elżbieta bywała zbyt przenikliwa. Potrafiła dogrzebać się do myśli, które ukrywałem sam przed sobą.

- Nie, tego nie oczekiwałem.

- A czego?

- Nie wiem.

Ale nie było to prawdą. Wiedziałem, czego oczekiwałem. Że któregoś dnia Daniela zadzwoni i powie, że chce być ze mną, nie z matką. Choć po jedenastu latach trudno było o tym marzyć.

- Jak myślisz, czy to, co ten policjant sugerował, może być prawdą?

- Chyba nie - odparłem i zastanowiłem się. - Nie, jestem pewny, że nie. W takim wypadku zabiłaby go

Nora. Nora nigdy nie zniosłaby dzielenia się czymś, co uważała za swoją własność.

Elżbieta zamilkła, a ja oddałem się myślom. Tak, dla Nory najważniejszą rzeczą było zachować tylko dla siebie to, na co miała ochotę. Przypomniałem sobie ostatni dzień w sądzie.

Wszystko już zostało ułożone. Uzyskała rozwód. Byłem złamany, byłem bankrutem, nie bardzo miałem z czego żyć, a ona miała wszystko, czego mogła zapragnąć. Pozostało tylko omówienie sprawy opieki nad Danią.

W tym celu udaliśmy się do gabinetu sędziego. Uważałem to za czystą formalność. Uzgodniliśmy już, że Dani będzie spędzać ze mną na moim statku w La Jolla dwanaście weekendów rocznie i połowę letnich wakacji.

Siedziałem naprzeciwko sędziego, a mój adwokat przedstawił tę uzgodnioną propozycję. Sędzia skinął głową i zwrócił się do Harrisa Gordona.

- Sądzę, że to rozsądne rozwiązanie.

Pamiętam, że w tym właśnie momencie Daniela, która w kącie bawiła się piłką, nagle odwróciła się i zawołała:

- Łap, tato!

Piłka potoczyła się po podłodze, przyklęknąłem, żeby ją złapać i usłyszałem odpowiedź Harrisa Gordona.

- O nie.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem, trzymając kurczowo piłkę. Uzgodniliśmy to poprzedniego dnia. Spojrzałem na Norę. Jej fiołkowe oczy patrzyły na coś za moimi plecami.

Popchnąłem piłkę w stronę Dani.

Harris Gordon kontynuował.

- Moja klientka uważa, że pułkownikowi Careyowi nie należą się prawa rodzicielskie.

- Co pan mecenas chce przez to powiedzieć? - spytałem wstając. - Jestem jej ojcem.

Ciemne oczy Gordona przybrały nieprzenikniony wyraz.

- Czy nigdy nie dziwiło pana, że dziecko urodziło się zaledwie w siedem miesięcy po pana powrocie z Japonii?

Z trudem opanowałem się.

- I pani Carey, i jej lekarz zapewniali mnie, że dziecko urodziło się przedwcześnie.

- Jak na dorosłego człowieka jest pan, panie pułkowniku, dość naiwny.

Gordon zwrócił się do sędziego.

- Pani Carey pragnie poinformować Wysoki Sąd, że Daniela została poczęta na sześć lub siedem tygodni przed powrotem pułkownika Careya. W związku z tym faktem, z którym pułkownik Carey miał czas się pogodzić, występuje o przyznanie jej całkowitej opieki nad córką.

Zwróciłem się do mojego adwokata.

- Mam nadzieję, że pan do tego nie dopuści. Mój adwokat nachylił się w stronę sędziego.

- Mogę tylko wyrazić oburzenie zachowaniem mecenasa Gordona. Pragnę poinformować Wysoki Sąd, że wczoraj wyraził zgodę na moją propozycję.

Widać było, że sędzia jest zgorszony, ale starał się tego nie okazać.

- Bardzo mi przykro, panie mecenasie, ale sąd nie może poprzeć żadnej ugody, która nie została zawarta w jego obecności.

Wtedy wybuchnąłem.

- Zatem do diabła z naszą umową - krzyknąłem. - Będziemy walczyć. Zaczynamy sprawę od początku.

Mój adwokat schwycił mnie za ramię i spojrzał na sędziego.

- Wysoki Sądzie, czy mogę odbyć naradę z moim klientem?

Sędzia skinął głową i podeszliśmy do okna. Staaliśmy tyłem do sali.

- Czy wie pan, co to będzie oznaczać? - szepnął. - Ogłosi pan wszem wobec, że pańska żona podczas pańskiej nieobecności przyprawiła panu rogi.

- No i co z tego? Całe miasto wie, że sypiała na lewo i na prawo od dzielnicy chińskiej aż do Presidio!

- Nie chodzi o pana, panie Łukasz. Niech pan pomyśli o córce. Co ona będzie czuła, kiedy się dowie, że jej własna matka nazywa ją bękartem?

Spojrzałem na niego.

- Nora nie ośmieli się.

- Przecież już to zrobiła.

Na to nie znalazłem odpowiedzi. Zamurowało mnie. I znów usłyszałem dziecinnie głosik.

- Tato, łap!

Machinalnie schyliłem się, by złapać piłkę. A Daniela przebiegła przez salkę i rzuciła mi się w ramiona. Podniosłem ją do góry. Zaśmiewała się, błyszczały jej oczka.

Miałem ochotę przytulić ją z całych sił do piersi. Nora kłamała. Na pewno kłamała. Wiedziałem, czułem, że Dani jest moją córką.

Spojrzałem na drugą stronę salki. Na sędziego, jego sekretarkę, Harrisa Gordona, Norę. Wszyscy wpatrywali się we mnie. Prócz Nory. Ona wpatrywała się w jakiś punkt nad moją głową.

Do mojej twarzy tuliła się uśmiechnięta buzia dziecka. Poczuję się pokonany. Mój adwokat miał rację. Nie mogłem procesować się. Nie mogłem podjąć ryzyka, że zranię własne dziecko.

- Co możemy zrobić? - szepnąłem.

W oczach adwokata zabłysło współczucie.

- Proszę mi pozwolić porozmawiać z sędzią. Stałem z Danielą w ramionach, a on podszedł do stołu.

Po paru minutach wrócił.

- Uzyskałem cztery weekendy rocznie. I o ile pan będzie w San Francisco, może pan ją widywać w każdą niedzielę po południu. Zgadza się pan?

- Czy mam wybór?

Niemal niezauważalnie pokręcił przecząco głową.

- Okay - powiedziałem. - Boże, jak ona musi mnie nienawidzić!

Z nieomylnym instynktem dziecka Daniela domyśliła się o kim mówię.

- O nie, tato - zawołała szybko. - Mama cię kocha. Kocha nas oboje. Mówiła mi.

Spojrzałem na jej poważną twarzyczkę, troszkę jakby niespokojną. Zamrugalem, by powstrzymać łzy.

- Oczywiście, kochanie - powiedziałem uspokajającym tonem.

Podeszła do nas Nora.

- Chodź, złotko, do mamusi. Wracamy do domu.

Daniela spojrzała na nią, potem na mnie. Nora wyciągnęła ramiona. Skinąłem głową. Nora tym razem patrzyła na mnie. W jej oczach malował się triumf.

Z takim samym wyrazem patrzyła na swoje rzeźby. Nad każdą mordowała się, nim nadała jej ostateczny kształt. Nagle uświadomiłem sobie, czym jest dla niej Daniela. Jej tworem.

Postawiła Danielę na ziemi, wzięła ją za rękę i ruszyła w stronę wyjścia. Kiedy Nora otwierała drzwi, Daniela obejrzała się.

- Tatusiu, chodź z nami - poprosiła. Pokręciłem przecząco głową. Oślepiły mnie łzy, ale udało mi się powiedzieć pogodnym głosem.

- Nie, kochanie. Tatuś musi tu zostać i pogadać z tymi miłymi panami. Wkrótce się zobaczymy.

- Okay. Pa, tatusiu.

Zamknęły się za nimi drzwi. Podpisałem dokumenty, pojechałem pociągiem do La Jolla, wszedłem na pokład statku i upiłem się.



Dopiero w tydzień później byłem na tyle trzeźwy, by móc znaleźć klienta na rejs.

3

Zapłaciłem za bilet, nadałem na bagaż walizkę i weszliśmy do bufetu. Mimo późnej pory było tłoczno. Usiedliśmy przy stoliku i zamówiłem dwa manhattany.

Wypiłem łyk. Koktajl był świetny. Zimny i nie za słodki. Spojrzałem na Elżbietę. Zaczęła wyglądać na zmęczoną.

- Czy na pewno dobrze się czujesz? - spytałem. - Nie powinienem był pozwolić ci tu przyjechać.

Podniosła szklankę do ust.

- Czuję się wyśmienicie - odparła, jej twarz pod wpływem alkoholu zaróżowiła się. - Trochę jestem zdenerwowana i to wszystko.

- Nie masz się czym denerwować.

- Nie chodzi o twój lot. Chodzi o ciebie.

- Mnie się nic nie stanie - zaśmiałem się. Ona się nie uśmiechnęła.

- Znow *ją* zobaczysz.

Teraz zrozumiałem. Zawsze po spotkaniu z Norą z trudem zbierałem się do kupy. Elżbieta poznała mnie pięć lat temu, kiedy znajdowałem się na dnie. A było to już w sześć lat po moim rozwodzie.

\* \* \*

Zbliżał się koniec lata. Daniela miała osiem lat. Właśnie wróciłem z San Francisco, gdzie po weekendzie odwoziłem ją do matki.

Dani wbiegła do domu, a ja czekałem, by wyszedł kamerdyner i zabrał jej walizkę. Od czasu rozwodu nie wchodziłem do środka.

Drzwi otworzyły się, ale nie był to kamerdyner. Nora. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

Jej zimny wzrok pozbawiony był wyrazu.

- Chcę z tobą pomówić - oświadczyła.

- O czym? - spytałem. Nora nigdy nie traciła czasu.

- Postanowiłam, że Dani nie będzie cię więcej odwiedzać.

Poczułem, jak jeżą mi się włosy.

- Dlaczego?

- Przestaje już być dzieckiem - odparła Nora. - Zaczyna widzieć, co się dokoła niej dzieje.

- Na przykład co?

- Na przykład ten twój brudny statek. I te awanturujące się dokoła meksykańskie dziwki. Nie życzę sobie, żeby poznawała tę stronę życia.

- Kto to mówi? Myślisz, że jesteś lepsza, ponieważ pijesz martini i masz czyste prześcieradła?

- Powinieneś wiedzieć, że lepsza. Dawniej mnie doceniałeś.

Czasem człowiek nie potrafi zapanować nad swymi myślami. Ach, ta fascynacja złem. Znała mnie.

Wiedziała co mówi. Wreszcie udało mi się uwolnić od wspomnień.

- Porozmawiam o tym z moim adwokatem.

- Proszę bardzo. Jeśli adwokat w ogóle zechce rozmawiać z takim łachmytą jak ty. A jeżeli wniesiesz sprawę do sądu, to wiedz, że mój detektyw złoży szczegółowe sprawozdanie o twoim trybie życia. Nic nie wskórasz.

Odwróciła się i zatrzasnęła mi przed nosem drzwi. Chwilę wpatrywałem się w nie, potem zszedłem po schodkach do mojego starego gruchota. Do domu do-

tarłem dopiero pod wieczór następnego dnia i wniosłem na pokład statku skrzynkę whisky.

W dwa dni później usłyszałem, że ktoś stuka do drzwi kajuty. Zwlokłem się z koi i poczłapałem, by otworzyć. Od blasku zaboląły mnie oczy, ból zawędrował do mózgu. Szafirowe niebo, oślepiające słońce, biała suknia i jasne włosy stojącej na pokładzie dziewczyny. Na chwilę przymknąłem oczy.

- Powiedziano mi w sklepie na przystani, że można zafrachtować pański statek - powiedziała ciepłym głosem.

Zamrugąłem oczyma. To ostre światło źle działało na wypitą przeze mnie whisky.

- Pan jest kapitanem tego statku? - spytała.

Ból zelżał. Przyjrzałem się jej - tak jak zapowiadał głos, miło było na nią spojrzeć. Błękitnooka, opalona, szerokie wielkodusze usta.

- Jestem całą załogą. Proszę wejść i się ze mną napić.

Wziąłem ją za rękę i sprowadziłem po wąskich stopniach. Z ciekawością rozejrzała się po kajucie. Nie było na co patrzeć. Parę pustych butelek po whisky i roz-bebeszone koje. Nic nie powiedziała.

- Przepraszam za bałagan. Między rejsami piję. W oczach jej pojawił się uśmiech.

- Zupełnie jak mój ojciec.

- Miał też statek, który oddawał we fracht? Potrząsnęła przecząco głową.

- Był kapitanem holownika na East River w Nowym Jorku. I też między jednym a drugim rejssem ostro popijał.

- Nigdy nie piję, kiedy pracuję - oświadczyłem.

- On także nie. Był najlepszym kapitanem holownika w całym Nowym Jorku.

Uprzątnąłem śmietnik na stole i wyjąłem dwie czyste szklanki. Wziąłem butelkę burbona.

- Mam wodę. Nie mam lodu.

- To dobra whisky - zauważyła - nie będziemy jej rozcieńczać.

Nalałem po pół szklanki. Piła tak jakby to był sok. Fajna dziewczyna.

- No, to pomówmy o interesach.

- Biorę pięćdziesiąt dolarów dziennie. Wypływamy o piątej rano, powrót o czwartej po południu. Nie więcej niż czterech pasażerów.

- Ile by kosztował cały tydzień? Chcemy popłynąć do Los Angeles, spędzić tam weekend i wrócić.

- My to znaczy kto? - spytałem. - Ile osób?

- Dwie. Ja i mój szef. Spojrzałem na nią.

- Na statku jest tylko jedna kajuta. Oczywiście w razie potrzeby mogę koczować na pokładzie.

Roześmiała się.

- Nie będzie pan musiał.

- Nie rozumiem. Czyżby z tym facetem coś było nie w porządku?

Znow się roześmiała.

- O, nie. Ale ma siedemdziesiąt parę lat i traktuje mnie jak córkę.

- Więc po co chce wynająć statek?

- Jest przedsiębiorcą budowlanym w Phoenix. Miał do załatwienia sprawy tu i w Los Angeles.

Nawdychał się piasku i chciałby odetchnąć morskim powietrzem oraz ewentualnie złowić parę ryb.

- Z rybami będzie klops. Nieodpowiednia pora roku. Wszystkie ryby udały się do Meksyku.

- Nic nie szkodzi.

- Wszystkie posiłki będą państwo jadać na pokładzie?

- Poza weekendem.

- Czy pięćset dolarów wydaje się pani wygórowaną ceną?

- Powiedzmy raczej czterysta...

- Dobra - zgodziłem się wstając. - Kiedy państwo chcą wypłynąć?

- Jutro rano. Może o ósmej? Czy wpłacić zadatek?

Uśmiechnąłem się do niej.

- Wygląda pani na osobę uczciwą, panno...?

- Andersen - oznajmiła. - Nazywam się Elżbieta Andersen.

Ona też wstała. Fala uderzyła w mój statek i zakolysał się. Oparła się o ścianę i zaczęła wchodzić na schodki.

- **A propos**, panno Andresen, jaki dziś mamy dzień? Roześmiała się. Był to przyjazny śmiech.

- Wypisz wymaluj mój tata. Zawsze o to pytał, kiedy już zaokrętował. Mamy dziś środę.

- Aha.

Patrzyłem jak idzie dkiem w stronę swego auta. Zatrzymała się i pomachała mi ręką, potem siadła za kierownicą i odjechała. Wróciłem do kajuty i zacząłem sprzątać.

W ten sposób poznaliśmy się. Pobraliśmy się dopiero w rok później.

\* \* \*

- Czemu się uśmiechasz? - spytała Elżbieta. Drgnąłem i wróciłem do terażniejszości. Nachyliłem się nad stołem i wziąłem ją za rękę.

- Przypominałem sobie, jak wyglądałaś owego dnia, kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz. Jasnowłosa bogini z kości słoniowej i złota.

Roześmiała się i wypła łyk manhattanu.

- Teraz już nie wyglądam na jasnowłosą boginię. Dałem znak kelnerowi, żeby przyniósł następne dwa koktajle.

- Mamy jeszcze czas na jednego drinka. Nagle spoważniała.

- Nie żałujesz, że się ze mną ożeniłeś? Pokręciłem przecząco głową.

- Nie bądź niemądra. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nie winisz mnie za to, co się stało? Myślę o Dani.
- O nie. Nic bym na to nie mógł poradzić. Teraz to już wiem.
- Ale kiedyś uważałeś inaczej.
- Byłem idiotą - odpowiedziałem. - I posługiwałem się Dani tak jak chromy kulami.

Kelner przyniósł koktajle. Kiedy się czeka na samolot, czas się nieznacznie wlece. Pewnie dlatego, że człowiek uważa, iż wszystko powinno pędzić z szybkością sześciuset mil na godzinę. A tymczasem tkwi się w miejscu i tylko chciałoby się być gdzie indziej.

Dziś rano - nie, przepraszam, wczoraj rano, nie miałem tego uczucia. Kiedy na placu budowy wysiadłem z auta, wiał ciepły wiatr znad jeziora. Mieliśmy wykończyć szkielet ostatniego domu na osiedlu i byłem pewien, że zapadła już decyzja co do budowy następnego osiedla. Była wspaniała pogoda i przed zimą domy powinny chyba stanąć pod dachem. A w zimie zajmiemy się wnętrzami. Wszedłem do przyczepy, która służyła nam za biuro. Wszystko przebiegało zgodnie z harmonogramem. Te prace potrwać pewnie do grudnia. Wtedy nasz dzidzius będzie już dostatecznie duży, żeby móc go zabrać na południe. Dawis zaczynał tam nową wielką budowę i wszystko wskazywało, że mnie zatrudni.

Przestałem być projektantem wnętrz, to Nora chciała, żebym siedział w gabinecie, a sekretarka wprowadzała do mnie klientki, które domagały się złoconych zlewów i różowych telefonów w klozecikach.

Nosiłem dżinsy i koszulę, cały dzień łąziłem po błocie i budowałem domy za dziesięć, dwanaście lub piętnaście tysięcy. Nic wymyślnego, ale ładne, przyzwoite domy, gdzie mogli wygodnie mieszkać ludzie. Ludzie, którym *potrzebny* był dom, nie tamte znerwicowane panusie, pragnące popisywać się swoim domem przed znajomymi.

Byłem w świetnym nastroju. Czuję się pożyteczny. Robię coś, czego zawsze chciałem. Po to poszedłem na architekturę. I takie właśnie były moje plany, kiedy przerwała je wojna. Miałem właśnie rozpocząć poranny przegląd, gdy pojawił się Sam Brady. Sam był moim szefem. Uśmiechnąłem się do niego.

- Przyszedłeś w sam czas, żeby przyjrzeć się budowie ostatniego domu na osiedlu.

Nie odpowiedział mi uśmiechem. Czy coś się stało?

- Ejże, nie chcesz mi chyba powiedzieć, że nie dostałeś kapitałów na budowę następnego osiedla?

- Dostałem.

- No, to po co ta mina? Zapewniam cię, że skończymy, nim spadnie śnieg. Wiosną będziesz już paradował z kieszeniami pełnymi tysiąc dolarowych banknotów.

- Nie o to chodzi, Łukaszu. Strasznie mi przykro, ale muszę się z tobą pożegnać.

- Oszalałeś? - spytałem ani przez chwilę mu nie wierząc. - To kto ci to osiedle zbuduje?

- Towarzystwo hipoteczne ma swojego człowieka. Dają mi forszę tylko pod tym warunkiem, że go zatrudnię. - Wyjął z kieszeni papierosa i zapalił. - Bardzo mi przykro.

- Przykro? - spytałem zapalając też papierosa. - To co **ja** mam powiedzieć?

- Nic jeszcze nie wiesz o planach Davisa?

- Nie.

- Na pewno cię zatrudni. Zaciągnąłem się w milczeniu papierosem.

- Jeśli to tylko kwestia czasu, to chwilowo możesz pracować u mnie na czele jednej z ekip.

- Wielkie dzięki! Sam wiesz, że to byłby koniec. Wiedział. Gdybym zaczął z powrotem pracować jako majster, żaden przedsiębiorca budowlany w kraju nie

zatrudniłby mnie już jako głównego inżyniera. Takie wiadomości rozchodzą się lotem ptaka.

Jeszcze raz zaciągnąłem się i zgasilem niedopałek w popielnicze.

- Skończę dziś ten dom i zabieram się.

- Ten nowy inżynier ma się tu pojawić po południu. Zrozumiałem.

- Wobec tego znikam po lunchu.

Skinał głowę, dał mi kopertę z czekiem i wyszedł. Chwilę za nim patrzyłem i zabrałem się do opróżniania biurka.

Nie pojechałem do domu. Wszedłem do baru i gapiłem się w telewizor. Czerwoni zadali bobu Szeregowym. Nie tknąłem whisky, piłem piwo, butelka piętnaście centów. Kiedy po raz piąty wracałem z toalety, Maris wybił długą piłkę.

Barman wytarł ladę.

- Mają pecha - powiedział patrząc przez ramię na ekran. - Urodzeni pechowcy. Mogą się zabierać do domu.

Rzuciłem parę monet na ladę i wyszedłem. Nie było sensu zwlekać. I tak muszę to powiedzieć Elżbiecie.

Okazało się to łatwiejsze niż przypuszczałem. Pewnie domyśliła się widząc mnie tak wcześnie w domu. Kiedy już jej wszystko wyznałem, odwróciła się i wsunęła do piecyka pieczeń.

Czekałem, żeby coś powiedziała. Nie wiem, na co czekałem. Może, żeby się rozgniewała. A ona zachowała się po kobiecemu.

- Idź się umyć.



4

Chciałem zamówić następną kolejkę, ale zobaczyłem wzrok Elżbiety. Poprosiłem o kawę. Uśmiechnęła się.

- O to także możesz się nie martwić.

- To nieodpowiedni moment, żeby znów zacząć pić. Musisz mieć jasny umysł, bo nie uda ci się pomóc Dani.

- Nie widzę jak mógłbym pomóc.

- Na pewno będziesz mógł. Inaczej Gordon nie domagałby się twego przyjazdu.

- To prawda.

Oto miejsce ojców w naszym społeczeństwie. Potrzebni są tylko w biedzie.

Zaczął mnie nosić. Zegar wskazywał, że jest za kwadrans druga.

- Może wyjdziemy na powietrze?

Elżbieta skinęła głową, wziąłem rachunek i uregulowałem go wychodząc. Weszliśmy na taras, gdy schodził do lądowania potężny ryczący odrzutowiec. Widziałem na kadłubie wielkie podwójne A.

Nad naszymi głowami zaskrzeczał megafon.

- Wylądował samolot American Airlines, lot 42 z Nowego Jorku.

- To mój - skonstatowałem.

Był ogromny i błyszczący. Ciężki kadłub, lekko cofnięte skrzydła. Otworzyły się drzwi, zaczęli wychodzić pasażerowie.

- Po raz pierwszy czuję się samotna - powiedziała nagle Elżbieta.

Spojrzałem na nią, wydała mi się bardzo blada. Wziąłem ją za rękę. Ręka była lodowata.

- Nie muszę jechać.

- Musisz i dobrze o tym wiesz. - Miała smutne oczy.

- Wedle tego, co jedenaście lat temu powiedziała Nora, to wcale nie.

- Czyżbyś jej nagle zaczął wierzyć?

Nie odpowiedziałem. Wyjąłem papierosa i zacząłem go zapalać. Ale ona nie zamierzała dać mi spokoju.

- Odpowiedz mi.

- Nie - odparłem patrząc na pasy startowe. Z odrzutowca wyładowywano bagaże pasażerów. - Sam nie wiem, co myśleć. W głębi duszy jestem przekonany, że ona *jest* jednak moją córką. Ale chwilami chciałbym wierzyć Norze. Wtedy wszystko byłoby dużo prostsze.

- Czyżby, Łukaszu? - spytała cicho. - A co z tymi wszystkimi latami, które Dani spędziła z tobą, należała do ciebie bardziej niż do matki?

Znów poczułem, że coś mnie dusi.

- Przestań! - zawołałem ostro. - Nawet jeśli jestem jej ojcem, to jaki ze mnie pożytek? Nie wolno mi się było nią zająć. Nie miałem środków, żeby ją utrzymać. Nie potrafiłem nawet obronić jej przed matką.

- Ale mogłeś ją kochać. I kochałeś.

- Aha, kochałem - odparłem z goryczą. - Na wiele jej się to zdało! A teraz, co *teraz* mogę dla niej zrobić? Wciąż jestem bankrutem, wciąż walczę o byt. - Czułem żółć w gardle. - Nie wolno mi było zostawić jej Norze!

- Co mogłeś zrobić?

- Nie wiem - odpowiedziałem. - Może po prostu uciec z nią.

- Raz spróbowałeś.

- Wiem. Ale nie miałem grosza i stchórzyłem. Za wiele myślałem o pieniądzach, a Dani przede wszystkim trzeba było miłości.

Spojrzałem na Elżbietę.

- Nora jej nigdy nie kochała. Nie naprawdę. Nora pochłonięta była swoją pracą, a Dani była miłym dodatkiem, o ile nie przeszkadzała. Kiedy Norze nie było wygodnie mieć przy sobie Dani, odsyłała ją do babki albo do mnie na statek. Wiesz, co było najśmieszniejsze? Dani uwielbiała matkę. Stale się do niej przymilała. Nora zaś z roztargnieniem głaskała ją po głowie i wracała do swoich zajęć. Patrzyłem jak dziecko podchodzi do mnie z rozżaloną buzią i robiłem, co mogłem, żeby nie zaczęło płakać.

W oczach Elżbiety pojawiły się łzy. Przysunęła się do mnie.

- Byłeś jej ojcem. Choćbyś stanął na głowie, nie mógłbyś być także i matką.

Nad naszymi głowami znów zaryczał megafon.

- Pasażerowie lotu 42 do Denver i San Francisco proszeni są o zgłoszenie się do wyjścia 42.

Roztarłem kark. Nagle ogarnęła mnie fala znużenia.

- No, na mnie czas.

- Tak, tatusiu.

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem. Po raz pierwszy tak do mnie powiedziała. Uśmiechnęła się.

- Musisz się znów zacząć przyzwyczajając.

- Nie będzie to takie trudne. Zeszliśmy z tarasu.

- Dasz mi znać z San Francisco, jak doleciałeś?

- Zamówię rozmowę z przywołaniem. Na własne nazwisko. Jeżeli nie będziesz mi miała nic do powiedzenia, oznajmisz, że nie ma mnie w domu. To będzie duża oszczędność.

- A cóżbym ci mogła chcieć powiedzieć? Położyłem rękę na jej brzuchu. Roześmiała się.

- Nie martw się. Nie urodzę dziecka, póki nie wrócisz.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Kiedy doszliśmy do wyjścia nr 42, było już tam niewiele osób, większość pasażerów wsiadła do samolotu. Ucałowałem Elżbietę i podałem kontrolerowi bilet.

Spojrzał, ostemplował, oderwał górną część i oddał mi.

- Szybko, panie Carey.

W Denver mimo namów stewardesy nie wysiadłem, by rozprostować nogi. Zamiast tego poprosiłem o filiżankę kawy. Była bardzo czarna i gorąca, czułem jak rozgrzewa mi żołądek, jak rozluźniają się jego mięśnie.

Sześć lat. To bardzo długo. W ciągu tych sześciu lat wiele musiało się wydarzyć. Dziecko urosło. Stało się panienką. Wysokie obcasy i bufiaste spódniczki. Błada pomadka do ust, niebieski cień wokół oczu, upięte zabawnie na czubku głowy włosy pewnie ją podwyższały. I być może wygląda na starszą niż jest, póki jej się człowiek bliżej nie przyjrzy.

Sześć lat to długa nieobecność. Dziecko mogło stać się kimś, kim stać się nie powinno. Podobnym do matki. Sześć lat i twoje dziecko wyrasta na morderczynię!

Usłyszałem, jak drzwi kabiny otwierają się, zapaliły się światła. Zgasilem papierosa i zapiąłem pasy. Wróciła stewardesa i zaczęła rozlokowywać resztę pasażerów.

Spojrzałem na zegarek. Była czwarta trzydzieści, według czasu Chicago. Cofnąłem zegarek o dwie godziny. Na Wybrzeżu Pacyfiku była druga trzydzieści.

Uśmiechnąłem się sam do siebie. Jakie to było łatwe. Wystarczyło cofnąć zegarek i jeszcze raz mogło się przeżyć dwie godziny, które przed chwilą upłynęły. Zastanawiałem się, czemu nikt nie wynalazł przyrządu, który pozwoliłby cofnąć czas o całe lata. Cofnąłbym go wówczas o lat sześć i Daniela nie znalazłaby się dziś w więzieniu. Nie, cofnąłbym go o blisko piętnaście lat, do chwili gdy przyszła na świat. Dobrze pamiętam te godziny w szpitalu. Mniej więcej o tej porze przywieziono Norę z sali porodowej do pokoju.

\* \* \*

- Niech pan długo nie siedzi - zapowiedział lekarz, gdy zamierzałem wejść. - Jest bardzo wyczerpana.

- Kiedy mogę zobaczyć dziecko?

- Za dziesięć minut. Niech pan zapuka do okna sali noworodków. Pielęgniarka je panu pokaże.

Wycofałem się na korytarz.

- Więc najpierw zobaczę małą. Nora będzie chciała wiedzieć, jak ona wygląda. Rozgniewa się, jeśli nie będę potrafił jej opowiedzieć.

Doktor spojrział na mnie z zakłopotaniem i wzruszył ramionami. Dopiero dużo później dowiedziałem się, że Nora na sali porodowej w ogóle nie chciała spojrzeć na dziecko.

Kiedy pielęgniarka podniosła roletę i pokazała mi małą, stało się ze mną coś dziwnego. Ta maleńka czerwona wykrzywiona buzia, błyszczące czarne włoski i paluszki zaciśnięte w piastki...

Poczułem ból narodzin, jakbym to ja sam przeżył szok, który w ciągu ostatnich paru godzin przeżywało to małe ciało. Spojrzałem na nią i nim jeszcze otworzyła oczka, a potem usta, wiedziałem, co zaraz zrobi. Byliśmy na tej samej długości fal, należeliśmy do siebie. I łzy napłynęły mi do oczu.

Potem pielęgniarka spuściła roletę i poczułem się strasznie sam. Tak jakbym stał na brzegu morza i ogarnęła mnie czarna noc. Zamrugalem i znów znalazłem się na szpitalnym korytarzu.

Zapukałem cicho do drzwi pokoju Nory. Otworzyła je pielęgniarka.

- Czy mogę ją zobaczyć? - szepnąłem. - Jestem jej mężem.

Z tą szczególną miną, pełną tolerancji, z jaką pielęgniarki odnoszą się do mężów, skinęła głową i cofnęła się.

- Tylko niech pan za długo nie zostaje. Podeszedłem do łóżka. Wydawało się, że Nora śpi, czarne włosy spływały na białą poduszkę. Była blada

i znużona, nie przypuszczałem, że może wyglądać tak krucho i bezradnie. Nachyliłem się i pocałowałem ją w czoło.

Nie otworzyła oczu, ale poruszyła wargami.

- W górę wiosła. Pielęgniarka uśmiechnęła się.

- To pentotal, panie Carey. Po pentotalu często mówią takie dziwne rzeczy.

Skinąłem głową i wziąłem Norę za rękę. Na jej twarzy pojawił się dziwaczny strach.

- Nie bij mnie, Janie. Zrobię, co zechcesz. Przysięgam. Tylko mnie nie bij.

- Noro - zawołałem szybko. - To ja, Łukasz. Objąłem ją ramieniem. Norę często męczyły koszmarnie sny. - Wszystko okay, Noro. Już wszystko dobrze.

- Śniło mi się, że ktoś łamie mi rękę. Tego bym nie zniosła. Wiesz o tym. Bez rąk byłabym niczym.

- To tylko zły sen, Noro - powtórzyłem - tylko sen. Podniosła rękę i spojrzała na nie. Długie, wąskie palce.

Potem podniosła na mnie wzrok.

- Jaka jestem niemądra. Nic im się nie stało. - Zamknęła oczy i znów zaczęła zapadać w sen.

- Noro - szepnąłem. - Nie chcesz wiedzieć, jak wygląda dziecko? To dziewczynka, cudowna dziewczynka. Wygląda tak jak ty.

Ale Nora nie drgnęła. Spała.

Spojrzałem na pielęgniarkę. Coś mi się tu nie zgadzało. W książkach wyglądało to zawsze inaczej.

Pielęgniarka musiała dostrzec moje zdziwienie, gdyż uśmiechnęła się współczująco.

- To te lekarstwa.

- Aha - odparłem. I wyszedłem na korytarz.

\* \* \*

Wyrzależ przez okno samolotu. Myślałem, że zobaczę morze świateł San Francisco. Nie, nie wystarczyłoby cofnąć czas o piętnaście lat. Trzeba by było o dwadzieścia. 1942 rok. Lato. Pokiereszowany P-38, który pilotuję, zniża się nad japoński lotniskowiec. I nagle odczuwam niepohamowaną chęć, by po zrzuceniu bomb runąć w dół i ponieść śmierć w chłodnym morzu.

Wtedy nie otrzymałbym Medalu Air Force ani Srebrnej Gwiazdy, ani Purpurowego Serca\*. Pewnie dostałbym krzyż, tak jak dawno temu Collin Kelly. I nie byłoby szpitala ani powitań bohatera. Bo już bym nie istniał i dziś też nie leciałbym do San Francisco. Nie spotkałbym Nory i Daniela nigdy by się nie narodziła.

Było to niemal dwadzieścia lat temu. I niewykluczone, że nawet to na nic by się nie zdało. Byłem wówczas młody i odporny. Poczulem się strasznie zmęczony i przymknąłem oczy.

*Boże, zlituj się i cofnij czas.*

**" Odznaczenie wojskowe, które amerykańscy lotnicy otrzymują za każdą odniesioną ranę.**

**Czesc II**

**O Norze**



## 1

Banalne to, ale prawdziwe. Z upływem czasu patrzy się na wszystko z innej perspektywy. Miotany emocjami nie widzisz rzeczywistości, jesteś jak liść nie tyle gnany wiatrem, co ścigany przez demony, które zamieszkały w twoim sercu. Czas stępia, nieraz nawet niweczy demony miłości i nienawiści, pozostawia za ledwie cień pamięci i możesz przez dziurkę od klucza zajrzeć w przeszłość i zobaczyć to, czego przedtem nie dostrzegałeś. Wyrząłem przez okno, kiedy samolot schodził do lądowania. Zobaczyłem światła miasta i sznurki pereł, którymi były mosty, i nagle uprzytomniłem sobie, że przestałem się bać powrotu. Strach i ból spoczywały na dnie przeszłości wraz z wszelkimi innymi demonami.

W tym momencie zrozumiałem, czemu Elżbieta tak nalegała, bym pojechał, i poczułem do niej wdzięczność. Wiedziała, że tylko w ten sposób potrafię się uwolnić od moich złych duchów i stanę się panem samego siebie, przestanę torturować się wspomnieniami, wyzbędę się poczucia winy. Reporterzy czekali z aparatami fotograficznymi, ale o tej wczesnej porze byli tak samo znużeni jak ja. I po paru minutach dali mi spokój. Przyrzekłem, że później udzielę im wywiadu.

Poszedłem do biura Hertza i wynająłem najtańszy samochód. Potem pojechałem do miasta do nocnego motelu, który ostatnio zbudowano na Van Ness, naprzeciwko baru „U Toma”. Pokoik był maleńki, lecz wygodny, urządzony - jak to bywa w motelach - wprost aseptycznie.

Podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do Elżbiety. Usłyszałem jak mówi telefonistce, że nie ma mnie w domu. Chciałem jej podziękować. Ale nim zdążyłem wykrztusić słowo, rozłączono nas.

Za oknem wstawał świt. Wyjrzałem. W szarej mgle spowijającej wzgórze dojrzałem na tle nieba wieżę Marka Hopkinsa. O parę bloków stamtąd była biała fasada i błękitny dach domu, w którym ongi mieszkalem, a w którym teraz śpi Nora. I przebywa w tym swoim dziwnym świecie snów.

\* \* \*

Gdzieś daleko zadzwonił telefon. Nora usłyszała go i zarazem nie usłyszała. Nie chciała słyszeć. Schowała twarz w poduszkę i zatkała rękoma uszy. Ale telefon nie przestawał dzwonić.

- Odbierz, Rick! - I obudziła się. Przecież Rick nie żyje.

Przewróciła się na wznak i ze złością spojrzała na telefon. Teraz dzwonek dobiegał z daleka. Nie ruszyła się.

Po chwili dzwonek umilkł, w domu zapanowała cisza. Usiadła i sięgnęła po papierosa. Od wczorajszego zastrzyku usypiającego dudniło jej jeszcze w głowie. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się. W domofonie rozległ się głos kamerdynera.

- Czy pani śpi?

- Nie - odparła, nie ruszając się z łóżka.

- Dzwoni pani matka.

- Niech Karol jej powie, że za chwilę zatelefonuję. I proszę mi przynieść kawę i aspirynę.
- Tak, proszę pani. - Domofon brzęknął, wyłączył się i znów brzęknął.
- Pani matka nalega, żeby pani podeszła do telefonu.
- Dobrze - powiedziała ze złością i sięgnęła po słuchawkę. - Niech Karol pospieszy się z aspiryną i z kawą. Strasznie mnie boli głowa.

Wzięła słuchawkę.

- Tak, mammo.
  - Noro, obudziłaś się?
  - Teraz już tak - odparła z urazą. Nie wiedziała jak to się matce udaje. Miała dobrze po siedemdziesiątce, a jej głos brzmiał młodo i tak jakby już dawno temu wstała.
  - Noro, jest pół do siódmej. Oczekujemy cię o siódmej. Pan Gordon już tu jest.
  - Łukasz też?
  - Nie. Ale przyjedzie o siódmej.
  - Skąd jesteś tego taka pewna? Dzwonił do ciebie?
  - Nie.
  - Może nie przyleciał?
  - Będzie tu. Powiedział, że będzie.
  - Zawsze mu wierzyłaś bardziej niż mnie, prawda? - W jej głosie znów zabrzmiała uraza.
  - Tak, ale to nie miało żadnego znaczenia. **Ty** jesteś moją córką.
  - I tylko to jest ważne, tak? - dorzuciła z goryczą Nora.
  - Tak. A jeśli się tego jeszcze nie nauczyłaś, to nie nauczysz się nigdy - zakonkludowała matka.
- Ktoś cicho zastukał do drzwi, wszedł Karol. Niósł małą srebrną tacę.
- Pan Gordon życzy sobie, żebyś włożyła skromny kostium i płaszcz. I nie maluj się, najwyżej usta jakąś jasną pomadką.
  - Pan Gordon myśli o wszystkim.

Karol postawił tacę na nocnym stoliku. Nalał kawy do filiżanki i podał jej wraz z talerzykiem, na którym leżały trzy tabletki aspiryny.

- Dziękuj Panu Bogu, że go mamy - powiedziała matka.

- Czy muszę przyjść? Bardzo się dziś źle czuję. Strasznie mnie boli głowa...

- Noro! - Matka zgorszyła się.

- Po co komu moja obecność? Nie czuję się na siłach znów odpowiadać na te wszystkie pytania. A tam przyjdą także reporterzy...

Głos matki stał się ostry i zimny.

- Dziś rano pojedziesz z twoją córką do Sądu dla Nieletnich. W tym cię nie mogę wyrećczyć. Musi tam być jej ojciec i ty, czy ci się to podoba czy nie.

Czuła, jak ból ściska jej skronie.

- Dobrze. Zaraz będę.

Odłożyła słuchawkę, wzięła do ust wszystkie trzy tabletki aspiryny i popiła je kawą.

- Jak się czuje panienka? - spytał Karol z zatroskaniem malującym się na okrągłej rumianej twarzy.

Spojrzała na kamerdynera ze zdziwieniem. Nie zapytała o to matki. Nie przyszło jej to na myśl. Gdyby Danieli coś było, matka sama by jej to powiedziała.

- Dobrze - odparła automatycznie. Karol czekał na dalsze informacje.

- Matka powiedziała, że Daniela jeszcze śpi - dorzuciła kłamiąc. I rozzłościła się na samą siebie. Nie musiała się tłumaczyć przed kamerdynerem. Ostatecznie był tylko służącym. Od dawna, to prawda, ale tylko służącym.

- Niech Karol powie Wioletcie, żeby przygotowała mi kąpiel.

- Tak jest, proszę pani.

Zamknęły się za nim drzwi, wypiła kawę. Wyszła z łóżka i nalała sobie następną filiżankę.

Odwracając się

zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Z filiżanką w ręku podeszła, by się sobie bacznie przyjrzeć. Nie, nie wyglądała na swoje trzydzieści osiem lat. Była wciąż szczupła, trzymała się prosto. Na biodrach nie osiadł tłuszcz, niewielkie piersi wciąż były okrągłe i jędrne.

Przyglądała się sobie popijając kawę. Jak ładnie jej ciało prześwieca przez cieniutki jedwab nocnej koszuli. Nachyliła się, by obejrzeć twarz. Oczy były lekko podkrążone, ale poza tym ani śladu wczorajszych przejść. Oczy nie nabiegły krwią, twarz nie spuchła.

Poczuła się lepiej. Każdemu z tych, którzy ją dziś zobaczą, będzie trudno uwierzyć, że Daniela jest jej córką.

Usłyszała szum wody spływającej do wanny w sąsiadującej z sypialnią łazience. Szybko dopiła kawę, postawiła filiżankę na toalecie i wybiegła do łazienki.

Służąca Murzynka nachylała się nad ogromną marmurową wanną wpuszczoną w posadzkę.

- Dzień dobry pani. Nora uśmiechnęła się.

- Dzień dobry, Wioletto.

- Czy wyspała się pani i odpoczęła?

- Doktor Bonner zrobił mi zastrzyk i od razu zasnąłam jak kamień.

- Ja to mało spałam. Ci policjanci pół nocy mnie przesłuchiwali.

Nora spojrzała na nią z zaciekawieniem.

- No i co im powiedziałaś?

- Co ja tam mogłam powiedzieć? - odparła Wioletta wyprostowując się. - To, co widziałam, jak weszłam do pani pracowni. - Sięgnęła po flakon z solą do kąpieli i zaczęła wsypywać ją do wanny. - Pani nachylała się nad panem Riccio, a panienka Daniela kuliała się pod ścianą.

- Nie chcę o tym mówić - oświadczyła chłodno Nora.

- Tak, proszę pani. Ja też nie. Nie chcę o tym nawet myśleć. - Zakręciła flakon i odstawiła na półeczkę. Para nad wanną przesycała się zapachem piżma. - Za dwie minuty wanna będzie pełna. Może zrobię pani masaż, to się pani odpręży.

Nora w milczeniu skinęła głową i zdjęła koszulę. Wioletta chwyciła ją w locie i starannie powiesiła na krześle, a Nora wyciągnęła się na wąskiej leżance.

Oparła brodę o złożone ręce. Miło było się wyciągnąć. I czuć każdy mięsień. Oddychała głęboko i zamknęła oczy. Po kąpieli nacisnęła guzik domofonu.

- Karol?

- Tak, proszę pani.

- Proszę wyprowadzić auto z garażu. Chciałabym, żeby Karol mnie zawiózł. Nie czuję się na siłach prowadzić.

- Oczywiście, proszę pani.

Wstała. Przed wyjściem z łazienki przejrzała się w wysokim lustrze. Harris Gordon wiedział, co mówi. *Musi* zrobić odpowiednie wrażenie.

Czarny kostium będzie bardzo stosowny. Wyszczupła ją i odmładza. A przez ramię przewiesi skromny płaszczyk. Tak, wygląda pociągająco, młodo i niewinnie. Wzięła rękawiczki oraz torebkę i wyszła. Szpilki stuknęły o marmurowe stopnie, gdy schodziła do holu. Wyjrzała przez okno.

Karol jeszcze nie podjechał autem.

Jakiś niezrozumiały impuls pchnął ją korytarzykiem w stronę pracowni. Zdziwiona przystanęła. Przed drzwiami siedział młody policjant.

Wstał, dotykając czapki.

- Dzień dobry pani.

- Dzień dobry. Jestem panią Hayden.

- Wiem, proszę pani. Byłem tu wczoraj wieczorem. Z udanym zdziwieniem podniosła brwi. - Siedział tu pan całą noc? - spytała.

- Tak, proszę pani.

- Nie jadł pan śniadania? Musi pan być głodny.

- Nie, nie, proszę pani. - Policjant zarumienił się z zakłopotania. - Pani służba była tak uprzejma i przyniosła mi kawę.

- Czy mogę wejść?

Patrzył na nią, nie bardzo wiedząc, co robić.

- Sądzę, że mam do tego prawo - oznajmiła przybierając ton, jakim zwracała się do służby, kiedy była z niej niezadowolona. - To przecież moja pracownia.

- Wiem, proszę pani. Ale pan sierżant kazał mi pilnować, żeby wszystko pozostało w nie zmienionym stanie.

- Może pan ze mną wejść i patrzeć mi na ręce - zauważyła chłodnym tonem.

Chwilę się wahał.

- Chyba tak.

Stała czekając. Spojrzał na nią pytająco, wreszcie zrozumiał i zaczerwienił się. Otworzył przed nią drzwi.

- Dziękuję - odpowiedziała, gdy odsuwał się, by ją przepuścić.

Zatrzymała się w drzwiach i rozejrzała. Miejsce, gdzie leżało ciało Ricka obrysowane było kredą, wokoło plamy krwi. Czując na sobie wzrok policjanta, podniosła wysoko głowę, obeszła dokoła ślady kredy i zbliżyła się do okna.

Spawarka elektryczna wciąż leżała na ławie, gdzie odłożyła ją, gdy do pracowni wszedł Rick. Na podłodze stało pudło z cienkimi stalowymi wstęgami, tuż przy niewielkim postumencie, na którym zaczął rysować się kształt jej nowej rzeźby.

Był to dopiero szkielec, ale przymocowane już do niego stalowe pasma pozwalały dojrzeć koncepcję. Przymknęła na chwilę oczy. Tak, wizja nie zatarła się. Odczuła dziwną radość. Ta ostatnia noc nie zabiła w niej talentu.

Świadomość własnej wartości ciepło pulsowała w jej krwi. Jest inna niż zwykli ludzie. Jest kim wyjątkowym. Nikt nie widzi tego, co ona.

Otworzyła oczy i spojrzała na policjanta, uśmiechając się z satysfakcją.

- To piękne - powiedziała. I szybko odwróciła się i wyszła.

\* \* \*

Plotłem coś Dani na ucho, a ona chętnie odgrywała rolę zabawianego przez tatusia dziecka; nagle coś nakazało nam spojrzeć na drzwi.

Nim ktoś zdążył się ruszyć, Dani zerwała się, a kiedy podbiegła do Nory nie była już małą dziewczynką. Zmiana nastąpiła szybko i zaskakująco. Stała się młodą kobietą.

Rozejrzałem się wokół stołu, by sprawdzić, czy wszyscy to zauważyli. Trudno było powiedzieć.

Harris Gordon lekko się uśmiechnął, jakby pomyślał, że w sądzie zrobiłoby to najlepsze wrażenie.

Moja była teściowa patrzyła na mnie z zastanowieniem. Dopiero potem odwróciła się w stronę drzwi.

Nora obejmowała Dani.

- Moje maleństwo - powiedziała nadstawiając policzek. - Moje biedne maleństwo.

- Jak ty się masz, mamusiu? - spytała niespokojnie Dani.

- Dobrze, kochanie. A ty?

- Okay, mamusiu. Tylko się boję. Śniły mi się dzisiaj straszne rzeczy.

Nora pogłaskała ją po głowie. - No, no, nic się nie bój. Mamusia nie dopuści, żeby ci się coś miało stać. Za parę dni będzie po wszystkim. Wrócisz do domu i zapomnisz.

- Wiem, mamusiu. A czy ty wiesz dlaczego?



Nora zaprzeczyła ruchem głowy.

Dani podeszła do mnie i wzięła mnie za rękę.

- Bo przyjechał tatuś - oświadczyła z dumnym uśmiechem. - Przyjechał aż z Chicago, żeby mi pomóc.

Nora spojrzała na nas. Mogłem wyczytać z wyrazu jej oczu, że ona wie, iż te sześć lat, kiedy Dani i ja byliśmy rozdzieleni, przestało istnieć. Dani ufnie ścisnęła mnie za rękę i wiedziałem, że nic się między nami nie zmieniło. Byliśmy sobie tak bliscy, że ilekroć byliśmy razem, Nora czuła się usunięta poza nawias.

- Schudłeś, Łukaszu. - Podeszła do mnie wyciągając rękę, czułem jej niechęć. - Dziękuję, że przyjechałeś.

- Nic nie byłoby w stanie mnie powstrzymać - oświadczyłem spokojnie i uściśnięłem jej rękę, możliwie krótko i nieosobiście. Nie tak jak dawniej.

Szybko cofnęła rękę i dotknęła czoła gestem, który dobrze pamiętałem. Nazwałem go kiedyś oznaką nadchodzącej migreny. Potwierdził to wyraz jej oczu.

- Nagle poczułam się stara - zauważyła. - Ty wyglądasz śmiesznie młodo.

- Nigdy nie będziesz wyglądać staro - powiedziałem grzecznie.

Ale ona wiedziała lepiej. I wiedziała, że ja też wiem. Cień w oczach pogłębił się, zmarszczyła czoło. Nagle zwróciła się do matki.

- Mamo, czy masz aspirynę? Mam kaca po tych uspokajających środkach.

Matka wskazała jej ruchem ręki kredens.

- W szufladzie, Noro.

Patrzyłem jak podchodzi do kredensu i wysypuje z buteleczki tabletki. Jedną odłożyła z powrotem, domyśliłem się więc, że przed wyjściem z domu musiała już zażyć trzy. Spojrzała na mnie połykając aspirynę i znów zrozumieliśmy się bez słów.

Nagle zrobiło mi się jej żal. Nie pytajcie mnie dlaczego, po prostu tak było. Głupio jest czasem aż tak dobrze

kogoś znać. Wiedziałem, że boi się i czuje się samotna. Bo przyszedł dzień jutrzejszy. Ten dzień jutrzejszy z jej koszmarów sennych. A zawsze zapewniała samą siebie, że ten dzień nie nadejdzie. Ja zaś w tym dniu pozostałem sobą. Takim jakim byłem, nim odebrała mi rozum.

## 2

We wrześniu 1943 roku wojna we Włoszech dobiegła końca. MacArthur rozpoczął długi marsz powrotny w stronę Filipin, a ja znalazłem się w San Francisco kończąc objazd fabryk zbrojeniowych. Władze wojskowe uznały, że w ten sposób najlepiej wykorzystam moją rekonwalescencję przed powrotem na front.

Nora miała tego dnia pierwszą wystawę od dwudziestu jeden miesięcy, od początku wojny. W niewielkiej pracowni, na tyłach domu matki, która przedtem była cieplarnią, panował tłok. Rozejrzała się z zadowoleniem.

Nawet pisma codzienne przysłały swoich krytyków, a ci robili wrażenie zainteresowanych. Poczują dumę. Ta chwila wynagrodziła ją za bezsenne noce, spędzane w pracowni po dniach w fabryce samolotów.

Wojna. Zachowała się idiotycznie. Ale tak jak wszyscy dała się złapać w pułapkę. Ta patriotyczna histeria. Gazety się o niej rozpisywały: Nora Hayden - należąca do jednej z najlepszych rodzin Chicago, zapowiadająca się na wielką rzeźbiarkę Ameryki zdecydowała się na czas wojny zrezygnować ze swej kariery.

Kiedy czytała to, czuła się kretynką. Ale na początku 1942 roku nie przypuszczała, że wojna będzie tak długo trwać. Teraz miała już tego wszystkiego dosyć. Przez sześć dni w tygodniu musiała wstawać o pół do siódmej rano, jechać piętnaście mil do fabryki i tam wykonywać w kółko te same automatyczne ruchy.

Zatrzymać taśmę. Zlutować drucik nr 1 z drucikiem nr 2. Wprawić w ruch taśmę, by sąsiadka mogła zlutować drucik nr 2 z drucikiem nr 3. Zatrzymać taśmę i znów zlutować dwa druciki. Nora miała już naprawdę dość odgrywania roli przodownicy pracy.

Praca była stanowczo zbyt zmechanizowana. Nawet przerwa na lunch była zorganizowana. Nie dość, że musiała zjadać ohydne kanapki popijając mętłą kawą bez cukru, ale jeszcze należało wysłuchiwać przemówień nawołujących do zwiększania produkcji.

Dziś w południe miał się odbyć wiec z udziałem wojennego bohatera. Nie wyszła. Wspięła się piętro wyżej i usiadła na ławce pod oknem. Zapaliła papierosa i przeciągnęła się. Zamknęła oczy.

Błogosławiona chwila ciszy. Potrzebny jej był choćby krótki relaks. Położyła się o czwartej rano, kończyła bowiem przygotowania do wystawy.

Za oknem ryknął zebrany tłum. Usiadła i wyjrzała. Zielonkawy wojskowy Chevrolet zatrzymał się obok podium, nad którym powiewała biało-niebieska fabryczna flaga.

Tłum znów zaczął wiwatować, gdy z auta wysiadł mężczyzna w mundurze i wszedł na podium. Tym mężczyzną byłem, oczywiście, ja.

Nie wiedziałem, co robić, owacje żenująco się przedłużały. Bezzadnie spojrzałem w górę.

W oknie tuż nad wejściem do budynku stała dziewczyna. Mój wzrok prześliznął się po niej, ale po chwili - był to przypadek czy przeznaczenie - utkwilem w niej oczy.

i na ułamek sekundy nasze spojrzenia się spotkały.

Nora gniewnie odwróciła się od okna. Tego już za wiele. Nie, to nie jest jej miejsce; w ogóle nie powinna była zaczynać pracować w tej fabryce. Chwilę się wahała, po czym zeszła na dół do biura kadr. Musi stąd odejść, najlepiej odejść dziś, w dniu pierwszej wystawy.

\* \* \*

Teraz wszystko się zmieniło. Znów czuła, że żyje i że coś się wokół niej dzieje. Usłyszała strzęp rozmowy. Sam Corwin, krytyk sztuki z „Examinera” rozmawiał z nieznanym jej mężczyzną.  
- Assemblage to sztuka przyszłości - mówił. - Z każdym dniem tej wojny odkrywamy, że prawdziwa sztuka jest rezultatem przypadku. Wojna niszczy celowość poczynań ludzkich, a kiedy się to wszystko skończy, świat będzie wynikiem przypadku. Zatem assemblage będzie jedyną formą sztuki, dającą wyraz dążeniom Natury do nadania rzeczywistości jakiegoś znaczenia.

Gwałtownie wtrąciła się do rozmowy. Zawsze, w każdej dyskusji przeciwstawiała się Samowi. Kiedyś była pod wrażeniem jego erudycji. Nie miała jeszcze wówczas siedemnastu lat, właśnie zdała egzamin z historii sztuki i wieczorem przysła do niego, by posłuchać słów mądrości. Różnica zdań doprowadziła ich do łóżka. Jeszcze widzi jego przerażoną minę, kiedy potem dowiedział się od niej, że jest niepełnoletnia.

Teraz odwróciła się i spojrzała Samowi prosto w twarz.

- Nie zgadzam się z tobą, Samie. Sztuce niezbędna jest celowość. Inaczej wyraża jedynie pustkę artysty. Zwłaszcza w rzeźbie. Rzeźba musi coś wyrażać, nawet gdyby to widział tylko jej twórca. Uśmiechnęła się do nieznanajomego i wyciągnęła do niego rękę.

- Nora Hayden. Sam zawsze potrafi mnie sprowokować.

Niski mężczyzna w średnim wieku uściśnął jej dłoń.

- Myślę, że Sam robi to świadomie. Cieszę się, że mam okazję panią poznać. Nazywam się Warren Bell.

Ze zdziwieniem podniosła oczy. Warren Bell był jednym z czołowych historyków sztuki.

- Panie profesorze, to dla mnie wielki honor - groźnie spojrzała na Sama. - Jak mogłeś mnie nie uprzedzić, że profesor Bell zechce zaszczyścić nas swoją obecnością.

- Niech pani go nie beszta, panno Hayden. To przypadek. Jadłem dziś lunch z Samem i zaproponowałam, że zabierze mnie na pani wystawę. Wiele już o pani słyszałem, chętnie więc skorzystałem z jego propozycji.

- Profesor Bell przygotowuje wielką wystawę współczesnej rzeźby amerykańskiej - wtrącił Sam. - Powiedziałem mu, że na takiej wystawie nie może brakować twoich rzeźb. Więc, jak widzisz, nie jestem twoim wrogiem.

Podniosła ręce poddając się.

- Samie, assemblage jest sztuką przyszłości. Roześmieli się.

- Poproszę Arlenę Gately, żeby pana oprowadziła - zaproponowała profesorowi Bellowi. Arlena Gately, właścicielka niewielkiej galerii w mieście, reprezentowała jej interesy.

- Nie, nie. Wolę oglądać sam.

- Jak pan sobie życzy. - Uśmiechnęła się. - Jeśli chciałby pan mnie o coś spytać, odpowiem na każde pytanie.

Profesor lekko się skłonił i odszedł. Nora znów napadła na Sama.

- Ach, ty potworze - szepnęła. - Mogłeś mi dać cynk!

- Próbowałem. Ale stale byłaś kimś zajęta. - Wyjął z kieszeni fajkę i wsadził do ust. - **A propos**, czy to

prawda, że w przyszłym miesiącu masz mieć wystawę w Nowym Jorku, w Clay Clubie? Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Skąd się dowiedziałeś?

- Arlena. A któż by inny?

- Arlena za dużo gada. To jeszcze nic pewnego. - Spojrzała na profesora Bella. - Czy naprawdę przypuszczasz, że on wybierze którąś z moich rzeźb?

- Kto wie? Będziemy trzymać kciuki. Najwyższy czas, żeby San Francisco dało krajowi jakiegoś prawdziwego rzeźbiarza oprócz Bufano.

- Uważasz mnie za prawdziwą rzeźbiarkę? - spytała nagle poważnym tonem.

- Najprawdziwszą na świecie - odpowiedział równie poważnie. - I mam wrażenie, że Bell się ze mną zgadza. Odetchnęła z ulgą.

Znów na nią spojrzał i uśmiechnął się.

- Nareszcie nie będę musiał wysłuchiwać, że jedyną prawdziwą inspiracją artysty jest marksizm. W twoim wypadku to nie grozi.

Roześmiała się.

- Biedny Sam. Widzę, że masz kłopoty.

- Skąd wiesz? - spytał z wyrzutem w głosie. - Jakoś cię ostatnio nie widuję.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- To nie dlatego, żebym cię mniej kochała. Ale spełniałam mój wojenny obowiązek. Cały dzień fabryka, potem nie wychylałam nosa z pracowni, na nic już nie miałam czasu.

- Jesteś strasznie spięta. Przydałby ci się maleńki relaks. Wiesz, że to moja specjalność.

Spojrzała na niego z zastanowieniem. Żadne z nich nie było naiwne. Coś za coś. Taki już był ten świat, w którym oboje żyli.

- To było bardzo dawno temu, Samie - zauważyła.

- Zbyt dawno.

- Czy pan doktor znajdzie dla mnie dziś wieczorem trochę czasu?
- Myślę, że tak. O ósmej, u mnie, zgoda?
- Przyjdę punktualnie.

Patrzyła jak podchodzi do profesora Bella. Próbowwała usłyszeć, o czym rozmawiają, ale poczuła, że ktoś kładzie jej na ramieniu rękę.

- Jak tam, kochanie?
- Cudownie, mammo.
- No, to świetnie. - Cecylia Hayden uśmiechnęła się. Nie często się uśmiechała i uśmiech rozświetlił jej przenikliwie patrzące błękitne oczy.
- Chciałabym cię o coś poprosić.
- O co, mammo?
- Przyjechał syn przyjaciela twego ojca. Zaprosiłam go na drinka, bo zupełnie zapomniałam o twojej wystawie i chcę go zatrzymać na kolacji.
- Ależ, mammo - westchnęła Nora. - To nie jest odpowiedni moment. Mam tyle spraw na głowie.
- Proszę cię, kochanie.

Nora spojrzała na matkę. Wiedziała, że żaden argument nie pomoże. Cecylia Hayden wyglądała krucho, ale odznaczała się żelazną wolą.

- To wyjątkowo miły młody człowiek - ciągnęła matka. - Bohater wojenny. I za trzy dni wraca na front. Jestem pewna, że ci się spodoba. Kazałam Karolowi, żeby go tu przyprowadził.

Nora skinęła głową i odwróciła się. Podszedł do niej rozpromieniony Sam.

- Wybrał twójego *Umierającego*.
- Zrób coś, żeby zmienił zdanie. Ja w ogóle zastanawiałam się, czy go pokazać. I nie pokazałabym, gdyby nie to, że ta rzeźba jest duża i pasowała do tego kąta. Teraz już zupełnie inaczej rzeźbię.
- Nic nie szkodzi. On wie, co wybiera.
- Proszę cię, Samie, przekonaj go.

- Nawet nie będę próbował. Powiedział mi, że po raz pierwszy widzi, żeby rzeźbiarzowi udało się uchwycić moment śmierci.
- Naprawdę tak powiedział? Sam skinął głową.
- „Dobrze przynajmniej, że ta rzeźba jest duża” - pomyślała na pociechę. Na zbiorowej wystawie należy pokazać dużą rzeźbę, mała może przejść niezauważona.
- Kiedy jej matka podprowadziła mnie do niej, na jej twarzy malował się namysł. Pani Hayden dotknęła jej ramienia i Nora odwróciła się. Podniosła twarz i oto stała przede mną dziewczyna, którą zobaczyłem w oknie fabryki.
- Oczy rozszerzyły jej się ze zdziwienia, ona także mnie rozpoznała.
- Pozwól, Noro, że przedstawię ci majora Łukasza Careya. Panie majorze, oto moja córka, Nora.

### 3

Wojna jest oselką wyostrzającą nasze apetyty.

Spojrzałem na Norę i zrozumiałem, że już po mnie.

Dziewczyny dzielą się na damy i na dziwki, ale każdy mężczyzna spotyka raz w życiu dziewczynę, która jest i damą, i dziwką. Pojąłem to dotknąwszy jej ręki.

Miała niemal fiołkowe oczy ocienione długimi czarnymi rzęsami, gęste czarne włosy szczesane były z czoła i upięte. Przezroczysta mleczna cera, wystające kości policzkowe, szczupła, niemal chłopięca sylwetka, niby nic, ale to właśnie było to.

Oszalałem.



Jej matka odeszła, a ja wciąż jeszcze przytrzymałem jej rękę. Miała niski głos i lekko afektowany akcent, którego uczą się dziewczęta w ekskluzywnych szkołach na Wschodnim Wybrzeżu.

- Na co pan tak patrzy, panie majorze?

Szybko puściłem jej dłoń. Czułem się tak, jakbym stracił poczucie rzeczywistości, jakbym walił głową w mur tylko dlatego, że miło będzie przestać.

- Przepraszam panią. Nie powinienem się tak na panią gapić.

- Skąd się pan dowiedział, gdzie mnie szukać?

- Znikąd. Szczęśliwy zbieg okoliczności.

- Zawsze ma pan szczęście? Pokręciłem przecząco głową.

- O nie.

Przyjrzała się baretkom orderów na mojej piersi. Wystarczyłoby na przybranie niewielkiej choinki.

- Ale przynajmniej nie zginął pan. Skinąłem głową.

- Czyli nie mam się na co skarżyć. Tak, chwilowo mi się udało.

- Nie wierzy pan, że wyjdzie pan z tego cało? Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Ta dziewczyna nie marnowała czasu. Od razu przypuściła atak.

- Dwukrotnie miałem szczęście - odpowiedziałem. - Nie wierzę w „do trzech razy sztuka”.

- Boi się pan śmierci?

- Cały czas.

Znów spojrzała na moje baretki.

- Jestem pewna, że gdyby im pan to powiedział, nie wysłaliby pana z powrotem na front.

- Chyba nie. Ale tego nie zrobię.

- Dlaczego?

- Myślę, że jeszcze bardziej boję się stchórzyć.

- To nie może być jedyny powód. Poczuję się nieswojo. Czemu ona tak nalega?

- Pewnie nie. Ze śmiercią jest jak z kobietą. Człowiek ugania się za nią, by dowiedzieć się, jaka właściwie jest.

- Pan myśli tylko o jednym? - spytała. - O śmierci?

- Przez ostatnie dwa lata nie miałem czasu myśleć o niczym innym. - Spojrzałem na posąg, który zauważyłem wchodząc. Na tego *Umierającego*. - Przeżywam to co on. W każdej sekundzie. Przez chwilę wpatrywała się w swoją rzeźbę, potem znów wzięła mnie za rękę. Drżała.

- Nie chciałem pani przerazić.

- Niech pan nie przeprasza - odpowiedziała szybko. Oczy ściemniały jej, stały się fioletowe jak winogrona w winnicach wokół Sacramento. - Wiem jak najdokładniej, co pan czuje.

- Co gorsza, wierzę pani - uśmiechnąłem się i spojrzałem w bok. Musiałem. - Wie pani, kiedy usłyszałem o tym wernisażu, wyobrażałem sobie, że to jeszcze jedna panienka z towarzystwa bawi się w artystkę. - Poczulem, że teraz mogę już znów na nią spojrzeć.

- A pani jest całkiem niezła.

- O nie, Łukaszu, ona jest świetna - usłyszałem z tyłu znajomy głos. Odwróciłem się. Ostatni raz słyszałem go trzy lata temu.

- Pan profesor!

Wyraźnie cieszył się ściskając mi dłoń.

- Łukasz był moim studentem - wyjaśnił Norze.

- Zrobił magisterium z architektury.

- Z budownictwa. - Uśmiechnąłem się, przypominając sobie dawne dyskusje. - Architektura służy gołębiom, które przysiadają na dachach. A budownictwo jest dla ludzi.

- Ten sam Łukasz. - Zajrzał mi w twarz i zobaczyłem w jego oczach coś na kształt przerażenia. Widziałem już ten wyraz na twarzach kilku dawnych przyjaciół. Białe blizny na spalonej na brąz twarzy; nie, nie przypominałem rumianego chłopca, który parę lat temu wyruszył na wojnę.

- Nie ten sam, panie profesorze - powiedziałem chcąc mu ułatwić wybrnięcie z sytuacji. - Wojna już długo trwa...

Przez chwilę rozmawialiśmy i cały czas czułem ciepło jej ręki.

Kolację podano w wielkiej jadalni, z oknami wychodzącymi na zbocze wzgórza, pod którym była zatoka. Goście wyszli. Zostaliśmy we trójkę - Nora, jej matka i ja. Spoglądałem na prezydialne miejsce przy stole, gdzie zasiadła pani Hayden. Wyglądała tam wspaniale. Tak bardzo pasowała do swego otoczenia. Kosztowne dębowe boazerie, duży okrągły stół, płonące w srebrnych kandelabrach świece. Siedziała wyprostowana i wysoka, przywodziła na myśl ostrze stali.

Była silną kobietą, pewną swojej siły, zatem opanowaną i spokojną. Widziało się, że jest mądra, nie musiała się swą mądrością popisywać. Ojciec opowiadał mi, że w swoim czasie młoda wdowa, dziedziczka dwóch fortun, niejednego zaskoczyła swoją umiejętnością prowadzenia interesów.

- Mój mąż często wspominał pańskiego ojca. Byli bardzo zaprzyjaźnieni. Nie rozumiem, jak się to mogło stać, że dopiero dziś pana poznaję.

Przytaknąłem ruchem głowy. Ja rozumiałem, dlaczego się tak stało. Ojciec w zeszłym roku przeszedł na emeryturę, a przedtem był naczelnikiem poczty w mieście w południowej Kalifornii. Nie pasował do świata Geralda Haydena. Łączyły ich tylko wspomnienia z pierwszej wojny światowej, kiedy obaj służyli w tym samym plutonie.

- Czy wie pan, że pański ojciec ocalił życie mojemu mężowi?

- Ja słyszałem, że było na odwrót.

Pani Hayden wzięła do ręki srebrny dzwonek stojący przed nią na stole. Zadzwoiła.

- Napijemy się kawy na tarasie, dobrze? Spojrzałem na Norę. Ona spojrzała na zegarek.

- Wypiją państwo beze mnie. Muszę być o ósmej w mieście.

Cień przemknął przez twarz pani Hayden.

- Musisz, kochanie? Nora nie patrzyła na matkę.

- Obiecałam Samowi Corwinowi, że omówię z nim jego plany dotyczące wystawy współczesnej rzeźby.

Pani Hayden popatrzyła na Norę, potem na mnie. Ton, którym odezwała się, był łagodny, ale czuło się, że starannie dobiera słów. Nie wiedziałem, czy dzieje się tak ze względu na moją obecność.

- Przecież już od dawna nie widzisz się z panem Corwinem. Czy to konieczne?

- Tak, mam. Przecież to Sam przyprowadził na moją wystawę profesora Bella.

Szybko zabrałem głos.

- Ja też bardzo przepraszam, pani Hayden, ale o ósmej trzydzieści muszę być w Presidio. Może mógłbym odwiedzić pani córkę?

- Nie chciałabym sprawiać panu kłopotu - zaprotestowała Nora.

- Żaden kłopot. Mam służbowy wojskowy wóz, nie muszę się więc martwić o benzynę.

- No to świetnie. Tylko się przebiorę. Patrzyliśmy jak odchodzi, potem zwróciłem się do pani Hayden.

- Ma pani niezwykle utalentowaną córkę. Musi być z niej pani bardzo dumna.

- Jestem - odpowiedziała. Potem w jej oczach pojawił się dziwny wyraz. - Ale muszę wyznać, że często jej nie rozumiem. Czasem mnie wręcz zaskakuje. Jest zupełnie inna niż dziewczęta za moich czasów. Co prawda jest jedynaczką, a w dodatku kiedy się urodziła, nie byłam już najmłodsza.

- To wojna. Wszyscyśmy się zmienili.

- Nonsens. Stale to słyszę, ale to bzdury. Wasze

pokolenie nie jest jedynym, któremu przyszło zakosztować wojny. Moje także poznało wojnę. I poznali ją także młodzi ludzie z pokolenia moich rodziców. Mógłbym się z nią o to spierać, ale dałem spokój.

- Pani córka jest artystką. Profesor Bell często powtarzał, że artystę trudno jest czasem zrozumieć i niełatwo z nim współżyć.

W oczach jej pojawiło się rozbawienie.

- Bardzo pan jest miły. Mam nadzieję, że wkrótce znów nas pan odwiedzi. Pana obecność będzie zawsze mile widziana.

- Niestety wracam za ocean. Odłóżmy to na po wojnie.

Zajrzała mi w oczy.

- Wtedy może już być za późno.

Na mojej twarzy musiało się odmalować zdumienie, co ją wyraźnie rozbawiło. Sięgnąłem po papierosa. - Słyszałam, majorze Carey, że przed wojną zapowiadał się pan na świetnego architekta.

- Widzę, że jest pani dobrze poinformowana.

- Staram się być. Jakże inaczej poradziłaby sobie bezradna wdowa?

Chciałem zaprotestować. Bezradna wdowa! Zobaczyłem jednak, że się uśmiecha, i zrozumiałem, iż sobie ze mnie żartuje.

- Czego jeszcze się pani o mnie dowiedziała?

- Tuż przed wybuchem wojny starał się pan o posadę w firmie Hayden i Carruthers. Zrobił pan jak najlepsze wrażenie.

- Ale jeszcze lepsze w armii!

- Wiem, majorze Carey. I wiem, jak się pan odznaczył...

Podniosłem rękę.

- Błagam, dajmy temu spokój. O co pani właściwie chodzi?

Spojrzała mi znów w oczy.

- Czuję do pana sympatię. Jeśli wszystko ułoży się po mojej myśli, może pan zostać wiceprezesem firmy. Zrobiłem głupi wyraz twarzy. Taka posada dla faceta, który po dyplomie nigdzie jeszcze nie pracował? Hayden i Carruthers była to największa spółka architektoniczna na całym Zachodnim Wybrzeżu.

- Jak to, pani Hayden?

- Większość udziałów tej spółki należy do mnie.

- A co by się musiało „ułożyć”, żebyśmy otrzymali tę posadę?

Spojrzała na drzwi, potem znów na mnie.

- Sądzę, że potrafi się pan domyślić. W tym momencie wróciła Nora.

- Mam nadzieję, że się zbytnio nie guzdrałam.

- Ależ nie.

- Odbyłam z majorem bardzo interesującą pogawędkę. Nora obrzuciła matkę niezrozumiałym dla mnie spojrzeniem. Zwróciłem się do starszej pani.

- Serdeczne dzięki za miłe przyjęcie - oświadczyłem ceremonialnie.

- Bardzo jestem rada z poznania pana. Mam nadzieję, że nie zapomni pan o naszej rozmowie.

- Oczywiście, proszę pani. I jeszcze raz dziękuję.

- Do widzenia, panie majorze.

- Dobranoc, mamó - wtrąciła Nora.

Byliśmy już przy drzwiach, gdy usłyszeliśmy głos matki.

- Kochanie, tylko nie wracaj zbyt późno.

Kiedy Nora wsiadła do auta, poczułem zapach jej perfum. Takie perfumy na spotkanie w interesach?

- Dokąd panią odwieźć?

- Na ulicę Lombard. Mam nadzieję, że nie musi pan nadkładać drogi? - Nie, nie.

Przysunęła się bliżej i położyła mi na ramieniu rękę.

- Czy mama rozmawiała z panem o mnie?

- Nie. - Nie było to kłamstwo, ale nie była to także prawda. - Dlaczego pani pyta?

- Tak sobie.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu.

- Pan nie musi być w Presidio o ósmej trzydzieści?

- Nie - odpowiedziałem. - A pani? Nie mogłaby pani odwołać tego spotkania?

Pokręciła przecząco głową.

- Nie w ostatniej chwili - zawahała się. - Nie, to by nie było w porządku. Prawda?

Zatrzymałem auto na światłach.

- Co pan zrobi z tym mile rozpoczętym wieczorem?

- Nie wiem. Chyba pojedę do chińskiej dzielnicy i poderwę jakąś dziewczynę.

- To by była ucieczka. Światło zmieniło się i ruszyłem.

- Tak jest. Ale to chyba najlepszy sposób. Jej palce zacisnęły się na moim ramieniu.

- Takie to straszne?

- Czasem.

Czułem przez kurtkę jej paznokcie.

- Chciałabym być mężczyzną.

- Chwała Bogu, nie jest pani. Spojrzała na mnie.

- Może umówimy się na potem?

Czułem przez rękaw twarde piersi. Wiedziałem, że się nie omyliłem. Była taka, jak myślałem, i wystarczyłoby wyciągnąć rękę. Ale coś mnie powstrzymywało.

- Nie, chyba nie. - Dlaczego?

- Nie ma specjalnego powodu - byłem na siebie wściekły. - A jeśli jest, to też nie ma żadnego znaczenia. - Dla mnie ma. Proszę mi powiedzieć.

- Znam co najmniej tuzin miejsc w San Francisco, gdzie mógłbym znaleźć dziewczynę, która przed chwilą z kimś spała.

Puściła moje ramię i odsunęła się. Miała łzy w oczach.

- Przepraszam - powiedziałem. - Za długo mnie nie było. Zapomniałem, że takich rzeczy się nie mówi.

- Niech pan nie przeprasza. Zasłużyłam na to. - Wyjrzała przez okno. - Proszę tu skrócić. Następny blok. Zatrzymałem wóz przy chodniku.

- Pan ma jeszcze trzy dni urlopu?

- Tak.

- Zadzwoń pan do mnie?

- Chyba nie. Wybieram się do La Jolla na ryby.

- Mogłabym tam przyjechać.

- To nie jest dobry pomysł.

- Aha... Ma pan tam dziewczynę? Roześmiałem się.

- Nie.

- No to dlaczego?

- Bo wracam na wojnę - odpowiedziałem ostro. - Nie chcę się czuć związany. Chcę myśleć tylko o tym jak przeżyć następny dzień. Widziałem wielu facetów, którzy nie doczekali jutra, bo rozmyślali o tym, co będzie później.

- Pan się boi.

- Tak, do diabła, tak! Już to zresztą pani mówiłem. Teraz naprawdę rozplakała się. Łzy spływały jej po policzkach. Położyłem jej rękę na ramieniu.

- Nie bądź niemądra - powiedziałem cicho. - Teraz wszystko jest takie zbikowane. Może po wojnie... Przerwała mi. - Przecież powiedziałeś, że nikt nie może mieć szczęścia trzy razy z rzędu.

- Tak mówi rachunek prawdopodobieństwa - przyznałem.

- Więc mówisz, że zadzwonisz, ale sam w to nie wierzysz.

- Wciąż muszę cię przeproszać. Bardzo mi przykro. Chwilę się we mnie wpatrywała i wysiadła z auta.

- Nie lubię pożegnań.



Nie mogłem odpowiedzieć, bo już biegła po schodach. Zapaliłem papierosa i przyglądałem się, jak dzwoni do drzwi. Po chwili otworzył je mężczyzna.

Kiedy o trzeciej nad ranem wróciłem do hotelu, pod moimi drzwiami znalazłem kartkę.

***Proszę do mnie rano zadzwonić, chciałabym kontynuować naszą rozmowę.***

I podpis ***Cecylia Hayden.***

Gniewnie zgmiotłem świstek i wrzuciłem do kosza. I rano pojechałem do La Jolla nie dzwoniąc do niej.

W trzy dni później wróciłem do Australii, wróciłem na wojnę. Jeśli wyobrażałem sobie, że starsza pani czeka na mój powrót, to bardzo się myliłem.

Nie mogła czekać. Wkrótce zadzwoniła do Sama Corwina.

#### 4

- Mam nadzieję, że nie kazałem pani na siebie czekać
- powiedział Sam Corwin wchodząc do pokoju, gdzie oczekiwała go starsza pani.
- Ależ nie, panie Corwin - odpowiedziała oschle.
- Proszę, niech pan siada.

Usiadł i spojrzał na nią z ciekawością. Od chwili, kiedy rano do niego zadzwoniła zastanawiał się, czego może od niego chcieć.

Starsza pani zmierzała prosto do celu.

- Wysunięto kandydaturę Nory do nagrody Fundacji Eliofheimów w dziedzinie rzeźby. Sam spojrzał na nią z większym jeszcze szacunkiem. Owszem, krążyły takie plotki. Ale nazwiskakandydatów

utrzymywane były w ścisłej tajemnicy. Zwłaszcza że nagroda ta miała zostać przyznana po raz pierwszy od chwili wybuchu wojny.

- Skąd pani wie? - spytał niechętnym tonem.

- To nieważne. Ważne, że wiem.

- Dobra nowina. Winszuję Norze. Mam nadzieję, że ją otrzyma. Zasługuje na to.

- Chcę być pewna, że ją dostanie. Dlatego właśnie pana wezwałam.

Sam przyjrzał jej się ze zdziwieniem i nie odezwał.

- Czasem pieniądze bywają wielką przeszkodą - ciągnęła pani Hayden. - Zwłaszcza w dziedzinie sztuki. Chciałabym zrobić wszystko, by fortuna mojej córki nie utrudniła jej otrzymania nagrody.

- Ależ pani Hayden, nie ma obawy. Jury nie bierze takich rzeczy pod uwagę.

- Nie ma człowieka, który nie ulegałby modom i na którego nie można by wpłynąć - zaprzeczyła stanowczo. - W obecnej chwili cały liberalny świat sztuki jest pod wpływem ideologii komunistycznej. Niemal każdy artysta, który nie jest komunistą, otrzymuje etykietkę burżuja i odmawia mu się znaczenia.

- Chyba pani upraszcza?

- Czyżby? To proszę mnie poprawić. Niemal wszystkie znaczące artystyczne nagrody w ciągu ostatnich lat otrzymali ludzie, którzy nawet jeśli sami nie byli komunistami, to byli z nimi ściśle związani.

Sam nie odpowiedział. Miała dużo racji.

- Przypuśćmy, że tak jest. Nie bardzo widzę, co dałoby się zrobić. Jury Nagrody Eliofheimów jest na pewno nieprzekupne.

- Tak, wiem. Ale wiem także, i pan wie to również, że na każdego można w jakiś sposób wpłynąć. Ludzie są ludźmi.

- Cóż ja mógłbym zrobić? Jeśliby kogoś posłuchali, to tylko jakiejś osobistości.

- Ostatnio rozmawiałam z Billym Hearstem z San Simeon. Uważa, że Nora powinna otrzymać tę nagrodę. Że powinna zatriumfować prawdziwa amerykańskość.
- Zaczął rozumieć. Powinien się od razu domyślić skąd pochodzą jej informacje.
- Tak, Hearst może wiele zdziałać. Kogo mamy poza tym?
- Na przykład pańskiego przyjaciela, profesora Bella - oznajmiła. - A Hearst już rozmawiał w Chicago z Bertiem McCormikiem. Ten przyjął to entuzjastycznie. I jeśli się pan zastanowi, na pewno znajdzie pan wielu innych.
- Mnóstwo z tym będzie zachodu. Mamy już luty, więc do maja zostały niecałe trzy miesiące.
- Wzięła z biurka kartkę papieru.
- W tej chwili pańska pensja w gazecie wynosi cztery pięćset rocznie. Honoraria za artykuły przynoszą panu jeszcze ze dwa tysiące. - Spojrzała na niego. - To nie są duże pieniądze.
- Sam skinął głową.
- Istotnie, pani Hayden.
- A pan, panie Corwin, lubi wystawny tryb życia. Ma pan ładne mieszkanie. Żyje pan na wysokiej stopie, niewspółmiernej do pańskich zarobków. W ciągu ostatnich paru lat wydawał pan co najmniej trzy tysiące więcej niż pan zarabiał.
- Uśmiechnął się.
- Nie martwię się moimi długami.
- Rozumiem, panie Corwin. Tak, wiele długów spłaca się nie pieniędzmi, lecz usługowymi uprzejmościami. Czy dobrze zgaduję, że w sumie pańskie dochody sięgają dziesięciu tysięcy rocznie?
- Skinął głową.
- Mniej więcej. Odłożyła kartkę na biurko.

- Jestem gotowa zapłacić panu dziesięć tysięcy za pańską pomoc w uzyskaniu przez moją córkę Nagrody Eliofheimów. Jeżeli się to powiedzie, podpiszemy, z panem dziesięcioletni kontrakt, który zapewni panu dwadzieścia tysięcy rocznie plus dziesięć procent jej honorariów.

Sam policzył w myśli. Jeśli Nora będzie pracowała równie wydajnie jak obecnie, to po otrzymaniu nagrody powinna zarabiać od pięćdziesięciu do stu tysięcy rocznie.

- Sądzę, że właściwsze byłoby pięćdziesiąt procent.

- O nie. No, dwadzieścia pięć. Ostatecznie moja córka będzie musiała ponosić koszty utrzymania galerii.

- Chwileczkę, pani Hayden. Czy ja dobrze rozumiem pani propozycję? Proponuje mi pani posadę agenta prasowego Nory, który ma jej dopomóc w zdobyciu nagrody Eliofheimów?

- Tak, panie Corwin.

- A gdy otrzyma nagrodę, mam zostać jej menedżerem na dziesięć lat. I za to otrzymam dwadzieścia tysięcy rocznie plus dwadzieścia pięć procent jej honorariów?

Pani Hayden znów skinęła głową.

- A jeśli nie otrzyma nagrody?

- Wtedy taki kontrakt nie miałby sensu, prawda, panie Corwin?

- No tak - spojrzał na nią przenikliwie. - A kto podpisze ten kontrakt?

- Jak to kto? Oczywiście moja córka.

- A jeśli nie zarobi tyle, żeby móc mi wypłacić pensję?

- To nie jest żaden problem - starsza pani uśmiechnęła się. - Nora ma własny majątek. Otrzymuje rocznie około stu tysięcy na mocy testamentu ojca.

Sam zdziwił się. Wiedział, że Nora ma pieniądze, ale nie przypuszczał, iż chodzi aż o taką sumę.

- Przepraszam panią, ale czy pani rozmawiała o tym z Norą?

- Oczywiście, panie Corwin. Przecież nie proponowałabym panu tego bez jej zgody.
- Sam zaczerpnął powietrza. Powinien był wiedzieć. Ale nie mógł się powstrzymać, by nie spytać.
- To czemu sama ze mną nie pomówiła?
  - Uważała, że lepiej będzie, jeśli ja to z panem uzgodnię. W ten sposób gdyby pan nie zechciał przyjąć propozycji, nie musiałyby to odbić się na waszych stosunkach.
- Sam skinął głową.
- Rozumiem. - Zaczął grzebać w kieszeni, wyjął fajkę i włożył ją do ust.
  - Czy obie panie zdają sobie sprawę, że jeśli podejmę się tej misji, muszę mieć pełną swobodę decyzji?
  - Nora bardzo ceni sobie pańską przenikliwość i prawość.
  - No, to zgoda.
  - Nora się na pewno ucieszy.
  - Gdzie ona jest? Musimy wiele rzeczy przedyskutować.
  - Chyba jest w pracowni. Zaraz poślę po nią Karola. Nacisnęła guzik i w drzwiach pojawił się kamerdyner. Poprosiła go, by poszedł po Norę, i znów zwróciła się do Sama. Mówiła podejrzanie słodkim tonem.
  - Ja też jestem bardzo rada, panie Corwin. Cieszę się, że ktoś będzie wraz ze mną czuwał nad Norą.
  - Postaram się temu sprostac, pani Hayden.
  - Wiem, że mogę panu ufać - oświadczyła. - Nie będę ukrywać, że nie rozumiem mojej córki. Jest samowolna i uparta. Często nie pochwalam jej zachowania.
- Sam nie odpowiedział i tylko pykał z fajki. Zastanawiał się, czy ona rzeczywiście wie, jaka jest Nora. Następne słowa pani Hayden rozwiały wszelkie wątpliwości.
- Może jestem staroświecka - zauważyła jakby się usprawiedliwiając - ale nieraz Nora wydaje mi się zbyt... swobodna.

Sam zrobił kwaśną minę.

- Czy mogę mówić szczerze, pani Hayden? Skinęła głową.

- Proszę mnie dobrze zrozumieć. Ani nie bronię Nory, ani jej nie oskarżam. Ale chcę postawić sprawę jasno.

- Bardzo proszę, panie Corwin.

- Nora jest kimś nieprzeciętnym. Ma wielki talent. Jest znerwicowana, wrażliwa, łatwo poddaje się emocjom. I tak jak pewni ludzie uciekają się do alkoholu, jej potrzebny jest seks.

- Czy w ten uprzejmy sposób chce mi pan powiedzieć, że moja córka jest nimfomanką?

- Nie, pani Hayden - odparł dobierając starannie słów. - Nora jest artystką. Seks jest dla niej nieodzownym relaksem i podniecią. Kiedyś mi powiedziała, że tylko dzięki seksowi potrafi zrozumieć ludzi. Starsza pani wciąż bacznie go obserwowała.

- Czy pan... - nie dokończyła pytania. Spojrzał jej prosto w oczy i skinął głową. Lekko westchnęła.

- Dziękuję panu za szczerłość. Nie chciałam wtrącać się w pańskie prywatne życie, ale...

- To już dawno minęło. Dowiedziałem się o tym, kiedy mnie ostatni raz odwiedziła.

- Wtedy po jej wystawie? Skinął głową.

- Była strasznie przygnębiona. Płakała. Podobno ten młody major, który ją odwiózł, bardzo ostro ją potraktował.

- Major Carey? Wyglądał na takiego miłego człowieka...

- Powiedział coś, co nią wstrząsnęło. W każdym razie po półgodzinie wsadziłem ją do taksówki.

- Zastanawiałam się, dlaczego wtedy tak wcześnie wróciła. Chciałabym pana o coś prosić.

- Jestem do pani usług.

- Nora bardzo się liczy z pana zdaniem. Czy będzie pan tak dobry i pomoże mi... pomoże pilnować, żeby nie wpadła w tarapaty.

- Będę próbował. Leży to w naszym wspólnym interesie.

- Dziękuję - powiedziała. Nagle zaczęła wyglądać na zmęczoną. Oparła się o krzesło i przymknęła oczy. - Czasem myślę, że powinna wyjść za męża. Może wtedy zacznie się inaczej zachowywać.

- Może - zgodził się Sam, wcale jednak nie był o tym przekonany. Dziewczyny takie jak Nora nie zmieniają się nigdy - mąż, nie mąż.

Kiedy Nora weszła do pokoju, siedzieli w milczeniu.

- Pan Corwin zgodził się na naszą propozycję

- oświadczyła matka.

Nora uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę:

- Dziękuję ci, Samie.

- Nie dziękuj. Może się okazać, że tego pożałujesz.

- Zaryzykuję.

- Okay - odparł rzeczowym tonem. - Nad czym teraz pracujesz?

- Przygotowuję wystawę, którą mam mieć w kwietniu u Arleny Gately.

- Odwołaj ją. - Dlaczego?

- To nam nic nie da.

- Ależ obiecałam.

- Musisz się z tego wycofać - orzekł szorstko Sam. Zwrócił się do jej matki. - Będzie pani tak dobra wypisać czek na dziesięć tysięcy dolarów. Pojedziemy do Nowego Jorku.

- Do Nowego Jorku? - spytała Nora. - Po co?

- Tak, do Nowego Jorku - powtórzył Sam. - Chcę, żebyś w kwietniu miała wystawę u Aarona Scaasi.

- Nie, nie mogę...

- Z jakiego to powodu?

- Arlena zawsze mnie popierała. Urządzała mi wystawy... Nie mogę jej tak rzucić z dnia na dzień.
- Możesz i musisz. Arlena Gately ma niewielką galerię w niewielkim mieście i nic już dla ciebie nie może zrobić. Galeria Aarona Scaasi cieszy się światową renomą. Wystawa w tej galerii to najlepszy sposób, żebyś otrzymała nagrodę Eliofheimów.
- Ale skąd wiesz, że on się zgodzi?
- Zgodzi się - uśmiechnął się Sam. - Kiedy zobaczy ten czek, zaraz się zgodzi.

\* \* \*

Wszystko to, rzecz jasna, miało miejsce, kiedy ja walczyłem jeszcze na Pacyfiku. Byłem zapamiętałym wielbicielem opowiadań Somerseta Maughama. Parująca dżungla obezwładnia wolę białego człowieka, a potem uwodzi go z pomocą ślicznej brunatnoskórej dziewczyny i zapewnia błogostan, o którym nie śniło mu się w kraju. Ale ja musiałem trafić do nieodpowiedniej dżungli. Lotnisko znajdowało się na północ od Port Moresby, przenikliwa wilgoć była niemal lodowata, niezależnie od tego, jak ciepło się człowiek ubrał, ziąb przenikał go aż do szpiku kości. Szczekał zębami, lało mu się z nosa i łatwiej było o grypę niż o malarię. Większość wolnego czasu spędzaliśmy wokół żelaznego piecyka w messie pilotów, zastanawiając się nad strategią wojny. Od dyskusji tych odrywał nas ryk syren i pędziliśmy do naszych samolotów, a po powrocie nieśliśmy kalesony do czarnych praczy, żeby mieć czyste na następny lot. Uważaliśmy, że nieestetycznie byłoby umrzeć w brudnych kalesonach. Wręcz nie po amerykańsku. Awansowałem na podpułkownika, był to smutny awans. Dowódca naszej eskadry leciał tuż przede mną, gdy jego samolot runął w ocean. Pamiętam, że jeszcze



zanim otrzymałem moje złote listki dębowe, odznaczono mnie srebrnymi, myślałem sobie: umrzeć musimy wszyscy, teraz nadeszła moja kolej.

Ale miałem szczęście. Nie zapomnę, jak zdziwiłem się czując ostry ból w plecach, a tablica rozdzielcza przede mną przestała istnieć. Nie wiem, jak udało mi się wylądować. Wydawało mi się, że lecę w gęstej galarecie, wreszcie samolot uderzył o ziemię i przekoziółkował. Usłyszałem jak przez mgłę krzyki i poczułem, że chwytają mnie czyjeś ręce. Wiedziałem, że ręce te chcą mi być pomocne, choć odciągają mnie od rozkosznego żaru.

Zamknąłem oczy i poddałem się. Najwyższy czas, żebym znalazł się w dżungli, o której tyle czytałem. I oto leżałem na plaży w Bali Bali, wokół mnie krążyło tysiąc pięknotek o nagich piersiach i tylko ode mnie zależało, z którą z nich spędzę noc.

O nie, tego snu się nie wyrzeknę. MacArthur będzie się musiał beze mnie obejść.

Kiedy odzyskałem przytomność, odesłano mnie do kraju.

5

Dopiero w połowie lipca dowiedziałem się, że Nora otrzymała Nagrodę Elioheimów, i to tylko dlatego, że zobaczyłem jej fotografię na okładce „Life'a”.

Ranny zostałem w lutym, spędziłem dwa tygodnie w szpitalu na Nowej Gwinei, potem siedem tygodni w klinice weteranów w San Diego. Wypisano mnie jako zdrowego. Otrzymałem miesięczny urlop i pojechałem do La Jolla, gdzie wynająłem jacht, na którym mogłem jeść, spać i napawać się słońcem.

Drzemałem na leżaku, gdy obudził mnie stukot spadającej na pokład paczki. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że z nadbrzeża uśmiecha się do mnie posłaniec. Miałem dość wojny i postanowiłem nie czytać codziennych gazet. Ale poprosiłem w kiosku, by przysyłano mi kilka tygodników.

Wyciągnąłem z kieszeni pół dolara i rzuciłem. Chłopak chwycił monetę ze zręcznością Joe Di Maggio.

Schyliłem się, podniosłem pakiet i rozwiązałem sznurek. Tygodniki ześliznęły się na pokład, podniosłem ten, który leżał na wierzchu.

Spojrzałem na fotografię ciemnowłosej dziewczyny na okładce, ta dziewczyna wydała mi się dziwnie znajoma, ale pomyślałem tylko, jak to miło, że na okładkach przestało się zamieszczać zdjęcia z wojny. Zacząłem czytać i zrozumiałem, że tę dziewczynę rzeczywiście znam.

Pod fotografią białe literę głosiły, że to

### **NORA HAYDEN, KTÓRA OTRZYMAŁA NAGRODĘ FUNDACJI ELIOFHEIMÓW W DZIEDZINIE RZEŻBY**

Znów spojrzałem na fotografię i przeszył mnie dreszcz. Świetliste ciemne oczy, zmysłowe usta, zadarta dumnie głowa. Upłynął rok, ale wydało mi się, że to było wczoraj.

Otworzyłem pismo. W środku było jeszcze parę zdjęć. Nora w pracowni na tyłach domu matki, Nora pali papierosa szkicując, Nora siedzi przy oknie. Nora leży na podłodze słuchając płyt. Zacząłem czytać.

*Kiedy smukła niczym modelka panna Hayden zaczyna mówić o swojej pracy, nikt nie może mieć wątpliwości, że ona wie, co mówi.*

*Rzeźba jest formą sztuki najbliższą życiu. Jest trójwymiarowa. Każdą rzeźbę można obejść wokół, przyjrzeć jej się ze wszystkich stron, można jej dotknąć, czuć, że żyje.*

*Jest czymś rzeczywistym, jej kształt możecie dostrzec w otaczającym was świecie. Utajony tkwi w każdym kamieniu, w każdej kłodzie drewna, w każdej bryle metalu.*

*I rzeźbiarzowi pozostaje tylko nadać temu kształtowi życie.*

Wydawało mi się, że słyszę jej głos.

Znów wpatrzyłem się w zdjęcie na okładce. Efekt nie dał na siebie czekać. Upuściłem pismo i zerwałem się. No tak, zmieniłem zdanie. Cóż to szkodzi, że upłynął rok.

Wszedłem do ciasnej budki telefonicznej na przystani i wsłuchiwałem się w sygnał w San Francisco. Słuchawkę podniosła jej matka.

- Mówi Łukasz Carey. Pani mnie pamięta?

- Ależ tak, panie pułkowniku. Jak się pan miewa - odpowiedziała uprzejmie starsza pani.

- Dziękuję, już dobrze. A pani?

- Nigdy w życiu nie chorowałam. Czytałam o pana wyczynie w gazetach. To było wspaniałe.

- Gazety zbytnio się o tym rozpisywały. Ja po prostu nie miałem wyboru.

- Nie przekona mnie pan. Ale o tym jeszcze pogadamy. - Jej głos zmiękł. - Strasznie żałuję, że Nory nie ma w domu. Będzie jej bardzo przykro.

- Właśnie chciałem pogratulować jej Nagrody Eliof-heimów.

- Biedne dziecko nie miało chwili spokoju od chwili, gdy ogłoszono, że otrzymała tę nagrodę.

Namówiłam ją, żeby wyjechała do La Jolla.

- Do La Jolla?

- Tak. - Nagle się domyśliła. - Skąd pan dzwoni?

- Właśnie z La Jolla. To tutaj spędzam urlop.

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności. Tak, teraz przypominam sobie, że gazety pisały o pańskim pobycie na Wybrzeżu. Nora mieszka w Klubie Serfingowym.

- Zadzwoń do niej - oświadczyłem.

- Jeśli jej pan nie złapie, proszę się porozumieć z Samem Corwinem. On będzie wiedział, gdzie jej szukać. - Z Samem Corwinem?
  - Tak. Chyba go pan pamięta. Ten krytyk, przyjaciel profesora Bella. Został menedżerem Nory. Moja biedna mała nie ma głowy do interesów. Ton głosu starszej pani znów się zmienił.
  - Mam nadzieję, panie pułkowniku, że nie będziemy musiały znów czekać cały rok na pana telefon. Chciałabym wiele rzeczy z panem omówić. Dalej uważam, że firma Hayden i Carruthers mogłaby ułatwić panu karierę zawodową.
  - Dziękuję pani, pani Hayden. Wkrótce stawię się na rozmowę.
  - Bardzo się cieszę. Do widzenia.
- Chwilę wahałem się, nim wrzuciłem następną monetę. Usłyszałem głos Corwina.
- Czy zastałem pannę Hayden?
  - Kto mówi?
  - Łukasz Carey.
- Ton głosu stał się bardziej przyjazny.
- Pułkownik Carey?
  - Tak.
  - Niech pan chwileczkę zaczeka. Zaraz jej poszukam. Po chwili odezwała się Nora.
  - A, pułkownik Carey. Co za niespodzianka. Skąd się pan dowiedział, że tu jestem?
- Roześmiałem się.
- Od pani matki. Chciałem zaprosić panią na drinka.
  - Jest pan w La Jolla?
  - O jakieś trzy mile od pani. No co, czy możemy się spotkać?
  - Bardzo bym chciała. Ale lada moment oczekuję przyjazdu z Nowego Jorku Aarona Scaasi, z którego galerią jestem w tej chwili związana. O piątej urządzamy koktajl dla prasy.

Czekałem, żeby zaproponowała inny dzień, ale tego nie zrobiła. W porządku, w gruncie rzeczy nie miała powodu chcieć się ze mną zobaczyć. Wtedy, rok temu, byłem - łagodnie mówiąc - niezbyt grzeczny.

- Pozwolę sobie jeszcze zadzwonić.
- Będzie mi bardzo miło - powiedziała uprzejmie i odwiesiła słuchawkę.
- Nie byłaś nazbyt uprzejma - zauważył Sam.
- Co on sobie u diabła myśli? Dzwoni po roku jak gdyby nigdy nic.

Sam zajrzał do jej szkicownika. Zobaczył rysunek młodzieńca, który szykuje się do skoku z trampoliny. Był nagi. Sam rozpoznał jego twarz. Chłopak - uczeń liceum - pracował w klubie jako ratownik.

- Widzę, że to jeden z tych twoich wzdychulców.
- Co to za przycinek? Czy zgłaszasz jakieś obiekcje?
- Osobiście mało mnie obchodzi, z kim sypiasz. Ale kiedy robisz to niemal publicznie, może to nam zaszkodzić w interesach.
- Gdzieś ty o tym słyszał? - spytała chłodnym tonem.
- Całe Wybrzeże o tym plotkuje. Ten mały chwali się przed kolegami. Jasne, trafiła mu się taka gratka! Gniewnie zgniotła kartkę z rysunkiem. - Mały skurwiel!
- Prosiłem cię, żebyś zachowywała się dyskretnie.
- Jak według ciebie mam się zachowywać? - spytała rzucając na ziemię zmiętą kartkę. - Może mam wstąpić do klasztoru?

Machinalnie schylił się, wziął kartkę i wrzucił ją do kosza na śmieci. Wyjął z kieszeni fajkę.

- Mam dosyć tej twojej fajki. Nie cierpię tego smrodu! Bez słowa wsunął fajkę do kieszeni i ruszył w stronę drzwi. Zatrzymała go.
- Samie - opuścił ją gniew, wyglądała młodziutko i bezbronne. - Samie, co według ciebie powinnam zrobić?

- Nie wiem - odparł z namysłem. - Ale nie powinnaś się zadawać z tymi smarkaczami.
- Dobrze, Samie - odparła szybko.
- I wiesz co? - dorzucił. - Dobrze by było, żebyś się zaczęła pokazywać z kimś takim jak ten żołnierz, który dzwonił. Od razu przestano by plotkować.

\* \* \*

Kiedy wróciłem na jacht, stary strażnik siedział na ławce przed biurem przystani. Zamachał ku mnie ręką.

- Cześć, pułkowniku.
- Cześć.
- Słyszałem, że za Coronado pojawiły się marliny. Powinien pan tam podpłynąć.
- Aha - odparłem wręczając mu codzienną daninę. Schował półdolarówkę do kieszeni.
- Dziękuję, pułkowniku - zerknął na mnie spod oka. - Aha, na pana jacht weszła jakaś dziewczyna. Powiedziałem jej, że lada moment wróci pan z obiadu.

Poszedłem w stronę jachtu. Nora musiała usłyszeć moje kroki, bo stała na pokładzie. Miała na sobie szorty w niebieskie kropki i stanik. Wyglądała na dziewczynkę, włosy miała związane z tyłu w koński ogon.

- Halo! - powiedziała.
- Halo!

Zmrużyła od słońca oczy.

- Teraz moja kolej na przeprosiny.

Przez chwilę się w nią wpatrywałem, po czym zeskoczyłem na pokład.

- Nie musiała pani tu po to przyjeżdżać, Noro.
- Ale chciałam. Chciałam pana przekonać, że jest mi przykro.

Stała tuż koło mnie i czułem zapach jej włosów, świeży zapach sosnowego lasu. Nie była umalowana,

tylko usta przeciągnęła jasną pomadką. Zajrzałem jej w oczy. Tak. Pocałowałem ją. Ciepłe, słodkie usta, ostre zęby. Objęła mnie za szyję, czułem jej ciało. Przejechałem dłonią po jej plecach, mogłem policzyć zebra. Wszystko stało się proste, wiedziałem, że tak właśnie może między nami być. Jeszcze raz ją pocałowałem i odsunąłem się. Sięgnąłem po papierosa. Wyjąłem zapalniczkę i nie mogłem sobie z nią poradzić.

- Widzisz. Drżą mi ręce.

W końcu udało mi się, zaciągnąłem się i podałem jej papierosa.

Ona też się zaciągnęła i oddała mi go.

- Już wtedy chciałam, żebyś mnie pocałował.

- Ja też tego chciałem.

- To czemu tego nie zrobiłeś? - Jej oczy wyglądały jak cień na wodzie. - Musiałeś to widzieć...

Odwrociłem się.

- Ale wiedziałem, że idziesz do kogoś.

- No to co?

- Dla mnie miało to znaczenie. Chciałem, żebyśmy się naprawdę spotkali.

- A teraz?

Znów wziąłem ją w ramiona. Poczulem na policzku jej łzy.

- Ach, Łukaszu.

Wiem, co się mawia o łzach kobiet, ale mam na ten temat własne zdanie. Nic bardziej nie schlebia dumie mężczyzny. Scałowałem jej łzy, czując się jak tytan. Tego popołudnia nie popłynąłem sprawdzić, czy za Coronado pojawiły się marliny. Po raz pierwszy w La Jolla włożyłem mundur i poszedłem z nią na jej konferencję prasową.

Było to dość okropne. Gdy reporterzy zobaczyli mnie u boku Nory, rzucili się na nas.

Kazali nam pozować do zdjęć i zarzucali pytaniami. Czy jesteśmy zaręczeni? Kiedy ślub? Gdzie się poznaliśmy?

Czy Nora przyjedzie do Waszyngtonu, gdy będę odbierał odznaczenie? Czy ja przyjechałem tu do niej, czy też ona do mnie?

Po jakimś czasie zmęczyli się zadawaniem pytań, na które nie otrzymywali odpowiedzi i Aaron Scaasi mógł wygłosić referat, wyjaśniając dlaczego rzeźby Nory są najważniejszym zjawiskiem w sztuce amerykańskiej od czasu słupa totemicznego.

Muszę przyznać, że mówił przekonująco. Mnie kupił. Był on łysym, mocno zbudowanym mężczyzną i wyglądał raczej na eks-boksera niż na jednego z czołowych handlarzy sztuką. Wciąż wycierał głowę błękitną chusteczką. Siedząca obok niego Nora robiła wrażenie dziewczynki.

Usiadł koło mnie Sam Corwin.

- On wie co mówi - powiedział. - Nora jest naprawdę dobra.

Spojrzałem na Sama. Był szczupły, niemal wątpy, jego powierzchowność mogłaby człowieka wprowadzić w błąd, gdyby nie zauważył stanowczego wyrazu ust i świadczącego o uporze podbródka. Był twardy jak stal.

- Mnie przekonał - zauważyłem zastanawiając się, do jakiego stopnia Corwin jest zainteresowany Norą.

Mogłoby się zdawać, że się domyślił.

- Poznałem Norę, kiedy była jeszcze w szkole. Zawsze w nią wierzyłem i bardzo się ucieszyłem, gdy jej matka powierzyła mi opiekę nad jej interesami.

Przyjrzał mi się.

- Winien jestem panu podziękowania.

- A to za co?

- Że przyszedł pan na konferencję. Nora była bardzo przybita po rozmowie z panem i chciała tę konferencję odwołać, jeśli nie uda jej się odszukać pana i przeprosić. Ona często zachowuje się jak dziecko.

Dziennikarze zaczęli się rozchodzić i Corwin poszedł



zamienić z nimi parę słów. Może był to wpływ whisky, ale wydawało mi się, że coś przede mną ukrywa.

Podeszła do mnie Nora ze Scaasim i odkryłem, że wścieka mnie familiarność, z jaką obejmował ją ramieniem.

- Może wybierze się pan z nami na kolację? Chwilę się wahałem, patrząc na Norę.
- Nie, dziękuję. Mają państwo do omówienia wiele spraw i nie chciałbym być intruzem.
- Ależ nie - zaprotestowała Nora i dojrzałem w jej oczach rozczarowanie.

Omiałem zmienić zdania. Ale postanowiłem się trzymać. Uśmiechnąłem się i poszukałem wymówki.

- Chcę się wybrać na marliny. Popłynę dziś wieczorem do Coronado. I o świcie ruszę na połów.
- Kiedy jutro wrócisz? - spytała Nora.
- Chyba późno.
- To się już nie zobaczymy. Pojutrze rano muszę być w San Francisco.
- Strasznie żałuję.

Sam odwołał Scaasiego i zostaliśmy sami.

- Zadzwonisz do mnie?
- Tak.
- Nie, nie zadzwonisz - powiedziała po namyśle. - Wiem, że nie zadzwonisz. Znów będzie tak jak wtedy. Wrócisz na front i nawet się do mnie nie odezwiesz. I tylko z gazet będę się dowiadywać, co się z tobą dzieje. - Nie bądź niemądra. Powiedziałem, że zadzwonię. - Kiedy?
- Jak tylko wrócę do San Francisco.
- Na święty nigdy.

Wziąłem ją za rękę. Była miękka, ciepła i bezradna.

- Obiecuję, że zadzwonię. Dziwnie na mnie spojrzała.
- A jeżeli coś ci się stanie?

- Nic mi się nie stanie. Znasz przysłowie: co ma wisieć, nie utonie.

Ostatni z dziennikarzy wyszedł. To znaczyło, że na mnie pora. Uścisnąłem wszystkim ręce.

- Odprowadzę cię do drzwi - oświadczyła Nora. Wyszliśmy do patio. Było już ciemno, na niebie mrugały tysiące gwiazd. Zamknąłem za nami drzwi.

- Sądziłem, że nie lubisz pożegnań - oświadczyłem. Wiedziałem, że mogę ją pocałować, ale tego nie zrobiłem. Bobym nie odszedł.

Myślę, że ona też o tym wiedziała.

- To nie jest-pożegnanie - szepnęła dotykając mojej ręki. Ona wróciła do holu, a ja złapałem taksówkę.

\* \* \*

Scaasi poszedł umyć ręce, kiedy zatem Nora wróciła, Corwin był sam. Spojrzał na nią z pytaniem w oczach.

- Daj mi drinka - poprosiła.

Wstał w milczeniu i nalał jej whisky z wodą sodową. Postawiła szklanę na stoliku.

- Zamierzam za niego wyjść - oświadczyła z wyzwaniem w głosie.

Corwin wciąż milczał.

- Co, nie masz nic do powiedzenia? Przecież tego oboje chcecie, ty i matka.

Zdziwił się.

- Skąd wiesz?

- Nie jestem idiotką - stwierdziła, biorąc do ręki szklanę. - Zrozumiałam to w chwili, gdy kazałeś mi go odszukać. I upewniłam się, kiedy powiedział, że to matka dała mu mój numer telefonu.

Corwin nie był już teraz taki pewny, czy rzeczywiście tego chce.

- Małżeństwo to poważna sprawa.

- Wiem.

- On jest naprawdę miłym i przyzwoitym człowiekiem.
  - Chcesz powiedzieć, że ja nie?
  - Nie, tego nie powiedziałem.
  - Ale tak myślisz, prawda? I uważasz, że skoro jestem taka jaka jestem, nie będę dla niego dobrą żoną.
- Milczał.
- Dlaczego? - spytała. - Jestem ładna, jestem w odpowiednim dla niego wieku, mam kupę forsy i po wojnie ułatwię mu zrobienie kariery. Czy to nie dużo?
  - Pytasz mnie, czy mi to oświadczasz?
  - Oświadczam - odpowiedziała gniewnie. Wyjął nieodłączną fajkę.
  - W takim razie pozwól, że ja cię o coś zapytam. Kochasz go?
- Spojrzała na niego ze zdumieniem. Tego pytania nie oczekiwała.
- Oczywiście.
  - No, to w porządku - uśmiechnął się. - Kiedy ślub? Zobaczyła jego uśmiech i opuścił ją gniew.
- Odpowiedziała z uśmiechem.
- Jak tylko uda mi się doprowadzić do tego, żeby poprosił mnie o rękę.

## 6

Wróciwszy na statek zdjąłem mundur i włożyłem stare dzinsy. Miałem dosyć paliwa, sprawdziłem to już rano, ale zawory oblużowały się i musiałem je naprawić. Nagle uświadomiłem sobie, że jestem głodny.

Zajrzałem do spiżarni, ale nie zobaczyłem nic, na co bym miał ochotę. Zresztą skoro zamierzałem cały

następny dzień spędzić na morzu, należało uzupełnić zapasy. Poszukałem więc otwartego sklepu, zrobiłem zakupy i poszedłem „Pod Tłustą Łyżkę” na bardzo zły stek z nieodzownym sosem chili. Bez sosu nie dałoby się tego przełknąć.

Ale nawet chili nie pomagało. Z niechęcią odsunąłem talerz. Gdybym nie był takim durniem, zjadałbym się w tej chwili wyszukanymi przysmakami.

Cóż, ja musiałem unieść się dumą. Niezależny stary Łukasz, który za wszelką cenę chce kroczyć własnymi ścieżkami.

Zawsze wyolbrzymiałem każdy problem. Nie miałem dosyć mądrości życiowej, żeby brać wszystko jak leci. O co mi właściwie chodziło? O to, że ona jest bogata? O to, że starsza pani tak wyraźnie dała mi do zrozumienia, jakie korzyści może mi przynieść związek z Norą? W szkole koledzy często powtarzali, że równie łatwo jest się zakochać w dziewczynie bogatej jak w biednej. Za to dużo przyjemniej.

Nagle zrozumiałem. Po prostu boję się. Boję się, że jeśli się z nią zwiążę, stracę głowę. Zawsze marzyłem o takiej dziewczynie. Pierwszorzędnej, pełnej wdzięku, doświadczonej. I ten jej talent, ta zmysłowość. Życie z podobną dziewczyną nie będzie łatwe. Zresztą wcale nie jest pewne, że ona mnie zechce. Cóż miałem jej do zaoferowania?

Podszedłem do kontuaru i wziąłem torby z prowiantem.

Nie miałem lodówki, rzuciłem więc te torby na podłogę kuchenki i spojrzałem na niebo. Księżyc świecił tak mocno, że było jasno jak w dzień. Morze było gładkie jak sadzawka. Sprawdziłem, która godzina. Pół do dwunastej. Zatem już o pierwszej będę mógł zarzucić kotwicę w pobliżu Coronado. Ruszyłem.

Podróż nie trwała dłużej niż przewidywałem. Kiedy wyłączyłem motor i zarzuciłem kotwicę, fala chlusnęła

mi prosto w twarz. Spodobał mi się dotyk wody, zrzuciłem więc ubranie i skoczyłem w ślad za kotwicą.

Kiedy pływasz w głębokiej wodzie, czujesz się tak, jakby cię bujano w kołysce. Dotyk oceanu przypomina dotyk kobiety, uspokaja cię i uśmierza troski.

Wdrapałem się na pokład i bosozeszedłem do kajuty. Otworzyłem drzwi. Sięgnąłem po ręcznik, ale natrafiłem na pusty kołek. Odwróciłem się, żeby zapalić światło, i usłyszałem głos.

- Szukasz ręcznika?

Z ciemności wyleciał ręcznik, trafił mnie w głowę i upadł na podłogę. Schyliłem się.

Nie widziałem jej. Ale słyszałem jej śmiech.

- Straszny z ciebie chudzielec! Wyglądałam przez bulaj. Mogłam policzyć zebra.

Szybko owinąłem się ręcznikiem. Usłyszałem kroki i jej głowa pojawiła się we wpadającym przez bulaj świetle księżyca. Poczulem na ramionach jej dłonie i zobaczyłem twarz. Wyciągnąłem ręce, ale nim jeszcze jej dotknąłem, wiedziałem, że jest naga.

Nie wiem jak długo staliśmy całując się, tak stopieni z sobą, że trudno by mi było powiedzieć, co jest mną, a co nią.

- Kocham cię, Noro - szepnąłem. Drgnęła.

- Ja też cię kocham, Łukasz.

Przytuliła policzek do mojej piersi. - Powiedziałam ci, że się z tobą nie pożegnam.

Wziąłem ją na ręce i zaniósłem na kojce.

- Teraz się już nigdy nie pożegnamy - szepnąłem. Wyciągnęła ramiona i znalazłem się w nieznanym dotąd świecie cudów.

Jak słodkie jest ciało kochanej istoty.

Kiedy obudziłem się w nocy, spała na boku podkuliwszy kolana. Miała zamknięte oczy i w świetle księżyca widziałem te długie czarne rzęsy. We śnie wyglądała na

dziewczynkę. Otworzyła oczy, znów je przymknęła i dopiero po chwili podniosła wolniutko powieki. Na jej twarzy pojawił się psotny uśmiech. Przyciągnęła moją głowę do piersi.

- Chodź.

Piersi jej, ciepłe, jędrne i słodkie, przypominały dojrzałe owoce, przypominały lipcowe brzoskwinie. Całowałem je i całowałem, aż krzyknęła z rozkoszy.

Później, dużo później leżała z głową ukrytą na moim ramieniu.

- Łukaszu - szepnęła. - Nigdy jeszcze nie było mi tak dobrze. Nigdy.

Pogłaskałem ją po włosach. Nie odpowiedziałem. Podniosła głowę i zajrzała mi w oczy.

- Wierzysz mi? Skinąłem głową bez słowa.

- Musisz mi uwierzyć. Musisz - zawołała rozpaczliwie. - Będą ci opowiadać niestworzone rzeczy, błagam, nie słuchaj!

- Wierzę ci.

Ku mojemu zdumieniu zaczęła drżeć i bliska była łez.

- Tyle osób mnie nienawidzi. Zazdroszczą mi tego, co mam i tego, kim jestem. Zawsze wymyślają na mój temat jakieś historie. Kłamią.

Pamiętam, że poczułem się w tej chwili dużo starszy i mądrzejszy od niej.

- Zapomnij o ich istnieniu. Pełno jest takich ludzi. Ale ja cię przecież znam. I nikt kto cię zna, nie będzie ich słuchał.

Przytuliłem jej głowę do swego ramienia i po chwili przestała drżeć.

- O czym myślisz, Łukaszu? - Zajrzała mi w oczy. - Łukaszu, muszę ci wyznać coś strasznego.

Nagle przeraziłem się. Jeśli mnie okłamała, to nie chciałem nic o tym wiedzieć. Nie chciałem, żeby między nami coś się zmieniło. Nie odezwałem się.

Sądzę, że wiedziała, co przemknęło mi przez głowę, bo znów zaczęła się uśmiechać.

- Nie umiem gotować.

Poczułem ulgę. Zacząłem się śmiać. Potem zlazłem z koi i zaparzyłem kawę.

Kiedy wróciłem z kawą, zobaczyłem, że znalazła kawałek drutu i się nim bawi. Piłem kawę i patrzyłem zafascynowany jak drut przybiera kształt człowieka, który skacze do wody. Spostrzegła to i odłożyła drut.

- Proszę, nie przerywaj. Boże, jakbym chciał umieć coś takiego zrobić.

Uśmiechnęła się.

- Czasem wołałabym nie umieć. Chciałabym przestać i nie mogę. We wszystkim widzę jakiś kształt i muszę próbować go wydobyć. Rozumiesz?

- Tak. Należysz do wybrańców ziemi. Wszyscy widzimy kształty, ale nic z tym nie potrafimy zrobić.

Patrzyła przez chwilę na drucianą figurkę, potem straciła ją na podłogę.

- Tak, należę do wybrańców... - oświadczyła z goryczą. - A ty? Kim *ty* jesteś?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Jestem zwykłym facetem, który czeka, by się skończyła wojna.

- I co wtedy będziesz robił?

- Znajdę pracę. Jeśli będę miał szczęście, uda mi się zbudować parę domów, nim się zestarzeję i przestanie mnie to bawić. Nie wiem, czy się sprawdzę. Nie miałem okazji spróbować. Zaraz po politechnice poszedłem do lotnictwa.

- Profesor Bell powiedział, że masz talent.

- Jest stronniczy. Byłem jego ulubionym uczniem.

- Może będę ci mogła pomóc. Mam kuzyna, który jest znanym architektem.

- Wiem, Jerzy Hayden. Firma Hayden i Carruthers...

- Skąd wiesz?

- Powiedziała mi to twoja matka.

Spojrzała na mnie z namysłem i wyciągnęła rękę po papierosa. Podałem jej ogień. Zaciągnęła się.

- Matka nie marnuje czasu. Nie odpowiedziałem. Położyła głowę na poduszce.

- Tak tu cicho. Jesteśmy z dala od świata. Żaden hałas nie rozrywa uszu, nikt się człowiekowi nie naprzykrza. Cudowny bezkresny spokój. Jakbyśmy się tylko we dwoje znaleźli w innym świecie.

Wciąż nie odzywałem się.

- Łukaszu! - Nie patrzyła na mnie. - Chciałbyś, żebym została twoją żoną?

- Tak.

Teraz spojrzała na mnie, jej oczy były jednocześnie czarne i świetliste.

- To dlaczego mi się nie oświadczysz?

- Co miałbym do zaoferowania takiej dziewczynie jak ty? - spytałem. - Nie mam pieniędzy, nie mam pracy, nie mam przyszłości. Nie wiem nawet, czy będę zarabiał tyle, żeby utrzymać żonę.

- Czy to takie ważne? Ja mam dosyć pieniędzy.

- Dla mnie ważne - przerwałem jej. - Pod tym względem jestem staroświecki.

Uklękła obok mnie i wzięła mnie za rękę.

- Nie, Łukaszu, to naprawdę nie powinno mieć żadnego znaczenia. Wierz mi. Poproś mnie o rękę.

Przyjrzałem się jej badawczo. Spuściła powieki.

- To znaczy... jeśli tego naprawdę chcesz. Nie musisz. Nie chodzi o to, co między nami zaszło.

- Kocham cię - powiedziałem. - Czy wyjdiesz za mnie?

W milczeniu skinęła głową, a w oczach jej zabłyśły łzy. Nachyliłem się i lekko ją pocałowałem.

- Zaraz będę musiała dać znać Samowi.



- Samowi? - spytałem.
- No tak. On zawiadomi prasę. Bo inaczej jakiś reporter zrobi z tego jeszcze jeden skandal. Nic nie odpowiedziałem. Położyła mi rękę na ramieniu.
- Sam jest wypróbowanym przyjacielem.
- To z Samem byłaś umówiona tego wieczoru, gdy cię poznałem?
- Aha! Jesteś o niego zazdrosny? Nie odpowiedziałem.
- Nie musisz. Sam od lat jest ze mną zaprzyjaźniony. Od moich szkolnych czasów.
- Wiem. Zadał sobie wiele trudu, by mnie o tym powiadomić.
- Jest moim przyjacielem. I to wszystko. Nigdy nic między nami nie było, choć oczywiście krążyły plotki.

- To o tym mnie ostrzegałaś?

- Tak. Ale to jeden z wymysłów podłych ludzi. Wierzysz mi?

W tym momencie popełniłem pierwszy błąd w naszym małżeństwie. To nie ludzie kłamali, tylko ona. Nie wiem, skąd wiedziałem, ale wiedziałem. Patrzyła zbyt niewinnie, mówiła zbyt naiwnym tonem. Jakoś to do niej nie pasowało.

Więc popełniłem ten błąd i już nie dało się go naprawić. Jedno kłamstwo prowadzi do następnego i to nie tylko tego, kto kłamie. Ten, kto udaje, że wierzy, nie potrafi potem spojrzeć prawdzie w oczy, nim go ona przerośnie. Wtedy tego jeszcze nie wiedziałem.

Pomyślałem, że tak czy owak musiało to być dawno temu. Zanim poznaliśmy się. Było więc nieważne. Ja kocham ją, ona kocha mnie, a reszta należy do dnia wczorajszego. Nachyliłem się i pocałowałem ją w policzek.

- Wierzę ci - oświadczyłem.

Spojrzałem na siedzącą koło mnie Dani, potem przez stół na Norę, która uplasowała się między matką a Harrisem Gordonem. Podczas uprzejmego powitania starannie unikała mego wzroku.'

Zastanawiałem się, czy ją także nękają demony wspomnień.

Harris Gordon spojrzał na zegarek.

- Pora ruszać - oświadczył. Uśmiechnął się do Dani.

- Leć na górę i weź płaszcz.

Dani w milczeniu wyszła. Zapanowała niezręczna cisza, jakbyśmy tylko dzięki niej mogli z sobą naprawdę rozmawiać.

Gordon odchrząknął.

- Dani powinna chyba pojechać z matką i z babką.

- Zwrócił się do mnie: - Byłbym rad, gdyby pan, panie pułkowniku, zechciał mi towarzyszyć.

Będziemy mogli pogadać.

Skinąłem głową. To mi odpowiadało. Wciąż jeszcze wiedziałem tylko tyle, ile poprzedniego wieczoru powiedział mi przez telefon.

- Pojedziemy moim autem, mamó - zaproponowała Nora. - Karol będzie prowadził.

Pani Hayden wstając lekko jęknęła. Spojrzała na mnie ze smutnym uśmiechem.

- Starość daje o sobie znać. Człowiek nie potrafi zestarzeć się z taką gracją, jak to sobie kiedyś wyobrażał.

Odpowiedziałem jej uśmiechem i skinieniem głowy. Dobrze ją rozumiałem.

Gordon wyszedł ze starszą panią i znalazłem się sam na sam z Norą. Wzięła dzbanek z kawą.

- Napijesz się? Skinąłem głową.

- Z cukrem i ze śmietanką? Spojrzałem na nią. Zarumieniła się.
- Jaka ja jestem niemądra. Oczywiście. Pamiętam. Czarna kawa z jedną kostką cukru.

Chwilę milczeliśmy.

- Dani jest śliczna, prawda?
- Tak - odparłem pijąc kawę.
- Co o niej myślisz?
- Nie wiem, co myśleć. Widziałem ją tylko parę minut i to po ilu latach!

W jej głosie pojawiła się ironia.

- Czyżby nagle potrzeba ci było czasu na zorientowanie się w sytuacji? Zawsze twierdziłeś, że rozumiecie się bez słów.
- I tak było. Ale dawno temu. Dani dorosła i wiele rzeczy wydarzyło się tak w jej, jak i w moim życiu. Teraz sam nie wiem. Może to wróci.
- Kiedyś byłeś bardzo pewny swojej córki. Spojrzałem na nią.
- Wielu rzeczy byłem pewny. A teraz jestem pewny tylko jednego, że *ty* nie bez powodu powtarzasz słowo: córka. Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, mów prosto z mostu.

Zamglily się jej oczy.

- Zachowujesz się dokładnie tak jak w dzień naszego pierwszego spotkania. Bezceremonialnie i agresywnie.
- Już za późno na uprzejme kłamstwa, Noro. Tego też próbowaliśmy. Prościej mówić prawdę. Unika się nieporozumień. Wbiła oczy w obrus.
- Po co przyjechałeś? - spytała z rozgoryczeniem. - Mówiłam Gordonowi, że nie jesteś nam potrzebny. Świetnie dawałyśmy sobie radę.

Wstałem.

- Zapewniam cię, że wcale tego nie pragnąłem.

I gdybyście istotnie radziły sobie tak świetnie beze mnie - nie musiałbym.

Odwrociłem się i wyszedłem do holu. Znów poczułem, że wywracają mi się bebechy. Nora nie zmieniała się ani na jotę.

Po schodach schodziła Dani. Spojrzałem i zamarłem. To nie była już moja mała dziewczynka. Przeobraziła się w kobietę. Znaną mi dobrze kobietę. W swoją matkę.

Ubrana była w kostium, na który narzuciła płaszcz. Włosy miała nastroszone, chyba się to nazywa: utapiro-wane, uszminowane usta. Znikło dziecko, które siedziało koło mnie podczas śniadania.

- Tatusiu!

Ogarnęła mnie fala ciepła. Głos był głosem dziecka.

- Tak?

Podeszła do mnie i okręciła się na pięcie.

- Jak wyglądam?

- Jak żywa lalka - uśmiechnąłem się wyciągając do niej rękę.

- Nie, tatusiu, rozburzysz mi włosy - zaprotestowała.

Mój uśmiech znikł. Jeżeli to było jej jedyne zmartwienie, to rzeczywiście była jeszcze dzieckiem. Ale prawdopodobnie słowa te były oznaką czegoś zupełnie innego. Nora zawsze dbała, żeby nic nie zakłócało jej „wizerunku”. Czyżby Dani się do niej upodobniła nie tylko zewnątrz?

Wyczuła moje zaniepokojenie.

- Nie martw się, tatusiu - powiedziała uspokajającym tonem, tym samym, którym odezwała się, gdy Nora weszła do jadalni. - Wszystko będzie dobrze.

- Tak, kochanie.

- Wiem, że będzie - powiedziała z naciskiem. - Człowiek musi sporo przeżyć, żeby dorosnąć.

Spojrzałem na nią przerażonym wzrokiem.

Do holu weszła starsza pani, za nią Gordon i Nora.

- Niech panie powiedzą Karolowi, żeby jechał za moim wozem - oświadczył Gordon otwierając przed nimi drzwi.

- O której mamy być w sądzie? - spytała Nora. Dziwnie na nią spojrział.

- Przecież nie jedziemy dziś do sądu. Musimy odwieźć małą do schroniska dla nieletnich.

- Chwała Bogu. Nie zniosłabym dziś przesłuchań. Gordon nie odpowiedział.

- Proszę, panie pułkowniku, niech pan wsiada pierwszy - zaproponował uprzejmie.

Kiedy podchodziłem do auta, Karol przytrzymał drzwiczki jaguara Nory. Jego twarz zmarszczyła się w uśmiechu.

- Witam pana pułkownika.

- O, Karol... - uśmiechnąłem się i wyciągnąłem rękę. - Jak się Karol miewa?

- Dziękuję, panie pułkowniku. - W jego głosie odezwał się serdeczny ton. - Niech mi wolno będzie powiedzieć, że nawet w tych okolicznościach rad jestem pana pułkownika zobaczyć.

- Niech Karol zamknie drzwiczki - dobiegł z auta głos Nory.

Karol uklonił się i zamknął. Obchodząc dokoła auto i siadając za kierownicą, obdarzył mnie pożegnalnym spojrzeniem.

- Czy pan przyjechał tu własnym wozem? - spytał Gordon.

Pokazałem małego wynajętego convaira, który przy dwóch olbrzymach - czarnym mercedesie i szarym jaguarze - wyglądał jak liliput.

- W takim razie mój szofer nim pojedzie. Potem może się on tam panu przydać.

Dał szoferowi znak ręką i pojechaliśmy długą aleją.

Ogrodnik otworzył bramę. Za nią stała gromadka reporterów, ale kiedy zobaczyli, że nie mamy zamiaru się zatrzymać, pobiegli do swoich aut.

Obaj równocześnie sięgnęliśmy po zapalniczkę umieszczoną w pulpicie auta. Gordon roześmiał się i gestem odstąpił mi pierwszeństwo. Zapaliłem papierosa i podałem mu ogień.

- Dziękuję. - Nie patrzył w moją stronę. - Mam nadzieję, że nie ma pan do mnie żalu za to, co miało miejsce, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Chyba skrzywiłem się. Nikt nie lubi wspominać klęsk, nie byłem tu wyjątkiem, niemniej musiałem się nauczyć z nimi godzić.

- Jeśli teraz odniesie pan takie samo zwycięstwo w sprawie mojej córki, nie będę już wnosił żadnych zażaleń.

Zauważył unik, ale pominął go milczeniem.

- Dobrze. Może pan na mnie liczyć. Czekałem, aż skęcimy i oświadczyłem:

- Wiem tylko tyle, ile mi pan powiedział przez telefon. Może zechciałby pan powiedzieć coś więcej.

- Oczywiście. - Jakoś dziwnie na mnie spojrzał. - Chyba nie muszę precyzować, co łączyło Norę z tym Riccio?

Pokręciłem przecząco głową. Znałem Norę.

- Cały dzień się kłócili. O ile dobrze zrozumiałem, Nora chciała zerwać ten związek. Poprosiła, by się natychmiast wyprowadził. Ale on nie miał zamiaru wyrzec się wygodnego życia.

- Nora znalazła sobie kogoś innego? - spytałem. Wzruszył ramionami.

- Nie wiem i nie pytałem. Kiedy przyjechałem, w domu była już policja. Uważałem, że ostrożniej będzie nie zadawać pytań.

- Rozumiem.

Skęciliśmy na zachód w ulicę Market.

- Podobno Riccio wciąż się kłóćcał poszedł za Norą z jej sypialni do pracowni. Dani uczyła się w swoim pokoju i usłyszała krzyk matki. Zbiegła na dół i zobaczyła, że Riccio grozi Norze. Chwyciła ze stołu dłuto, rzuciła się między nich i wbiła je w brzuch napastnika. Riccio upadł zalany krwią, biedne dziecko wpadło w histerię i zaczęło wrzeszczeć. Przybiegł Karol, za nim służąca. Nora poleciła Karolowi wezwać lekarza, a sama zadzwoniła po mnie. Kazałem jej zawiadomić policję, ale poprosiłem, żeby nie składała zeznań, dopóki nie przyjadę. Byłem w ciągu dwudziestu minut. Policja przyjechała o dziesięć minut wcześniej.

Zgasilem papierosa.

- No, a jak to wyglądało naprawdę?

- Czy przypuszcza pan, że to Nora go zabiła? Skinałem głową.

Długo trwało, nim odpowiedział.

- Nie sądzę. Rozmawiałem z Norą i z Dani, nim złożyły zeznania. Wszystko co mówiły, zgadzało się.

- Miały czas wymyślić odpowiednią historyjkę. Znow pokręcił przecząco głową.

- W takich sprawach mam za dużo doświadczenia, żeby dać się nabrać. Zresztą obie były bliskie histerii, nie potrafiłyby czegoś takiego wymyślić.

- Nie było innych świadków?

- Nie.

- No i co stało się potem?

- Doktor Bonner, który przyjechał przede mną, zabrał Norę na górę i zrobił jej zastrzyk. Poprosiłem sierżanta Flynną, żeby do pana zadzwonił, a sam pojechałem z Dani na komisariat, gdzie złożyła zeznanie. Odczytałem je głośno i Dani, choć jej to odradzałem, uparła się, że podpisze. Stamtąd pojechaliśmy do schroniska dla nieletnich. Na szczęście udało mi się przekonać kierowniczkę, żeby zadzwoniła do sędziego z Sądu

dla Nieletnich i ten, gdy mu odczytałem diagnozę doktora Bonnera, zgodził się, żeby Dani spędziła noc w domu. Zawiozłem ją do babki i stamtąd do pana zatelefonowałem.

Byliśmy już w alei Portala, wjeżdżaliśmy na wzgórze. Z prawej strony zobaczyłem plac budowy.

Wielka tablica głosiła:

### **DIAMENTOWE WZGÓRZA**

To tu przyjeżdżałem po choinki na początku małżeństwa z Norą. Pamiętam, że chciałem zbudować tu moje pierwsze osiedle, ale miasto nie wyraziło zgody. Teraz jednak terenów pod zabudowę było mniej i cena ich bardzo wzrosła. Władze miejskie postanowiły zarobić.

Przyjrzałem się krytycznie budowie. Nie, to była dobra robota.

Zwróciłem się znów do Gordona.

- Właściwie dlaczego zdecydował się pan po mnie zadzwonić?

Wzruszył ramionami.

- Czy ja wiem? Podpowiedział mi to szósty zmysł. Czułem, że na pana można liczyć.

- Nawet po tym, co Nora oświadczyła wtedy sędziemu?

Nie od razu odpowiedział. Na szczycie wzgórza musieliśmy ostro skrócić w aleję Woodside. Z prawej strony stał rząd ciemnoszarych budynków. Wjechaliśmy w bramę, znaleźliśmy się po drugiej stronie owych budynków. Zobaczyłem małą tablicę z napisem:

### **IZBA PRZYJĘĆ NIELETNICH**

Gordon zatrzymał wóz i dopiero teraz spojrzał mi prosto w oczy. Powiedział bezbarwnym tonem:

- To, co ja myślę, nie ma tu najmniejszego znaczenia. Ważne jest, co myśli pan. Albo uważa się pan za jej ojca, albo nie.



Otworzyłem drzwiczki i wysiadł. Usłyszałem warkot auta. Spojrzałem w lusterko i zobaczyłem jaguara Nory. Wolno wziętem za klamkę.

## 8

Nim jeszcze Nora zdążyła opuścić auto, otoczyli nas reporterzy i fotografowie. Gordon pokazał mi drzwi z tyłu.

- Niech pan ją tam jak najszybciej wprowadzi. Pierwsza wysiadła Nora, podtrzymałem ją. Błysnęły flesze. Odwróciła się i oboje pomogliśmy wysiąść Dani. Ręce miała zimne jak lód, czułem jak drzą.  
- Nie patrz na nich, kochanie. Chodź szybko ze mną. Dani skinęła -głową i ruszyliśmy w stronę drzwi. Obstąpili nas reporterzy.

- Prosimy na minutkę przystanąć - zawołał jeden z nich.

Poczułem, że Dani chce instynktownie posłuchać tego autorytatywnego głosu. Pociągnąłem ją za sobą.

- Szybko, złotko.

Gordonowi udało się do nas przepchać i otoczyliśmy Dani zwartym kręgiem, prowadząc ją w stronę drzwi.

- Zmywajcie się, bracia - poprosił Gordon. - Dajcie małej szansę.

- Właśnie próbujemy, ty kauzyperdo - gdzieś z głębi tłumu dobiegł ochryply głos. - Chcemy dać na okładki zdjęcie najmłodszej morderczyni, jaką wziął pan pod swoje skrzydła.

Dani zbladła, ugięły się pod nią nogi. Objąłem ją ramieniem.

- Dajcie jej spokój, bo wam przywalę - krzyknąłem.

Nagle uspokoił się. Nie wiem, czy przerazili się mojego gniewu, czy też zawstydzili się tamtego głupiego okrzyku, ale pozwolili nam przejść. Niemal wniosłem Dani do środka, za nami weszli Nora i Gordon. Gordon zamknął drzwi.

Dani opierała się o mnie przymknąwszy oczy. Była tak blada, że jaskrawo odznaczała się na jej twarzy nawet ta ledwie różowa szminka. Przytuliłem jej głowę do ramienia.

- Uspokój się, małeńka.

Czułem, jak drży. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie słowa. Przebiegł ją dreszcz.

- Tu jest ławka, panie Carey. - Biała ubrana pielęgniarka pokazała mi ławkę i dopiero wtedy ją zauważyłem.

Podprowadziłem tam Dani i usiedliśmy. Wciąż ukrywała twarz na moim ramieniu. Pielęgniarka podała mi flakon z solami trzeźwiącymi.

- Niech pan jej każe powąchać.

Wziąłem flakonik i podsunąłem Dani pod nos. Sam poczułem ten zjadliwy zapach. Dani zaczęła kaszleć.

Pielęgniarka odebrała ode mnie flakon i podała mi szklankę wody. Dani posłusznie zaczęła pić. Spojrzała na mnie. Troszeńkę się zaróżowiła.

- Już okay, tato - szepnęła.

- Na pewno?

Skinęła głową. Miała fiołkowe oczy tak jak Nora, ale patrzyły łagodniej, bardziej miękko. Teraz jednak wyglądały staro, kryło się w nich znużenie i ból.

- Przyzwyczaję się do tego, tatusiu. Tylko to musi potrwać.

- Do niczego się nie będziesz musiała przyzwyczajać - zaprzeczyłem gniewnie.

Uśmiechnęła się.

- Nie martw się, tatusiu. Wytrzymam.

Zobaczyłem wzrok Nory. Znałem to spojrzenie. Często spoglądała tak na mnie i na Dani. Jakbyśmy byli przybyszami z innej planety. Na twarzy jej pojawiło się znane mi rozdrażnienie.

- Czy możesz już podejść do biurka, dziecko? - spytała pielęgniarka.

Dani skinęła głową. Kiedy wstawała, wziąłem ją pod ramię. Odsunęła moją rękę i zrozumiałem, że ona także zauważyła wyraz twarzy Nory.

- Dam sobie radę, tatusiu.

Podszedłem z nią do rejestracji. Na ścianie wisiał napis:

**WEJŚCIE DLA DZIEWCZĄT**

Wyglądało to jak w tanim hoteliku. Pod tym napisem widniała instrukcja napisana drobnym drukiem:

**DZIEWCZĘTA MOGĄ WZIAĆ ZE SOBĄ TYLKO JEDNĄ JASNĄ POMADKĘ DO UST.  
WSZYSTKO POZA TYM NALEŻY ODDAĆ NA PRZECHOWANIE**

Za biurkiem siedziała stateczna siwa niewiasta.

- Pańska córka nie musi już nic podpisywać, panie Carey. Wczoraj załatwiliśmy wszystkie formalności. Teraz ma tylko oddać na przechowanie wszystkie wartościowe przedmioty.

Dani położyła na biurku torebkę.

- Mogę zatrzymać tylko pomadkę do ust i grzebień? Niewiasta skinęła głową.

Dani otworzyła torebkę, wyjęła grzebień i pomadkę. Potem zdjęła zegarek i sznurek pereł i schowała je do torebki. Zaczęła zdejmować pierścionek i nie mogła go ściągnąć z palca. Spojrzała pytająco na niewiastę za biurkiem.

- Przykro mi, Dani, ale musisz go zostawić.

Dani przez chwilę ssała palec. Wreszcie udało jej się zdjąć pierścionek - zostawił na palcu białą smugę. Chwilę się wahała, potem mi go podała.

- Przechowasz mi go, tatusiu?

Coś w jej głosie nakazało mi przyjrzeć się bacznie pierścionkowi. Poczułem, że ściska mi się serce. W La Jolla panował upał, ona skończyła sześć lat i za ostatnie piętnaście dolarów kupiłem jej małą złotą obrączkę. Kazałem wyryć na niej inicjały D.N.C. - Daniela Nora Carey. Zauważyłem, że została poszerzona. Przez chwilę nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Skinąłem głową i schowałem pierścionek do kieszeni.

W tym momencie znów otworzyły się drzwi i weszła pani Hayden.

- Ach, ci przekłęci reporterzy! Powiedziałam im, co o nich myślę.

Podeszła do nas.

- Wszystko w porządku, kochanie?

- Tak, babciu.

- Pora na ciebie, Dani - oznajmiła cicho siwa kobieta. - Panna Geraghty zaprowadzi cię na kwaterę dziewcząt.

Nagle Dani musiała się poczuć strasznie osamotniona. Na jej buzi pojawił się strach. Pociemniały jej oczy.

Panna Geraghty próbowała natchnąć ją otuchą.

- Nie bój się, dziecko. Zajmiemy się tobą.

Dani zaczerpnęła powietrza. Podeszła do matki, żeby ją ucałować. Nora wybrała tę chwilę na odegranie dramatycznej sceny.

- Moje małeństwo! - zawołała. - Nie, nie pozwolę im cię zabrać.

Tylko tego brakowało. Dani rzuciła się w ramiona matki i zaczęła histerycznie łkać. Wszyscy otoczyli je, starając uspokoić. Tak, Nora miała także talent aktorski. Ocierała łzy nawet pielęgniarce, przyzwyczajona do podobnych scen.

Sprawnie i szybko rozdzieliła je i wyprowadziła płaczącą Dani. Nad drzwiami widniał następny napis:

## **SALE DZIEWCZĄT**

Nora, wciąż płacząc, spojrzała na Gordona. Podał jej chustkę do nosa i ukryła w niej oczy. Ale i tak zdążyłem dojrzeć w nich wyraz triumfu. Obserwowałem ich, gdy szli w stronę drzwi, potem zwróciłem się do starej pani Hayden.

Była przygnębiona i zatroskana.

- Może byś, Łukaszu, wpadł do mnie na lunch. Mamy wiele spraw do omówienia.
- Bardzo dziękuję. Ale muszę wrócić do motelu i odpocząć. Nie spałem całą noc.
- To jutro na kolację. Będziemy tylko we dwoje. Zastanawiałem się, o co może chodzić. Starsza pani niczego nie robiła bez powodu.
- Zadzwoń.

Chwilę przyglądała mi się w milczeniu i westchnęła.

- Nie musisz się mnie bać, Łukaszu. Ja tę małą kocham. Naprawdę kocham.

Oczy jej przybrały błagalny wyraz i zrozumiałem, że mówi prawdę. Po raz pierwszy widziałem, jak o coś prosi.

- Wiem, mamó Hayden. Spojrzała na mnie z wdzięcznością.
- Nie zapomnij zadzwonić.
- Obiecuję.

Ruszyła w kierunku drzwi. Ja podszedłem do siwej recepcjonistki, która wróciła do swojej maszyny do pisania.

- Kiedy będę mógł odwiedzić córkę?
- Jutro niedziela. Dziewczęta można odwiedzać co niedziela między drugą trzydzieści a trzecią. Ale robimy wyjątki dla nowo przybywających.
- Będę jutro o wyznaczonej porze.
- Niech pan przedtem tu zajrzy, panie Carey. Będzie na pana czekała przepustka.

- Dziękuję.

Wyszedłem z gmachu. Auto Nory znikło, większość reporterów rozeszła się, ale Gordon stał koło swojego cadillaca rozmawiając z dwoma dziennikarzami. Skinął na mnie.

- Oto John Morgan z „Kroniki” i Dan Prentiss z AP

- przedstawił mi obu panów.

- Chciałem pana przeprosić za naszego kolegę, panie Carey - powiedział Morgan. - Proszę mi wierzyć, że nie wszyscy jesteśmy tacy.

- Ja także, panie pułkowniku - dorzucił facet z AP.

- Pragnę wyrazić panu moje najgorętsze współczucie i jeśli mógłbym w czymś dopomóc, proszę mi dać znać.

- Dziękuję panom.

Uścisnąłem im ręce i odeszli. Zwróciłem się do Gordona.

- No i co teraz? Spojrzał na zegarek.

- Muszę wracać do biura. Całe popołudnie będę zajęty. Gdzie będę mógł złapać pana koło szóstej?

- Będę w motelu.

- Świetnie. Zadzwoń i umówimy się. - Nagle się uśmiechnął. - Miałem rację. Dobrze jest mieć pana u boku, kiedy się człowiek znajdzie w opałach. Wspaniale się pan zachował.

- A co ja takiego zrobiłem?

- Zareagował pan tak jak należało. Teraz wszyscy dziennikarze będą po naszej stronie.

- Wszyscy? To kto wtedy zawołał? Uśmiechnął się.

- Mój szofer. Już się bałem, że się spóźni. Patrzyłem na niego otwartymi oczyma. Powinienem był się domyślić. Nie na darmo nazywano go najsprytniejszym adwokatem.

Otworzył drzwiczki wozu.

- Byłbym zapomniał. Oto pańskie kluczyki. Auto stoi

na ulicy. Mój szofer czeka na mnie o parę bloków dalej. Nie chciałem, żeby go tu ktoś rozpoznał. Wziąłem kluczyki i przyglądałem się, jak wsiada do cadillaca. Dopiero gdy znikł mi z oczu, poszedłem w kierunku swojego auta.

Minąłem kolczaste ogrodzenie, za którym stały baraki. W którymś z nich znajdowała się moja córka. Poczulem rozpacz. Jakże musiała być osamotniona.

Zastanawiałem się, czy Nora odczuwa to samo. Jak zwykle Norze udało się podporządkować sobie moje myśli i zacząłem wspominać przeszłość.

9

Mój miesiąc miodowy trwał trzy tygodnie, które pozostały mi z urlopu. I w gruncie rzeczy tyleż czasu trwało nasze małżeństwo. Bo upłynęły niemal dwa lata, nim wróciłem. Stało się to dopiero rok po wojnie i nigdy już potem nie było między nami tak jak wówczas.

Nora nie odwiozła mnie na lotnisko, bo nie lubiła pożegnań. I nie czekała na mnie, kiedy wróciłem. Za to czekała na mnie jej matka.

Stała na lotnisku, gdy schodziłem ze schodków samolotu. Nie poniżyłaby się czekając tak jak zwykli śmiertelnicy w budynku, gdzie było na to miejsce. Wyciągnęła rękę.

- Witaj w domu, Łukaszu. Nareszcie. Ucałowałem ją w policzek.

- Nareszcie. Gdzie Nora?

- Strasznie mi przykro, ona jest w Nowym Jorku. Twoja depesza przyszła dopiero wczoraj.

- W Nowym Jorku?

- Dziś wieczorem odbywa się wernisaż jej pierwszej powojennej wystawy. Nie wiedzieliśmy przecież, że wracasz. - Zobaczyła na mojej twarzy rozczarowanie. - Zadzwoiłam do niej wczoraj wieczorem i bardzo się przejęła. Prosi, żebyś do niej zaraz zatelefonował.

Krzywo się uśmiechnąłem. Znów ten pech. Przez cały ostatni rok nic mi się nie udawało. Za każdym razem, kiedy już myślałem, że lada dzień wrócę, coś stawało na przeszkodzie. Gdybym nie dostał awansu na pułkownika i nie został przeniesiony do sztabu, już od pół roku byłbym w domu tak jak wszyscy moi koledzy.

- Jak się ona miewa? - spytałem. Nora niezbyt lubiła pisać. Miałem szczęście, jeśli dostawałem list raz na miesiąc. Gdyby nie jej matka, byłbym najczęściej pozbawiony wiadomości. Za to starsza pani pisywała do mnie regularnie co tydzień.

- Świetnie., Ciężko pracowała, by przygotować tę wystawę. Ale znasz Norę. Nie umie siedzieć beczynn timer.

- Tak.

Wzięła mnie pod ramię.

- Ruszamy do samochodu. Karol odbierze twój bagaż. Po drodze do domu gawędziliśmy o nieważnych

sprawach. Wyczuwałem, że starsza pani, choć tego nie okazuje, jest dosyć zdenerwowana. Właściwie nic dziwnego. Dopiero teraz miało się okazać, jak ułożą się między nami stosunki. Ja też byłem spięty. Kiedy weszliśmy do domu, starsza pani oznajmiła mi, że numer telefonu galerii Scaasiego leży w bibliotece.

Poszła po schodach za kamerdynerem niosącym moje bagaże, a ja wkroczyłem do biblioteki.

Karteczka z numerem telefonu leżała tam, gdzie powiedziała. Podniosłem słuchawkę i zamówiłem międzymiastową. Szybko dostałem połączenie.

- Galeria Scaasi - oznajmił jakiś głos. Słyszałem wrzawę rozmów.



- Chciałbym mówić z panią Hayden.

- A kto mówi?

- Jej mąż. Dzwonię z San Francisco.

- Proszę chwileczkę poczekać. Postaram się ją znaleźć.

Czekałem nieskończenie długo, a przynajmniej tak mi się wydawało. Wreszcie znów usłyszałem tamten głos.

- Strasznie mi przykro, panie Hayden, nie mogę jej znaleźć.

Panie Hayden! Pierwszy raz tak mnie nazwano, ale nie ostatni. Później mnie to wkurzało, ale wówczas tylko rozśmieszyło.

- Nazywam się Carey. Czy nie ma u państwa Sama Corwina?

- Zaraz zobaczę. Chwileczkę. Do telefonu podszedł Sam.

- Cześć, Łukasz. Witaj w domu.

- Dzień dobry, Samie. Gdzie jest Nora?

- Nie wiem - odparł. - Przed chwilą tu była. Czekala na twój telefon. Wiesz, jak to bywa na wernisażach. Musiała wyjść coś zjeść. Cały dzień nic nie jadła. Mieliśmy straszne zawracanie głowy.

- Wyobrażam sobie. Jak się udał wernisaż?

- Wspaniale. Jeszcze przed wernisażem Scaasi sprzedał większość rzeźb. I szykują się wielkie rozmówienia. Cóż mogłem jeszcze powiedzieć?

- Poproś ją, żeby do mnie zadzwoniła. - Spojrzałem na zegarek, była szósta, czyli w Nowym Jorku była dziewiąta. - Nie będę się ruszał z domu.

- Dobrze, Łukasz. Jesteś u jej matki, tak?

- Tak.

- Jak tylko ją odzuję, zaraz zadzwoni.

- Dziękuję. Do widzenia, Samie.

Odłożyłem słuchawkę i wyszedłem z biblioteki. Pani Hayden czekała w holu.

- Rozmawiałeś już z Norą?

- Nie. Wyszła na kolację.

Moja teściowa nie wyglądała na zdziwioną. - Mówiłam jej, że zadzwonisz koło szóstej.

Ku własnemu zdumieniu zacząłem bronić Nory.

- Sam powiada, że miała ciężki dzień. Przecież wiesz jak wyglądają te nowojorskie wernisaże.

Spojrzała na mnie tak jakby chciała mi coś powiedzieć. Ale zmieniła zdanie.

- Musisz być zmęczony po tym twoim locie. Idź na górę i umyj się. Zaraz będzie kolacja.

Poszedłem do swego pokoju, a ona zamknęła się w bibliotece. Dopiero dużo później dowiedziałem się, że zatelefonowała do Sama.

On niechętnie odebrał telefon, dobrze wiedział, kto to może dzwonić.

- Dobry wieczór, pani Hayden.

- Gdzie jest moja córka? - spytała pani Hayden gniewnym głosem.

- Nie wiem, proszę pani.

- Przecież nakazałam panu, żeby pan dopilnował, by Nora odebrała telefon męża.

- Powtórzyłem Norze wszystko, co mi pani powiedziała. Obiecała, że to zrobi. I nagle, przed chwilą, znikła.

- Gdzie ona jest? - spytała powtórnie starsza pani.

- Już pani mówiłem, że nie wiem.

- Więc niech jej pan poszuka. Zaraz. I zmusi ją, żeby natychmiast zadzwoniła do domu.

- Tak, proszę pani.

- I niech pan ją wsadzi do najbliższego samolotu do San Francisco. Rozumie pan, panie Corwin? - spytała chłodno i stanowczo.

- Tak, proszę pani. - Wyłączyła się. Z wolna odłożył słuchawkę. Rozmasował skronie. Czuł zbliżającą się migrenę. A nie miał pojęcia dokąd mogła pójść Nora.

Przecisnął się przez zebranych gości i wyszedł w noc. Pięćdziesiąta Siódma Ulica była niemal pusta. Spojrzał w jedną stronę, spojrzawszy w drugą, w myślach rzucił monetę: orzeł czy reszka. Zdecydował się i ruszył w stronę Park Avenue. Musi zajrzeć do wszystkich lokali, równie dobrze może zacząć od „El Morocco”.

Nagle zobaczył neon drogerii. Powodowany impulsem wszedł i zadzwonił do znajomego detektywa. Znaleźli ją dopiero o drugiej nad ranem. Weszli na trzecie piętro rudery w Village.

- Tak, to na pewno tu - zauważył detektyw i wciągnął powietrze. - Wystarczyłoby chwilę postać, żeby wpaść w narkomanię.

Sam zapukał do drzwi. Nora powinna tu być. Spotkała tego chłopaka w barze na Ósmej Alei, w którym przesiadywali bezrobotni aktorzy. Sam ze zdziwieniem dowiedział się, że od przyjazdu do Nowego Jorku stale się z nim widywała. A gotów był przysiąc, że jak najdokładniej zna jej rozkład dnia.

Po chwili zza drzwi odezwał się głos.

- Jestem zajęty.

Sam znów zastukał. Teraz tamten głos zabrzmiał gniewnie.

- Zmywajcie się. Już mówiłem, że nie mam czasu. Detektyw uważnie przyjrzał się drzwiom i kopnął je.

Otworzyły się z hukiem.

Z ciemności wypadł młody mężczyzna i rzucił się na nich. W mgnieniu oka detektyw znalazł się między Samem a chłopakiem, chłopak zaś rozciągnął się jak długi. Spojrzał na nich z oburzeniem trzymając się za brodę.

- Czy jest tu Nora Hayden?

- Nie, nie ma tu takiej osoby - odpowiedział szybko chłopak.

Sam przyglądał mu się przez chwilę bez słowa, potem zrobił duży krok w stronę prowadzących w głąb

mieszkania drzwi. Otworzyły się. Stała w nich zupełnie naga Nora z papierosem w ustach.

- O, Sam! - zaśmiała się. - Chcesz wziąć udział w bankiecie? Znudziło ci się w galerii? - zawróciła. -

Chodź, chodź - powiedziała przez ramię. - Mamy tu dosyć trawki dla całej Meksykańskiej Armii.

Sam szybko ją zatrzymał, wyjął jej z ust papierosa i rzucił na ziemię. Poczł kwaśny zapach marihuany.

- Ubieraj się.

- Po co? - zapytała kłótliwie.

- Wracasz do domu.

Zacęła się śmiać. - Dom, kochany dom! Nie ma jak choćby najskromniejszy dom.

Sam uderzył ją w twarz. Zachwiała się.

- Masz się natychmiast ubrać.

- No, no - młody mężczyzna wstał. Podchodząc do Sama zatknął kciuki za pasek. - Czego pan od niej chce? Jest pan jej mężem, czy co?

Nora znów zaczęła się śmiać. - A to dobre! Mąż? Mój mąż jest o tysiąc mil stąd. To wynajęty przez moją matkę podwórzowy pies.

- Twój mąż wrócił do domu. Dziś wieczorem. Próbował się do ciebie dodzwonić.

- Nie było go dwa lata. Parę dni więcej nie powinno mu już zrobić różnicy.

- Ty chyba nie słyszysz, co do ciebie mówię - spokojnie powtórzył Sam. - Łukasz jest w domu.

Nora spojrzała. - No i dobrze. Kiedy urządzamy defiladę?

Nagle zbladła i pobiegła do łazienki. Sam usłyszał jak wymiotuje, potem zaszumiała spuszczana woda, potem zaczęły gwizdać rury.

Po paru minutach Nora wyszła, przytulając do twarzy mokry ręcznik.

- Jestem chora, Samie, jestem chora.

- Wiem.

- Nie, nie wiesz - zaprzeczyła. - Nikt nie wie. Nikt nie wie, co to znaczy kłaść się co wieczór samej do łóżka i chcieć chłopca.

- Czy to naprawdę takie straszne?

- Może dla ciebie nie! - rozgniewała się. - Ale ja po pracy jestem podekscytowana. Nie mogę usnąć. Potrzeba mi odprężenia.

- Nie przyszło ci na myśl, żeby wziąć zimny prysznic?

- Bardzo śmieszne! - zawołała. - Czy sądzisz, że to co robię, rodzi się tutaj? - Wskazała na głowę. - O, nie! Tutaj - dotknęła nagiego łona. - Tu, i z każdą nową rzeźbą czuję tu większą pustkę. I coś musi ją zapełnić! Słyszysz pan, panie krytyku sztuki?

Sam pokazał jej zmiętą suknię leżącą na rozbabranym łóżku.

- Ubieraj się! Matka kazała, żebyś natychmiast zadzwoniła do Łukasza.

Spojrzała na niego dziwnym wzrokiem.

- Czy mama wie?

- Zawsze wiedziała. Powiadomiła mnie o tym, kiedy zgodziłem się zostać twoim menedżerem.

Nora upadła na łóżko.

- Nigdy ze mną o tym nie rozmawiała.

- A co by to dało?

W oczach Nory pojawiły się łzy.

- Nie, nie mogę. Nie mogę tam wrócić.

- Owszem, możesz. Twoja matka nakazała mi, żeby zaraz potem, jak zadzwonisz do Łukasza, wsadził cię do samolotu. - Naprawdę?

- Tak.

- A co z Łukaszem? On wie?

- O ile mi wiadomo - nie. Zdaje się, że twojej matce zależy na tym, żeby się nie dowiedział.

Nora siedziała przez chwilę w milczeniu, potem głęboko odetchnęła.

- Myślisz, że to mi się uda? Teraz, kiedy Łukasz wrócił, nie będę już nocami sama...

Zaczęła się ubierać.

- Uda ci się dostać bilet jeszcze tej nocy? - spytała głosem podnieconego dziecka.

- Wsadzę cię do pierwszego samolotu, który odleci. Uszczęśliwiona uśmiechnęła się.

- Zobaczysz, będę dla niego dobrą żoną. - Włożyła biustonosz i odwróciła się do niego tyłem. - Samie, pomóż mi zapiąć.

Podszedł i zapiął jej biustonosz. Włożyła suknię i wróciła do łazienki. Kiedy w parę minut później wyszła, wyglądała tak świeżo, jakby po dobrze przespanej nocy wzięła prysznic.

Podeszła do niego i niespodziewanie pocałowała go w policzek.

- Dziękuję, Samie, żeś mnie odnalazł. Bałam się wracać. Bałam się go zobaczyć. Ale teraz już wszystko będzie dobrze. Chciałam, żebyś mnie odszukał i zrobiłeś to.

- Jeżeli naprawdę chciałaś, to mogłaś mi zostawić wiadomość.

- To by nie było to samo. Musiało się stać tak, jak się stało. Chciałam, żeby ktoś oprócz mnie samej wiedział, co czuję.

Otworzył drzwi.

- Ruszamy.

Przeszła przez sąsiedni pokój, nawet nie rzuciwszy okiem na siedzącego na krześle młodego aktora.

## 10

Karol postawił przede mną szklankę pomarańczowego soku. Było to w parę miesięcy po moim powrocie. Zacząłem pić, gdy do jadalni weszła teściowa.

Przywitała mnie uśmiechem.

- Dzień dobry, Łukaszu. - Usiadła i rozwinęła serwetkę. - Jak Nora?

- Chyba nieźle. Dobrze spała i już chyba przestała miewać te poranne mdłości.

Skinęła głową.

- Nora jest silną, zdrową kobietą, nie powinna mieć żadnych kłopotów.

Przytaknąłem. Zaledwie w sześć tygodni po moim powrocie do domu odkryła, że jest w ciąży.

Któregoś wieczoru, gdy wróciłem z biura, zastałem ją w ataku hysterii. Leżała w poprzek łóżka i gniewnie szlochała.

- Co się stało? - Już parę razy widziałem ją w takim stanie, gdy nie udawało jej się nadać kształtu temu, co sobie wyobraziła.

- Nie chcę tego! Pozbędę się go! - krzyknęła.

- Uspokój się. Czego nie chcesz?

- Ten cholerny lekarz twierdzi, że jestem w ciąży. Bezwiednie uśmiechnąłem się.

- To się zdarza.

- Widzę, że cię to śmieszy! Wy, mężczyźni, jesteście wszyscy tacy sami. Pewnie jesteś z siebie dumny!

- Nie mogę powiedzieć, żebym się zmartwił - przyznałem. Przestała płakać i cały gniew skierowała na mnie.

- Tobie rodzenie dziecka nie przeszkodzi pracować. Ty nie zamienisz się w brzuchatego potwora, na którego przykro będzie spojrzeć. Nie chcę mieć dziecka! Pozbędę się go! Znam lekarza, który...

Podszedłem do niej.

- O, nie!
- Nie powstrzymasz mnie! - wrzasnęła zrywając się z łóżka i biegnąc ku drzwiom.  
Wziąłem ją za ramiona.
- Owszem, powstrzymam.
- Bo tobie już przestało na mnie zależeć! Nic cię nie obchodzi, że umrę rodząc to dziecko. Obchodzi cię tylko ono!
- To nieprawda. Myślę właśnie o tobie. Skrobanki bywają niebezpieczne. Musisz urodzić dziecko.  
Z jej oczu zniknął gniew.
- Więc chodzi ci o mnie?
- Przecież wiesz.
- I kiedy się to dziecko urodzi, nie zejdem na dalszy plan?
- Noro, jesteś dla mnie jedyną osobą na świecie. I to dziecko pogłębi tylko moją miłość.  
Chwilę milczała.
- Będziemy mieć syna.
- Skąd wiesz? Dziecka nie da się wyrzeźbić w twojej pracowni.  
Spojrzała mi w oczy.
- Wiem. Wszyscy mężczyźni chcą mieć syna i będziesz go miał. Postaram się.
- Ja równie chętnie przyjmę córeczkę. Wysunęła się z moich ramion i podeszła do lustra.  
Zdjęła koszulę, odwróciła się bokiem i przyjrzała swemu odbiciu.
- Mam już brzuszek.
- Roześmiałem się. Jej brzuch był płaski jak deska do prasowania.
- Na to jeszcze za wcześnie.
- O, nie! Lekarz mówił, że u niektórych kobiet widzi się to wcześniej. A ja już czuję ciężar.
- Ale tego nie widać.
- Czyżby? - spytała. Odwróciła się i zobaczyła mój kpiący uśmiech. - Pokażę ci!



Przewróciła mnie na łóżko i położyła się na mnie.

- Czujesz?

- Czuję się cudownie...

- Prawda? - W jej tonie pojawił się zmysłowy podtekst. Pocałowała mnie i jej ciało zaczęło żyć.

- Chwileczkę... Czy jesteś pewna, że ci nie zaszkodzi? - spytałem z ostrożności.

- Nie bądź niemądry. Lekarz twierdzi, że możemy się kochać jak zawsze. Tyle, żebyś się na mnie nie kładł. Kobieta ma być górą!

Zachowałem się tak, jakbym pierwszy raz o tym słyszał. Ale zaraz zacząłem się śmiać, podniosłem ręce i nogi.

- Bierz mnie. Jestem twój.

Następne dni były jednak ciężkie. Zwłaszcza poranki. Zaczęła mieć mdłości.

- Jak tam w pracy? - spytała teściowa.

- Okay. Staram się we wszystkim zorientować. Niewiele mam jeszcze roboty.

- To musi potrwać.

- Wiem - spojrzałem na nią. - Chyba powinienem jeszcze postudiować. Podczas mojej nieobecności wprowadzono nowe technologie. Na przykład jako elementu konstrukcyjnego zaczęto używać aluminium. Nic o nim nie wiem.

- Nie musisz się spieszyć.

Kiedy tak mówiła, wiedziałem, co to oznacza. Że ona wie coś, czego ja nie wiem. Ale na nic by się nie zdało pytać. Powie mi, kiedy to uzna za stosowne. Albo nie powie i będę się musiał dowiedzieć sam. Ta moja teściowa była rzeczywiście niezwykłą kobietą. Umiała rządzić. Na przykład ten dzień, kiedy pierwszy raz miałem iść do biura.

Wezwała mnie do biblioteki i w milczeniu podała mi przygotowaną kopertę.

Otworzyłem ją z ciekawością. Wypadły akcje. Podniosłem je i obejrzałem. Były to akcje Hayden i Carruthers.

Dwadzieścia procent akcji tego przedsiębiorstwa. Przepisane na moje nazwisko. Położyłem je na biurku.

- Na to jeszcze nie zarobiłem. Uśmiechnęła się.

- Zarobisz.

- Może tak, może nie - odparłem. - Ale chwilowo nie mam do nich prawa. Nie mogę ich wziąć. Czuję się jak ostatni idiota. W biurze są ludzie, którzy tam pracują od lat. Jakby oni na mnie patrzyli?

- Nie widziałeś dziś gazet?

- Nie.

- To spójrz - powiedziała podając mi „Kronikę”. Otwarta była na stronie omawiającej finanse. Przeczytałem tytuł jednego z artykułów.

### **NOWY WICEPREZES FIRMY HAYDEN I CARRUTHERS**

I moje zdjęcie. Szybko przeczytałem notatkę.

- To się nazywa zaczynać na samym szczycie drabiny - zauważyłem oddając jej gazetę.

- Nikt z rodziny Haydenów nie może zacząć inaczej. Nie miało sensu tłumaczyć jej, że nie jestem Hayde-

nem. Ona miała na ten temat własne zdanie. Nie zamierzała stracić córki, chciała zyskać syna.

- Mam nadzieję, że mój upadek nie odbędzie się równie szybko.

- Ty, Łukasz, masz dość dziwne poczucie humoru.

- Łatwo przyszło, łatwo pójdzie.

- Nie mów tak! - Potem uśmiechnęła się. - Dasz sobie radę, Łukasz. Wiem, że dasz.

- Mam nadzieję - oświadczyłem i ruszyłem w stronę drzwi.

Zatrzymał mnie jej głos.

- Zapomniałeś wziąć akcje.

- Pani je dla mnie schowa. Kiedy dojdę do wniosku, że na nie zasłużyłem, sam się po nie zgłoszę.

Chwilę mi się przypatrywała, potem schowała akcje do biurka.

- Rozumiem. I pochwalam. Zachowujesz się jak prawdziwy Hayden.

Na to nie znalazłem odpowiedzi.

- Powodzenia!

Odpowiedziałem jej uśmiechem.

- Dziękuję.

I od tamtej pory czułem się dosyć niewyraźnie.

\* \* \*

Kiedy Nora zeszła na dół, kończyliśmy śniadanie. Była ubrana do wyjścia. Podniosłem brwi. Zwykle trzeba było cudu, by przed południem wyciągnąć Norę z łóżka.

Na jej twarzy malowało się podniecenie.

- Czy musisz dziś być wcześniej w biurze?

- Nie. Myślę, że dopiero po roku ktoś zauważyłby moją nieobecność.

- Wspaniale! Chcę ci coś pokazać.

- Co?

- To niespodzianka.

- O nie. Od chwili powrotu do domu miałem dosyć niespodzianek. Następnej gotów jestem nie wytrzymać. Roześmiała się.

- Ta ci się spodoba - wymieniła uśmiech z matką. - Moja przyjaciółka chce, żebyś jej przebudował dom. - No, no - ucieszyłem się. Nareszcie coś konkretnego do roboty. - Gdzie on jest?

- Niedaleko stąd. Pojedziemy tam i wytłumaczę ci o co jej chodzi.

- Wspaniale. Mogę ruszyć kiedy zechcesz.

- Jestem gotowa. Zjadłam śniadanie na górze. Dom był cudowny. Trzy skrzydła, siedemnaście pokoi, stał na szczycie Wzgórza Nob, spoglądając na zatokę. Z wielkiego holu prowadziły na górę wspaniałe marmurowe schody. Pokoje były ogromne, teraz się już

takich nie widzi. Za domem był garaż na trzy samochody, a nad nim mieszkanie dla służby. Dom zbudowany był z pięknie patynowanego kamienia, a dach pokryty błękitną dachówką, której kolor zlewał się z niebem.

- Jest piękny. Mam nadzieję, że nie żądają gruntownej przeróbki. Można go tylko popsuć.
  - Głównie chodzi o nowoczesne łazienki, założenie centralnego ogrzewania i inne zaplanowanie paru pokoi.
  - To da się zrobić - oświadczyłem przyglądając się domowi.
  - Trzeba będzie urządzić pokój dziecinny. I w północnym skrzydle pracownię dla pani domu, która miałaby odpowiednie oświetlenie. No, i gabinet dla pana domu, który byłby równocześnie pracownią, gdyby zaprzagnął projektować w domu.
- To ostatnie zdanie dało mi do myślenia.
- Czyj to dom?
  - Nie zgadłeś?
  - Obawiam się, że zgadłem.
  - Kupiła go dla nas moja matka.
  - Coś podobnego! - wybuchnąłem. - Czy wiesz, ile będzie kosztować utrzymanie takiego domu? Miesięcznie trzeba będzie wydawać tyle, ile ja zarabiam w ciągu roku.
  - No i co z tego? Przecież nie musimy się martwić o pieniądze. To co dostaję z funduszu powierniczego, wystarczy nam aż nadto.
  - O tym wiem. Ale czy nie przyszło ci na myśl, że sam chcę zarobić na utrzymanie mojej rodziny? Ty i twoja matka chcecie ze mnie zrobić żigolaka.
  - Nie bądź kretyńcem! Chodzi mi tylko o to, żeby mieszkać w przyzwoitym domu, odpowiednim, by wychować w nim dziecko.
  - Dziecku nie potrzeba siedemnastopokojowego domu! Jeśli chcesz mieć własny dom, możemy kupić taki, na który będzie mnie stać.

- Akurat! - zawołała. - Ale *mnie* na to nie stać. Muszę się liczyć z moją pozycją.
  - Z twoją pozycją? A moja?
  - Żeniąc się ze mną przyjąłeś moją pozycję. I zacząłeś pracować w firmie Hayden i Carruthers. Dla całego San Francisco stałeś się członkiem rodziny Haydenów. Chcesz czy nie chcesz...
- Uprzytomniłem sobie, że ona ma rację. Było to jak zimny prysznic. Tak, wojna się skończyła i pułkownik Łukasz Carey mógłby równie dobrze być nieboszczykiem. Teraz utożsamiano mnie z Haydenami.
- Zależy mi na tym domu - oświadczyła Nora.
  - Jeśli nie zechcesz zająć się architekturą wnętrza, znajdę kogoś innego.
- Nie musiałem na nią patrzeć, żeby wiedzieć, iż tak naprawdę myśli. A dla mnie oznaczałoby to ni mniej, ni więcej, że musiałbym się zacząć ubiegać o posadę szofera, zapomnieć, że jestem architektem.
- No, dobrze - powiedziałem. - Urządzą ten dom.
  - Nie pożałujesz tego, kochanie - objęła mnie.
  - Staniesz się najślawniejszym architektem w San Francisco.
- Ale nie udało jej się ukryć błysku triumfu w oczach.

## 11

W rezultacie nie zaplanowałem tego domu. Owszem, technicznie tak - i to mnie przypisano całą zasługę. Ale wszystkie pomysły były Nory.

Miała jednak rację, że ten dom przyniesie mi sławę. Ledwie wprowadziliśmy się, miesięcznik „Twój piękny

dom" umieścił bogato ilustrowany reportaż. I po krótkim czasie stałem się najsłynniejszym projektantem miasta.

Każdy, kto był na Wybrzeżu kimś, chciał mieć dom przebudowany przeze mnie.

Błyskawiczny sukces. Powinienem być zadowolony, a chodziłem jak struty. Pewnie można to było zauważyć, bo kiedy tylko po raz pierwszy odprawiłem klientkę, w mojej pracowni pojawił się sam Jerzy Hayden.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem. Jerzy był grubą rybą. Zażywny, rumiany, pewny siebie.

Zwyklewzywał mnie przez sekretarkę.

- Jak leci, Łukaszu?

- Wszystko okay, Jerzy - odparłem. Zgasilem lampkę nad kreślarskim stołem. - Czym ci mogę służyć?

- Chciałbym z tobą pogadać.

- Dobra. - Wskazałem mu fotel. Usiadł.

- Przeczytałem miesięczne sprawozdanie. Doszedłem do wniosku, że jesteś przeciążony pracą.

- Nie uskarżam się - odpowiedziałem. - To miła odmiana po całych miesiącach bezczynności.

Skinął głową.

- Przyszło mi na myśl, że powinniśmy ci stworzyć osobny wydział. Zatrudnić paru kreślarzy, którzy pod twoim kierownictwem zajmą się mniej ważnymi projektami, a ty będziesz miał czas na bardziej ambitne poczynania.

Znałem ten język z wojska. Udałem naiwniaka.

- Jakie? Jerzy, wszyscy przychodzą do mnie z samymi duperelami!

- W tej dziedzinie istnieje duże zapotrzebowanie. Więc nie chciałbym tracić klientów dlatego, że nie masz czasu. Jeśli ktoś chce przebudować dom, a ty akurat nie możesz, to znajdzie sobie innego architekta.

- Myślisz o pani Robinson, którą właśnie odprawiłem z kwitkiem?

- Nie tylko o pani Robinson. Z całą pewnością pojawi się więcej takich pań. Przyjdą tu, bo chcą mieć podpisany przez siebie projekt. Nic ich nie obchodzi, kto konkretnie go narysuje.
- Nie oszukujmy się, Jerzy. Nie zgłaszają się tu dlatego, że szukają moich pomysłów. Większość nie ma zielonego pojęcia o architekturze. Przychodzą, bo nagle stałem się modny.
- No i co z tego, Łukaszu? Najważniejsze, że przychodzą.
- A jak długo będzie to trwać? Jeśli ich domy nie trafią na stronie poświęconych architekturze pism, szybko poszukają kogoś innego.
- Tak się nie stanie. Po to właśnie tu jesteś.
- Przestań, Jerzy - oświadczyłem ze zniecierpliwieniem. - Obaj wiemy, że sprowadza ich renoma domu Nory.

Nim się odezwał, przyjrzał się swoim rękom. Białe, miękkie wymanikiowane palce. Potem bez zmruczenia oka oświadczył: - Obaj wiemy także, że nie dorastam do pięt Frankowi Carruthersowi. A jednak po jego śmierci dałem sobie radę i firma dalej cieszy się świetną reputacją.

- Niemniej z domu Robinsonów nic się nie da zrobić. Przystudiowałem plany i otoczenie. Żeby nie wiem co wymyślić, będzie to dom, jakich wiele.
  - Im nie o to chodzi. Gotowi są wydać paręset tysięcy dolarów. Więc ktokolwiek się tym zajmie, zarobi w parę tygodni co najmniej dziesięć tysięcy.
  - Nie mam ochoty projektować takich domów.
  - Dlatego właśnie chcę, żebyś miał swój wydział. Ty skoncentrujesz się na tym, co cię interesuje, a klient będzie szczęśliwy, że to ty firmujesz projekt.
- Sięgnąłem po papierosa. Cóż, może miał rację. Bo ja rzeczywiście chciałem spróbować czegoś innego, na czym mi od dawna zależało.

- Więc co proponujesz?

- Żebyś zadzwonił do pani Robinson i poinformował ją, że mimo nawału zajęć znajdziesz dla niej czas. - Wstał. Załatwił przecież to, po co przyszedł. - I porozum się z moją sekretarką, żeby ustalić, kiedy będziemy mogli zjeść razem lunch i pogadać o twoich planach.

Zamknęły się za nim drzwi. Wiedziałem, że czekając na ten lunch mógłbym umrzeć z głodu.

Podszedłem do kreślarskiego stołu. Szkicowałem ogromną łazienkę i przylegającą do sypialni garderobę. Dla prezesa miejscowego banku. Wymyśliłem łazienkę w stylu skandynawskim, z ogromną wpuszczoną w posadzkę wanną długości ośmiu stóp, szerokości - sześciu.

Mogłaby się w niej za jednym zamachem wykapać cała rodzina i zastanawiałem się, czy o to właśnie chodzi pani domu. Poza tym wszystko miało być podwójne: bliźniacze umywalnie, dwie kabiny z prysznicami, dwa sedesy. Brakowało tylko srebrnego bidetu, pewnie nikt jeszcze nie wpadł na ten pomysł. Chwilowo.

Chwilowo. Oto właściwe słowo. Nagle ujrzałem swoją przyszłość. Całe lata projektowania takich łazienek. Droga do sławy. Carey projektuje najwspanialsze łazienki.

Tego za wiele. Zerwałem arkusz, zmiałem go i poszedłem do gabinetu Jerzego. Nie miało sensu czekać na lunch, do którego pewnie nigdy nie dojdzie, by dowiedzieć się, czego mi się nie uda zrobić. Sekretarka próbowała mnie zatrzymać.

- Pan Hayden telefonuje.

- Nic nie szkodzi — wszedłem do gabinetu. Jerzy odkładał właśnie słuchawkę.

- Co się stało, Łukasz? - spytał dość opryskliwie.

- Czy naprawdę chcesz pogadać o moich planach?

- Oczywiście.



- No, to pogadajmy zaraz. Uśmiechnął się.
- Nie jest to jeszcze odpowiedni czas.
- Skąd wiesz? Przecież ich jeszcze nie znasz.

Na to nie znalazł odpowiedzi. Po chwili wahania wskazał mi krzesło.

- Więc o co ci chodzi?

Usiadłem naprzeciwko niego i wyciągnąłem papierosa.

- Chcę zaprojektować tanie domy. Masowa produkcja oparta na planie, który będzie można modyfikować tak, by osiedle nie wyglądało monotannie. Domy te można by sprzedawać po dziesięć, jedenaście tysięcy.

Skinał głową.

- Potrzebny by był ogromny teren, żeby się to opłaciło.

Wiedziałem o tym.

- Koło Dały City jest osiemdziesiąt akrów. Akurat.
- Owszem, niezły pomysł. Czy masz kontakt z jakąś budowlaną firmą?
- Sam chciałbym się zająć budową. Chwilę milczał, bawiąc się ołówkiem.
- Zapomniałeś o jednej ważnej rzeczy.
- O czym?

- My jesteśmy firmą architektoniczną, nie budowlaną.

- Może pora to zmienić. Wiele firm architektonicznych zajmuje się także budową.

- Mało mnie obchodzi, co robią inni - oznajmił Jerzy. - Uważam, że my nie powinniśmy. Jako firma architektoniczna nie ponosimy finansowego ryzyka. Dostajemy honoraria za projekty i cześć.

Budowlańcy mają mnóstwo kłopotów.

- Ale i ogromne zyski.
- No i świetnie. Nie jestem chciwy.
- Chcesz powiedzieć, że cię to nie interesuje?

- Nie, tego nie powiedziałem. Uważam tylko, że chwilowo nie powinniśmy się tym zajmować. Oczywiście, jeśli znajdziesz firmę budowlaną, która zechciałaby takie osiedle wybudować, będziemy radzi dostarczając im projekty.

No pewnie. Wstałem. Obaj wiedzieliśmy, że żaden architekt w kraju nie odrzuciłby takiego zamówienia. Honorarium wyniosłoby sto tysięcy.

- Dziękuję - powiedziałem. - Przyznaję, że oczekiwałem takiej odpowiedzi.

Wpatrywał się we mnie i podejrzenie słodkim tonem powiedział: - Wiesz, co mi przyszło na myśl, Łukasz? Powinieneś się zdecydować, czy chcesz być projektantem czy budowniczym.

Nagle oświeciło mnie. Jerzy miał rację. Przypomniałem sobie, czemu poszedłem na architekturę. Bo chciałem budować. Budować domy, w których ludziom chciałoby się mieszkać.

Jerzy nie mógł zrozumieć, dlaczego nagle uśmiechnąłem się promiennie.

- Dziękuję ci, Jerzy - powiedziałem serdecznie. - Pomogłeś mi zrozumieć.

Pewnie podejrzał mnie o ironię, ale ja byłem zupełnie szczerzy.

Więści o mojej decyzji dotarły do domu jeszcze przed moim powrotem. Czekały na mnie teściowa i Nora.

- Widzę, że Jerzy nie stracił czasu - oświadczyłem. Na twarzy Nory malowała się wściekłość.

- Mogłeś nas przynajmniej uprzedzić, że zamierzasz podać się do dymisji.

Podszedłem do barku i nalałem sobie szklankę burbona\*.

- O czym tu było mówić? Nagle zrozumiałem, że mam tego wszystkiego po dziurki w nosie.

**\* Amerykańska 57 - procentowa whisky z kukurydzy i żyta**

- Jak to będzie wyglądało! - zauważyła Nora.
  - Nie wiem - wzruszyłem ramionami i przełknąłem łyk alkoholu. - A jak ty sądzisz?
  - To policzek dla mamy i dla mnie. Wszyscy wiedzą, co próbowaliśmy dla ciebie zrobić.
  - I pewnie dlatego nic z tego nie mogło wyjść.
  - Spojrzałem na matkę Nory. - Naprawdę nie chciałbym, żeby potraktowała to pani jako niewdzięczność. To moja wina, że po wyjściu z wojska dałem się od razu zaprząć do kieratu. Powinienem się najpierw rozejrzeć, zrozumieć czego naprawdę chcę.
- Pani Hayden zachowała całkowity spokój.
- Czy to dlatego nie chciałeś wziąć akcji?
  - Być może... Ale wtedy tego nie wiedziałem.
  - Co teraz zamierzasz zrobić? - spytała Nora.
  - Rozejrzeć się. Znaleźć pracę w firmie budowlanej i nauczyć się wielu rzeczy.
  - Jaką pracę? - spytała ironicznie - Kierowcy spychacza za siedemdziesiąt dolarów tygodniowo?
  - Obojętne, od czego zacznę - uśmiechnąłem się.
  - Co za różnica? Przecież masz dosyć pieniędzy.
  - Więc chcesz zostać zwykłym robotnikiem? A ja zadałam sobie tyle trudu urządzając ten dom tak, żebyś zdobył renomę.
  - Nie oszukujmy się, Noro. Nie myślałaś o mnie. Myślałaś o sobie.
- Chwilę mi się przyglądała i bezradnie rozłożyła ręce.
- Poddaję się. - Odwróciła się i wyszła z pokoju.
- Patrzyłem jak wychodzi. Cięża była już bardzo widoczna, ale Nora nie roztyła się. Pilnie przestrzegała diety, nie zamierzała stracić figury. Znow podszedłem do barku i nalałem sobie drinka. Kiedy odwróciłem się, teściowa wciąż mnie obserwowała.
- Nie przejmuj się Norą. Kobiety w ciąży zachowują się emocjonalnie. Trudno od nich wymagać rozsądku.

Skinałem głową. Bardzo stosowne usprawiedliwienie. Ale ja już teraz dobrze znałem moją żonę. Nora zawsze chciała, żeby wszystko działało się tak, jak ona sobie tego życzy.

- Jerzy powiedział mi, że pragniesz zbudować osiedle mieszkaniowe. Opowiedz mi o tym - poprosiła teściowa.

Usiadłem.

- Po co? On sobie tego nie życzy. To niezgodne z polityką firmy.

Pani Hayden usiadła naprzeciwko mnie.

- Ale ty i tak mógłbyś to zrobić.

- W jaki sposób? Nie mam odpowiednich kapitałów.

- Ile masz?

Na to mogłem łatwo odpowiedzieć. Siedem tysięcy wydałem na zakup stateczku w La Jolla i zostało mi dokładnie dziewiętnaście tysięcy. Piętnaście wypłaciło mi towarzystwo ubezpieczeniowe po śmierci ojca, resztę oszczędziłem z gaży wojskowej.

- Czy zainwestowałbyś w ten projekt cały twój kapitał?

- Jasne. Ale to by była kropla w morzu. Teren kosztowałby dwa tysiące za akr. Czyli natychmiast trzeba by wyłożyć sto sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Pieniądze nie grają roli - oświadczyła spokojnie. - Mogłabym się o nie postarać.

- O, nie! - podniosłem rękę. - Nie chcę pani pieniędzy. To by znów było to samo.

- Teraz ty, Łukaszu, zachowujesz się niemądrze. Przecież gdybym była kimś obcym, wziąłbyś ode mnie te pieniądze.

- To co innego. Chodziłoby pani o interes. Nie powodowałyby panią żadne osobiste względy.

- I nie powodują - oświadczyła szybko. - Przecież ty w to wierzysz. Jesteś pewien, że takie osiedle przyniesie duże zyski.

Skinałem głową.

- Jeśli wszystko dobrze pójdzie, powinno się na tym zarobić około pół miliona.  
- Czyli pokażną sumę. Wobec tego dlaczego wątpisz, że może mnie to interesować?  
Bezbledna logika. Jak zreszta opierać się temu, czego się z całego serca pragnie? Następnego dnia kupiłem teren. W dwa dni później urodziła się Daniela.  
Przeżyłem ciężkie chwile, bo przyszła na świat niemal o dwa miesiące za wcześnie. Ale lekarz uspokoił mnie, była już dobrze ukształtowanym, choć trochę zbyt małym noworodkiem.  
Nie miałem dotąd wielu okazji, by oglądać niemowlęta, ale to maleństwo podbiło mnie od razu! Było najśliczniejsze na świecie.

12

Teraz odgłosy nocy zupełnie inaczej brzmiały w mych uszach. Z dziecinnego pokoju położonego koło naszej sypialni często zdawało się dobiegać ciche gaworzenie. Nad ranem małej zdarzało się płakać i słyszałem krzatanie się niańki, która szykowała jej butelkę i uspokajała ją całym głosem.  
Podświadomie nadśluchiwałem nawet przez sen i cieszyłem się, że wszystko odbywa się tak, jak powinno. Inaczej odbierała to Nora.  
Nora wróciła ze szpitala spięta i nerwowa. Najdrobniejszy hałas budził ją, wiedziałem, że w końcu nastąpi wybuch. Wyczuwałem to w jej zachowaniu. Czekala na pretekst.  
Miałem nadzieję, że się uspokoi i obchodziłem się z nią jak z jajkiem. Łudziłem się jednak.  
Uświadomiłem

to sobie, kiedy któregoś dnia o drugiej nad ranem zapaliła stojącą na nocnym stoliczku lampkę. Cały dzień spędziłem na placu budowy. Zmęczenie i świeże powietrze sprawiły, że zasnąłem kamiennym snem, rozbudziłem się jednak natychmiast.

- Co się stało? - spytałem nie otwierając oczu. Nora siedziała na łóżku, wsparta o poduszki.

- Mała się drze.

Udając, że jestem rozespany, wstałem mówiąc:

- Zobaczę, co się stało.

Włożyłem ranne pantofle, szlafrok i wszedłem do pokoju Dani. Była tam już niańka, trzymała Dani w ramionach i karmiła ją butelką. Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

- O, pan Carey.

- Wszystko w porządku, pani Holman?

- Ależ tak. Biedactwu zachciało się jeść. Podeszedłem i przyjrzałem się Dani. Miała już zamknięte oczka i z ukontentowaniem ssała butelkę.

- Pani Carey usłyszała jej płacz.

- Niech pan będzie łaskaw uspokoić panią. Dani nic się nie stało.

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową.

- Dani była zwyczajnie głodna - oznajmiłem wchodząc do łóżka i gasząc światło. Myślałem, że Nora coś powie, ale milczała i sen skleił mi po chwili powieki.

Znów zapaliło się światło i z trudem udało mi się obudzić.

- Co się znów stało?

Nora stała koło swego łóżka z poduszką i kocem w ramionach.

- Chrapiesz!

Patrzyłem na nią bez słowa. Czułem się jak pięściarz, który cieszył się, że udał mu się unik, a tu dostaje cios prosto w twarz. Nagle rozgniewałem się.

- Okay, Noro. Nie będę spał. Czy masz jeszcze jakieś życzenia?
- Nie zachowuj się jak smarkacz.
- Nie zachowuję się. Od dłuższego czasu szukasz pretekstu do kłótni!

Podniosła głos.

- Wcale nie zamierzam się kłócić! Spojrzałem w stronę pokoju Dani.
- Obudzisz małą.
- No właśnie! - wykrzyknęła triumfalnie. - Dbasz tylko o nią. Ile razy piśnie, zaczynasz się o nią martwić. A ja mogłabym nie istnieć. Jestem tylko jej matką. Już zrobiłam swoje.

Była to ewidentna bzdura i popełniłem błąd mówiąc jej o tym.

- Nie bądź niemądra. Zgaś światło i śpij.
- Nie mów do mnie jak do dziecka. Oparłem się na łokciach.
- To nie zachowuj się jak dziecko.
- Wiem, czego byś chciał. Chciałbyś, żebym od rana do wieczora była na usługi twoje i Dani.

Zaśmiałem się. Było to takie absurdalne.

- Wiem, że nie umiesz gotować. Więc co byś miała dla nas robić? Ani razu nie nakarmiłaś dziecka, nie zagrzałaś mu nawet butelki.
- Jesteś zazdrosny!

- Zazdrosny o co?

- Jesteś zazdrosny, bo jestem artystką, jestem kimś. Więc chcesz mnie sobie podporządkować, chciałbyś zrobić ze mnie domową kurę.

Opadłem wyczerpany na poduszki.

- Przyznaję, że chwilami mogłoby to być miłe.
- No właśnie! - zawołała triumfalnie. Miałem dosyć.
- Przestań, Noro, połóż się. Muszę być skoro świt na budowie.

- Owszem, położę się. Ale nie tutaj. Mam dosyć twojego chrapania i wrzasków małej.

Ściskając kurczowo poduszkę i pled wyszła do łazienki. Nim zdążyłem wstać, usłyszałem, jak zatraskują się drzwi od pokoju gościnnego. Kiedy się tam pojawiłem, były już zamknięte na klucz.

Wróciłem do łóżka. Może dobrze się stało. Wyładuje się i jutro wszystko będzie w porządku.

Myliłem się. Kiedy następnego wieczoru wróciłem do domu, Karol przekazał mi wiadomość, że Nora pojechała do miasta na kolację z panem Corwinem i przybyłymi do miasta krytykami sztuki. Zjadłem kolację sam i do pół do dwunastej ślecząłem nad planem dróg osiedla. Potem poszedłem na górę i, jak zwykle przed pójściem spać, zajrzałem do małej.

Dani spała na boku, z kciukiem w buzi. Usłyszałem, że ktoś wchodzi. Była to niańka z butelką.

Cofnąłem się i niańka wyjęła ją z kołyski. Dani nie otwierając oczu wzięła do buzi smoczek.

- Niech mi pani pozwoli ją nakarmić - poprosiłem. Pani Holman uśmiechnęła się. Pokazała mi, jak ją trzymać, i wziąłem Dani na rękę. Na chwilę otworzyła oczka i bacznie mi się przyjrzała. Widać doszła do wniosku, że może mieć do mnie zaufanie, znów więc zamknęła ślipka i zabrała się do roboty.

Położyłem się dopiero po dwunastej, Nory wciąż nie było w domu. Zapadłem w niespokojny sen. Nie wiem, o której wróciła. Zobaczyłem ją dopiero następnego wieczoru, gdyż dopiero wieczorem Wróciłem z placu budowy. Była w zupełnie innym nastroju. Powitała mnie z uśmiechem.

- W bibliotece czeka na ciebie koktajl. Pocałowałem ją w policzek. Miała na sobie wykwinną czarną pidżamę hostessy.

- Jakoś inaczej wyglądasz. Czy zaprosiłaś kogoś na kolację?



- Nie, głuptasku. Ale byłam u fryzjera. Wydawało mi się, że jest uczesana tak jak zwykle.

- Jak spędziłaś dzień?

Sączyła koktajl, błyszczały jej oczy.

- Wspaniale! Tego mi właśnie było trzeba. Wyjść z domu i być wśród ludzi.

Skinąłem z uśmiechem głową. Burza minęła.

- Wczoraj wieczorem zjadłam kolację z Samem Corwinem i z Chadwinkesem Huntem, tym słynnym krytykiem. Obaj uważają, że powinnam zabrać się na serio do roboty. Scaasi powiedział Samowi, że następną wystawę chce mi urządzić nie później niż jesienią.

- Myślisz, że zdążysz ją przygotować?

- Jasne. Cały dzień rysowałam. Mam tysiąc pomysłów. Podniosłem do góry szklanę.

- Za twoje pomysły!

- Dziękuję - uśmiechnęła się i pocałowała mnie w policzek. - Nie gniewasz się na mnie za tamtą noc?

- Nie - odparłem spokojnie. - Byliśmy oboje podenerwowani.

Znów mnie pocałowała.

- To dobrze. Bałam się, czy się zgodzisz, żebym się przeprowadziła do innej sypialni. Nie wiem, czemu nie pomyślałam o tym wcześniej. Rodzice mieli zawsze osobne sypialnie. To dużo kulturalniej.

- Czyżby?

- Oczywiście. Nawet w małżeństwie każdy powinien mieć prawo do prywatności. - Spojrzała na mnie z powagą. - I odrobina tajemniczości każdej parze na pewno wychodzi na dobre.

Było to dla mnie nowością. Nigdy nie słyszałem, żeby któreś z moich rodziców uskarżało się na brak prywatności.

- A co mam robić, jak będę chciał się z tobą pieprzyć?

- Nie musisz być wulgarny. - Nagle uśmiechnęła się łobuzersko. - Wystarczy, że gwizdniesz!

- Tak? - spytałem podnosząc do ust palce.
- Przestań. Karol pomyśli, że oszalałeś. Dopilem koktajl.
- Pobiegnę na górę, umyję ręce i zajrzę do Dani.
- Możesz umyć tutaj. Pani Holman już ułożyła Dani do snu.

Spojrzałem na nią.

- Jak się dziś sprawowała?
- Pani Holman powiada, że jak aniołek. No, śpiesz się. Kazałam kucharce, żeby zrobiła twoją ulubioną roladę z wołowiny, i nie powinna czekać. Myślę, że po kolacji obejrzysz moją nową sypialnię.

Poleciałam Karolowi, żeby zaniósł tam dobrze zamrożoną butelkę szampana.

Zacząłem się śmiać. A więc to tak. Może ona ma rację. Dodawało to naszym stosunkom pewnej pikanterii. Gdzieś w środku nocy zauważyłem:

- Czy służba nie będzie się dziwić, po co nam dwie sypialnie, skoro używamy tylko jednej?
- Jakiś ty niemądry. Któż by przejmował się tym, co myśli służba?
- Dobrze, nie będę się przejmował - odparłem, znów ją do siebie przytulając. - Ale nalegam, żebyś jutro ty była moim gościem.

Jednakże zawsze kochaliśmy się w jej sypialni, nigdy w mojej. To ja musiałem stąpać po lodowatej posadzce łazienki, która przedzielała nasze pokoje. Nauczyłem się cichutko naciskać klamkę, żeby mnie nie usłyszała, bowiem zdarzało się, że drzwi były zamknięte. Zresztą niekiedy to ja bywałem tak zmordowany pracą, że waliłem się do łóżka nie sprawdzając, czy drzwi są otwarte.

Zacząłem się czuć jak ktoś, kogo wepchnięto w ślepą uliczkę. Parę szklanek burbona przed pójściem na górę osłabiało napięcie i nie miałem już ochoty próbować otworzyć drzwi.

Zacząłem regularnie karmić Dani o północy i to także bardzo mi pomagało. Ta krucha istotka wypełniała pustkę w moim sercu. Całowałem ją, kładłem z powrotem do kołyski, wracałem do siebie i przychodził sen.

Z pozoru wszystko wyglądało normalnie. Oboje z Norą zachowywaliśmy się tak, jak każde małżeństwo. Wychodziliśmy parę razy na tydzień na przyjęcia, my także zapraszaliśmy gości. Nora wspaniale odgrywała rolę świeżo poślubionej żony, zakochanej i uważnej.

Ale kiedy nadchodziła pora na pójście spać, wymawiałem się pilną robotą i w pracowni wypijałem parę drinków, by zdążyła położyć się i zasnąć, by nie słyszała, czy próbuję wejść czy nie.

Jeśli Norę coś dziwiło, to nie dawała tego po sobie poznać. Mijał czas i wyglądało na to, że jest zadowolona z powstałej sytuacji. Była pogrążona w pracy i często wychodziła wieczorem na związane z nią spotkania. Wiele wieczorów spędzała rzeźbiąc w pracowni i często nie wiedziałem, czy wraca do sypialni na górę, czy też śpi w pokoiku przy pracowni.

Człowiek łatwo wpada w rutynę. Po jakimś czasie wydawało mi się, że było tak i będzie zawsze. Nie wiedziałem tylko, że Nora żyjąca w swoim urojonym świecie niemal tak samo obawiała się mnie jak ja jej.

Pamiętała ból. Ten rozdzierający ciało ból, kiedy przychodziło na świat dziecko. Ból i jaskrawe światło padające z seledynowego sufitu sali porodowej. Każdy kolor był intensywny. Krew na białych rękawiczkach lekarza. Czarna gałka na szarej butli anestezjologa. Tak jak w jej koszmarach sennych. Bo tym też różniła się od innych ludzi. Miała kolorowe sny.

Słyszała zachęcający szept lekarza.

- Niech pani prze, pani Carey. Niech pani prze, za parę minut będzie po wszystkim.

- Nie mogę - próbowała krzyknąć, ale nie udawało jej się wydobyć głosu. - Nie mogę, to za bardzo boli.
  - Czuła, że z kącików oczu cieką jej łzy.
  - Musi pani - znów szepnął lekarz. Nachylił się nad nią i zobaczyła purpurowe żyłki na jego nosie.
  - Nie mogę! - jęknęła. - Nie zniosę tego bólu. Na litość boską zróbcie coś, bo oszaleję. Potnijcie dziecko i wyjmijcie je. Nie pozwólcie mu tak mnie torturować.
- Poczuła ukłucie igły. Z przerażeniem spojrzała na lekarza. Przypomniała sobie, że jest katolikiem, a katolicy wierzą, że należy ocalić życie dziecka nawet kosztem życia matki.
- Co pan robi? Niech pan mnie nie zabija. Proszę zabić dziecko. Chcę żyć.
  - Niech się pani uspokoi. Nikt nie umrze.
  - Nie wierzę panu - próbowała się podnieść, ale czyjeś ręce przytrzymały ją za ramiona. - Umieram...  
Wiem, że umieram. Zróbcie coś. Ja umieram.
  - Niech pani liczy do dziesięciu, pani Carey. Raz, dwa...
- Spojrzała mu w twarz. Twarz była zamazana.
- Trzy, cztery, pięć, sześć... Zapadła ciemność.

### 13

Jakiś hałas w pracowni obudził Noreę, która spała w przylegającym do niej pokoiku.

- Karol? - spytała siadając.
- Drzwi otworzyły się, stanął w nich Sam Corwin.
- Co ty tu robisz? - spytał.
  - Pracowałam do późnej nocy - spojrzała na zegarek.

Była niemal dziesiąta. A dopiero o piątej rzuciła się na łóżko - zbyt zmęczona, by zdjąć roboczy kombinezon. - Dlaczego przyszedłeś tu tak wcześnie? Sam zapalił papierosa.

- Mam dla ciebie wspaniałą wiadomość. Niechętnie wstała. Przeczesała palcami włosy. Były zakurzone i tłuste.

- Co się stało?

- Przyjęto twój projekt posągu dla Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku.

Znużenie znikło, poczuła się podniecona.

- Kiedy się dowiedziałeś?

- Przed godziną. Scaasi zadzwonił z Nowego Jorku. Zaraz tu przyjechałem.

Ogarnęło ją uczucie triumfu. Miała rację. Teraz przyzna to nawet Łukasz. Spojrzała na Sama.

- Czy już komuś powiedziałaś? Zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie. Ale jeszcze dziś rano musimy zawiadomić prasę.

Weszła do pracowni.

- Chcę o tym sama powiedzieć Łukaszowi.

- Po południu Nowy Jork nada tę wiadomość przez radio.

- To powiemy mu teraz.

Sam poszedł za nią korytarzem w stronę holu. Ze schodów schodził Karol.

- Czy pan Carey już wyszedł?

- Tak, proszę pani. Zaraz po ósmej razem z panią Holman i dzieckiem.

- Zabrał ją z sobą? Po co?

- Mówił coś o tym, że to jego wielki dzień. Pierwsza partia domów została ukończona i odbędzie się mała uroczystość. Prosił, żeby pani o tym przypomnieć i ma nadzieję, że znajdzie pani chwilę czasu.

- Dziękuję. Tak, wspominał o tym, ale zapomniałam.

Kamerdyner uklonił się i przepuścił ich. Sam wszedł za nią na górę. Zamknął drzwi.

- Nic o tym nie wiedziałaś, prawda? Nie odpowiedziała.

Rozejrzył się po pokoju. Zorientował się, że nie jest to wspólna sypialnia.

- Co to za nowy pomysł z osobnymi sypialniami? Czy między tobą a Łukaszem coś się popsuło?

- Nie.

- No, no - napomniał ją łagodnie. - Zapominasz, że rozmawiasz ze starym przyjacielem. Mnie możesz wszystko wyznać.

Nagle zaczęła płakać oparłszy głowę o jego ramię.

- Ach, Samie, Samie. Nie wiesz, jakie to okropne. On jest chory. To ta wojna. Nie jest już normalny.

- Nie rozumiem.

Zacząła bełkotliwie opowiadać, tak jakby dawała upust długo tłumionym uczuciom.

- Wiesz, że był ranny? No i pewnie to z powodu tej rany teraz się tak dziwnie zachowuje.

- To znaczy?

- No wiesz przecież! Można to chyba nazwać perwer-sją. Zmusza mnie, żebym... Bo inaczej można by go nazwać impotentem! Nie wiem co robić. Czasami mi się zdaje, że oszaleję.

- Nie wiedziałem o tej ranie. Czy nie mogłabyś go namówić, żeby poszedł do lekarza?

- Błagałam go. Ale mnie nie słucha. Powiada, żebym się nie wtrącała. Chce jednego: żebym mu rodziła dziecko po dziecku, bo w ten sposób udowodni sobie, że jest mężczyzną.

Nora odsunęła się i wzięła papierosa ze stojącego na stole pudełka. Sam podał jej ogień.

- Stale robi mi na złość - oświadczyła. - Wie, że pediatra zabronił Dani wychodzić. Jest zaziębiona. A on

tylko po to, żeby mi zrobić na złość, wziął ją na ten brudny plac budowy, gdzie szaleje wiatr.

- No to co zamierzasz zrobić?

- Pojechać tam i zabrać ją do domu. Dani jest moim dzieckiem i nikomu nie pozwolę jej skrzywdzić! -

Wyczuła niedowierzanie Sama. - Co, nie wierzysz mi?

- Wierzę, wierzę.

- Pokażę ci coś, co cię przekona. Zaprowadziła go przez łazienkę do sypialni Łukasza.

Dramatycznym ruchem otworzyła drzwiczki nocnego stoliczka.

- Patrz!

Stały tam dwie pełne butelki burbona i jedna opróżniona do połowy. Sam spojrzął ze zdziwieniem.

- Co wieczór jest to samo. Pije, a potem się na mnie rzuca. I znów pije, aż się upije i uśnie.

Kopnięciem zamknęła drzwi i z powrotem zabrała Sama do swojej sypialni. On dłuższy czas patrzył na nią z prawdziwą troską.

- Długo tak nie wytrzymasz...

- A co mam robić?

- Rozwieść się.

- Nie.

Znów zaczął mieć wątpliwości. Wszystko jakoś zbyt idealnie do siebie pasowało.

- Dlaczego?

- Sam przecież wiesz. Matka jest przeciwna rozwodom i byłaby zrozpaczona, gdyby nasze nazwisko trafiło do sądu.

- I to wszystko?

- Nie. Chodzi mi o moją małą. Rozbity dom to bardzo niedobre dla dziecka. Chcę tego oszczędzić Dani.

Wciąż nie wiedział, czy jej wierzyć.

- Pojadę z tobą na plac budowy - zaproponował. Nora spojrzała na niego ze zdumieniem. Tak się

przejęła odgrywaną rolę, że zupełnie zapomniała o swoim projekcie jazdy po Dani.

- Żeby zabrać małą do domu - sprecyzował Sam. Uśmiechnęła się do niego promiennie. Uwierzył jej. Wiedziała, że jej uwierzy. Bo właściwie dlaczego by miał nie wierzyć, wszystko było tak przekonywające. Położyła mu rękę na ramieniu.

- Dziękuję ci, Samie. Idź na dół i napij się kawy, a ja się szybko ubiorę. Zaraz przyjdę.

## 14

Dani była w siódmym niebie. Błyszczały jej oczka i aż piszczała z zachwytu, ześlizgując się po pochylni prosto w opiekuńcze ramiona pani Holman. Wziąłem ją znów na ręce, ale zaczęła się wyrywać. Roześmiałem się i znów posadziłem ją na pochylni.

- Niech pan ją tak chwilę przytrzyma, panie pułkowniku - poprosił jeden z fotografów. - Będzie wspaniałe zdjęcie.

Dani znieruchomiała pozując do fotografii tak jakby robiła to co chwila w trakcie swego ośmiomiesięcznego życia. Niańka uśmiechnęła się z dumą.

Rozległ się klik aparatu i pozwoliłem Dani znów zjechać w dół. Potem zabrałem ją na huśtawkę.

Przymocowałem ją do maleńkiego krzeselka i popchnąłem. Gruchała z zadowolenia. Policzki zaróżowiły się jej od słońca, w swoich ciepłych błękitnych śpioszkach wyglądała jak duża lalka.

Byliśmy na terenie zabaw za wzorcowym domkiem; chciałem, żeby mieszkańcy tych domów dużo czasu spędzali na powietrzu.



Z satysfakcją spojrzałem na świeżo wytyczoną ulicę. Sznur zaparkowanych samochodów i tłum zwiedzających, których oprowadzali sprzedawcy.

Domki te w gruncie rzeczy niezbyt się od siebie różniły. Ale najważniejsze było to, że każdy wyglądał inaczej. Wszystkie zbudowane były w kształcie litery T, można było lub nie w którymkolwiek punkcie dodać poddasze. Niemniej skoro budowaliśmy cztery domki na akr, czyli osiem domków tworzyło podstawowy zespół, mogłem każdy z nich ustawić inaczej i zmienić elementy wykończenia. I w ten sposób osiągnąć efekt różnorodności.

Cena była niewygórowana - 13 990 dolarów. Dlaczego nie równe 14 000? Bo tak było korzystniej, wiedział o tym każdy handlowiec. Niby głupie dziesięć dolarów, a klient miał uczucie, że robi świetny interes.

W cenie tej zawarty był koszt instalacji centralnego ogrzewania oraz parkingu. Domy położone bliżej miasta kosztowały o trzy, cztery tysiące drożej. I chociaż dwadzieścia pięć akrów musieliśmy poświęcić na wewnętrzne ulice, to i tak każdy dom miał nam przynieść półtora tysiąca zysku. Popychałem huśtawkę i Dani zaśmiewała się. Wiedziałem, co czuje. Znajdowała się w swoim żywiole.

Rozejrzałem się. Spychacze pracowały już tam, gdzie miał powstać następny zespół domów, niwelując teren. Jutro zacznie się kopać fundamenty. Potem pojawią się betoniarki. I po trochu na pustym terenie wyrosną nowe domy. Ja także byłem w swoim żywiole.

Poczułem, że ktoś kładzie mi rękę na ramieniu. Usłyszałem głos Nory.

- Co, tak się dobrze bawisz, że nie chcesz przywitać się z żoną?

Zdziwiłem się. Choć zostawiłem w domu wiadomość o uroczystości, nie oczekiwałem jej przybycia.

Do

tej pory nie zdradzała najmniejszego zainteresowania moją budową.

- Nora! Jaka miła niespodzianka!

Natychmiast znów pojawili się fotografowie i reporterzy, którzy udali się do urządzonego przez nas prowizorycznego baru. Przyciągnęła ich Nora. Nora Hayden, zwłaszcza w swoim rodzinnym mieście, mogła liczyć na gorące poparcie prasy.

- Cóż cię tu sprowadziło? - spytałem. Spojrzała mi prosto w oczy.

- Sam był tak dobry i przywiózł mnie, żebym mogła zabrać do domu Dani.

- Zabrać Dani? Przecież ona się tu cudownie bawi.

- Chyba zapomniałeś, że jest zaziębiona. - Nora nachyliła się i zaczęła odpinać pas.

Zbliżył się Sam patrząc na nas z ciekawością.

- Dani jest zaziębiona? - zwróciłem się do pani Holman. - Nic mi pani o tym nie powiedziała.

Niańka spojrzała na mnie, spojrzała na Norę i zaczęła coś niewyraźnie mamrotać. Nie zrozumiałem, co mówi. Dani nie chciała rozstać się z huśtawką. Zaczęła się Norze wyrywać.

Któryś z fotografów uśmiechnął się do Nory.

- Z dziećmi nie ma kłopotu, jeśli im się pozwala robić to, na co mają ochotę - zauważył przyjaznym tonem.

Nora zarumieniła się, potem zbladła. Nie miała ochoty pozować do zdjęcia z rozwrzeszczanym dzieckiem w ramionach. Inaczej sobie tę scenę wyobrażała. Matka powinna tulić do siebie uśmiechnięte dziecko. Mocniej objęła Dani i ruszyła w stronę auta. Dani zaczęła jeszcze głośniejsze krzyczeć.

Nora odwróciła się i oddała ją niańce.

- Proszę ją zanieść do auta pana Corwina. Potem napadła na mnie.

- Widzisz, czegoś narobił. Zawsze starasz się mnie postawić w jakiejś niezręcznej sytuacji.

Kącikiem oka obserwowałem otaczających nas reporterów. Nie wiedziałem, czy usłyszeli, w każdym razie nie zamierzałem dostarczać im więcej materiału do plotek.

- Strasznie mi przykro - powiedziałem szeptem.

- Nie wiedziałem, że Dani jest przeziębiona.

- A ty pozwalasz się jej bawić w tym kurzu i błocie. Zawiozę ją prosto do lekarza.

Czułem, że tracę panowanie nad sobą, ale udało mi się nie podnieść głosu.

- Nie zgrywaj się, Noro. Nikt ci nie uwierzy. Spojrzała na mnie z prawdziwą nienawiścią. Na to nie byłem przygotowany. Ten wzrok uświadomił mi, że nie da się już naprawić tego, co się między nami zepsuło.

Niemniej tutaj patrzono na nas, zmusiłem się więc do uśmiechu, zrobiłem to tak dla niej, jak i dla samego siebie.

- Skoro się już tu pojawiłaś, to może obejrzałaś domy. Co o nich myślisz?

- Nie mam czasu - odpowiedziała niechętnym tonem.

- Muszę zaraz po odwiezieniu Dani do domu przygotować się do wyjazdu do Nowego Jorku.

Zaskoczyła mnie.

- Do Nowego Jorku?

- Tak. Zaakceptowano mój projekt posągu dla ONZ. Chcą go ze mną przedyskutować.

To była prawdziwa bomba! Reporterzy rzucili się z pytaniami. W sekundę później rozpoczęła się prawdziwa konferencja prasowa. Odszedłem, żeby dopilnować spychaczy, a Nora odprężyła się i rozpromieniła - znów znalazła się w centrum uwagi.

Poczułem ulgę. Udało się uniknąć nieprzyjemnej sceny.

Ale następnego dnia pojawiły się sprawozdania prasowe. Byłem na placu budowy i jeden z robotników przybiegł wezwać mnie do telefonu.

Dzwonił Stan Barrows z agencji, która zajmowała się sprzedażą domów. Mówił cicho, jakby bał się, że ktoś go może podsłuchać.

- Przyjeżdżaj natychmiast do Banku Valley National. Mamy kłopoty.

- Jakie kłopoty? - spytałem. Bank Valley National dostarczył nam kredytów inwestycyjnych. - Nie mogą się na nic skarżyć. Nie przekraczamy limitów budżetowych.

- Nie chcę rozmawiać przez telefon. Przyjeżdżaj! Odłożył słuchawkę. Zacząłem nakręcać numer banku,

ale się rozmyśliłem. Nie chciałem powiedzieć nic więcej - to nie. Pobiegłem do auta.

Kiedy wszedłem do gabinetu dyrektora banku, zebrali się tam już wszyscy zainteresowani. Moja teściowa, Jerzy Hayden, dyrektor banku i jego zastępca zajmujący się kredytami.

- Nie wiedziałem, że mamy dziś zebranie - zauważyłem. - Nikt mnie nie uprzedził.

Wszyscy mieli niewyraźne miny, nikt nie kwapił się do zabrania głosu. Wreszcie odezwał się zastępca dyrektora.

- Łukaszu, czy przeczytałeś poranne gazety?

- Nie - odparłem. - Pojechałem na budowę, gdy było jeszcze ciemno.

- To przeczytaj. - Podał mi złożony egzemplarz „Kroniki”.

Spojrzałem na artykuł obwieszony czerwonym ołówkiem. Obok artykułu widniało zdjęcie Nory.

### **NORA HAYDEN POSĄG DLA ONZ**

- Bardzo się cieszę. Ale co to ma wspólnego z nami.

- Przeczytaj.

W pierwszych dwóch akapitach mowa była o tym zamówieniu. Ale następne były zabójcze.

*Nora Hayden zapytana na uroczystym otwarciu Sadyby Careya, szumnie zapowiadanego osiedla zaprojektowanego przez jej męża, pułkownika Careya, bohatera ostatniej wojny, co sądzi o nowoczesnym budownictwie mieszkaniowym oświadczyła nam ze zwykłą otwartością.*

*„Amerykańscy architekci pogardliwie traktują nabywców domów i ich żony. Amerykański architekt pozbawiony wyobraźni i smaku projektuje domy-pudełka, kierując się względami ekonomicznymi, czyli żądzą zysku. Wszystkie domy są do siebie podobne, całkowicie wyzbyte indywidualnego charakteru i kobieta, która zgodzi się zamieszkać w takim pudełku na krakersy, może winić tylko samą siebie, gdy nie poczuje się w nim nigdy jak w prawdziwym domu ”.*

*Zapytana, czy jej opinia odnosi się także do Sadyby Careya, Nora Hayden odpowiedziała:*

*„Pozostawiam to pańskiej domyślności. Ja wolalabym umrzeć niż mieszkać w tak pozbawionym stylu budynku”.*

*Pani Hayden wylatuje dziś do Nowego Jorku, żeby przedyskutować z Komisją Sztuki ONZ projekt przygotowywanego dla nich posągu.*

Skończyłem czytać. Dławiło mnie w gardle. Rzuciłem gazetę na biurko.

- To jakieś nieporozumienie. Nora musi to sprostować.

- To już nie pomoże - zauważył Jerzy Hayden. - Już się tego nie da naprawić.

- Czego się nie da naprawić? - spytałem gniewnie. - Nasz przeciętny klient nie czyta tego pisma.

- Nie masz racji, Łukasz - sprostował spokojnie Stan Barrows. - Wczoraj wieczorem mieliśmy czterdzieści siedem zamówień i dziewiętnaście opcji. Dziś do dziesiątej rano wycofało się z zamówień trzydzieści sześć osób, opcji zrzekło się szesnaście. Niemal do wszystkich udało mi się dodzwonić i choć nie przyznawali się, że zmienili zdanie pod wpływem tego artykułu, to nie ukrywali, iż go znają.

- Podam tę gazetę do sądu!
- Na jakiej podstawie? - spytał Jerzy Hayden. - Ona zacytowała tylko słowa twojej żony.  
Nie odpowiedziałem. Miał rację. Opadłem na fotel i sięgnąłem po papierosa.
- Może zmienić nazwę osiedla? Wycofać moje nazwisko?
- Nic nie pomoże, Łukaszu. To był naprawdę śmiertelny pocałunek.  
Nie odpowiedziałem i zapaliłem papierosa. Z dymem ulatywały moje marzenia.
- Łukaszu, musisz zrozumieć nasze stanowisko
- oświadczył dyrektor banku. - Udzieliliśmy wam milionowego kredytu i musimy się upomnieć o jego zwrot.
- Czy mogę szukać kredytu gdzie indziej?
- Oczywiście, ale wątpię, żebyś znalazł. Skontaktowaliśmy się z co najmniej tuzinem banków, czy nie chciałyby przejąć części naszych udziałów i żaden nie wyraził zainteresowania. Jesteśmy jedynym bankiem, który obecnie zgodziłby się finansować was - w wysokości stu tysięcy.  
Zwróciłem się do teściowej, która dotychczas milczała.
- Co pani o tym sądzi? Wie pani, co to oznacza
- bankructwo. I pani trzysta tysięcy przepadnie.
- Czasem lepiej natychmiast pogodzić się ze stratą i wycofać. Bo w beznadziejnym przedsięwzięciu można stopniowo utopić dziesięciokrotnie większą sumę.  
Rozejrzałem się bezradnie.
- Trudno mi uwierzyć, żeby parę nieopatrnie wypowiedzianych słów mogło zrujnować całe nasze przedsięwzięcie.  
Znów zabrała głos moja teściowa.
- Może by nie było to takie groźne, gdyby nie wypowiedziała ich twoja żona.  
Jasne było, co chce mi dać do zrozumienia.

- Pani przecież nigdy nie udało się przeszkodzić jej w zrobieniu czegoś, na co miała ochotę.
- Nawet jeśli tak było, Łukaszu, to tym razem zabrała głos niejako moja córka, lecz jako twoja żona. Więc cała odpowiedzialność spada na ciebie.
- Przecież ona nie jest dzieckiem - zaprotestowałem gniewnie. - Powinna wiedzieć, co mówi.
- Niemniej ty jesteś za to odpowiedzialny - powtórzyła z uporem starsza pani.
- Jak mogłem jej w tym przeszkodzić? Zamknąć ją na klucz?
- Za późno już na dyskusje nad tym, co należało zrobić - wtrącił się kuzyn Jerzy i zwrócił do mnie. - Bałem się, że coś takiego może nastąpić. Dlatego namawiałem cię, byś jeszcze zaczekał.
- Dlaczego miałem czekać? Był to dobry pomysł. I dalej to osiedle ma wszelkie szanse zaistnieć. Ale widzę, że zdecydowaliście inaczej.

Ruszyłem w stronę drzwi. Zatrzymał mnie głos teściowej.

- Łukaszu!

- Tak?

- Nie przejmuj się. Poczynię odpowiednie kroki, żebyś mógł wycofać swój wkład.

Spojrzałem na nią z niedowierzaniem.

- Nie zgodziłem się przyjąć połowy domu. Nie zgodziłem się wziąć akcji firmy Hayden i Carruthers. Jak może pani przypuszczać, że teraz zgodzę się przyjąć jałmużnę?

Jej wzrok stwardniał, ale muszę jej oddać sprawiedliwość, że ciągnęła tym samym tonem.

- Nie bądź niemądry. Znajdziesz inną okazję. Uśmiechnąłem się z goryczą.

- Chce pani powiedzieć, że jeśli będę grzecznym i posłusznym chłopcem, to mogę wrócić do biura firmy?

Nie odpowiedziała, ale zacisnęła wargi.

- O nie, dziękuję pięknie. Cóż, nie pierwszy raz

spadam na łeb, na szyję, ale pierwszy raz zestrzelili mnie sprzymierzeńcy, nie wrogowie.

Rozejrzałem się po pokoju. Wszyscy milczeli.

- Jakoś przeżyję. Żegnam.

- Łukaszu! - teraz teściowa mówiła ostrym tonem. - Jeśli wyjdiesz - nigdy już nie będziesz miał żadnej szansy. **To** mogę ci obiecać.

Nagle poczułem znużenie.

- Przestańmy się oszukiwać, pani Hayden. Oboje wiemy, że moją jedyną szansą było pokorne wykonywanie zleceń pani i Nory. I byłem głupcem sądząc, że uda mi się tak żyć.

Zamknąłem za sobą drzwi, poszedłem do baru i wypilem parę kieliszków. Potem wróciłem do domu, chcąc rozprawić się z Norą. Ale ona już wyleciała do Nowego Jorku.

Poszedłem na górę do pokoju Dani. Usiadła na łóżeczku i spojrzała na mnie. Wzięłem ją na rękę i przytuliłem do piersi. Poczułem, że po policzkach spływają mi łzy. Pocałowałem ją w miękki karczek.

- No, Dani, wygląda na to, że twój stary dostanie w kość.

W dniu, w którym skończyła roczek, ogłoszono moje bankructwo.

## 15

Życie zatrzymało się. Dni jakoś biegły, ale równie dobrze mógłbym być duchem. Nikt mnie nie widział. Nikt do mnie nie podchodził. Jakbym nie istniał, ale ja istniałem i nie tylko widziałem, co się dzieje, ale widziałem zbyt wiele.



Było tak, jakby zamieszkał we mnie wąż strachu. Strach nie zawsze bywa konkretny. Ma wiele twarzy. Często rodzi się wówczas, gdy akceptujemy czyjeś kłamstwo. I łączy nas żółta nicią naszej akceptacji.

Matka Nory dotrzymała swojej obietnicy. Na dźwięk mego nazwiska zamykały się przede mną wszystkie drzwi i po jakimś czasie przestałem już do nich stukać. Cóż, w ciągu dnia mogłem się przynajmniej radować towarzystwem Dani.

Patrzyłem, jak uczy się chodzić. Słuchałem, jak zaśmiewa się w zoo i na wybrzeżu, gdzie na próżno oczekiwaliśmy aż pojawią się słonie morskie. Przepadała za wizytami w Kryształowym Pałacu i wrzucała tam monety do automatu, który uruchamiał mechaniczne zabawki.

Najbardziej podobała jej się farma. Farmer doił krowę, jego żona karmiła kury, obracały się skrzydła wiatraka. W dniu kiedy skończyła dwa lata, obejrzelśmy tę scenkę sześć razy.

Wieczorem burbon pozwalał zapomnieć o gorzkim smaku życia. Podczas weekendów, które Nora spędzała zwykle w domu, jeździłem do La Jolla na statek. Był on wszystkim, co mi zostało po bankructwie i tylko te weekendy były znośne. Bo tam nie czułem się tak strasznie bezużyteczny. Stale trzeba było coś zrobić. Naprawiałem, przybijałem, lakierowałem. I podczas tych dwóch dni nie zaglądałem do kieliszka. Ale po powrocie do domu w poniedziałek wieczorem natychmiast rozglądałem się za butelką. Ten, kto wynalazł burbona powinien dostać medal. Szkocka whisky smakuje jak lekarstwo, dzin zalatuje perfumami, wódka pali żołądek. A burbon jest boski. Miętko sływa do gardła i uspokaja. I człowiek się nie upija, tylko nabiera sił i wiary w siebie. A potem usypia.

Ale często nawet burbon nie pomagał mi zamknąć oczu. Za wiele widziałem. Jak na przykład tej nocy, kiedy zszedłem na dół szukając następnej butelki.

Kiedy schodziłem, w drzwiach holu pojawiła się Nora. Staaliśmy naprzeciwko siebie mierząc się wzrokiem, jak dwoje obcych ludzi, którzy usiłują sobie coś przypomnieć.

Wiedziałem jak wyglądam. Potargany, w pomiętej pidżamie, w niedbale narzuconym szlafroku, spod którego wystawały nagie stopy. Nie, nie wyglądałem ponętnie.

Jeżeli chodzi o Norę, to odniosłem wrażenie, że widzę ją po raz pierwszy. Wokół niej unosił się piżmowy zapach seksu. Była blada, miała podkrążone oczy jak zawsze po miłości, póki się nie przespała. Wiedziała, że wiem.

Nie mogłem tego znieść i bez słowa odwróciłem się.

W jej głosie dźwięczał śmiech.

- Jeśli szukasz whisky, to kazałam Karolowi wstawić ci do gabinetu całą skrzynkę.

Nic nie odpowiedziałem.

- Ty pijesz burbon, prawda?

- Owszem.

- Tak myślałam. - Minęła mnie i weszła na schody. W pół drogi przystanąła. - Nie zapomnij przed powrotem na górę zgasić światło.

Wszedłem do gabinetu, wziąłem butelkę i myślałem o tym wszystkim, co powinienem był jej powiedzieć. Znow ten żółty strach wśliznął mi się do serca. Starąłem się go zagłuszyć burbonem.

Powtarzałem sobie, że jestem potrzebny córce. Ktoś musi ją kochać, zabierać do Kryształowego Pałacu, radować się wraz z nią słońcem

i wodą, i tysiącem innych rzeczy, które nie przychodziły na myśl jej matce. Wziąłem butelkę na górę i wyciągnąłem się na łóżku.

Piłem trzecią szklanekę, gdy usłyszałem szcęk klucza. Spojrzałem w stronę łazienki - drzwi były otwarte. Już niemal wstałem, ale opanowałem się. Wróciłem do mego burbona. Wychyliłem szklanekę do dna i zgasilem światło. Położyłem się, ale nie mogłem usnąć. Wsłuchiwałem się w ciemność. Nie musiałem długo czekać.

W łazience pojawiło się światło i wtargnęło także do mojej sypialni. Nora stanęła w drzwiach wiedząc, że zobacze, iż ma na sobie tylko przezroczysty, cienki jak pajęczyna negliż. Spytała cicho:

- Śpisz, Łukaszu?

Usiadłem, ale nie odpowiedziałem.

- Otworzyłam moje drzwi - oświadczyła. Dalej się nie odzywałem.

Podeszła do mego łóżka i stanęła przyglądając mi się bacznie. Poruszyła ramionami i negliż spadł na ziemię.

- Powiedziałeś kiedyś, że nie chcesz resztek - oznajmiła wzgardliwym tonem. - Może zmieniłeś zdanie?

Sięgnąłem po papierosa. Trzęsły mi się ręce. Nie ukrywała pogardy.

- Uważałam cię za mężczyznę. Widzę, że się myliłam. Zdjąłeś mundur i okazało się, że nie masz już jaj.

Zaciągnąłem się głęboko, poczułem, że gorący dym pali mi płuca. Spływał po mnie pot.

- Myślę, Noro, że lepiej będzie, jeśli wrócisz do swojej sypialni.

Usiadła na brzegu łóżka i wyjęła mi z ręki papierosa. Zaciągnęła się i oddała mi go. Poczulem słaby zapach jej pomadki do ust.

- Może uda mi się wskrzесиć w tobie siły, gdy opowiem ci, co dziś wieczorem robiłam?

- Przestań, Noro - wykrztusiłem zdławionym głosem. Nie zwróciła uwagi na moje słowa. Nachyliła się nade

mną. Czułem dotyk jej ciepłych twardych piersi. - Tylko raz się kochaliśmy. Było wspaniale. Ale znasz mnie. Jeden raz to mało. Czuję się tak jak po kolacji w chińskiej restauracyjce. Ledwie minie godzina, znów jest się głodnym.

Wpadłem w furję. Miałem tego dosyć. Chwyciłem ją za ramiona i gwałtownie nią potrząsałem. W jej oczach pojawiła się ekstaza, poczułem jej ciepłą rękę.

- Pokochaj się ze mną.

- Nora! - zawyłem i znalazłem się na niej. W sekundę było po wszystkim. Leżałem, czułem się zupełnie zeszmiacony i patrzyłem jak podnosi z ziemi negliz. Spojrzała na mnie z triumfem w oczach.

- Zastanawiam się czasem, czemu kiedyś uważałam cię za mężczyznę. Nawet chłopiec lepiej by się z tego wywiązał.

Zatrzasnęły się drzwi i znów sięgnąłem po butelkę. Ale tym razem nawet burbon nie pomógł.

\* \* \*

Kiedy radio podało, że Czerwoni przekroczyli linię demarkacyjną w Korei, byłem w La Jolla na statku. Pobiegłem na nabrzeże do budki telefonicznej i zadzwoniłem do Waszyngtonu, do Jima Petersena. Razem walczyliśmy na Pacyfiku. On został w armii i był teraz generałem Air Force.

- Właśnie wysłuchałem wiadomości. Czy nie przydałby ci się dobry pilot?

- Jasne. Ale teraz latamy na odrzutowcach. Musiałbyś przejść przeszkolenie i nie jestem pewny, czy uda mi się przywrócić ci stopień pułkownika.

- Pal sześć pułkownika! Kiedy mam się zgłosić? Roześmiał się.

- Jutro rano zgłoś się do Billa Killiana w Presidio. Do tego czasu coś dla ciebie wymyślę.

- Będę tam jutro skoro świt, Jimie. Dziękuję ci.

- Przystaniesz dziękować, jak okaże się, że musisz wrócić do stopnia kapitana.

- Generale - oświadczyłem solennie - będę ci dziękował nawet gdybym miał latać jako szeregowiec.

Wróciłem na statek, gdzie na przenośnym łóżeczku spała Dani. Miała już wtedy prawie trzy latka.

Otworzyła oczy, gdy wziąłem ją na ramiona.

- Gdzie idziemy, tatusiu? - spytała rozespanym głosem.
- Musimy wracać do domu, złotko. Tatuś ma ważne sprawy do załatwienia.
- Dobrze - szepnęła i znów zamknęła oczy. Przyczepiłem łóżeczko do przedniego siedzenia wozu, z tyłu ułożyłem walizki. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła ósma wieczorem. Jeśli nie będzie korków, powinienem dojechać do San Francisco o czwartej nad ranem.

Dani całą drogę spała. Autostrada była pusta. Kiedy o pół do czwartej wniosłem Dani na górę, zobaczyłem, że w pracowni Nory pali się jeszcze światło. Pomyślałem, że i tak muszę tego rana zawiadomić ją o moim wyjeździe, lepiej więc zrobić to zaraz, skoro jeszcze nie poszła spać.

Zszedłem więc na dół do pracowni. Światło paliło się, niemniej pracownia była pusta.

Zawołałem:

- Nora!

Usłyszałem szmer w pokoiku przylegającym do pracowni. Otworzyłem drzwi. Chciałem jeszcze raz wymówić jej imię, ale zawiódł mnie głos.

Spleceni w uścisku leżeli na łóżku. Pierwsza oprzytomniała Nora.

- Wynoś się! - wrzasnęła.

Poczułem się, jakbym szybował dziesięć mil nad chmurami. Taka sama pustka w głowie. Oto klasyczne rozwiązanie. Byłem jednocześnie wściekły, stając tak nieoczekiwanie twarzą w twarz z prawdą i chciało mi się śmiać z komizmu sytuacji. Gniew zwyciężył.

Podszedłem do łóżka i chwyciłem mężczyznę za kark. Podniosłem go i wymierzyłem mu cios w szczękę. Wypadł przez otwarte drzwi do pracowni, zwałił jakiś posąg. Rozległ się potworny huk. Rzuciłem się za nim, ale coś mnie w ostatniej chwili powstrzymało. Na jego twarzy malował się strach, po-

czucie winy i bezradność. Był to młodziutki chłopiec. Opadły mi ręce.

Karol wbiegł do pracowni wkładając po drodze szlafrok. W drzwiach za nim zobaczyłem twarze kucharki i pokojówki.

Wróciłem do sypialenki, chwyciłem ubranie chłopca i cisnąłem do pracowni.

- Niech Karol wyprowadzi tego smarkacza. Zamknąłem za sobą drzwi i zwróciłem się do Nory.

Była blada, na jej twarzy malowała się nienawiść.

- Włóż coś na siebie. Wyglądasz w tym prześcieradle jak podrzędna kurwa.

- Dlaczego obudziłeś służbę? Jak ja im teraz spojrzę w oczy?

Zdumiała mnie. Zatem nie przejmowała się tym, że przyłapałem ją w łóżku z innym mężczyzną.

Martwiło ją tylko, jak zareaguje na to służba. Nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. Pokręciłem głową.

Nagle uświadomiłem sobie gorzką prawdę.

- Tym się, Noro, nie musisz martwić. Wszyscy od dawna wiedzą, co o tobie myśleć. Udało ci się oszukać tylko mnie.

- Nigdy mi nie wierzyłeś. Wierzyłeś tym wszystkim, którzy o mnie plotkowali.

- Mylisz się, Noro. Nigdy nie słyszałem żadnych plotek. Czy nie wiesz, że mąż zawsze dowiaduje się ostatni?

- Co miałam robić? Od narodzin Dani przestałeś się do mnie zbliżać.

- Nie, Noro, już mnie więcej nie nabierzesz. Zaczęła płakać.

- Łzy już też nie pomogą. Mam dosyć. Łzy wyschły równie szybko jak się pojawiły.

- Łukaszu, proszę cię - powiedziała wstając z łóżka i podchodząc do mnie. - To się więcej nie powtórzy.

Roześmiałem się.

- Na pewno nie. Wyjeżdżam.

- Nie, Łukaszu, nie. - Objęła mnie, zaczęła się do mnie tulić. - Zobaczysz, ja ci to wszystko wynagrodzę.

- To ci się nie uda, choćbyś miała poświęcić temu resztę życia.

Odsunąłem ją stanowczo. Patrzyła przerażonym wzrokiem.

- Co zamierzasz zrobić?

Nagle skumulował się ból ostatnich trzech lat.

- Coś, co powinienem zrobić już dawno temu.

Z całej siły spoliczkowałem ją. Zatoczyła się i upadła. Nim zdążyła wstać, wyszedłem z pokoju.

Przebiegłem przez pracownię i korytarz. Widziałem jak gapi się na mnie służba. Kiedy dochodziłem do schodów, spotkałem Karola wracającego od wejściowych drzwi. Biedny Karol nie śmiał podnieść na mnie wzroku.

Otworzyły się drzwi pracowni i stanęła w nich kompletnie naga Nora.

- Ty skurwysynie! - wrzasnęła. - Opowiem całemu światu, kim ty właściwie jesteś. Ty nie jesteś mężczyzną! Jesteś perwersyjnym pedałem!

Spojrzałem na Karola.

- Niech się Karol nią zajmie. W razie potrzeby proszę wezwać lekarza.

Skinął w milczeniu głową. Nora dalej krzyczała. Na górze stała w drzwiach swego pokoju przerażona pani Holman.

- Dani śpi? - spytałem. Przytaknęła.

Wszedłem do pokoju małej. Rzeczywiście Dani spała jak dziecko, którym przecież była. Nachyliłem się i ucałowałem ją. Dzięki ci, Boże, za mocny sen niewiniątek.

\* \* \*

W Korei szczęście dopisywało mi dokładnie tak jak podczas wielkiej wojny. Podczas dziewięciu lotów udało mi się strącić dwa migi, a potem trafiono mój odrzutowiec i choć zostałem ranny, udało mi się wylądować. Ta wojna nie była dostatecznie ważna, żebym po wyjściu ze szpitala mógł trafić do sztabu, zwolniono mnie z powodów zdrowotnych i odesłano do kraju.

W San Francisco na lotnisku czekał na mnie tylko goniec z sądu.

- Pułkownik Carey?

- Tak.

- Bardzo mi przykro - wymamrotał, wsunął mi do ręki pozew i uciekł jak szczur goniony przez foksteriera.

Otworzyłem kopertę i przeczytałem pozew. Datowany tegoż dnia, 20 lipca 1951 r. Nora Hayden Carey przeciwko Łukaszowi Careyowi. Występuje o rozwód. Oskarża go o znęcanie się psychiczne i porzucenie.

- Miłe powitanie - powiedziałem do siebie wkładając papier do kieszeni. Nie masz to jak powrót do domu.



**Część III**  
**Opowieść Łukasza**  
**Weekend**

1

Wyjeżdżając windą z garażu spojrzałem na zegarek. Kiedy wróciłem do motelu ze schroniska dla nieletnich, było już prawie południe. Zatem w Chicago jest druga. Elżbieta na pewno czeka na wiadomości.

Nagle zaczęły mi się trząść ręce. Poczułem, że muszę się napić. Wsiadłem z windy w głównym holu i podszedłem do baru. Zamówiłem koktajl. Wychyliłem go duszkiem i pośpieszyłem do swojego pokoju.

Rzuciłem marynarkę na krzesło, usiadłem na brzegu łóżka i zamówiłem rozmowę. Zdjąłem krawat i wyciągnąłem się czekając na połączenie.

Jak ciepło zabrzmiał jej głos.

- Halo.

- Elżbieta - szepnąłem.

- To ty, Łukaszu? - W jej głosie pojawił się niepokój. - Wszystko w porządku?

- W porządku. - Słowa z trudem wydobywały mi się z gardła.

- Co, to takie straszne? - spytała.

- Owszem - odpowiedziałem. - Nic się nie zmieniło. Nora mnie wciąż nienawidzi.

- Przecież chyba nie sądziłeś, że mogła się zmienić?

- Nie. Ale...

- Ale co?

- Chciałbym móc coś zrobić. Chciałbym, żeby Dani wiedziała, jak bardzo chcę jej pomóc.
- Przecież po to do niej przyjechałeś.
- Tak, ale...
- Więc przestań się tym martwić. Dani wie. Ważne jest jedno: żeby się nie czuła sama i opuszczona. Zrobiło mi się lżej.
- A jak ty się masz? Nie czujesz się sama? Roześmiała się.
- Nie jestem sama. Mam towarzystwo naszego dziecka.
- Tak bym chciał, żebyś tu była!
- Następnym razem - pocieszyła mnie. - Teraz musisz sobie jakoś poradzić.
- Kocham cię - powiedziałem.
- Ja też cię kocham, Łukaszu. Następnym razem zamów rozmowę płatną z tej strony. Rachunek przyjdzie dopiero po pierwszym.
- Okay, najmiłsza.
- Do zobaczenia, Łukaszu.

Odłożyłem słuchawkę. Zrobiło mi się lżej na sercu. Jak zwykle było to zasługą Elżbiety. Przy niej wszystko wydawało się łatwiejsze. Zamknąłem oczy i przypomniałem sobie jak to było wtedy, dawno temu, na statku. Kiedy wynająłem statek jej szefowi.

\* \* \*

Przybiliśmy do lądu w Santa Monica i starszy pan pojechał taksówką do Los Angeles. Elżbieta została na statku. Starszy pan zwolnił ją na weekend.

W czasie rejsu przeszliśmy na ty. Kiedy starszy pan odjechał, zwróciłem się do Elżbiety.

- Mam tu przyjaciela, u którego mógłbym się przespać, jeśli byś wolała zostać sama.

- Czy masz ochotę na bardziej komfortową noc? - W tonie Elżbiety nie było kokieterii.
  - Staram się po prostu zachować jak dżentelmen.
  - Którym jesteś. - Spojrzała na mnie przejrzystymi błękitnymi oczyma. - Gdybym miała wątpliwości, nie zostałabym przecież na statku.
  - Ten komplement zasługuje na dobrą kolację.
  - Czemu nie? Ale tylko jeśli pozwolisz mi za siebie zapłacić.
  - O nie. Podczas tego weekendu będziesz moim gościem.
  - To by nie było w porządku. Już i tak wytargowałam od ciebie sto dolarów.
  - O to niech cię nie boli głowa.
- Zobaczyła wyraz mojej twarzy. Położyła mi rękę na ramieniu.
- Czy to jest dla ciebie takie ważne? Czemu?
  - Miałem żonę, która regulowała za mnie wszystkie rachunki. Nigdy więcej.
- Szybko cofnęła rękę.
- Rozumiem. Cóż, mam nadzieję, że jesteś naładowany forszą. My, Szwedzi, mamy nieliczne apetyty.
- Poszliśmy do rybnej restauracji między Malibu i Santa Monica. Dotrzymała słowa. Ja nie mogłem się uporać z całym daniem, a ona spałaszowała wszystko. Potem długo siedzieliśmy przy kawie wyglądając przez okno na zatokę i rozmawiając. Dopiero po jedenastej wróciliśmy na pokład.
- Jestem skonana - westchnęła, gdy schodziliśmy nabrzeżem. - To pewnie to morskie powietrze.
  - Tak, można się nim wręcz upić. Wejdz i połóż się. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wrócę do portu. Chciałbym się spotkać z przyjacielem.
- Chwilę przyglądała mi się dość dziwnym wzrokiem. Potem skinęła głową.
- Oczywiście, idź. Dziękuję za pyszną kolację.

Uśmiechnąłem się.

-To była tylko próba generalna. Jutro zjemy naprawdę wytworną kolację. Białe obrusy, przyćmione światła, muzyka.

Zeszła na statek i znikła pod pokładem. Odczekałem parę minut i ruszyłem nabrzeżem. Wszedłem do pierwszego lepszego baru. Tak, czekał tam już na mnie mój przyjaciel nazwiskiem Jack Daniels<sup>1</sup>. Zdrowo popiłem i dopiero po trzeciej wróciłem na statek. Próbowałem zachowywać się cicho, ale zaraz potknąłem się o linę i runąłem jak długi. Nie miałem siły wstać i zejść do kajuty, zasnąłem więc leżąc na pokładzie.

Obudził mnie rano zapach kawy i smażonego boczku. Usiadłem i zdałem sobie sprawę, że leżę na własnej koi i mam na sobie tylko slipy. Potarłem ręką czoło. Nie pamiętałem, żebym schodził na dół. Elżbieta musiała mnie usłyszeć, wyszła z kuchni i wręczyła mi szklanekę pomidorowego soku.

- Szybko wypij. Spojrzałem z odrazą na sok.

- Wypij. Zaraz ci się przejaśni w głowie. Wypiłem. Przejaśni w głowie! Ten napój spalił mi gardło i żołądek.

- Uff - jęknąłem. - Co to takiego? Dynamit? Roześmiała się.

- To stary wypróbowany szwedzki środek na kaca. Sok pomidorowy, pieprz, sos Worcester, Tabasco i spirytus. Ojciec mawiał, że albo to człowieka zabija albo stawia na nogi.

- Twój ojciec miał rację. Zabija. Skąd wzięłaś spirytus?

- Z tego samego baru, w którym wczoraj spotkałeś się z przyjacielem. Czyli z najbliższego.

---

<sup>1</sup>Najdroższy burbon " Ostra przyprawa

Patrzyłem na nią bezradnie.

- Twój przyjaciel nie miał dla ciebie litości.

- Wyszedłem z wprawy. Przez całe cztery dni nie brałem do ust alkoholu. Jak udało ci się zaciągnąć mnie na koję?

- Drobiazg. Mój ojciec miał blisko dwa metry wzrostu i sto kilo wagi, a ja stale go kładłam.

Przypomniały mi się dawne dobre czasy. - Wyjęła mi z ręki pustą szklanę. - Jesteś głodny?

Przed paroma minutami na wzmiankę o jedzeniu pojechałbym do Rygi, ale teraz poczułem wilczy głód. Skinąłem głową.

- No, to usiądź przy stole. W tym hotelu nie podaje się śniadań do łóżka. Jak ugotować jajka?

- Poproszę o sadzone. - Wylazłem z koi i włożyłem spodnie. Opamiętałem się.

- Nie, zaczekaj, przecież nie będziesz gotować.

Ale jajka już się smażyły na patelni. Podała mi ciepłe bułeczki, masło, dżem, konfitury i cztery jajka na boczku. Do tego dzbanek kawy. Zajadałem się, a ona przyniosła sobie filiżankę i usiadła. Zapaliła papierosa.

Reszką bułki wytarłem talerz, na którym przed chwilą znajdowały się jajka na boczku, i rozparłem się na krześle.

- Bycze żarcie.

- Lubię patrzeć, jak je głodny mężczyzna.

- Trafiłaś na zawodowca. Nalałem sobie drugą filiżankę kawy.

- Kawa jest boska.

- Dziękuję.

Zapaliłem papierosa i wolno popijałem kawę. Od dawna nie było mi tak dobrze.

- Ty masz córkę? - Tak.

- Ile ma lat?

- Osiem.

- Ma na imię Nora?

- Nie. Dani. Zdrobienie od Daniela. Nora to moja była żona.

- Aha.

- Dlaczego pytasz?

- Bo kiedy cię wczoraj kładłam, coś o nich mówiłeś. Bardzo ci ich brak?

- Bardzo brak mi córki. - Wstałem. - Wyjdź i pooddychaj świeżym powietrzem. Ja zmyję.

- Nie, to ty weź na pokład kawę. Zmywanie naczyń należy podczas tego weekendu do mnie.

Wyszedłem na pokład i usiadłem. Poranna mgła kotłowała się na morzu. Zanosiło się na upał. Gdy na pokładzie pojawiła się Elżbieta, kończyłem kawę.

- Chcesz pójść na plażę?

- Po co się męczyć w tłoku, kiedy możemy wypłynąć i kąpać się w naszym prywatnym oceanie? - odpowiedziała.

- Ty rozkazujeś - zgodziłem się. - Skoczę tylko na ląd i kupię coś na lunch.

Uśmiechnęła się.

- Już to zrobiłam. I nie zapomniałam o piwie. Więc wyruszyliśmy.

Rzeczywiście zrobiło się upalnie. Nawet kąpiel przynosiła tylko chwilową ulgę. Ale Elżbieta nie bała się słońca.

Leżała na pokładzie wchłaniając je wszystkimi porami. Od godziny ani drgnęła. Ja położyłem się na ławie w cieniu za sterem. Nie miałem ochoty upiec się żywcem.

- W kajucie mam olejek od słońca. Chcesz?

- Nie, dziękuję. Nie boję się spiec. Opalam się szybko i równomiernie. Ale chętnie napiłabym się piwa. Zaszło mi w ustach.

Zszedłem do lodówki i wyjąłem dwie puszki. Otworzyłem je i wróciłem na pokład. Poczulem się jakbym

wszedł do pieca, Elżbieta usiadła i sięgnęła po puszkę. Piwo pociekło jej po brodzie.

Wytarła twarz wierzchem ręki. Zobaczyła, że się w nią wpatruję. Uśmiechnęła się.

- Matka zawsze twierdziła, że ze mnie flejtuch. Odpowiedziałem jej uśmiechem.

- Widać, że chciało ci się pić.

Podniosła się opierając z tyłu na łokciach i wystawiła iwarz na słońce.

- Ach, jak cudownie! Słońce i ocean. Nie myślałam, że aż tak bardzo brak mi morza.

Z trudem oderwałem od niej wzrok. Takie wspaniałe blondynki widywałem dotąd tylko na ekranach kin.

- Jeśli tak bardzo kochasz morze, to czemu zamieszkałaś w Sandsville?

Przymknęła oczy.

- Do Phoenix przyjechałam z mężem. Był pilotem wojskowym. I gruchnął odrzutowcem w zbocze góry z szybkością sześciuset mil na godzinę. Musiałam więc od razu zacząć pracować. I już tam zostałam.

- Przepraszam cię. - Spojrzałem na wodę. Więc inni mieli jeszcze większego pecha. - Kiedy to się stało?

- Cztery lata temu. Ty też byłeś pilotem, prawda, Łukaszu?

- Byłem. Dawno temu. W młodości.

- Przecież nie jesteś stary.

- Mam trzydzieści sześć lat, ale zbliżam się do siedemdziesiątki.

- To ten alkohol... Ojciec też tak się czuł... - Zobaczywszy mój wzrok przerwała. - Przepraszam.

Wyrwało mi się.

- A ile ty masz lat?

- Dwadzieścia cztery.

- Kiedy ma się dwadzieścia cztery lata, wszystko wydaje się bardzo proste.

- Czyżby? - spytała znów patrząc mi w oczy.



- Uważasz, że to takie proste, kiedy zostaje się wdową mając dwadzieścia lat?
  - Teraz ja muszę cię przeprosić.
  - Nie musisz. Wypiłem łyk piwa.
  - Skąd wiesz, że byłem pilotem?
  - Och, wiem o tym od dawna. Dlatego przecież cię odszukałam.
  - Szukałaś mnie?
  - Byłeś idolem Janka. Pilot bojowy! W wieku dwudziestu pięciu lat zostałeś pułkownikiem. Janek obrał sobie ciebie za wzór. A ja przyjechałam tu zobaczyć, jaki by on był, gdyby nie zginął.
  - No i co?
  - Cóż, zrozumiałem, że nigdy się nie dowiem. Nie jesteś podobny do Janka.
  - Skąd wiesz?
  - Kiedy cię wczoraj kładłam spać, płakałeś. Janek, odkąd skończył sześć lat nigdy się już nie rozplakał. Był agresywny i niecierpliwy. A ty jesteś miękki i dobry.
  - Nie było we mnie materiału na bohatera. Wojna zmusza człowieka, żeby - jeśli chce przeżyć - robił mnóstwo rzeczy, do których wcale nie jest zdolny
  - uśmiechnąłem się gorzko. - Choć trudno mi dziś pojąć, czemu tak bardzo chciałem przeżyć.
- Zajrzała mi w oczy.
- Istotnie, skoro spędzasz życie ukrywając się w oparach alkoholu.
  - Cóż, należała mi się ta nauczka - westchnąłem. Spojrzałem na zegarek. - Masz jeszcze czas się wykąpać i podnosimy kotwicę.
- Wziąłem swoją puszkę piwa i zszedłem do kajuty. Tu było nieco chłodniej. Pociągnąłem łyk piwa i odstawiłem puszkę na stół. Usłyszałem plusk wody. - Elżbieta dała nurka.

\* \* \*

Zadzwieczył telefon i przywołał mnie do teraźniejszości.

- Słucham - powiedziałem.

- Czy to pułkownik Carey?

- Tak.

- Mówi Harris Gordon. Rozbudziłem się.

- Słucham, panie Gordon.

- Przepraszam, że tak późno dzwonię. Ale cały czas byłem zajęty.

Spojrzałem na zegarek. Było po siódmej. Przespałem całe popołudnie.

- Nic nie szkodzi.

- Czy moglibyśmy odłożyć nasze spotkanie na jutro rano? Dziś sobota i okazało się, że moja żona zaprosiła gości.

- W porządku.

- Przyjadę jutro o dziewiątej rano.

- Świetnie. Będę na pana czekał w holu.

Odłożyłem słuchawkę i wyjrzałem przez okno. Zapadał zmierzch, zapaliły się neony. A ja, w ten sobotni wieczór w rodzinnym mieście nie wiedziałem co z sobą począć. Zapaliłem papierosa, oparłem się o poduszki i znów zacząłem rozmyślać o Elżbiecie.

## 2

Tamtego wieczoru Elżbieta włożyła prostą białą sukienkę. Złociste włosy opadały na czekoladowe ramiona. Wszyscy weekendowi podrywacze wyciągnęli szyje. W Południowej Karolinie jest wiele pięknych kobiet, zwłaszcza w okolicach Malibu, gdzie znajduje się fil-

mowa kolonia, ale i tak Elżbieta przyciągała wszystkie oczy.

Maitre d'hotel nie był głupcem. Potrafił docenić atrakcyjną kobietę. Posadził nas przy wychodzącym na ocean oknie w rogu sali - byliśmy tam widoczni dla wszystkich. I zaraz przysłał nam butelkę szampana i skrzypka.

Elżbieta uśmiechnęła się.

- Widzę, że cię tu cenią.

- Nie chodzi tu o mnie - podniosłem kieliszek. - O ciebie. Na szczęście nie poznał mnie. Byłem tu tylko raz i tak się upiłem, że mnie wyrzucili.

Roześmiała się.

- Zmieni o mnie zdanie, gdy zobaczy ile jem.

Po chwili skrzypek zniknął, zaczęła grać orkiestra. Spojrzałem na Elżbietę, potakująco skinęła głową i ruszyliśmy na parkiet. Objąłem ją, dotknąłem jej nagich pleców.

Potknąłem się usiłując złapać rytm muzyki.

- Dawno nie tańczyłem.

- Ja też - przytuliła czoło do mojego policzka i taniec stał się zaraz łatwy.

Zdziwiłem się, kiedy orkiestra zaczęła pakować instrumenty, spojrzałem na zegarek i okazało się, że jest już trzecia. Po raz pierwszy od lat wieczór upłynął mi niepostrzeżenie. Zapłaciłem rachunek i zostawiłem duży napiwek. Kiedy szliśmy wygwieżdżoną kalifornijską nocą, ze wzgórzy dobiegał zapach kwiatów. Uderzał do głowy.

- Przespacerujemy się brzegiem oceanu?

Skinęła głową i wsunęła rękę pod moje ramię. Poszliśmy ścieżką wokół restauracji, minęliśmy mały motel położony tuż nad morzem.

Noc była cicha. Z autostrady nie dobiegał żaden hałas.

- Co byś powiedziała, żebyśmy sobie popatrzyli na pływające pod wodą gruniony?

- Uwielbiam opowiastki wędkarzy! Roześmiałem się i szliśmy plażą aż do skałek. Usiedliś-

my i wpatrzyliśmy się w ocean. Nie rozmawialiśmy. Nie musieliśmy. Noc wypełniona była niezwykłym spokojem.

Rzuciłem niedopałek do wody, poleciały z niego iskry. Siedzieliśmy czując wzajemną bliskość.

Podniosła ku mnie twarz.

- Łukaszu.

Pocałowałem ją. Nasze usta spotkały się i było tak, jakby opowiadały o naszej przeszłości, o tym, jak byliśmy samotni, o tym, czego pragniemy.

Po chwili położyła głowę na moim ramieniu i dłuższy czas siedzieliśmy bez ruchu. Potem westchnęła i podniosła głowę.

- Już późno. Jestem zmęczona. Wracajmy.

W taksówce, która odwiozła nas do Santa Monica, milczeliśmy. Trzymaliśmy się za ręce.

Zeszliśmy na statek, zatrzymaliśmy się przed drzwiami kajuty. Odezwała się. Najnaturalniej w świecie powiedziała:

- Wiesz, Łukaszu, ja nie bardzo nadaję się do weekendowych romansów. Jestem chyba długodystansowcem. Nie należę do tych samotnych kobiet, które starają się zapełnić pustkę w swoim życiu. I nie chciałabym, żeby mnie używano jako przeciwpożarowej gaśnicy.

- Rozumiem.

Chwilę milczała, jakby zastanawiała się, czy mówię prawdę.

- Mam nadzieję, że rozumiesz - szepnęła miękko. - Bardzo bym tego chciała. - Pocałowała mnie. -

Poczekaj parę minut.

Zniknęła w kajucie, a ja znów zapaliłem papierosa. Nagle zaczęły mi się trząść ręce, poczułem strach. Nie wiedziałem, czego się boję, ale się przeraźliwie bałem. Rozejrzałem się za alkoholem, ale na statku było tylko parę puszek piwa. Otworzyłem jedną i duszkiem wypilem. Wrzuciłem papierosa do wody i wszedłem do kajuty.

Leżała na mojej koi, okryta prześcieradłem.

- Zgaś lampę, Łukasz.

Zgasilem. Światło z nabrzeża wpadało przez bulaj i złotą aureolą otaczało jej twarz. Szybko rozebrałem się, uklękłem obok koi i pocałowałem ją.

Objęła mnie za szyję.

- Ach, Łukasz.

Wolniutko zsunąłem z niej prześcieradło. Miała otwarte oczy, obserwowała mnie. Po chwili spytała:

- Czy jestem dla ciebie dosyć piękna?

Miała duże, sterczące dumnie piersi, była cienka w talii, płaski brzuch zaokrąglony tam, gdzie przechodził w biodra.

- Chciałabym być dla ciebie piękna.

- Moja złocista bogini - szepnąłem całując jej piersi. Objęła mnie.

- Chcę być jak najbliżej ciebie. Kochaj mnie.

Poczułem przemożne pożądanie. Całowałem jej piersi. Zaczęła cichutko jęczeć. Czułem, że otwiera się. Czułem ciepło. Zaczęło mi bić serce, zaszumiało mi w głowie. Nagle dała znać o sobie whisky i te wszystkie lata, kiedy szukałem ucieczki w ramionach dziwek. Tama pękła.

- Nie - szepnęła. - Proszę cię, nie. Ale już było po wszystkim.

Chwilę leżałem bez ruchu, potem usiadłem i sięgnąłem po papierosa.

- Elżbieto, tak mi strasznie przykro. Powinienem był wiedzieć, że to się stanie. Ja się już do niczego nie nadaję. Nawet do miłości.

Siedziałem na brzegu koi, wpatrując się w podłogę, nie mając odwagi spojrzeć na Elżbietę. W jej głosie zabrzmiała czułość.

- To ona cię aż do tego doprowadziła?

- Sam się do tego doprowadziłem - odparłem z goryczą. - Nic już ze mnie nie będzie. Ludzki wrak.

Przytuliła moją głowę do piersi, zaczęła mnie głaskać po włosach.

- Nie, Łukaszu, to nieprawda - szepnęła. - Twoje kłopoty biorą się z tego, że masz w sobie zbyt wiele miłości.

Kiedy rano wstałem, jej już nie było. Na stole leżał list i czterysta dolarów. Drżącymi palcami otworzyłem kopertę.

***Kochany Łukaszu!***

***Proszę cię, wybacz mi to odejście. Może ci się to wydaje nieładne, ale myślałam i myślałam, i nic nie potrafię wymyślić. Każdy niesie własny krzyż i musi wygrać swoją prywatną wojnę. Ja po śmierci Janka długo musiałam z sobą walczyć, ty wciąż jeszcze walczysz.***

***Jeśli uda ci się choć na tyle zwyciężyć, żebyś potrafił wyjść z ukrycia i znów stał się sobą, spotkamy się i czeka nas długa wspólna droga. Tego z całego serca pragnę, oczywiście, jeśli ty też miałbyś na to ochotę. Wiem, że piszę od rzeczy, ale zawsze kiedy płaczę, zaczynam gadać od rzeczy.***

***Tvoja Elżbieta***

Przez trzy miesiące usiłowałem zapomnieć o tym, co ona napisała, wreszcie któregoś ranka obudziłem się w izbie wytrzeźwień przy komisariacie i straciłem wszystko, co miałem. Statek, kredyt i resztkę szacunku dla samego siebie. Nie miałem na zapłacenie grzywny, musiałem odpracować trzydzieści dni na karnej farmie.

Po tych trzydziestu dniach oddali mi ubranie i w kieszeni znalazłem ten list. Wyjąłem go, jeszcze raz przeczytałem i przejrzałem się w lustrze. Po raz pierwszy od dawna miałem nie przekrwione oczy.

Pomyślałem sobie, jakby to było dobrze zobaczyć Elżbietę. Ale nie mogłem stanąć przed nią jako włóczęga. Znalazłem pracę na budowie, po siedmiu miesiącach byłem już pomocnikiem brygadzysty. Miałem w kieszeni sześćset dolców i stary wóz.

Wsiadłem do niego i pojechałem do Phoenix. Tam dowiedziałem się, że ona jest w Tucson, gdzie jej szef rozpoczął nową budowę. Dotarłem tam późnym popołudniem tego samego dnia. Podjechałem pod biuro, zobaczyłem wywieszkę:

### **POTRZEBNI ROBOTNICZY BUDOWLANI**

i wszedłem.

W biurze siedziała ciemnowłosa dziewczyna. Podniosła na mnie wzrok.

- Czym mogę służyć?
- Państwo szukają robotników budowlanych.
- Tak. Czy ma pan odpowiednie kwalifikacje?
- Owszem.
- Proszę usiąść i poczekać. Dam znać panie Andersen.

Wzięła słuchawkę i powiedziała coś szeptem. Potem wręczyła mi kwestionariusz.

- Niech go pan wypełni.

Kończyłem go wypełniać, gdy rozległ się dzwonek telefonu i dziewczyna wskazała mi drzwi gabinetu.

Kiedy wszedłem tam, Elżbieta nie podniosła głowy. Wpatrywała się w kolumny cyfr.

- Gdzie pan ostatnio pracował? - spytała wciąż nie podnosząc wzroku.
- Na budowie, proszę pani.
- Ale w jakim charakterze? - Wyraźnie się zniecierpliwiała. Spojrzała jednak w moją stronę i słowa uwięzły jej w gardle.

Chyba schudła, kości policzkowe bardziej się uwydatniały.

- Widzi pani, w gruncie rzeczy przyszedłem tu nie tyle po to, by się zatrudnić, ale odbyć długą drogę z kimś, kto mi to kiedyś zaproponował.

Długo, długo wpatrywała się we mnie, a potem zerwała się z biurka i po sekundzie była już w moich ramionach. Całowałem ją, a ona powtarzała moje imię.

Otworzyły się drzwi i wszedł jej szef. Chciał zawrócić, ale poznał mnie i chrząknął. Wyjął z kieszeni okulary, włożył je i jeszcze raz chrząknął.

- No, jesteś - powiedział. - Najwyższy czas. Elżbieta nareszcie przestanie się zamartwiać i zabierze się do roboty.

Wszedł z pokoju, a my wybuchnęliśmy śmiechem. Słuchając jej śmiechu uświadomiłem sobie, jak bardzo jej obecność pomoże mi żyć. I tak się stało. Czułem to także owego samotnego wieczoru w San Francisco.

### 3

Kiedy następnego dnia o dziewiątej zszedłem do holu, czekał tam już na mnie Harris Gordon.

Poszliśmy do kafeterii, gdzie czekały puste stoliki. Był to niedzielny poranek.

Kelnerka przyniosła kawę, zamówiłem naleśniki i smażone kielbaski. Gordon był już po śniadaniu.

Kiedy kelnerka odeszła, spytałem:

- No więc jak ta sprawa wygląda? Sięgnął po papierosa.

- Pod jednym względem mamy szczęście. Unikniemy procesu o morderstwo.

- Tak?

- Tak. Według prawa kalifornijskiego nieletni są



traktowani inaczej. Zwłaszcza gdy nie ukończyli jeszcze szesnastu lat.

- Więc jak się ustala, czy dziecko jest winne i jaką powinno ponieść karę?

- Tutaj znowu prawo działa na naszą korzyść. Nie istnieje kara dla dziecka. Dziecko nie odpowiada za swoje czyny, nawet gdyby się udowodniło jego winę. Odbywa się tylko przesłuchanie w Sądzie dla Nieletnich, które ma ustalić, jakie rozwiązanie będzie najlepsze, by dziecko po okresie rehabilitacji mogło powrócić do normalnego życia. - Uśmiechnął się. - Czy wyrażam się nazbyt prawniczo?

- Chwilowo wszystko rozumiem.

Kelnerka przyniosła mi śniadanie. Gordon poczekał, aż zniknęła, i dopiero wtedy kontynuował...

- Sąd ustala kto w tym okresie powinien sprawować kuratelę nad dzieckiem, tak żeby to służyło jego interesom. Któreś z rodziców, rodzina zastępcza, szkoła poprawcza taka jak Los Guilicos, ewentualnie szpital psychiatryczny. Ale dopiero po dokładnym zbadaniu sprawy. Jeśli sąd będzie chciał zachować nadal opiekę nad Dani, zostanie ona odesłana na badania psychologiczne do Instytutu w Perkins.

- Co to dokładnie oznacza?

- Jedno jest pewne - oświadczył szybko. - Panu w żadnym wypadku sąd nie przyzna opieki nad Dani, bo mieszka pan w innym stanie.

Nareszcie wiedziałem, na jakim gruncie stoję. Nie mogę więc liczyć na to, by powierzono mi opiekę nad Dani.

- Komu zatem powierzy ją sąd?

- Szczerze mówiąc wątpię, by sąd oddał ją Norze. Istnieją trzy możliwości. Babka, rodzina zastępcza wyznaczona przez sąd albo Los Guilicos. Myślę, że możemy wykluczyć rodzinę zastępczą. Babka zapewni jej lepsze warunki rozwoju.

- Czyli albo starsza pani, albo instytucja. Skinął głową.

Zjadłem ostatni naleśnik i poprosiłem o jeszcze jedną kawę.

- I jakiej oczekuje pan decyzji?

- Czy chce pan szczerzej odpowiedzi?

- Tak.

- Dziesięć do jednego: sąd wybierze Los Guilicos. Przez chwilę milczałem. Trudno mi było pogodzić się

z myślą, że Dani miałyby spędzić za kratkami wiele miesięcy albo nawet lat.

- Co mamy zrobić, żeby ich przekonać?

- Musimy udowodnić, że zapewnimy Dani wszystko to, co dałaby jej ta instytucja. Ścisły nadzór, naukę, religię, psychoterapię. I oczywiście stały kontakt z wyznaczonym opiekunem sądowym.

- Dlaczego ma to być konieczne, skoro Dani będzie u babki?

- Bo choć babka będzie za nią odpowiadała, Dani pozostanie pod opieką sądu, póki ten nie uzna, że już nie zagraża społeczeństwu.

- Jak długo to potrwa?

- Doświadczenie mówi mi, że co najmniej do ukończenia osiemnastu lat.

- To okropne tak długo żyć pod mikroskopem. Dziwnie na mnie spojrzał.

- Ona zabiła człowieka. Śmierć trwa wiecznie. Na to nie było odpowiedzi.

- Co mogę zrobić, żeby pomóc? - spytałem.

- Bardzo jest ważne, żeby pozostał pan w San Francisco podczas przesłuchań w sprawie Dani.

- Tego nie mogę zrobić - zaprotestowałem. - Takie procesy ciągną się w nieskończoność.

- To nie jest proces w dosłownym sensie tego słowa, panie pułkowniku. Są to tylko przesłuchania przez sędziego osób bezpośrednio zamieszanych w sprawę. Nawet nie uczestniczy w nich policja ani prokurator, chyba że mają odpowiedzieć na jakieś konkretne pytania.

Wszystko musi odbywać się szybko. Jeśli przesłuchanie nie odbędzie się w ciągu dwóch tygodni, dziecko musi zostać zwolnione.

- Więc jak długo to potrwa?

- Pierwsze przesłuchanie odbędzie się we wtorek. Następne w tydzień później. Czyli razem dziesięć dni.

- Dziesięć dni! - wybuchnąłem. - Moja żona ma rodzić lada dzień! Dlaczego musimy czekać wtorku?

- Taka jest procedura - wyjaśnił cierpliwie Gordon. - Pierwsze przesłuchanie odbędzie się we wtorek, bo jest to dzień wyznaczony przez sąd na sprawy nieletnich dziewcząt. A następne w tydzień później, gdyż opiekun sądowy musi mieć czas, by zapoznać się ze wszystkimi aspektami. To dochodzenie jest ogromnie ważne także dla nas. Od niego zależy decyzja sędziego, komu zostanie powierzone dziecko. Jeśli sąd uzna, że nie uzyskał dostatecznie jasnego obrazu sytuacji, dziecko odsyła się na pewien czas do Perkins. To my musimy przekonać opiekuna sądowego i sędziego, że w interesie zarówno Dani, jak i stanu Kalifornia należy ją powierzyć babce.

- Po cóż zatem potrzebna jest moja obecność? Nic, co mógłbym powiedzieć, nie będzie miało wpływu na sprawę.

- Tu się z panem nie zgadzam. Może pan mieć ogromny wpływ. Wystarczy, że powie pan, iż uważa pan to za najlepsze dla dziecka.

- Któżby chciał się liczyć z moją opinią? Spojrzał na mnie.

- Nie docenia się pan, panie pułkowniku. Sąd będzie się liczył. Nikt nie zapomniał, co pan zrobił dla kraju.

- Chce pan rozczulić sąd opowieściami o moich bohaterskich wyczynach?

- Tak. To już raz nam pomogło.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

Gordon skinął na kelnerkę i poprosił ją o przyniesienie porannych gazet. Kiedy leżały na stole, pokazał zdjęcie i wielki tytuł.

Zdjęcie pokazywało jak obejmuję Dani w sądzie. Tytuł brzmiał:

### **BOHATER WOJENNY PRZYBYWA, BY BRONIĆ CÓRKI**

- Wszystkie gazety opowiedziały się po pańskiej stronie. Nie ma wzmianki o pana napaści na reporterów. Ktoś inny ciężko by za to zapłacił. Ale nie pan.

Spojrzałem na niego pytająco.

- Nie należy zapominać, że ludzie są tylko ludźmi. Nawet sędzia czyta gazety i choćby się do tego nie przyznawał, ulega ich wpływowi. - Gordon oparł się o poręcz krzesła. - Jeśli dłuższy pobyt tutaj jest dla pana problemem finansowym, mam w imieniu pani Hayden zapewnić pana, że ona ureguluje wszystkie rachunki.

- Nie chodzi o moje finanse. Już powiedziałem panu, że moja żona na dniach oczekuje dziecka.

- Opinia publiczna jest nader zmienna - oświadczył Gordon. - W tej chwili pan i pańska córka cieszą się ogólną sympatią. Jeśli wyjedzie pan, nim sąd rozstrzygnie, komu przyznać opiekę nad dzieckiem, ludzie mogą uznać, iż doszedł pan do wniosku, że ona naprawdę ma złe skłonności.

Tak, on jest naprawdę sprytny, pomyślałem. Postawił mnie w sytuacji bez wyjścia.

- Musi pan, panie pułkowniku, uświadomić sobie, że to od pańskiej decyzji w dużej mierze zależy, czy Dani spędzi cztery lata w zakładzie poprawczym, czy u babki.

- Widzę, że obecnie chcecie zwalić na mnie całą odpowiedzialność. A w swoim czasie sąd bez najmniejszego wahania przyznał Norze opiekę nad Dani. Dopiero teraz zorientował się, kim jest Nora. Czy to było sprawiedliwe? I dlaczego starsza pani nie zareagowała, kiedy ten facet zamieszkał z Norą? Przecież wiedziała, co to oznacza. Dlaczego wówczas nie zatroszczyła się o Dani? Mnie nie pozwolono się wtrącać. Nie pozwolono mi zajmować się Dani. Posunęliś-

cie się do zakwestionowania mojego ojcostwa. A teraz oświadcza pan, że to ja będę odpowiedzialny za dalsze losy Dani.

W oczach Gordona dostrzegłem zrozumienie. Niemniej powiedział:

- Nawet przyjmując, że wszystko, co pan mówi jest prawdą, nie zmienia to w niczym obecnej sytuacji. Jakkolwiek by oceniać przeszłość, w tej chwili chodzi o terażniejszość. - Poprosił o rachunek. - Niech pan nie podejmuje decyzji zbyt pochopnie. Radzę poczekać do wtorku, do pierwszego przesłuchania w Sądzie dla Nieletnich. - Wstał. - Myślę, że powinien pan pojawić się jutro u sędziego pokoju.

Zrozumie pan, jak bardzo będzie pan potrzebny.

- U sędziego pokoju? Będzie też tam Dani? Gordon przecząco pokręcił głową.

- Nie. Ale zostanie odczytane jej zeznanie. Na świadka została wezwana Nora.

- Czego to ma dowieść? Wzruszył ramionami.

- Potwierdzi tylko to, co już wiemy. I może przekona pana, że powinien pan zostać.

Wyszedł z kafeterii, a ja zamówiłem następną kawę. Nie miało sensu jechać teraz do starszej pani.

Niezadługo miałem pojawić się w schronisku dla nieletnich.

#### 4

Kiedy zaparkowałem wóz przed schroniskiem dla nieletnich, zobaczyłem jaguara Nory. Wsiadłem z wozu i ruszyłem w kierunku wejścia, ale zatrzymał mnie głos Karola.

- Panie pułkowniku! Zatrzymałem się.
- Dzień dobry, Karolu.
- Czy mogę prosić pana o uprzejmość? Pani Hayden przysłała dla panienki paczki.
- Gdzie jest pani Hayden?

Karol wyraźnie unikał mego wzroku.

- Pani Hayden jest... pani nie czuje się dobrze. Doktor Bonner kazał jej pozostać w łóżku. Jest bardzo przybita.

- Wyobrażam sobie. Dobrze. Wezmę te paczki.

- Dziękuję, panie pułkowniku. - Wyjął z auta walizkę i dwie paczki, jedna z nich wyglądała na pudełko czekoladek.

- Czy nie chcieli ich przyjąć?

- Och, owszem. Ale powiedzieli mi, że pan pułkownik ma panienkę odwiedzić i pomyślałem sobie, że panience będzie przyjemiej, gdy dostanie je od pana pułkownika.

Ruszyłem w stronę budynku, Karol szedł za mną.

- Czy pan pułkownik pozwoli, żebym tu zaczekał, aż pan wyjdzie? Chciałbym się dowiedzieć, jak się panienka czuje.

- Oczywiście. Odszukam Karola, kiedy będę wychodził.

- Dziękuję panu pułkownikowi. Będę w aucie. Ruszył w stronę parkingu, a ja wszedłem do środka. Za biurkiem siedziała ta sama siwa niewiasta. Uśmiechnęła się na mój widok.

- Mam już dla pana przepustkę. Zobaczyła walizkę i paczki.

- Niech pan będzie tak dobry i mi je poda. Strasznie mi przykro, ale regulamin nakazuje nam dokładnie rewidować wszystkie przyniesione rzeczy.

Najpierw otworzyła walizkę. Na wierzchu leżało parę bluzek i spódniczek. Wyjęła je i położyła na biurku. Pod spodem były dwa sweterki, kilka par pończoch, bielizna, dwie pary pantofli i starannie złożone chusteczki do nosa.

Wsunęła pod nie rękę, obmacała dno i boki walizeczki. Uśmiechając się do mnie włożyła wszystko do środka i zamknęła walizkę. Potem otworzyła paczki. Miałem rację. W jednej było pudełko czekoladek, w drugiej kilka powieści dla młodzieży.

Urzędniczka spojrzała na mnie przepraszającym wzrokiem.

- Wszystko w porządku. Nie uwierzy pan, co ludzie usiłują przeszmużować.

- Rozumiem.

Wręczyła mi przepustkę i wskazała na drzwi.

- Pójdzie pan tym korytarzem aż do końca. Potem wejdzie pan po schodach. Na ścianach będą strzałki.

Dojdzie pan do zamkniętych drzwi i pokaże pan dyżurnej przepustkę, a ona zaprowadzi pana do córki.

- Dziękuję.

Korytarz był nieskazitelnie czysty, ściany pomalowano na seledynowo, jak w szpitalu. Wszedłem po schodach i znalazłem się w identycznym korytarzu. Na ścianie widniała strzałka:

### **SALE DZIEWCZĄT**

Na końcu korytarza krata sięgała od podłogi do sufitu. W środku były także zakratowane drzwi.

Usiłowałem je otworzyć, były zamknięte. Potrząsnąłem nimi i usłyszałem zbliżające się kroki.

W drzwiach stanęła zażywna Murzynka. Pospiesznie zapinała biały mundur.

- Właśnie zaczęłam służbę - przeprosiła. Podałem jej przepustkę.

Szybko przeczytała ją i skinęła głową. Wyjęła z kieszeni klucz i otworzyła drzwi. Wszedłem, a ona zaraz zamknęła za mną te zakratowane wrota.

Poszliśmy korytarzem do dużej rekreacyjnej salki. Wszędzie stały krzesła, a w najdalszej części, której nie było widać z korytarza, stół i parę fotelików.

Wokół stołu siedziało kilka dziewcząt słuchając radia. Dwie dziewczynki tańczyły - biała i czarna - w takt rockowej muzyki.

Kiedy wszedłem, dziewczęta spojrzały na mnie bez specjalnego zainteresowania.

- W którym pokoju mieszka Daniela Carey? - spytała dyżurna nadzorczyńni.

Nie odpowiedziały.

- No, ta nowa.

- Aha. Ona jest w dwunastce - odpowiedziała mała Murzynka.

- Dlaczego tu nie przyszła? Nie zaprosiłyście jej?

- Prosiłyśmy, panno Matson. Ale ona nie chciała wyjść z pokoju. Pewnie się tu jeszcze czuje nieswojo.

Znów poszliśmy korytarzem. Tu co dwa kroki były drzwi. Nadzorczyńni zatrzymała się przed jednymi z nich i zapukała.

- Masz gościa, Dani - oświadczyła.

- Okay - odpowiedziała z głębi pokoju Dani.

- Przyjdę panu powiedzieć, kiedy skończy się czas wizyty - oświadczyła wychowawczyńni.

- Dziękuję.

- Tatus! - zawołała Dani i rzuciła mi się w ramiona.

- Moje maleństwo - położyłem paczki i ucałowałem ją.

Zobaczyłem pokój Dani. Był maleńki i wąski, z obu stron stały łóżka. Na ścianie między nimi było wysoko umieszczone niewielkie okno. Na jednym z łóżek siedziała młoda kobieta. Wstała.

- To panna Spicer, tatusiu - zaprezentowała ją Dani. - Panno Spicer, przyszedł mój ojciec.

Młoda kobieta wyciągnęła rękę.

- Miło mi pana poznać, panie pułkowniku - uścisnęła mi mocno i przyjaźnie dłoń.

- Marian Spicer. Jestem sądową opiekunką Dani. Ilekroć słyszałem słowa „sądowy opiekun”, wyob-



rażałem sobie surowego mężczyznę. A tu zobaczyłem młodą osobę - nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia osiem lat. Brązowe włosy loczkami okalały twarz, brązowe oczy patrzyły bystro i życzliwie. Pewno okazałem zdziwienie, bo uśmiechnęła się.

- Witam panią, panno Spicer. Spojrzała na paczki.

- O, widzę, że ojciec coś ci przyniósł, Dani. Jak miło. Dani spojrzała na mnie pytająco, poznała walizkę.

- Przysłała ci to twoja matka. Oczy Dani zasnuły się mgiełką.

- Mama nie przyjdzie?

- Źle się czuje. Odwróciła wzrok.

- Wcale nie przypuszczałam, że przyjdzie.

- Chciała przyjść, ale doktor Bonner kazał jej zostać w łóżku.

Dani przerwała mi.

- Skąd wiesz, tatusiu, że chciała? Widziałeś się z nią? Nie odpowiedziałem.

- Pewnie przysłała Karola, a on wręczył ci te paczki. Prawda, tatusiu?

Skinąłem głową.

- Zostawię cię z ojcem, Dani - powiedziała panna Spicer. - Ale wrócę.

Dani usiadła na łóżku tyłem do mnie. Jeszcze raz rozejrzałem się po pokoju. Oprócz łóżek stały tu dwa krzesła, a w nogach każdego łóżka mała komódka. Ściany były kiedyś zielone i widać to było spod warstwy niestarannie położonej kremowej farby. Były upstrzone napisami. Zobaczyłem, że są to imiona chłopców oraz daty. I parę numerów telefonicznych. I parę wyzwisk - takich, jakie widuje się w toaletach. Spojrzałem na Dani.

Zniknęła młoda dama, która poprzedniego dnia rano pojawiła się na schodach. Na łóżku siedziała mała

dziewczynka. Zamiast natapirowanych loków - koński ogon ściągnięty gumką. Nie wyglądała nawet na te swoje czternaście lat.

Sięgnąłem po papierosa.

- Poczęstuj mnie, tatusiu.

- Nie wiedziałem, że palisz.

- Ty w ogóle niewiele o mnie wiesz - odpowiedziała zniecierpliwiona.

Podąłem jej papierosa i ogień. Tak, paliła. Zaciągnęła się jak stary palacz.

- Czy twoja matka wie o tym?

Skinęła głową patrząc na mnie wyzywająco.

- Mnie się to nie podoba. Jeszcze rośniesz... Przerwała mi ostro.

- Nie zachowuj się jak troskliwy ojciec. Na to już za późno.

W gruncie rzeczy miała rację. Nie widziała mnie od paru lat. Pomyślałem, że trzeba zmienić temat rozmowy.

- Nie zajrzysz, co przysłała ci matka?

- Dobrze wiem co. Ubranie, czekoladki i książki. Zawsze mi to przysyłała, kiedy podczas wakacji wyjeżdżałam na kolonie letnie.

Nagle napłynęły jej do oczu łzy.

- Ona pewnie traktuje to jak jeszcze jedne kolonie. Zawsze mi coś przysyłała. Ale nigdy do mnie nie przyjeżdżała. Nawet w Dzień Rodziców.

Chciałem ją objąć i uspokoić, ale poczułem, że na nic się to nie zda. Po paru minutach przestała płakać.

- Dlaczego mnie nie odwiedzałeś, tatusiu? - spytała słabym głosem. - Czy przestałeś mnie kochać?

5

Kiedy następnego ranka przyszedłem do sadu, w małej salce panował już tłok. Jedynymi wolnymi miejscami były krzesła zarezerwowane dla świadków. Harris Gordon zobaczył, że stoję z tyłu, i skinął na mnie. Podeszedłem i posadził mnie koło Nory. Wolałbym usiąść gdzie indziej, ale czułem, że obserwują mnie reporterzy.

- Karol mówił mi, że cię wczoraj widział - szepnęła Nora. - Jak się ma Dani?

Nora była blada. Prawie nie umalowana. Ubrała się jak najskromniej.

- Było jej bardzo przykro, że nie mogłaś przyjść.

- Mnie także. Ale lekarz zabronił mi wychodzić z domu.

- Tak mnie poinformował Karol. Czy dziś czujesz się już lepiej?

- Trochę lepiej.

Znów poczułem znajomą gorycz w ustach. Nora się nie zmieniła, nic nie było w stanie jej zmienić. Wciąż te same kłamstewka, uprzejme wymijające zdania. Wcale się źle nie czuła. Nie miała ochoty pofatygować się do więzienia, ot co.

Sędzia pokoju zastukał młotkiem. W sali zapadła cisza. Wezwano pierwszego świadka - lekarza sądowego. Był doświadczonym świadkiem, zeznawał konkretnie i zwięźle. Dokonał sekcji ciała Antoniego Riccio, śmierć nastąpiła na skutek przecięcia aorty jakimś ostrym narzędziem. Uznał, że śmierć musiała nastąpić co najmniej w kwadrans po zadaniu rany.

Kolejnym świadkiem był także lekarz, chirurg policyjny. Przybył wezwany przez policję i stwierdził zgon.

Przeprowadził tylko powierzchowne badanie, by móc wystawić akt zgonu, i kazał odesłać zwłoki do kostnicy.

Chirurg wrócił na swoje miejsce i urzędnik sądowy wezwał doktora Alojzego Bonnera.

Patrzyłem jak doktor Bonner wstaje z drugiego końca lawy dla świadków. Dawno go nie widziałem. Niezbyt się zmienił. Nadal miał pięknie szpakowate włosy i zachowywał się z dystynkcją, która zapewniła mu doborową klientelę.

Złożył przysięgę i usiadł na miejscu przeznaczonym dla świadka.

- Poprosimy pana, panie doktorze, by powiedział pan ławie przysięgłych, co zdarzyło się w ostatni piątek.

Doktor Bonner zwrócił się w stronę stołu sędziowskiego i jego pięknie modulowany głos wypełnił salę.

- Parę minut po ósmej, kiedy wychodziłem z gabinetu, zadzwonił kamerdyner pani Hayden, poinformował mnie, że zdarzył się wypadek, i prosił o natychmiastowe przybycie.

Mój gabinet jest o parę kroków od domu pani Hayden, przybyłem zatem w ciągu pięciu minut. Zaprowadzono mnie do pracowni pani Hayden, gdzie na podłodze leżał pan Riccio, jego głowę trzymała na kolanach pani Hayden. Przyciskała do jego brzucha zakrwawiony ręcznik.

Kiedy ją spytałem, co zaszło, powiedziała, że pan Riccio został ranny. Uklęknąłem i podniosłem ręcznik. Zobaczyłem krwawiącą głęboko ranę. Wziąłem pana Riccio za rękę. Puls był słaby i nieregularny. Widziałem, że bardzo cierpi i że zbliża się zapaść. Otworzyłem walizeczkę, żeby zrobić mu zastrzyk morfiny, ale gdy wróciłem ze strzykawką, już nie żył.

Odwrócił się i spojrzał na sędziego pokoju.

Sędzia chwilę mu się przyglądał, potem zwrócił się do mężczyzny siedzącego obok sądowego stenografa.

- Czy ma pan jakieś pytania, panie Carter?

- Carter jest z prokuratury - szepnął mi na ucho Gordon.
- Panie doktorze, czy Antonio Riccio coś przed śmiercią powiedział?
- Tak.
- Czy może pan powtórzyć jego słowa?
- Dwukrotnie wypowiedział zdanie: „Pchnęła mnie nożem”.
- Czy wiedział pan, kogo miał na myśli?
- Wówczas jeszcze nie - odpowiedział stanowczo doktor.

Kącikiem oka zobaczyłem zadowolenie na twarzy Gordona, zrozumiałem, że zdążył już porozmawiać z doktorem Bonnerem.

- Czy w pracowni był jeszcze ktoś oprócz pani Hayden i rannego?
- Tak. Jej córka.
- Czy pozostawała w pracowni cały czas?
- Tak.
- Dziękuję panu.

Prokurator wrócił na swoje miejsce.

- Inspektor Gerald Myrer. - Urzędnik sądowy wezwał następnego świadka.
- Mocno zbudowany, krótko ostrzyżony mężczyzna wstał z naszej ławy. Złożył przysięgę i usiadł.
- Proszę poinformować sąd, jak się pan nazywa i czym się trudni.
  - Inspektor Gerald Myrer, Wydział Zabójstw policji San Francisco.
  - Proszę nam opisać swoje działania w dniu śmierci Antoniego Riccio.

Inspektor wyjął z kieszeni notatnik.

- O godzinie dwudziestej dwadzieścia pięć policyjny radiowóz zawiadomił Wydział Zabójstw o dokonaniu morderstwa. Do domu pani Hayden przybyliśmy o dwudziestej trzydzieści siedem. Przed domem znajdowały się

dwa radiowozy, a stojący na straży policjant poinformował nas, że w pracowni pani Hayden leży zamordowany mężczyzna. Natychmiast się tam udałem.

Zamordowany leżał na podłodze. W pracowni znajdowały się następujące osoby: pani Hayden, jej córka Daniela Carey, doktor Bonner, kamerdyner Karol Fletcher oraz mecenas Harris Gordon, który według słów dyżurnych z radiowozu przybył tuż przede mną. Natychmiast rozpocząłem śledztwo.

Odchrząknął i rozejrzał się po sali.

- Stwierdziłem, że w chwili kiedy padł cios, który okazał się śmiertelny, w pracowni znajdowały się tylko pani Hayden i jej córka. Przesłuchałem panią Hayden i jej córkę i dowiedziałem się, że to córka w czasie sprzeczki matki z zamordowanym zadała ten śmiertelny cios dłutem rzeźbiarskim. Dłuto leżało na podłodze obok ciała. Natychmiast odesłałem je do laboratorium.

- Pozwoli pan, panie inspektorze, że przerwę. Jakie były wyniki ekspertyzy?

- Laboratorium poinformowało nas, że krew na ostrzu dłuta należała do grupy zero, czyli grupy krwi zamordowanego. Poinformowało mnie także, że na rękojeści dłuta znajdują się odciski palców pani Hayden, jej córki oraz zamordowanego.

- Dziękuję, panie inspektorze, proszę mówić dalej.

- Po przeprowadzeniu śledztwa zabrałem na komisariat Daniellę Carey. Towarzyszył jej mecenas Gordon. W komisariacie panna Carey podyktowała stenografowi zeznanie, które zostało jej w obecności pana mecenasa odczytane i które podpisała. Potem zgodnie z przepisami prawa zawiozłem ją do schroniska dla nieletnich, gdzie towarzyszył nam także mecenas Gordon.

- Czy ma pan przy sobie kopię tego zeznania?

- Tak, proszę Wysokiego Sądu. Sędzia zwrócił się do ławy przysięgłych.

- Zgodnie z kalifornijskim prawem nieletni przestępcy nie stają przed sądem, lecz sprawę taką rozpatruje Sąd dla Nieletnich. Niemniej, wolno nam odczytać zeznanie nieletniej Daniela Carey, które pozwoli nam ustalić przyczynę śmierci.

Zwrócił się znów do policjanta.

- Zechce pan, panie inspektorze Myrer, odczytać zeznanie nieletniej.

Inspektor Myrer wyjął z drugiej kieszeni zwinięte kartki papieru, ułożył je i zaczął czytać pozbawionym wyrazu głosem.

Zeznanie nieletniej Daniela Nory Carey

Nazywam się Daniela Nora Carey i mieszkam w San Francisco z moją matką Norą Hayden. Uczyłam się na górze do egzaminu, kiedy usłyszałam głosy w pracowni matki. Cały dzień matka i Rick o coś się sprzeczali. Zwykle kiedy się sprzeczali, zamykałam się w swoim pokoju, takie to było przykre. Ale tego dnia kłótnia była wyjątkowo gwałtowna i zaczęłam bać się o matkę. Już kiedyś Rick uderzył ją w czasie kłótni i z powodu podbitego oka matka przez trzy dni nie mogła wyjść z domu.

Krzyczeli coraz głośniejsze. Usłyszałam, że Rick woła: „Ja cię zabiję!” Zbiegłam na dół. Strasznie się bałam o matkę. Kiedy otworzyłam drzwi, Rick wykręcił jej rękę i popychał ją tyłem w stronę stołu.

Chwyciłam dłuto ze stolika przy drzwiach i podbiegłam do nich. Krzyknęłam, żeby puścił matkę.

Puścił ją i ruszył w moją stronę krzycząc, żebym się do cholery zaraz wyniosła. Zapomniałam, że mam w ręku dłuto i z całej siły uderzyłam go w brzuch.

Chwilę stał nieruchomo, potem chwycił się za brzuch i powiedział: „Chryste Panie, coś ty zrobiła?” I zobaczyłam, że pomiędzy jego dłoni sterczy dłuto i tryska krew. Podbiegłam do matki wołając: „Ja nie chciałam”. Matka odepchnęła mnie i podeszła do Ricka. Wyjął z brzucha

dłuto i podał jej. Krew jeszcze mocniej trysnęła i matka upuściła dłuto. Rick zrobił krok w jej stronę i upadł na ziemię. Schowałam twarz w rękach i zaczęłam krzyczeć.

Przybiegli Karol i Wioletta, Wioletta spoliczkowała mnie i przestałam krzyczeć. Potem przyszedł doktor Bonner i powiedział, że Rick nie żyje. Chyba to wszystko. Ja naprawdę nie chciałam tego zrobić.

Przeczytałam to zeznanie, które złożyłam z wolnej i nieprzymuszonej woli, i stwierdzam podpisem jego wiarygodność.

Inspektor spojrział na ławę przysięgłych. Dorzucił takim samym bezbarwnym tonem:

Podpisała Daniela Nora Carey

Sędzia zwrócił się do prokuratora.

- Czy ma pan jakieś pytania? Prokurator zaprzeczył ruchem głowy. Wstał urzędnik sądowy.

- Nora Hayden.

Wstałam, żeby Nora mogła przejść. Była blada, zacisnęła usta. Po raz pierwszy wydała mi się podobna do matki. Stała wyprostowana, z wysoko podniesioną głową.

Złożyła przysięgę i usiadła na krześle dla świadków. Harris Gordon zajął miejsce obok prokuratora.

- Pani Hayden, proszę opowiedzieć, co pani wie o wydarzeniach tego wieczoru. - Głos sędziego brzmiał łagodnie, był pełen współczucia. Nazwisko Hayden wciąż liczyło się w tym mieście.

Nora zaczęła mówić. Cicho, niemniej jej głos dolatywał do stołu sędziowskiego, był także dobrze słyszalny w pierwszych rzędach. Za mną ludzie zaczęli wyciągać szyje.

- Pan Riccio i ja pokłóciliśmy się. Był od paru lat moim menedżerem, ale ostatnio przestałam być z niego



zadowolona i chciałam go zwolnić. zaproponowałam odprawę pieniężną, uważał, że jest ona niewystarczająca, i cały dzień była o tym mowa. Wieczorem przyszedł do pracowni i stał się agresywny. Kazałam mu wyjść, nie mogłam się skoncentrować na nowej rzeźbie, bałam się, że ją sknocę.

Chwycił mnie za ramiona, potrząsnął mną krzyżąc, że ma dosyć wykrętów. Próbowałam go odepchnąć, ale wykręcił mi do tyłu rękę, strasznie zaczęło mnie boleć, omal nie upadłam. Otworzyły się drzwi, wpadła Dani i coś zawołała. Kazał jej się wynosić.

Widziałam, jak go uderzyła. Byłam bardzo zaskoczona. Dani nigdy nikogo nie uderzyła. Była zawsze spokojnym i opanowanym dzieckiem.

Pan Riccio odwrócił się i zobaczyłam krew. Dani rzuciła się ku mnie, wołając, że nie chciała go zranić. Odsunęłam ją i pospieszyłam z pomocą panu Riccio. Dopiero kiedy zobaczyłam dłuto, zrozumiałam, co się stało. Podał mi to dłuto... było całe we krwi... Usiłowałam go podtrzymać, ale upadł.

W jej oczach pojawiły się łzy. Nie mogła wydobyć głosu. Zaczęła płakać. Ale dystygowanie.

Rogiem chusteczki otarła oczy. Na sali panowała grobowa cisza, a sędzia powiedział współczującym tonem:

- Proszę podać pani Hayden szklankę wody. Urzędnik nalał wody ze stojącej na stole karafki i podał jej szklankę. Wypiła parę łyków.

- Czy chciałaby pani, pani Hayden, żebyśmy zrobili krótką przerwę? - spytał.

Nora spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Nie... nie... dziękuję. Już mi lepiej.

- Proszę się nie spieszyć, pani Hayden.

Nora wypiła następny łyk wody i zaczęła mówić. Słabiutkim ale słyszalnym głosem.

- Dani zaczęła krzyżeć i w pracowni pojawił się kamerdyner. Kazałam mu wezwać lekarza, sama za-

dzwoniłam po policję. Potem próbowałam pomóc panu Riccio. - Znow zaczęły płynąć łzy. - Ale nic nie mogłam zrobić... Nic się nie dało zrobić... Wiem, że Dani nie chciała go zranić. To był wypadek. Dani nie skrzywdziłaby nawet muchy.

Chwilę milczała i widać było, że stara się opanować. Potem podniosła głowę i spojrzała na ławę przysięgłych.

- To moja wina. Powinam być lepszą matką. Choć sądzę, że tak myśli każda matka...

Osiągnęła efekt. Na ławie przysięgłych zasiadało pięć kobiet, wszystkie płakały.

Nora odwróciła się i spojrzała na sędziego.

- To... to chyba byłoby wszystko. Odchrząknął.

- Czy prokurator pragnie zadać jakieś pytanie? Carter wstał.

- Pani Hayden, powiedziała pani, że kazała kamerdynerowi wezwać lekarza, a sama zadzwoniła na policję, a potem zajęła się pani panem Riccio?

- Tak.

- Ale kiedy przyjechał inspektor Myrer, zastał tam już pani adwokata, pana Gordona. Kiedy pani do niego zadzwoniła?

- Po zawiadomieniu policji. Tak mi się przynajmniej wydaje. Byłam nieprzytomna...

Zastanawiałem się, czy Carter wie, że Nora kłamie. Znajac Norę byłem pewien, że jej to nawet nie przyszło na myśl. Carter nie nalegał.

- Co łączyło panią z panem Riccio?

- Był moim menedżerem.

- Ale mieszkał w pani domu?

- Tak.

- Czy w pani zawodzie jest to przyjęte?

- Nie wiem - odpowiedziała Nora. - Ale mnie mój menedżer był potrzebny od rana do nocy.

- Czy chce pani przez to powiedzieć, że z panem Riccio łączyło panią coś więcej niż to, że reprezentował pani interesy?

Zerwał się Gordon.

- Protestuję. Pytanie to nie ma nic wspólnego z przedmiotem śledztwa.

- Sprzeciw uznany.

- Czy w swoim czasie zamierzała pani wyjść za pana Riccio? - zapytał prokurator.

- Protestuję. Byłbym wdzięczny, gdyby Wysoki Sąd skłonił pana prokuratora do ograniczenia się do pytań, które odnosiłyby się do przedmiotu śledztwa.

- Sprzeciw uznany - oświadczył sędzia. I ostrym głosem napomniął Cartera.

Carter spojrział na Norę.

- Czy widziała pani, jak pani córka bierze dłuto, którym uderzyła pana Riccio?

-Nie.

- Czy widziała pani jej rękę, gdy uderzała?

- Nie.

- Czy widziała pani, że na stoliku przy drzwiach leży dłuto?

- Wydaje mi się, że leżało.

- Czy zawsze zostawiała tam pani to dłuto? Przecież musiała pani wiedzieć, że tak ostre dłuto jest potencjalnie niebezpieczne.

- Kiedy pracuję, odkładam dłuto byle gdzie. W tym wypadku leżało na tym stoliku, bo tam pracowałam nad figurką z różanego drewna. - Teraz Nora mówiła pewnym siebie tonem. - Pracuję we własnej pracowni. Mam wiele potencjalnie niebezpiecznych narzędzi, jak choćby acetylenowy palnik. Jestem rzeźbiarką i to mnie pochłania, a narzędzia służą mi do pracy. Nigdy nie przyszło mi na myśl zastanawiać się, czy mogą być niebezpieczne.

- Nie mam dalszych pytań - oświadczył Carter i usiadł.

Nora wróciła na miejsce z wysoko podniesioną głową. Sztuka była jej tarczą, osłaniała się nią przed światem.

Powołano jeszcze tylko jednego świadka - Karola. Potwierdził wszystkie fakty, przypuszczam więc, że to dlatego nie przesłuchiowano już Wioletty. Potem sędzia krótko przedstawił sprawę ławie przysięgłych.

Wyszli za ledwie na pięć minut. Wyrok brzmiał:

- Antonio Riccio poniósł śmierć z ręki Danieli Nory Carey, nieletniej, która wystąpiła w obronie matki. Na sali zaszumiało, reporterzy powstawali, sędzia uderzył młotkiem. Wstałem i przepuściłem przed sobą Norę i Gordona. Wyszli. Zobaczyłem błyski fleszy. Postanowiłem zaczekać, aż fotografowie się rozejdą i z powrotem usiadłem.

Sala sądowa już niemal opustoszała. Zobaczyłem, że po drugiej stronie przejścia siedzi młoda kobieta robiąc notatki. Schowała notes, zauważyła mnie i skinęła głową. Odkłoniłem jej się i dopiero wtedy ją poznałem. Opiekunka sądowa Dani. Wstałem.

- Dzień dobry pani, panno Spicer.

- Dzień dobry, panie pułkowniku.

- Czy widziała dziś pani Danielę? Skinęła głową.

- Jak się miewa?

- Wciąż jeszcze czuje się trochę zagubiona. Ale się przyzwyczai. - Wstała. - Muszę iść.

Przepuściłem ją. Ona uważa, że Dani się przyzwyczai! Czy powinno się przyzwyczajać do więzienia?!

Kiedy wychodziłem, poraził mnie blask słońca i dopiero po chwili zobaczyłem, że czeka na mnie Gordon.

- No co, panie pułkowniku, co pan o tym sądzi?

- Może to nie była typowa rozprawa sądowa, niemniej obciążono Dani.

- Zabójstwo w czyjejsz obronie - to nie morderstwo.

- Ano - zgodziłem się. - Uczmy się poprzestawać na małym.
- Nie wspomniano o jednym, o czym pan, jak sędzę, powinien wiedzieć.
- A mianowicie?
- O tym, co Dani powiedziała podpisując w komisariacie swoje zeznanie.
- Dlaczego pozwolił jej pan zeznawać w szoku?
- Uparła się. Błagałem, żeby nie podpisywała i też nic nie wskórałem.

Chwilę milczałem.

- Więc co ona powiedziała?
- „Czy teraz zabiorą mnie do komory gazowej?”. I zaczęła płakać. Przysięgałem, że nic jej się nie stanie, ale nie chciała mi wierzyć. Wpadła w histerię. Wezwałem doktora Bonnera i zrobił jej uspokajający zastrzyk. Pojechał z nami do schroniska dla nieletnich, ale Dani dalej histeryzowała. To dlatego postarałem się, żeby na tę jedną noc powierzono ją mojej opiece. Wciąż była w strasznym stanie, aż babka powiedziała jej coś, co ją uspokoiło.
- To znaczy?
- Że pan rano przyjedzie. I nie pozwoli pan jej skrzywdzić.

**Część IV**  
**Dani**

1

Kiedy Dani była bardzo mała i obawiała się ciemności, prosiła: - Tatusiu, wygnaj noc. - A ja zapalałem małą lampkę i wtedy spokojnie mrużyła oczka, bo otaczał ją znany bezpieczny świat. Niestety teraz nie było to takie łatwe. Nie mogłem zapalić światła i przegnać nocy. Uniemożliwił to sąd.

Patrzyłem, jak Gordon wsiada do auta i odjeżdża. Potem poszedłem na parking, gdzie zostawiłem swój wóz.

Chodził mi po głowie dziecinny wierszyk:

*Humpty Dumpty na murze siadł, Humpty Dumpty z muru spadł.*

Dopiero teraz zrozumiałem, co czuli „wszyscy ludzie króla”, gdy nie mogli go potem złożyć do kupy. Czuli się jak idioci. Bo nie powinni byli dopuścić, żeby wlaź na mur. Tak jak ja nie powinienem był dopuścić do katastrofy z Dani.

Musiała być w tym także i moja wina. Poprzedniego dnia usiłowałem jej wyjaśnić jak się to stało, że jej nie odwiedzałem. Mówiłem szczerą prawdę, ale nawet w moich własnych uszach brzmiała ona nieprzekonywająco.

A przecież Dani była jeszcze dzieckiem, mimo że tak fachowo paliła papierosy. Co ona sobie pomyślała? Nie wiedziałem. Wiedziałem jednak, że chce mi wierzyć, chce mi ufać. Ale nie była pewna, czy może. Już raz zniknąłem z jej życia - kto wie, czy znów nie zniknę?

Nie zostało to powiedziane wprost. Czuję jednak, że ją to nęka. Była już zbyt dorosła, by to powiedzieć głośno, a jednocześnie zbyt dziecinna, by potrafić to przede mną ukryć. Zresztą mieliśmy sobie do powiedzenia bardzo wiele rzeczy, a czas był tak strasznie ograniczony.

Kiedy żegnaliśmy się, wszystkie owe nie wypowiedziane słowa wisiały nad nami jak niewidzialna chmura.

- Przyjdę do ciebie jutro.

- Nie - zaprzeczyła. - W ciągu tygodnia nie wolno nas odwiedzać. Ale zobaczę cię we wtorek. Panna Spicer powiedziała mi, że odbędzie się przesłuchanie.

- Wiem.

- Mama też tam będzie?

-1 mama, i babcia. - Nachyliłem się i ucałowałem ją. Przytuliła policzek do mojej twarzy.

- Tatusiu, wróciłeś i teraz już się niczego nie boję - szepnęła.

Dopiero po wyjściu uprzytomniłem sobie, co powiedziała. Tylko że ja nie wróciłem. Przyjechałem z wizytą.

Kiedy znalazłem się w motelu, była już czwarta. Zobaczyłem, że czerwone światelko mruga, czyli jest dla mnie jakaś wiadomość. Zadzwoiłem do recepcjonistki, podałem swoje nazwisko i numer pokoju.

- Dzwoniła do pana pani Hayden. Prosiła, żeby się pan z nią natychmiast skomunikował.

- Dziękuję. - Odłożyłem na moment słuchawkę i zaraz nakręciłem podany numer. Odpowiedziała służąca, ale starsza pani natychmiast podeszła do telefonu.

- Jesteś sam? - spytała.

- Tak.

- Muszę się z tobą zobaczyć w bardzo pilnej sprawie.



- A mianowicie?

- Nie chcę o tym mówić przez telefon. Ale wierz mi, Łukaszu, nie dzwoniłabym do ciebie, gdyby nie chodziło o coś naprawdę ważnego. - W jej głosie brzmiał niepokój. - Czy mógłbyś przyjechać na kolację? Będziemy sami.

- O której?

- Może o siódmej? '

- Dobrze.

- Dziękuję ci, Łukaszu.

Odłożyłem słuchawkę i zacząłem się rozbierać. Gorący prysznic pozwoli mi się odprężyć.

Zastanawiałem się, czego ona może ode mnie chcieć. Jeśli niepokoi się, czy nazajutrz poprę ją podczas przesłuchania, nie ma do tego najmniejszych powodów. Nie miałem innego wyboru.

Chociaż wieczór nie był zbyt chłodny, na kominku w bibliotece płonął ogień. Starsza pani siedziała w fotelu przed kominkiem. - Nalej sobie drinka, Łukaszu.

- Dziękuję. - Podeszedłem do barku, włożyłem do szklanki kilka kostek lodu i nalałem niewielką porcję burbona.

- Pani zdrowie! - zwróciłem się do mojej byłej teściowej.

- Dziękuję.

Wspaniały burbon miękką falą spływał do gardła. Od dawna nie było mnie stać na whisky tej klasy.

Popijałem więc z wolna i z rozkoszą.

- Więc co się stało?

Starsza pani spojrzała na mnie.

- Czy pokojówka wyszła? Skinąłem głową.

- Sprawdź, czy zamknęła drzwi. Sprawdziłem.

- Czemu ta tajemniczość?

Otworzyła torebkę i wyjęła z niej kopertę, którą mi wręczyła. Spojrzałem pytająco.

- Przeczytaj.

W kopercie był napisany na maszynie list. *Szanowna Pani!*

*Nie zna mnie pani, ale przez wiele lat byłam przyjaciółką Tonią. Parę tygodni temu dał mi na przechowanie pakiet listów. I powiedział, że między nim a pani córką narosło wiele nieporozumień i że te listy pomogą mu w uzyskaniu tego, co mu się należy. Teraz ten pakiet otworzyłam. Są tam listy od pani córki oraz pani wnuczki, te ostatnie zaledwie sprzed dwóch miesięcy. Na pewno zainteresowałyby one policję, a jeszcze bardziej prasę, gdyż w obu wypadkach są to listy miłosne. Ale Tonio nie żyje, a ja nie chcę nikomu przysporzyć kłopotów. Zatem jeśli zależy pani na tych listach, zechce pani nie później niż w czwartek zamieścić w „Examinerze” ogłoszenie następującej treści: **WSZYSTKO WYBACZONE WRACAJ CIOTKA CECYLIA**. Wówczas skontaktuję się z panią. Ale ostrzegam. Jeśli powiadomi pani policję lub prawników - nic z tego.*

List był nie podpisany.

- No i co o tym myślisz? - spytała.

- Może to być jakaś wariatka, która pisuje listy do osób, o których właśnie mówi się w gazetach.

- Nie sądzę. Zadzwoiłam do Nory, by dowiedzieć się, czy pisywała do Riccio. Pisywała. Zapytałam o temat listów, oświadczyła, że to nie moja sprawa. Zapytałam, czy wie coś o listach Dani, rozzłościła się i odłożyła słuchawkę.

- To dla niej typowe. Kiedy się czegoś obawia udaje, że to nie istnieje. Więc pani sądzi, że ten list mówi prawdę.

- Może i nie. Ale bałabym się zaryzykować.
- To zwykły szantaż. Skąd pani wie, czy jeśli pani nawet za te listy zapłaci, po jakimś czasie nie pojawią się inne. Ja bym się zwrócił do policji.
- Chcesz jeszcze większego skandalu?
- Chyba już pani dosyć zrobiła dla dobra nazwiska
- odpowiedziałem ironicznie. - Opinii Nory nie da się już bardziej zaszargać. Czy myśli pani, że ludzie są głupi i nie wiedzą, co się działo w jej domu?
- Nie. Ludzie nie są głupi. Ale ty jesteś naprawdę niemądry. - Gniewnie schowała kopertę do torebki.
- Mało mnie już obchodzi, co powiedzą lub napiszą o Norze. I nic na to nie będę mogła poradzić, a szczerze mówiąc nawet nie będę próbowała. Tyś chyba nieuważnie przeczytał ten list.
- Owszem, przeczytałem uważnie.
- No, to powinienes się przejąć, że Dani także była zakochana w tym Riccio i pisywała do niego listy.
- Co to ma za znaczenie? Dani jest dzieckiem.
- Jesteś jeszcze bardziej niemądry, niż myślałam. Tak, Dani według metryki jest jeszcze dzieckiem, ale czy ty się jej nie przyjrzałeś? Jest dojrzała fizycznie, i to już od dwóch lat. Wdała się w matkę. Seksualne życie Nory zaczęło się, gdy miała zaledwie trzynaście lat, a pierwszą skrobankę przeszła mając piętnaście. A potem jeszcze co najmniej dwie do chwili małżeństwa z tobą.
- Spojrzałem na nią z niedowierzaniem.
- I pani o tym wszystkim wiedziała? Spuściła oczy.
- Wiedziałam - przyznała cicho. - Miałam nadzieję, że zmieni się, kiedy za ciebie wyjdzie. Że dorośnie i zrozumie, jak głupio postępowała.
- Ale brała pani jej stronę. Broniała jej pani.
- Jestem jej matką. Nie, nie chodziło mi o nazwisko Haydenów, chodziło o córkę. Teraz też nie chodzi mi

o nazwisko, tylko o Dani. Chcę jej dać szansę. Nie chcę, żeby stała się taka jak matka. Muszę jej pomóc.

- Nora oświadczyła przecież, że nie jestem ojcem Dani.

- Wiem, że tak powiedziała. W moim wieku umie się akceptować przykre prawdy. Zastanawiam się, czy ty już potrafisz.

Odstawiłem drinka.

- Proszę mnie wypróbować.

- Sądzę, że Nora sama nie wie, czy ty jesteś ojcem Dani.

Zamilkłem.

- Widzisz więc, że to ty musisz zdecydować. Ważne jest co *ty* czujesz do Dani.

Wypiłem łyk burbona. Lód rozpuścił się i woda zabiła smak whisky. Wszyscy zrzucali na mnie odpowiedzialność. Harris Gordon też coś takiego powiedział. Uważam się za jej ojca albo się nie uważam.

Podszedłem do baru i dolałem sobie burbona. Pomyślałem, jak kochałem to maleńkie dziecko, zanim Nora postarała się zasiać wątpliwość. I pomyślałem o dziewczynce, którą zabierałem na statek w La Jolla już potem, kiedy Nora oświadczyła, że nie jestem jej ojcem. Kochałem ją wówczas równie mocno jak przedtem. Tak jak teraz.

- Okazuje się, że ojcostwem jest ojcowska miłość.

- Tak - zgodziła się moja była teściowa. - Liczy się tylko miłość.

Znow się napiłem i usiadłem.

- Więc co zrobimy z tym listem?

- Już wysłałam ogłoszenie. Ukaże się w czwartek. Dziś jest poniedziałek. Zatem mamy trzy dni, by odkryć, kto i gdzie ma te listy.

- Dwa dni. Jutro i środę. A dużą część jutrzejszego dnia spędzimy w sądzie. Nie mam pojęcia, od czego zacząć. Nic nie wiem o Riccio, nie znam jego przyjaciół.

- Dowiesz się od Sama Corwina.
  - Od Sama? - spytałem. W ogóle zapomniałem o istnieniu Sama. Mniej więcej w rok po naszym rozwodzie ożenił się z Norą. Wielokrotnie spotykałem go odprowadzając Dani do domu. Był nieodmiennie uprzejmy i przyjacielski.
  - Tak, od Sama. Biedny Sam. Żeniąc się z Norą dobrze wiedział, jaka ona jest, ale łudził się, że potrafi na nią wpłynąć. Poddał się, gdy spotkała Riccio. To z powodu Riccio rozwiódł się i udało mu się uzyskać podział wspólnego mienia.
  - To znaczy, że miał przeciwko Norze jakieś dowody.
  - Przeciwno Riccio także.
- Otworzyły się drzwi i weszła pokojówka.
- Kolacja jest podana. Wstaliśmy i starsza pani spytała:
  - No co, Łukaszu, podasz mi ramię? Uśmiechnąłem się do niej.
  - Będzie to dla mnie zaszczyt.

## 2

Po raz pierwszy wszedłem do tego budynku od frontu. Parking był przepełniony, musiałem dość daleko zostawić wóz. Nad szklanymi drzwiami widniał napis:

### **STAN KALIFORNIA HRABSTWO SAN FRANCISCO SĄD DLA NIELETNICH**

W ogromnym holu pełno było fotoreporterów. Błysnęły flesze, otoczyli mnie dziennikarze. Ale byli mniej natrętni niż pierwszego dnia.

- Czy może nam pan przedstawić plan obrony pańskiej córki, pułkownika Carey?

Pokręciłem przecząco głową.

- Nie. O ile wiem, według tutejszego prawa nie stawia się nieletnich przed sądem. Dziś odbywa się tylko pierwsze z przesłuchań mających na celu ustalenie, kto obejmie pieczę nad dzieckiem.

- Czy będzie się pan starał, aby to panu powierzono opiekę nad córką?

- Decyzja należy do sądu. I jestem przekonany, że poweźmie ją zgodnie z interesami dziecka.

- Czy widział pan córkę?

- Odwiedziłem ją w niedzielę po południu.

- Czy była z panem jej matka?

- Nie, jej matka jest chora.

- A czy ją w ogóle odwiedziła?

- Nie wiem. Ale wiem, że przysłała jej paczkę.

- Co?

- Ubranie, książki, czekoladki.

- O czym rozmawiał pan z córką?

- Nie była to rozmowa na żaden konkretny temat.

- Czy opowiedziała panu coś więcej o tym, co zdarzyło się w piątek?

- Nie.

- Czy dowiedział się pan czegoś, co rzuciłoby na te wydarzenia nowe światło?

- Nie. Nie wiem nic więcej ponad to, o czym wczoraj była mowa, na rozprawie u sędziego pokoju.

Mam wrażenie, że panowie tam byli. I myślę, że już czas, bym wszedł na salę.

Przepuścili mnie.

Sąd dla Nieletnich był na lewo od holu. Poszedłem długim korytarzem kierując się strzałkami.

Korytarz zakręcał, potem trzeba było zejść piętro w dół. Minałem oszkloną poczekalnię i znalazłem się na sali sądowej.

Była niewielka, na jej drugim końcu znajdowało się podium. Przed biurkiem sędziego stał długi stół, a wokół niego krzesła. Z lewej strony między tym stołem a biurkiem sędziego krzesło i niewielkie biurczko. Ściany pomalowane były na brązowo, cztery okna wychodziły na dziedziniec. Resztę salki wypełniały ławy i krzesła.

Kiedy wszedłem, jakiś mężczyzna pojawił się w drzwiach za biurkiem sędziego. Spytałem, czy tu właśnie ma się odbyć przesłuchanie w sprawie Danieli Carey.

- Tak, ale przyszedł pan za wcześnie. Sąd zaczyna pracę o dziewiątej. Proszę pójść do poczekalni. Będziemy wywoływać kolejne sprawy.

- Dziękuję.

W poczekalni stało kilka ławek. Spojrzałem na zegarek. Była ósma trzydzieści pięć. Zapaliłem papierosa.

Parę minut później wszedł jakiś mężczyzna. Usiadł obok mnie i też zapalił papierosa.

- Sędziego jeszcze nie ma?

- Nie ma.

- Niech to wszyscy diabli! Znow stracę zarobek za całe pół dnia. Za każdym razem to samo. Wywołują mnie na samym końcu.

- Ma pan tu dziecko?

- No właśnie. - Popiół spadł na brudną roboczą koszulę. - Zatrzymali moją córkę. To zwykła kurwa.

Mówiłem im już poprzednim razem, żeby ją wzięli do poprawczaka. Ale nie, znow mnie tutaj ciągną. Przyjrzał mi się.

- Skądś ja pana znam. Był już pan tutaj?

- Nie. Jestem pierwszy raz.

- No to pan zobaczy. Będą tu pana co parę dni sprowadzać, aż zgodzi się pan wziąć córkę z powrotem do domu. Zalewali, że jak dziewczyna ma dopiero piętnaście lat, to trzeba jej dać szansę. No i co, po dwóch dniach znalazła sobie melinę w hotelu i przyjmowała

facetów za głupie pięć dolców. Znow ją złapali gliniarze i mnie tu ściągnęli. Wypuścił dym.

- Jest pan pewien, że nigdyśmy się nie spotkali?

- Jestem.

Chwilę mi się przypatrywał i pstryknął palcami.

- Mam! Widziałem pana facjatę w gazecie. To pana mała zakłula gacha matki!

Zacisnąłem pięści. Ale zaraz się opanowałem. Nie miało sensu wpadać w gniew. Muszę się do takich słów przyzwyczaić. Zabolało mnie serce. Bo Dani także będzie się musiała przyzwyczaić.

Weszły dwie kobiety. Wyglądały na Meksykanki, paplały po hiszpańsku. Widząc nas zamilkły i siadły na ławce. Młodsza była w ciąży.

W chwilę później weszła Murzynka, a za nią jakaś para. Kobieta miała zapuchniętą twarz i podbite oko. Mężczyzna próbował wziąć ją pod ramię, ale ona odepchnęła go gniewnie i odeszła na drugą stronę sali.

Murzynka odezwała się do jednej z Meksykanek.

- Myśli pani, że oddadzą pani córkę? Ciężarna kobieta rozłożyła ręce.

- Nie wiem.

Przychodziło coraz więcej osób i wkrótce wszystkie miejsca były już zajęte. Ci, co przybyli później, musieli zostać na korytarzu. Za pięć dziesiątą pojawił się Harris Gordon, a za nim Nora i jej matka.

Wstałem i wyszedłem im na spotkanie.

Harris Gordon zajrzał przez szybę.

- Straszny tłok.

- Aha. Wygląda na to, że nie tylko my mamy kłopoty. Spojrzał jakoś dziwnie.

- Większość ludzi ma kłopoty. Niech pan tu zaczeka. Dowiem się od woźnego, kiedy mniej więcej wezwie nas sędzia.

Zniknął w korytarzu. Zwróciłem się do Nory.



- Jak się czujesz? - spytałem uprzejmie. Spojrzała na mnie, by sprawdzić, czy w moim tonie nie kryje się ironia.

- Już dobrze. Wczoraj prosto z sądu wróciłam do łóżka. Byłam zupełnie wykończona.

- To mnie nie dziwi. Twoja rola była niełatwa.

- Czy mi się udało? Staralam się nie powiedzieć nic poza tym, co musiałam. Dużo bym dała, by nie musieć występować jako świadek, ale nie miałam wyboru.

- Tak. Nie miałaś wyboru. Wrócił Gordon.

- Nie będziemy musieli długo czekać. Nasza sprawa jest trzecia z kolei. Woźny sądzi, że dwie pierwsze nie zajmą więcej niż piętnaście minut.

Zapaliłem papierosa i oparłem się o ścianę. Otworzyły się drzwi sali sądowej i wywołano jakieś nazwisko. Weszły dwie Meksykanki.

Na sali nie pozostały dłużej niż dziesięć minut. Ciężarna kobieta płakała wychodząc. Woźny wywołał następne nazwisko. Był to mężczyzna, który przyszedł tuż po mnie. On też wyszedł po niespełna dziesięciu minutach. Na jego twarzy malowała się satysfakcja. Idąc w kierunku schodów przystanął koło mnie.

- No, nareszcie ją zamkną. Powiedziałem im, że jeżeli chodzi o mnie, to mogą wyrzucić klucz!

Nie odezwałem się, więc odszedł. Woźny kazał nam zająć miejsca przy stole znajdującym się przed biurkiem sędziego. Przyglądał nam się ze znudzoną miną.

- Państwo tu pierwszy raz? Potwierdziliśmy.

- Sędzia poszedł na chwilę do gabinetu. Zaraz przyjdzie. I rzeczywiście otworzyły się drzwi z tyłu.

- Sąd dla Nieletnich Stanu Kalifornia rozpoczyna sesję. Proszę wstać.

Sędzia Murphy był wysokim sześćdziesięcioletnim mężczyzną. Przerzedzone włosy były siwe, oczy błękitne,

przenikliwe. Miał na sobie wymięty brązowy garnitur, białą koszulę i ciemnobrązowy krawat. Usiadł i wziął z biurka kartkę. Skinął na woźnego.

Woźny podszedł do drzwi z prawej strony. Otworzył je.

- Daniela Carey!

Dani weszła i rozejrzała się niepewnym wzrokiem. Zobaczyła nas i podbiegła. Nora wstała i Dani znalazła się w jej objęciach.

Dani płakała.

- Mamo, mamusiu, nic ci nie jest?

Nie słyszałem, co szepnęła Nora. Nawet ja przejąłem się, a przecież nie wierzyłem w szczerą Nory.

W drzwiach pojawiła się panna Spicer. Stała obserwując Norę i Dani.

Spojrzałem na sędziego. On też je obserwował. Miałem uczucie, że dzieje się coś ważnego, starannie przygotowanego przez sąd.

Otworzyły się inne drzwi z prawej strony i pojawił się oficer w mundurze. Na złoto-błękitnych epoletach widać było odznakę szeryfa San Francisco. Zamknął drzwi i oparł się o nie.

Dani puściła Norę, ucałowała babkę i podeszła do mnie. Błyszczały jej oczy. Pocałowała mnie w policzek.

- Mama przyszła, tatusiu. Mama przyszła. Uśmiechnąłem się do niej.

- Mówiłem ci, że przyjdzie.

Panna Spicer weszła na salę sądową i podeszła do rogu stołu przed biurkiem sędziego.

- Chodź, Dani, usiądź tu koło mnie.

Dani usiadła. Spojrzała na Harrisa Gordona.

- Halo, panie Gordon.

- Cześć, Dani. Sędzia odchrząknął.

- Przesłuchanie nie będzie formalne. Ale może zechcą się państwo przedstawić.

- Wysoki Sąd pozwoli, że ja zaprezentuję zebranych? - spytał Gordon.

Sędzia skinął głową.

- Po mojej lewej stronie siedzi Nora Hayden, matka dziecka, a po prawej babka, pani Cecylia Hayden.

Obok niej ojciec, pułkownik Carey.

- A pan jest adwokatem dziecka?

- Tak, Wysoki Sądzie. I radcą prawnym rodziny.

- Rozumiem. Przyjmuję, że wszyscy państwo znają pannę Marian Spicer, która została wyznaczona na opiekunkę sądową Danieli Carey?

- Tak jest, Wysoki Sądzie.

- Możemy zatem zacząć. - Wziął z biurka kartkę papieru. - W piątek wieczorem Policja 602 Sekcji Sądu dla Nieletnich Stanu Kalifornia wyznaczyła opiekuna sądowego dla nieletniej Danieli Nory Carey. Nieletnia popełniła zabójstwo. Od tej pory zgodnie z prawem nieletnia przebywała w schronisku dla nieletnich, wyłączając pierwszą noc, kiedy na podstawie opinii lekarza została powierzona opiece mecenasa Harrisa Gordona.

Dziś zebraliśmy się tutaj, by rozpatrzyć wniosek złożony przez wydział nadzoru sądowego, w którym domaga się on, by wyżej wymieniona nieletnia pozostawała nadal w schronisku, póki wydział nie rozpatrzy wszystkich aspektów sprawy.

Sędzia położył kartkę i spojrzał na Dani. I powiedział łagodnym tonem.

- Danielo, wszystko to brzmi bardzo oficjalnie, niemniej nie jest to proces i ty nie jesteś oskarżona.

Znajdujesz się tutaj, bo popełniłaś czyn przestępczy, ale my nie jesteśmy tu po to, by cię ukarać.

Chcemy ci dopomóc, chcemy znaleźć najlepsze dla ciebie rozwiązanie, żeby zdobyć pewność, iż nigdy więcej nie popełnisz nic karygodnego. Rozumiesz, Danielo?

- Chyba tak - powiedziała z wahaniem Dani, a jej oczy rozszerzyły się ze strachu.

- To dobrze. Bo powinnaś uświadomić sobie, że choć nie zostaniesz sądownie ukarana za swój czyn, nie możesz uniknąć pewnych konsekwencji. Prawo nakazuje mi poinformować cię o nich. Czy wyrażam się dosyć jasno?

- Tak, proszę pana.

- Ten sąd ma prawo umieścić cię w państwowym domu dziecka lub w zakładzie poprawczym aż do twojej pełnoletności. Może także skierować cię do szpitala psychiatrycznego na badania. Może nawet - jeśli dojdzie do wniosku, że twoja rodzina i krewni nie zapewnią ci odpowiedniej opieki - znaleźć dla ciebie rodzinę zastępczą. Niezależnie od tego, gdzie się znajdziesz, będzie nad tobą czuwał wyznaczony opiekun sądowy. Aż do twojej pełnoletności - chyba że na specjalnym posiedzeniu sądu zapadnie inna decyzja. Ale musisz zdać sobie sprawę z jednego - cokolwiek sąd zdecyduje, będzie miał na uwadze twoje dobro, nie będzie to kara. Rozumiesz, Danielo?

Dani skinęła głową. Wpatrywała się w stół. Zaciśnięte dłonie drżały.

- Podczas postępowania sądowego masz prawo do porady prawnej - ciągnął sędzia. - Masz prawo wzywać własnych świadków i przesłuchiwać świadków, których zeznania mogłyby niekorzystnie wpłynąć na twój los. Rozumiesz, Danielo?

- Tak, proszę pana.

- Takie same prawa mają twoi rodzice. Obecnie przystępujemy do postępowania sądowego w sprawie zgłoszonego wniosku. Poproszę pannę Spicer, by przedstawiła powody, dla których pragnie, by nieletnia Daniela Hayden nadal pozostała w schronisku.

Opiekunka sądowa wstała. Mówiła łagodnym tonem wyraźnie artykułując każde słowo.

- Wniosek ten zgłosiłam z dwóch powodów. Po pierwsze czyn tego dziecka świadczy o zaburzeniach

emocjonalnych, które należy dokładnie zbadać. Po drugie potrzeba nam więcej czasu, by zapoznać się z otoczeniem dziecka i jego życiem rodzinnym, gdyż dopiero wówczas będziemy się mogli wypowiedzieć na temat jego dalszych losów. Usiadła.

Sędzia zwrócił się do nas.

- Czy mają państwo jakieś zastrzeżenia? Wstał Harris Gordon.

- Nie, Wysoki Sądzie. Mamy całkowite zaufanie do doświadczenia wydziału nadzoru, wiemy, że najskrupu-latniej przestudiuje wszystkie aspekty sprawy.

Kiedy sędzia zabrał głos, w jego tonie dźwięczało ukryte rozbawienie. Wiedział, że Gordon nie mógł powiedzieć nic innego. Wnioski departamentu nadzoru były zawsze załatwiane pozytywnie.

- Dziękuję panu mecenasowi za to wyznanie wiary. Mamy nadzieję, że nie zawiedzimy pańskiego zaufania.

Spojrzał na kartkę, a potem oświadczył:

- Decyzją sądu przyjmuje się zalecenie wydziału nadzoru sądowego i nieletnia Daniela Nora Carey pozostaje pod kuratelą sądu. Następne posiedzenie sądu wyznaczam na przyszły wtorek. Oczekuję, że na dwadzieścia cztery godziny przed wyznaczonym terminem otrzymam na piśmie projekty dotyczące dalszej opieki nad nieletnią.

Stuknął młotkiem w stół.

Potem znów spojrzał na Dani i dorzucił łagodnym tonem, zupełnie innym od oficjalnego:

- To oznacza, Danielo, że w czasie dalszego śledztwa pozostaniesz w schronisku. Bądź grzeczną i udziel wszelkich wyjaśnień panie Spicer i psychologom, a wtedy łatwiej nam będzie podjąć odpowiednią decyzję. Chyba to rozumiesz.

Dani skinęła głową.

Spojrzał na opiekunkę sądową.

- Panno Spicer, może pani przed odprowadzeniem Danieli do schroniska zabrać ją do mego gabinetu i zaprosić tam jej rodziców.

Opiekunka sądowa wstała. My też.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie - powiedział Gordon. Sędzia skinął głową, a my poszliśmy za panną Spicer.

### 3

Gabinet sędziego znajdował się za pokoikiem, w którym siedziała sekretarka. Na jednej ścianie były półki pełne prawniczych książek, na drugiej wisiały fotografie i oprawione dyplomy. Stało biurko i kilka krzeseł.

- Niech się państwo rozgoszczą - zaprosiła panna Spicer. - Ja muszę na chwilę skoczyć do mego biura i zaraz wracam.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Nora napadła na Dani.

- Jak ty wyglądasz! Dlaczego nie włożyłaś sukienki, którą ci przysłałam? Co sobie pomyśli sędzia?

Będzie uważał, że o ciebie nie dbamy. Skąd wzięłaś ten strój? Nigdy go u ciebie nie widziałam.

Obserwowałem bacznie Dani. Na jej buzi pojawiło się znużenie. Czekwała, aż Nora skończy wymówki, i odpowiedziała lekko ironicznym tonem.

- To nie jest szkoła panny Randolph, mamó. Musiałam ubrać się tak jak inne dziewczynki. Wszystkie dostałyśmy te suknie.

- Gdybyś poprosiła, na pewno pozwolono by ci włożyć własne rzeczy. Pewnie inne dziewczynki nie mają się w co ubrać.

Dani nie odpowiedziała. Wyjąłem papierosa. Rzuciłem jej paczkę i schwyciła ją w locie.

- Dani! - napomniała ją zgorszonym tonem Nora.
  - Przestań, Noro - zniecierpliwiała się pani Hayden.
  - Nie musisz się zgrywać, tu nie ma widzów. Przecież świetnie wiesz, że ona pali. Wiele razy zwracałam ci na to uwagę i prosiłam, byś jej zabroniła. I zawsze odpowiadałaś, że nie widzisz w tym nic złego. Spojrzała na Dani.
  - Chodź tu, kochanie. Dani podeszła.
  - Dobrze cię tu traktują?
  - Tak, babciu.
  - Jak cię karmią? Dani uśmiechnęła się.
  - Dostaję więcej, niż mogę zjeść, babciu. Nie mam apetytu.
  - Musisz jeść, żeby zachować siły. Tego nam jeszcze brakuje, żebyś się pochorowała.
  - Nie pochoruję się, babciu.
  - Czy chcesz, żebym ci coś przysłała?
  - Nie, dziękuję.
- Starsza pani pocałowała ją w czoło.
- Pamiętaj, Dani, co ci powiedział pan sędzia. I postępuj tak, jak ci zalecił, a wkrótce stąd wyjdiesz. Dani skinęła głową. Ale w jej oczach pojawił się dziwny błysk. Ona wiedziała lepiej. Nic jednak nie powiedziała. Potem spojrzała na mnie i spytała:
  - Tatusiu, czy masz jeszcze ten statek w La Jolla? - Nie, Dani.
  - Szkoda. Chciałabym znów z tobą popływać. - Kiedyś na pewno to zrobimy. Znów skinęła głową, a ja wiedziałem, że w to także nie wierzy.
  - Jedna z wychowawczyń powiedziała mi, że widziała w gazecie fotografię twojej żony. I że jest bardzo ładna.
  - Zajrzała mi w oczy. - Gazeta twierdziła, że nie przyjechała z tobą, bo w najbliższym czasie ma rodzić.

- To prawda, Dani.

- Kiedy?

- Lada dzień. Lekarz nie zgodził się na podróż. Nagle uśmiechnęła się.

- Więc to prawda. Strasznie się cieszę.

- Prawda, prawda. Dlaczego uważałaś, że mogłaby mieć jakiś inny powód?

Dani spojrzała spod oka na Norę. Nora udawała, że ta rozmowa ją nudzi i starannie malowała usta.

- Nie wiem - szepnęła Dani. - Myślałam, że nie przyjechała, bo mnie nienawidzi.

Roześmiałem się.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Znow spojrzała ukradkiem na Norę.

- Nie wiem. Tak mi się zdawało.

Drzwi otworzyły się i weszła panna Spicer. Za nią stała jedna z wychowawczyń.

- Pora na ciebie, Dani - powiedziała panna Spicer.

- Okay - odpowiedziała Dani. Zgasła papierosa i ucałowała mnie. - Do widzenia, tatusiu.

Potem ucałowała babkę i podeszła do Nory. Nora objęła ją. Zajrzała jej w oczy.

- Wiesz, jak bardzo cię kocham. Dani skinęła głową.

- Więcej niż kogokolwiek.

Dani znow przyświadczyła ruchem głowy.

- Jak bardzo?

Zrozumiałem, że nie po raz pierwszy odgrywają tę scenkę. Tylko czy Nora naprawdę tak myślała?

- Najbardziej na świecie.

Nora spojrzała na mnie, by się upewnić, czy słyszę. Roześmiałem się. Dani odwróciła się ku mnie ze zdziwieniem w oczach. Telepatia musi istnieć, gdyż byłem zupełnie pewny, że Dani wie, z czego się śmieje. Odwróciła się i ucałowała matkę.

- Do widzenia, mamusiu.



Nora znów na mnie spojrzała. Zarumieniła się, na jej twarzy pojawił się gniew. Chciała coś powiedzieć, ale tylko zagryzła wargi. Panna Spicer zamknęła za Dani drzwi.

- Chciałabym skorzystać z obecności wszystkich państwa i umówić się. - Usiadła za biurkiem. - Pani Hayden, czy mogłybyśmy zobaczyć się jutro po południu?

- Może lepiej w czwartek - odpowiedziała Nora.

- W czwartek służba ma wychodne i będziemy same.

- Ale ja zamierzam porozmawiać także ze służbą

- zaprotestowała panna Spicer.

Nora spojrzała na Gordona. Zawahała się.

- Czy rozmowy ze służbą są niezbędne? Nic się pani od nich nie dowie. Oni potrafią tylko plotkować.

- Moim obowiązkiem, pani Hayden, jest zebrać możliwie dużo informacji o pańskiej córce.

Zapewniam panią, że będę dyskretna.

Nora znów spojrzała na Gordona. On skinął głową.

- Czy mogłaby pani przyjść jutro rano?

- Lepiej by było po południu. Rano mam być w szkole panny Randolph.

- Dobrze. Zatem o drugiej.

- Znakomicie. - Panna Spicer zwróciła się z kolei do matki Nory. - Czy możemy się zobaczyć w czwartek? Starsza pani skinęła głową.

- Czy jeśli przyjdę o dziewiątej, nie będzie to dla pani zbyt wcześnie? - Nie.

Teraz panna Spicer zwróciła się do mnie.

- A panu, panie pułkowniku, kiedy będzie najwygodniej zobaczyć się ze mną?

- Kiedy pani sobie życzy. Dostosuję się.

- Nie znam pana planów. Wiem, że pańska żona jest w ciąży, więc może chce pan pojechać do Chicago i wrócić dopiero na wtorkową rozprawę?

Do tej pory nie powziąłem jeszcze decyzji. Miałem

nadzieję, że po dzisiejszym przesłuchaniu okaże się, iż moja dalsza obecność jest zbędna. Teraz jednak wiedziałem już, że muszę zadzwonić do Elżbiety i zawiadomić ją o przedłużeniu się pobytu.

- Nie, nie wyjadę, panno Spicer. Jestem do pani dyspozycji.

- Dziękuję panu, panie pułkowniku. Zatem będę u pana w piątek o czwartej po południu.

- Świetnie.

- No to możemy już iść - oświadczyła Nora.

- Jeszcze jedno, pani Hayden.

- Tak?

- Sędzia prosił mnie, bym uzyskała pani zgodę na zapoznanie się ze stenogramem państwa rozprawy rozwodowej.

Nora wybuchła.

- To wręcz śmieszne. Nie widzę powodu, by grzebać się w sprawach przeszłości. Dani miała wówczas trzy latka.

- Sąd ma prawo do wszelkich informacji, gdyż chodzi mu o dobro pani córki. Myślę, że powinna mu pani udostępnić ów stenogram. W przeciwnym razie sąd na następnym posiedzeniu wyda w tej sprawie wyrok. To tylko opóźni procedurę.

- Czy to groźba? Grozi mi pani, że zatrzymacie moją córkę, póki nie uzyskacie tego stenogramu?

Panna Spicer nie dała się zastraszyć. Chłodno spojrzała na Norę.

- Nie, pani Hayden, to nie groźba. Informuję panią o tym, jakie są prerogatywy sądu. Z uwagi na dobro córki powinna pani ułatwić sądowi jego zadania. Czy ma pan jakieś zastrzeżenia, panie mecenasie?

- Nie, panno Spicer - Gordon zwrócił się do Nory. - Dani znajduje się pod kuratelą sądu. Oznacza to, że sąd sprawuje nad nią władzę absolutną. Szczerze doradzam, by wyraziła pani zgodę.

- Podobno jest pan moim adwokatem! - wykrzyknęła gniewnie Nora. - A tymczasem., bez przerwy przytakuje pan sądowi. A teraz zgadza się pan z tą... z tą panią! Więc mam im pozwolić jeździć sobie po głowie?! Czy musimy zostać w tym kretyńskim sądzie? Przecież oni przywykli do pospolitych przestępców i nie mają pojęcia, jak należy traktować takich ludzi jak my! Czy nie możemy apelować do sądu wyższej instancji?

- Dani jest nieletnia. Tylko ten trybunał ma prawo rozstrzygać o jej losie.

Nora z gniewem spojrzała na Gordona.

- To po cholere jest mi pan potrzebny?

- Ja nie proponowałem pani moich usług - zauważył Gordon. - To pani mnie wezwała. W każdej chwili gotów jestem się wycofać.

Nora przez chwilę mu się przyglądała, potem odwróciła się.

- A niech to wszyscy diabli! Dobrze, niech pan robi, co pan uważa za stosowne.

Wybiegła z gabinetu trzaskając drzwiami. Gordon zwrócił się do opiekunki sądowej.

- Bardzo panią przepraszam za zachowanie mojej klientki. Zawiodły ją nerwy.

- Ależ rozumiem, panie mecenasie.

- Mam w biurze stenogram procesu rozwodowego. W każdej chwili mogę go pani udostępnić.

- Dziękuję - Marian Spicer wstała. - Myślę, że to by było wszystko.

Ruszyliśmy w stronę drzwi. Pierwsza szła starsza pani. Za nią Gordon, na końcu ja. Opiekunka sądowa zatrzymała mnie.

- Panie pułkowniku, czy zechciałby pan poświęcić mi chwilę czasu?

Zawróciłem.

- Słucham panią, panno Spicer.

Lekko się uśmiechnęła.

- Bardzo się cieszę, że zdecydował się pan zostać. I jestem pewna, iż Dani będzie szczęśliwa.

Ogromnie się bała, czy będzie to dla pana możliwe.

- Jakżebym mógł wyjechać? Nawet obcy człowiek nie opuściłby dziecka w podobnej sytuacji.

Jakoś dziwnie na mnie spojrzała i skinęła głową. Kiedy wyszedłem, czekała na mnie w swoim rollsie teściowa. Podeszedłem do niej.

- Gdzie Nora? - spytałem.

- Odjechała, nim wyszłam. Gdzie zaparkowałeś wóz?

- O parę ulic stąd.

- To wsiadaj. Podwieziemy cię. Wsiadłem i auto ruszyło.

- Czy zadzwoniłeś już do Sama Corwina?

- Nie. Zadzwonię po południu.

- Wyglądasz na przygnębionego. Czy panna Spicer powiedziała ci coś, czego my nie wiemy?

- Nie. Skądże by? Powiedziała mi tylko, że Dani ucieszy się, że nie wyjechałem.

- Ach, więc to o to chodzi. Jeszcze nie zawiadomiłeś żony?

- Nie.

- Boisz się, że się przejmie? - spytała starsza pani i nie czekając na moją odpowiedź dorzuciła: - Jestem naprawdę niemądra. Oczywiście, że się przejmie. Ja bym się też przejęła. Poród się zbliża, a ona jest sama.

Rolls zatrzymał się przy krawężniku. Pomyślałem sobie, że Elżbieta ma więcej powodów do zmartwień. Nie wie nawet, czy wystarczy mi pieniędzy.

- Może mogłabym w czymś pomóc? Jeśli chcesz, zatelefonuję i wytłumaczę jej jakie to ważne, żebyś został.

Pokręciłem przecząco głową.

- Nie, dziękuję. Elżbieta to rozumie. Otworzyłem drzwiczki i wysiadłem. Starsza pani wychyliła się.

- Zadzwoń wieczorem. Powiesz mi, czy udało ci się coś dowiedzieć.

- Zadzwonię.

Odczekałem aż rolls ruszy, potem wsiadłem do mojego auta i wróciłem do motelu.

Było akurat południe, gdy uzyskałem połączenie z Elżbietą.

- Hej! - powiedziałem. - Zjadłaś już lunch?

- Oczywiście - odparła Elżbieta. - No i jak poszło? Zacząłem jej opowiadać o rozprawie u sędziego pokoju, ale przerwała mi.

- To już przeczytałam w gazetach. Ale co postanowiono w sprawie kurateli nad Dani?

Streściłem możliwie krótko decyzję Sądu dla Nieletnich i opowiedziałem jej o liście. Kiedy skończyłem, nie odezwała się.

- Halo, halo! Elżbieto, słyszysz mnie?

- Słyszę - odparła cicho.

- Czy dobrze się czujesz?

- Świetnie. Nigdy w życiu nie czułam się lepiej. Uwielbiam samotność. O ile dobrze zrozumiałam, zamierzasz wrócić dopiero za tydzień.

Zaczerpnąłem powietrza.

- O ile nie masz nic przeciwko temu.

- Czy wyobrażasz sobie, że uda ci się coś zdziałać?

- Jeśli wyjadę, Dani uzna, że znów ją porzucam.

- Przecież ty jej nie porzuciłeś! Czyś jej tego nie wytłumaczył?

- Owszem. Ale ona jest jeszcze dzieckiem. Nie była w stanie tego zrozumieć. - Sięgnąłem po papierosa. - Ona na mnie liczy.

- Ja też - oświadczyła Elżbieta. - Myślisz, że jest mi łatwo? Wszyscy sąsiedzi przyglądają mi się z ciekawością i pytają, co robisz. Czytają te same gazety co ja. I wiedzą, że co dzień się z nią widzisz.

Z nią, czyli z Norą.

- To idiotyzm - krzyknąłem.
- Tak? Czy jesteś pewny, że zostajesz tylko z powodu Dani?
- Jestem! A niby dlaczego?
- Nie przejmowałbyś się tymi listami tylko ze względu na Dani. Przecież mówiłeś mi, że nic jej nie mogą zrobić. Chroni ją prawo. Spójrzj prawdzie w oczy i przyznaj, że chcesz pomóc Norze!
- Usłyszałem stuk odkładanej słuchawki. Wezwałem telefonistkę i poprosiłem, by mnie jeszcze raz połączyła. Usłyszałem sygnał.
- Halo! - W głosie Elżbiety usłyszałem łzy.
- Elżbieto, przepraszam cię. Ułożę wszystko tak, żeby zaraz wrócić.
- O nie! - prychnęła. - Zostaniesz tam aż do końca!
- Ależ... - zacząłem protestować. Przerwała mi.
- Nie. Zostaniesz tam i raz na zawsze z tym skończysz. Nie chcę mieć męża nękanego wyrzutami sumienia.
- A co z pieniędzmi? - spytałem.
- Nie martw się. Przyszedł czek - ta twoja odprawa. Całe sto czterdzieści dolarów, na tydzień nam wystarczy. I w najgorszym razie dostanę dwieście za obrączkę.
- Elżbieto... - szepnąłem.
- No co?
- Elżbieto, kocham cię.

4

Galeria Scaasi-Corwin mieściła się we własnym budynku nieopodal Gumpa na Post Street. Był to staroświecki wąski dom wtłoczony między dwa gmaszyska. Wchodziło się przez oszklone drzwi, obok których znajdowała się niewielka gablota w ramie przypominającej ramę obrazu. A w niej, na tle błękitnego aksamitu, stała abstrakcyjna rzeźba z brązu pobłyskując złociście w bursztynowym świetle. Nazwisko artysty wydrukowane było czarnymi czcionkami na białym kartoniku. Nazwa galerii wypisana była złotymi literami.

SCAASI-CORWIN TOKIO, SAN FRANCISCO, NOWY JORK, LONDYN, PARYŻ

Otworzyłem drzwi i wszedłem. Pojawił się młody człowiek upozowany na Vandyke'a, ubrany jak Anglik i spytał akcentem odpowiadającym jego powierzchowności.

- Czym mogę panu służyć?
- Jestem umówiony z panem Corwinem.
- Z lewej strony ma pan windę. Nasze biuro jest na czwartym piętrze.
- Dziękuję.

Kiedy podszedłem do windy, drzwi otworzyły się, czyżby czary?

- Poproszę na czwarte piętro.
- Tak, proszę pana - oświadczył windziarz zamykając drzwi. - Czwarte piętro.

Spojrzałem na windziarza i zawstydzilem się. Moje ubranie kupione zostało w domu towarowym, a windziarz miał na sobie skrojony na miarę garnitur.

Wysiadłem z windy i znalazłem się w stylowo urządzonej sekretariacie. Za biurkiem siedział następny Vandyke.

- Jestem umówiony z panem Corwinem.

- Z kim mam przyjemność?

- Łukasz Carey.

- Dziękuję. Może zechce pan usiąść, zaraz sprawdzę, czy pan Corwin jest wolny.

Usiadłem i wziąłem jedno z pism leżących na fantazyjnym stoliczku przed kanapką. „Realites”.

Francuski miesięcznik. Cóż, zawsze można obejrzeć ilustracje.

Otworzyłem pismo. Zobaczyłem zdjęcie Brigitte na jachcie w Saint Tropez. Przyjrzałem mu się uważnie. Bardotka w bikini na pewno na to zasługiwała. Ktoś stanął nade mną. Podniosłem głowę.

- Pan pułkownik Carey? - spytała bardzo atrakcyjna blondyneczka.

Skinałem głową.

- Pan Corwin czeka na pana. Proszę za mną. Wstałem. Dziewczyna wiedziała, jak wygląda z tyłu, i szła z lekka kołyszącym się krokiem. Nareszcie jakaś przyjemność. Milej było patrzeć na nią niż na fotografie.

- Dziękuję pani - powiedziałem, gdy otworzyła przede mną drzwi do gabinetu Sama.

Gabinet Sama był jeszcze bardziej wytworny. Boazerie. Dwa jakże kolorowe obrazy Matisse'a.

Modigliani. Picasso - w pierwszej chwili pomyślałem, że zawieszono go do góry nogami. A w kącie na niewysokim postumencie stał odlew w brązie rzeźby Nory - **Kobieta w sieci**. To ten posązek przyniósł jej nagrodę Eliofheimów.

Sam wszedł drzwiami znajdującymi się w drugim końcu gabinetu. Podszedł do mnie z wyciągniętą ręką.

- Witaj, Łukasz.

Uścisnął mi dłoń. Mocno, ale nie przesadnie serdecznie. To mi się spodobało.

- Jak się miewasz, Samie?

- Nieźle. Tyle, że łysieję. - Przyjrzał mi się. - Świetnie wyglądasz!



- Odpowiedni tryb życia. I odpowiednia żona.
- Bardzo się cieszę. - Zasiadł za biurkiem i wskazał mi fotel naprzeciwko. - Strasznie się przejąłem sprawą Dani.
- Nic nie odpowiedziałem, ale widziałem, że on naprawdę się przejął.
- Ogromnie ją lubiłem. Była naprawdę czarującym dzieckiem. To okropne. Choć przypuszczam, że coś takiego musiało się zdarzyć.
- Dlaczego? Wzruszył ramionami.
- Nora.
- Czy znałeś tego Riccio? - spytałem.
- Tak. - Uśmiechnął się, ale był to gorzki uśmiech. - To ja przedstawiłem go Norze.
- Jak się to stało? Roześmiał się.
- Widziałeś moich paniczów?
- No, ba! Muszę stwierdzić, że z ulgą zobaczyłem twoją sekretarkę.
- Znów się roześmiał.
- To pomysł Scaasiego. Tutaj dzieła sztuki kupują głównie kobiety. Więc ci paziowie bardzo są użyteczni.
- Ale co to ma wspólnego z Riccio?
- Pięć lat temu, kiedy otworzyłem tę galerię, Riccio był moim głównym pomocnikiem. Zresztą świetnie pracował. Kobiety go wręcz uwielbiały.
- Takiego Vandyke'a?
- Za artystyczny wygląd. Beatnik, ale czysty i wy-elegantowany.
- Aha.
- Nora też się nim zachwyciła. Nosił włoskie spodnie, wiesz, takie opięte spodnie, jakie noszą tancerze. Nora nie mogła oderwać od niego wzroku. - Otworzył pudełko z papierosami i podał mi je. - Wiesz przecież, jak to jest z Norą. Wszystko dzieje się jak w piosence: „Czego sobie

zażyczy, na to może już liczyć". Tylko tym razem przeliczyła się.

Wziąłem papierosa.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- On był taki sam jak ona... Co na drodze, to nieprzyjaciel. Parę razy brakowało, a miałyby kłopoty z klientkami. Zawsze jednak udawało mu się jakoś je udobruchać.

- Dlaczego się go nie pozbyłeś?

- Bo był najlepszym sprzedawcą, jakiego mieliśmy.

- Skąd go wytrzasnąłeś?

Sam spojrzał na mnie badawczo.

- Dlaczego tak cię to interesuje?

- Bo chciałbym się o nim czegoś dowiedzieć. Nikt nic nie wie. A to może mi się przydać w sądzie.

- Rozumiem.

- Więc co o nim wiesz? Może znasz jakichś jego przyjaciół?

Chwilę się zastanawiał, potem podniósł słuchawkę.

- Niech mi pani przyniesie teczkę personalną Tonią Riccio.

W mgnieniu oka otworzyły się drzwi i weszła sekretarka Sama. Położyła na biurku akta, spojrzała na mnie i wyszła. Zauważyłem, że Sam odprowadził ją wzrokiem.

- Chwała Bogu zdradzasz zdrowe zainteresowania. Już się bałem, że cię opętali pedryle!

Roześmiał się i otworzył teczkę.

- Tonio pracował przedtem dla Arleny Gately. I razem z nią przeszedł do mojej galerii.

- Czy ona tu jeszcze jest?

- Zginęła dwa lata temu w katastrofie lotniczej.

- Hm. Nie pamiętasz z kim się przyjaźnił?

- Nie. Chyba z nikim. Cały czas uganiał się za spódniczkami.

- Miał jakąś rodzinę?

-Tak. Jego rodzina mieszka w San Francisco. Ojciec ma na wybrzeżu kiosk z rybami. A bracia mały statek rybacki.

- Znasz ich adres?

Wziął kartkę i zapisał mi ten adres.

- Żałuję, że nie mogę ci bardziej pomóc.

- Możesz. Ale nie wiem, czy zechcesz.

- Powiedz.

- Jak było z Norą i z tym Riccio? Pani Hayden powiedziała mi, że Nora musiała się z tobą rozliczyć. Jak ci się udało do tego doprowadzić?

Chwilę się wahał.

- Wiedziałem, co między nimi jest. I udało mi się zdobyć fotografie.

- Masz je?

- Nie. Oddałem jej po przeprowadzeniu rozwodu. Nie chciałem już ich nigdy oglądać. Wystarczy, że pamiętam. Milczałem. - Było to uczciwe załatwienie sprawy. Nie tknąłem jej pieniędzy. Zażądałem tylko połowy tego, co zarobiła dzięki mnie. - Przecież cię nie krytykuję.

- Mam nadzieję, że uda ci się przekonać sąd. Ciągle wspominam Dani. Bardzo jej ciebie brakowało, kiedy przestałeś się z nią widywać. - To była robota Nory. Ja też bardzo cierpiałem.

- Tego nie wiedziałem. Nora twierdziła, że to ty powziąłeś taką decyzję.

- Coś podobnego! No tak, to cała Nora.

- Myślałem, że wiem wszystko, a tu nagle... - Zgasił papierosa i zaraz zapalił następnego. - O jednym nie mogę zapomnieć.

- O czym?

- Było to blisko pięć lat temu. Dani miała skończyć dziesięć lat i poprosiła, żeby jej urządzić przyjęcie urodzinowe. Nora wpadła w szał. Powiedziała małej, żeby przestała się popisywać swoim wiekiem.

Jest już

dosyć duża, by rozumieć, że dla matki może to być krępujące. Dani oczywiście nie wiedziała, o co chodzi, więc spojrzała ze zdziwieniem i spytała: - „To ty, mamusiu, nie chcesz, żebym dorosła?” Nora już miała jej odpowiedzieć, ale zobaczyła, że się jej przyglądam, i wyszła, a mała niemal zaczęła płakać. Zaciągnął się dymem.

- Szczerze mówiąc, uważam, że Nora zazdrościła Dani. Zazdrościła jej młodości. Zazdrościła dziewczęcej urody. Ale nic na to nie mogłem poradzić. Nora zawsze podkreślała, że nie jestem ojcem Dani i mam się nie wtrącać.

Chwilę wpatrywał się w biurko, potem spojrzał na mnie.

- Pewnie zastanawiasz się, czemu się z nią ożeniłem, choć wiedziałem o niej niemal wszystko?

- Tak, zdarzało mi się o tym myśleć.

- Cóż, niełatwo przyjdzie ci to zrozumieć. Byłem krytykiem sztuki, pisywałem do małomiasteczkowej gazety. Bo trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: San Francisco nie liczy się w świecie sztuki, jest jednym z prowincjonalnych miast. I nagle udało mi się dokonać wielkiego odkrycia. Takie odkrycie zdarza się raz w życiu - jeżeli człowiek ma dużo szczęścia. Odkryłem talent Nory Hayden. Cokolwiek by o Norze powiedzieć, jest wielką rzeźbiarką. Z jej rzeźb bije prawda. I człowiekowi trudno jest uwierzyć, że ta kobieta nie ma w sobie nic z tego, co ożywia jej twórczość.

Tak, wiedziałem, jaka ona jest. Ale myślałem, że uda mi się ją zmienić. Że jej życie zacznie przypominać jej rzeźby. Myliłem się. Gorzko się pomyliłem. No i jeszcze jedno...

- Co?

- Kochałem ją. I co zostało z tej miłości? Parę rzeźb. Z tobą jest inaczej. Ty coś masz i choćbyś teraz musiał się znów nacierpieć, twoja miłość nie przeminęła bez śladu.

Zrozumiałem, co chce przez to powiedzieć. Wstałem.

- Dziękuję ci, Samie. On także wstał.
- Chciałbym posłać Dani jakiś upominek. Mogę?
- Jestem pewien, że się ucieszy. Wyciągnął do mnie rękę.
- Serdecznie ją ode mnie pozdrów.
- Nie zapomnę. Dziękuję.

Na Post Street roiło się od kupujących, słoneczny blask raził. Oblał mnie pot, wszedłem do baru.

Poprosiłem o zimne piwo. Obok mnie stanęło dwóch turystów. Oni też zamówili piwo.

- Jezu, ale żar! - westchnął jeden z nich.
- Ano, żar - odparł drugi podnosząc do ust kufel. - Ale pomyśl, o ile goręcej jest tym biedakom na skale. I nawet nie mogą marzyć o zimnym piwie.

Wiedziałem, o jakiej skale mówią. O Alcatraz . Ale to nie była jedyna skała. Moja córka była rozbitkiem na innej, własnej skale. A przecież była jeszcze dzieckiem.

Zastanawiałem się, co teraz porabia, czy bardzo doskwiera jej upał. I czy pannie Spicer udało się czegoś od niej dowiedzieć. Bo ja nie wiedziałem niemal nic.

## 5

Marian Spicer, jeszcze nim usłyszała głos, rozpoznała go po butach. Były tak wypolerowane, że można by się w nich przejrzeć, wiedziała jednak, że przy każdym kroku między podeszwą a cholewką pojawi się biała skarpetka. Podniosła głowę znad rozłożonych na stole papierów.

**\* Słynne więzienie na skalistej wyspie.**

- Czyżby zacna dziewczica Marian przybyła z Lasu Sherwood, by ucieszyć serce Robin Hooda?
- Siadaj, Red, nim oblejesz kawą moje dokumenty. Chwała Bogu, że cię dobrze znam. Bo nawet szeryf z Nottingham nie zrozumiałby słowa z twojej angielszczyzny.

Błękitne oczy Reda uśmiechnęły się, ruda czupryna była jak zwykle rozwichrzona. Przyniósł dwie filiżanki kawy. Jedną z nich postawił przed nią.

- Przyda ci się następna dawka paliwa.
- Dziękuję.

Rozejrzał się po kafeterii. Była niemal pusta.

- Trzeba zastosować jakieś drastyczne środki. Nasi pracownicy nie wykorzystują należnej im przerwy w pracy.

W drugim końcu salki siedziała opiekunka sądowa ze swoją podopieczną i jej matką. Piętnastoletnia dziewczynka była w ciąży, miała nadąsaną minę. Matka przekonywała o czymś opiekunkę, a ta cierpliwie kiwała głową.

Marian łatwo mogła się domyślić, o czym ta kobieta mówi. Tyle razy to słyszała. „Niczego nie podejrzewałam... nie wiem, jak się to mogło stać... moja córka nigdy... to pewnie jej koleżanki...”

Zawsze ta sama gadka. Dzieci wpadają w tarapaty, a rodzice nie posiadają się ze zdumienia. Niczego nie podejrzewali... Oczywiście. Byli bardzo zajęci własnymi sprawami. Czasem ważnymi, czasem nie

- ale kończyło się to zawsze tak samo - w Sądzie dla Nieletnich.

- Gdzie byłeś cały dzień? - spytała Marian porządkując papiery.

Red głośno siorbnął.

- Jak to gdzie? Szukałem tego cholernego mikrusa. Marian wiedziała, że ma na myśli szesnastoletniego

chłopca, którego rodzice wysłali do szkoły kadetów, „żeby stał się prawdziwym mężczyzną”, jako że przed sześciu miesiącami został zatrzymany przez policję pod-

czas obławy na homoseksualistów nagabujących nieletnich. Przed czterema dniami uciekł ze szkoły.

- Znalazłeś go?

- Znalazłem. Tam gdzie podejrzewałem, że go znajdę, dopadłem go w męskiej toalecie jednej z tych spelunek na Północnym Wybrzeżu.

- Więc dlaczego zajęło ci to cztery dni?

- Chyba nie wiesz, ile tam jest takich barów! - oburzył się. Zobaczył jednak jej uśmiech. - Szkoda, że go nie widziałas. Wciąż miał na sobie mundur. Ale widać spał w nim przez te cztery noce. Kiedy mnie zauważył, dostał ataku hysterii. Wrzeszczał, kopał, drapał. Musiałem wezwać radiowóz policyjny. - Nagle uśmiechnął się figlarnie. - Niemniej miałem bardzo udany dzień. Otrzymałem pięć propozycji, w tym jedną od kobiety! A w takich spelunkach można to uznać za niebywały komplement! Musiała mnie wziąć za prawdziwego pedzia!

- Zawiadomiłeś rodziców? Red skinął głową.

- Przyjadą jutro. - Wzruszył ramionami, - Ot, życie. Chłopcy, którzy chcą być dziewczynami.

- Biedny mały.

Oboje nienawidzili takich przypadków. Czuli się całkowicie bezsilni. Jak tu pomóc? Można tylko odwołać się do medycyny. Ale i ta okazuje się najczęściej bezradna.

- A ty, pracowita pszczołko? Nad czym ślęczysz? Wciąż ta mała Haydenówna?

- Jej nazwisko brzmi Carey.

- Wiem, wiem. Ale gazety rozpisują się o sprawie Haydenów. Nie dziwota, matka jest chlubą miasta...

No i co z tą małą?

- Wciąż nic nie wiem. Nie umiem do niej dotrzeć. Bardzo różni się od dziewczynek, z którymi miałam dotąd do czynienia.

Podniósł brew.

- Daje ci w kość? Czy to są wyniki badań?

Skinęła głową.

- Mogę rzucić okiem?

Patrzyła, jak czyta. Najpierw świadectwo lekarskie. Wszystkie dziewczynki - nim umieszczono je w schronisku - przechodziły badania. Dani przeszła je w sobotę, ale wyniki testów psychologicznych były gotowe dopiero w poniedziałek.

Marian miała uczucie, że brak w nich czegoś bardzo ważnego, ale nie potrafiła wskazać czego. Może uda się to Redowi. On był wyjątkowo wnikliwy. I już od wielu lat sprawował funkcję opiekuna sądowego.

Skończył czytać raport lekarza i cynicznie zauważył:

- Z przyjemnością widzę, że ta mała jest przynajmniej normalną dziewczyną.

Wiedziała, co ma na myśli. Daniela już od dawna nie była dziewicą, a obrzmienie łechtaczki i macicy wskazywało, że niedługo przed badaniem miała stosunek płciowy.

- Zaczynam wierzyć, że w San Francisco żadna czternastolatka nie jest już dziewicą. - Red znów się uśmiechnął. - Zawsze interesowała mnie historia. Jak było z tobą, Marian? Czy twoje życie seksualne też zaczęło się przed ukończeniem czternastu lat?

- Dostyc tych żartów, Red. Skrzywienie zawodowe! Zapominasz, że nie trafiają do nas żadne normalne dziewczynki!

- Z kim ona kombinowała? Z tym facetem, którego zabiła?

- Odmawia odpowiedzi. W ogóle nie odpowiada na pytania. Przeczytaj wyniki testów psychologicznych.

Zobaczyła, że czytając znów podnosi brwi i znów wiedziała, o co mu chodzi. -Współczynnik inteligencji 152.

- No właśnie. Mamy do czynienia z wyjątkowo inteligentną i spostrzegawczą dziewczyną. Dlatego trudno jest zrozumieć to, co dalej mówi ten raport. Przeczytaj.



Szybko przebiegł wzrokiem parę następnych stron i odłożył kartki.

- Ona zabawia się naszym kosztem. Dlaczego?

- No właśnie, dlaczego? Czy przeczytałeś, co na koniec powiedziała psychologowi? Że przyznaje, iż zawiniła; wie, że zrobiła coś strasznego i gotowa jest o tym - ale tylko o tym - rozmawiać. Uważa, że wszystko poza tym są to jej sprawy osobiste i ma prawo do milczenia.

- Coś takiego!

- W ciągu weekendu uspokoiła się i odzyskała panowanie nad sobą. Szkoda, że psycholog nie mógł z nią rozmawiać w sobotę. Wtedy była jeszcze roztrzęsiona i zdenerwowana.

- Czy ktoś mógł ją w czasie weekendu tak nastawić? Odwiedził ją tylko ojciec.

- On na pewno nie wpadł na taki pomysł. Dla niego jest wciąż jeszcze małym dzieckiem. Ostatni raz widział ją, gdy miała osiem lat, i trudno mu sobie uzmysłwić, że ona nie tylko wyrosła, ale także dorosła.

- Jaki on jest?

- Robi wrażenie dobrego, łagodnego człowieka.

- Mimo swoich wojennych wyczynów? - W głosie Reda brzmiało niedowierzenie.

- Wiem, że to wygląda niewiarygodnie. Było mi go żal. Widać, że mu się nie przelewa, przyjechał jednak z Chicago, by próbować jej dopomóc. Jego żona ma lada dzień rodzić i biedak czuje się rozdarty. Chce postąpić tak jak powinien, ale nie bardzo wie, co naprawdę powinien zrobić.

- A co myślisz o Norze Hayden?

- Nora Hayden dobrze wie, czego chce. Może i jest wielką artystką, ale to dziwka. Żal mi tej malej, że musiała mieszkać z matką. Na pewno nie było jej lekko.

- Więc nie poczułaś do niej sympatii?

- Nie. Ale to nieważne. Ważne jest, jak wydobyć

z małej prawdy. Poznać ją i zrozumieć motywy jej działania.

- Czasem najlepiej dać takim dzieciom spokój. Może po jakimś czasie nabierze do nas zaufania, zrozumie, że chcemy jej pomóc.

- Owszem, ale to by musiało potrwać. A sędzia Murphy wyznaczył następne przesłuchanie za tydzień. Mam wrażenie, że ktoś na niego naciska, by szybko rozstrzygnąć sprawę i będzie się trzymał ustawowych piętnastu dni.

Wzięła do ręki filiżankę. Kawa już wystygła, ale i tak ją wypila.

- Mam dziwne uczucie, że w tej sprawie tkwi jakiś fałsz. To dziecko tak świetnie umie nad sobą panować, że trudno mi uwierzyć, by mogło wpaść w taki szal żeby zabić.

- To kto zabił? Matka?

- Wydaje mi się to znacznie bardziej prawdopodobne.

- Ale nie ma na to żadnych dowodów. Czytałaś wszystkie zeznania. Byłaś na rozprawie u sędziego pokoju i słyszałaś.

- Tak. Wszyscy się zgadzają. Wszystko się zgadza. Ale jest tylko jeden świadek.

- Matka?

Marian skinęła głową.

- Czy nie dajesz się zasugerować tym, że tak ci się nie spodobała? Ja też tak często reaguję, kiedy widzę głupotę rodziców. Chętniej bym obciążył winą ich niż dzieci. Ale nie o to chodzi.

Wstał i znów przyniósł dwie kawy.

- Gdzie w tej chwili jest mała?

- U psychologa. Może Sally uda się dziś skłonić ją do mówienia.

- Sally Jennings jest bezkonkurencyjna w swojej dziedzinie. Jeśli jej się nie uda skłonić małej do rozmowy, to można dać za wygraną.

- Mam nadzieję, że jej się uda. Tymczasem ja za-

czynam biegać za informacjami. Sędzia Murphy chce mieć stenogram procesu rozwodowego rodziców Dani. Zaraz jadę do adwokata. Marian wstała.

- A jak się ma Anita i twoi chłopcy?

- Wszystko po staremu. Anita chce się gdzieś zatrudnić na pół etatu, bo jak zwykle krucho u nas z forszą. Po moim trupie! Zbyt wiele się napatrzyłem, co dzieje się z dziećmi, których matki pracują. Marian ze współczuciem skinęła głową. Często zastanawiała się, jak sobie dają radę jej koledzy, którzy mają żony i dzieci. I nie dziwiła się, że buty Reda już od dwóch miesięcy domagają się podzielenia. Red westchnął.

- Stevie, nasz najstarszy, zanudza nas, żeby mu kupić motorower. Ponoć wszyscy jego koledzy już mają.

- No i co? Kupisz mu?

- Jeśli znajdę używany za pięćdziesiąt dolarów. - Westchnął. - Marzenie ściętej głowy. W tej cenie na pewno nie dostanę.

- Może będziesz miał przysłowiowy łut szczęścia...

- Trzymaj kciuki. Czasem zaczynam się bać.

- Czego?

- Stevie jest fajnym chłopakiem, ale musi się obchodzić bez wielu rzeczy, o których marzy. A ja wiem, do czego to może doprowadzić...

Skinęła głową.

- Budzę się w środku nocy, bo mi się śni, że siedzę za biurkiem i policja przyprowadza Steviego...

Marian nie ukrywała współczucia. Tak, wszyscy zbyt wiele wiedzieli i zanadto się przejmowali.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Miałeś ciężki dzień. I ten upał. Idź do domu i odpocznij.

- Co? Tego by tylko brakowało. Anita zaczęłaby się zamartwiać, że jestem ciężko chory!

6

Nad założonym papierami biurkiem wisiał oprawiony dyplom magistra psychologii Uniwersytetu w Wisconsin. Gotyckimi literami wypisane było nazwisko Sally Jennings i data - czerwiec 1954 roku. Sally Jennings robiąc magisterium miała już trzydzieści osiem lat. Przez piętnaście lat pracowała jako opiekunka sądowa i oszczędzała na studia, po czym wzięła dwuletni bezpłatny urlop i wróciła z dyplomem. Ale dopiero po następnych dwóch latach zwolnił się w wydziale etat psychologa i mogła objąć to stanowisko.

Miała młodzieńczą twarz, szpakowate włosy, ujmujący sposób bycia. Szczerze przejmowała się losem dzieci, które do niej przysyłano. Zwykle dzieci czuły to i łatwo nawiązywały z nią kontakt. Ale od czasu do czasu któreś z nich stawało okoniem. I właśnie teraz zdarzył się taki wypadek.

Siedząca po drugiej stronie biurka Dani milczała, złożyła grzecznie na kolanach ręce i przybrała uprzejmy wyraz twarzy. Sally już podczas poprzedniego spotkania zauważyła, że dziewczynka ma wymanikiurowane paznokcie. Sięgnęła po papierosa i spostrzegła, że mała nie może oderwać od niego wzroku.

- Chciałabyś zapalić, Dani? - spytała podsuwając jej paczkę.

Dani zawahała się.

- Zapal, jeśli masz ochotę. Tu, w gabinecie, wolno mi cię poczęstować.

Dani wzięła papierosa.

- Bardzo pani dziękuję.

Sally też zapaliła i wpatrzyła się w dym ulatujący pod sufit.

- Lubię przyglądać się chmurkom dymu, które co chwila przybierają inne kształty.
  - Bawiłyśmy się w coś takiego w szkole panny Randolph. Nazywałyśmy to testem Rorschacha.
- Sally zobaczyła rozbawienie w oczach dziewczynki.
- Nie ma pani pojęcia, czego się niektóre koleżanki w takich chmurkach dopatrywały!
  - Widzę, że jak na swój wiek dużo wiesz o psychologii.
  - Przeczytałam masę książek. Myślałam nawet, żeby zostać psychologiem, ale zmieniłam zdanie.
  - A to dlaczego?
  - Nie wiem. Chyba nie chciałabym wścibiać nosa w cudze sprawy. Nie lubię wścibstwa!
  - Uważasz, że ja tak postępuję?
  - To pani zawód, prawda? - spytała szorstko Dani. - Musi się pani dowiedzieć, jak funkcjonuje mój umysł. - To tylko część mojego zadania, dziecko. Drobną część. Chcę znaleźć sposób dopomożenia ci. - A jeśli ja wcale nie szukam pomocy?
  - Sądzę, że wszyscy potrzebujemy pomocy, choć często nie chcemy się do tego przyznać.
  - Pani też potrzebuje?
  - Tak. Często czuję się bezradna.
  - Czy wtedy idzie pani do innego psychologa? Sally Jennings skinęła głową.
  - Owszem. Od paru lat chodzę do psychoanalityka. Zrozumiałam, że aby pomóc innym, muszę lepiej poznać samą siebie.
  - Jak często?
  - Zwykle raz na tydzień. Czasem, kiedy mam mniej roboty, częściej.
  - Mama twierdzi, że ci, co chodzą do psychoanalityka, to ludzie chorzy. Że psychoanaliza to namiastka spowiedzi w kościele katolickim.
- Sally Jennings bacznie przyjrzała się Dani.

- Czy uważasz, że twoja matka zawsze i we wszystkim ma rację?

Dani nie odpowiedziała.

Sally znów natknęła się na mur. Szybko zmieniła temat.

- Lekarz, który cię badał mówi, że uskarżasz się na ból piersi. Czy od dawna cię bolą?

Dani przytaknęła.

- Od jak dawna? Dani zawahała się.

- Przecież teraz nie próbuję myśkować w twoich myślach. Chodzi mi o fakt medyczny.

- Czy coś jest ze mną nie w porządku? - spytała Dani, a w jej głosie pojawił się niepokój.

Sally zobaczyła, że dziewczynka wcale sobie z tego nie zdając sprawy dotyka piersi i poczuła wyrzuty sumienia, że przeraziła małą.

- Nie, nie. Ale lekarze starają się znaleźć przyczyny każdego bólu.

- Kiedy piersi zaczęły mi rosnać, bandażowałam je. I wtedy pojawił się ten ból, i przestałam. Ale od czasu do czasu ból wraca.

Sally roześmiała się.

- Skąd ci to przyszło do głowy? To takie staroświeckie.

- Słyszałam, jak mama opowiadała przyjaciółce, że tak postępują gejsze w Japonii, by wciąż wyglądać młodo i niedorośle.

- To ty nie chcesz dorosnąć, Dani?

- Ależ chcę - szybko odpowiedziała Dani.

- To dlaczego to robiłaś? - powtórzyła swe pytanie Sally. - Czy sądziłaś, że uradujesz tym matkę? Wyraz oczu dziecka powiedział jej, że zgadła. Zabolało ją serce, ale postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

- Więc to dlatego. Bandażowałaś piersi i cierpiałaś, bo uważałaś, że twoja mama woli mieć małą córeczkę?

Skąd ci to przyszło na myśl? Czy matka powiedziała ci, że ją postarzasz?

Nagle dziecko zaczęło płakać ukrywając twarz w rękach.

Sally Jennings wyjęła jej z ręki papierosa i zgasiła w popielniczce.

- Większość matek, Dani, nie lubi, żeby ich dzieci dorastały. Póki dzieci są małe, matki czują się im bardziej potrzebne, czują się ważniejsze.

- Mama mnie kocha - łkała Dani. - Moja mama mnie kocha!

- Ależ tak, Dani. Tylko że miłość matczyna nie zawsze powstrzymuje matki przed popełnianiem błędów.

Mała podniosła głowę, w oczach błyszczały łzy.

- Proszę pani, ja już nie chcę dłużej rozmawiać. Czy mogę wrócić do swego pokoju?

Sally chwilę ją obserwowała.

- Oczywiście, Dani. - Nacisnęła guzik wzywając wychowawczynię. - Skończymy naszą rozmowę jutro.

Patrzyła przez szklane drzwi, jak Dani odchodzi korytarzem. Westchnęła. Dzień był długi i męczący. I tak niewiele zdziałała. Może jutro powiedzie się jej lepiej?

\* \* \*

Przez zamknięte drzwi pokoiku Dani docierała muzyka z telewizora. Dani bezwiednie zaczęła przebierać nogami. Po paru minutach wyszła na korytarz i odkryła, że muzyka dobiega z salki rekreacyjnej, gdzie dziewczynki zgromadziły się przed telewizorem.

Muzyka umilkła i na ekranie pojawiła się twarz Dicka Clarka. Rozległ się aksamitny głos: „Witam was jak najserdeczniej na naszej Amerykańskiej Estradzie. Dzisiejszą potańcówkę rozpoczniemy niezapomnianym przebojem Chubby Checkers *Jeszcze jeden twist*.”

Dani patrzyła zachwycona. Kamera cofnęła się i widać było oczekującą muzyki młodzież. Chłopcy byli w sportowych kurtkach, dziewczyny też się bynajmniej nie wystroiły. Chrapliwy śpiew wypełnił pokój.

***Jeszcze jeden twist Nic nie mów Jeszcze jeden twist Jak rok temu***

Dziewczynki zerwały się i zaczęły tańczyć parami. Siedząca pod ścianą wychowawczyni przytupywała.

- Umiesz twistować, Dani? - spytała dziewczyna, która siadywała obok Dani przy posiłkach.

- Umiem, Sylwio. Sylwia uśmiechnęła się.

- No, to pokażemy im, jak się to robi. Dani zgodziła się.

Obie przybrały odpowiednią pozycję, lekko zgarbiły się, a ich twarze znieruchomiały. Jak przyklepione do podłogi kręciły biodrami, nie patrząc jedna na drugą. Każda wpatrywała się w kolana tańczącej naprzeciwko koleżanki.

Przez dłuższą chwilę milczały oceniając nawzajem swoje talenty taneczne. Potem zaczęły rozmawiać.

- Znakomicie twistujesz - zauważyła Sylwia.

- Ty lepiej.

- Uwielbiam taniec. Chcę tańczyć zawodowo.

- Już byś mogła.

Sylwia uśmiechnęła się z dumą. Była nieco wyższa i trochę starsza od Dani. Miała jasne włosy i błękitne oczy.

- Spróbujemy coś innego.

- Okay.

- Hully-gully?

Dani zgodziła się z entuzjazmem.



- A teraz madison - Sylwia zaczęła wirować, a Dani drobnymi kroczkami krążyła wokół niej. Potem zamieniły się rolami.

Sylwia roześmiała się głośno.

- Niech się skrećą z zazdrości! Watusi!

I przy crescendo muzyki odtańczyły taniec dżungli. Muzyka umilkła, umilkł zawodzący głos śpiewaka. Dziewczynki stanęły ciężko dysząc.

- Fajnie było! - oświadczyła Sylwia.

- Aha! - zgodziła się Dani.

Prezenter nastawił następną płytę, Sylwia pytająco spojrzała na Dani.

- Spróbujemy?

Dani pokręciła przecząco głową.

- Już zabrakło mi tchu. To te papierosy.

- Mam dziesiątaka na coca-cole. Wypijemy razem?

- Dziękuję, chętnie - Dani mogłaby sobie kupić własną butelkę, ale to by nie było grzecznie. Postawi następną. Sylwia podeszła do automatu i wzięła butelkę coca-coli. Na stoliczku obok leżały słomki, włożyła dwie do butelki. - Chodź, siądziemy sobie.

Usiadły tak, by patrzeć na ekran telewizora i zaczęły zgodnie popijać. Pojawiła się jakaś reklama i przyglądały jej się uważnie, uważniej niż przedtem tańcom.

- Fajna jest ta reklama gumy do żucia!

Na ekranie znów pojawił się Dick Clark i rozpoczęła się następna piosenka. Sylwia zwróciła się do Dani. - Byłaś dziś znów u łapiducha? Dani skinęła głową.

- Na kogo trafiłaś? Na tę Jennings? - Tak.

- Ona jeszcze nie jest taka zła. Można się z nią dogadać. Ale ten jej staruch, szef! Patrzy na ciebie rybimi oczyma, aż ci się robi zimno.

- Nie znam go.

Parę minut przyglądały się tancerzom. Kamera zbliżyła się do jakiejś pary. Chłopiec był wysoki i przystojny, miał modną fryzurę. Dziewczyna miała na sobie spódnicę i luźny sweter. Zauważyli kamerę i zaczęli się popisywać.

- Chłopak jest morowy. Podobny do mojego.

- Wygląda jak Fabian.

- Mój przypomina Fabiana jak dwie krople wody - zauważyła z dumą Sylwia. - Dlatego zwróciłam na niego uwagę. Uważam, że Fabian jest najfajniejszy!

- Ja wolę Rickiego i Franka Avalona. Oni to mają głosy!

- Elvis ma jeszcze lepszy. Ale ja nie mówię o głosach. Fabian ma w sobie naprawdę *coś*. Patrzy na ciebie i miękną ci nogi. - Oderwała wzrok od ekranu. - Masz chłopca?

- Nie.

- Ale miałaś?

Dani pokręciła przecząco głową.

- Tak naprawdę to nie. Nie na stałe.

- Więc to nie był twój chłopiec? Ten, którego...

- Nie.

- Myślałam, że tak. Bo cię tu wsadzili razem z nami. Te cnotliwe siedzą osobno.

- Wolałabym o tym nie mówić. Sylwia rozsiadła się wygodniej.

- Strasznie tęsknię do mojego chłopca.

- Gdzie on teraz jest? Sylwia wskazała palcem okno.

- O tam. W kwaterze chłopców.

- Za co?

- Zamknęli nas razem. Rickie pożyczył wóz, żeby mnie zabrać na przejażdżkę. Pojechaliliśmy do parku przy Złotych Wrotach. I dopadli nas gliniarze.

- Nie rozumiem. Co oni od was chcieli? Sylwia roześmiała się.

- Nie strugaj naiwniaczki. Przecież ci powiedziałam, że Rickie wypożyczył sobie auto. A poza tym była druga rano, a my leżeliśmy na tylnym siedzeniu i robiliśmy sama wiesz co. - Wypiła resztkę coca-coli. - Fajnie było
  - westchnęła. - Otworzyliśmy dach, księżyc, muzyka z radia. Już mieliśmy orbitować, kiedy pojawili się ci nasi Niedotykalni! Brr...
  - Przyniosę następną coca-colę - oświadczyła Dani. Kiedy wróciła, Sylwia przyglądała się młodemu śpiewakowi - gościowi programu.
  - On naprawdę wcale nie śpiewa - zauważyła Sylwia.
  - On tylko porusza ustami. To playback.
  - Skąd wiesz?
  - Przecież tam nie ma orkiestry. I głos brzmi mocno
  - tak można nagrać tylko w studio. - Przyjrzała się zbliżeniu śpiewaka. - Ale jest morowy. Choć daleko mu do Fabiana. Czy dostałaś dziś pocztę?
  - Nie. Nie czekam na żaden list.
  - Inne dziewczyny dostały. Myślałam, że przyjdzie list od Rickiego. Obiecał, że będzie co dzień pisał.
  - W jej głosie pojawił się niepokój. - Myślisz, że oni mogli zatrzymać list?
  - CHyba nie.
  - Jeśli jutro się nie odezwie - umrę!
  - Nie martw się, na pewno o tobie myśli - pocieszyła ją Dani.
- I już w milczeniu wypity resztę coca-coli.

Do przystani dotarłem na parę minut przed porą zakupów na kolację. Sprzedawcy malowniczo rozkładali na straganach kraby, wieńcząc je po bokach krewetkami. Obok stały stoiska ze świeżym chlebem i bułeczkami, ale wszędzie prześladował człowieka charakterystyczny odór rybiego targu. Poszedłem w stronę Muzeum Morza. Tam kołysały się już na wodzie przywiązane na noc czółna i też nie brakowało straganów. Jeden z nich okryty był splowiałym nieprzemakalnym płótnem, na którym widniało nazwisko RICCIO.

Przystanąłem. Krzątający się wokół sąsiedniego straganu mężczyzna poinformował mnie, że rodzina Riccio dziś nie pracuje.

- Gdzie ich mogę znaleźć?
- Jest pan reporterem? Skinąłem głową.
- Są w zakładzie pogrzebowym. Pogrzeb będzie jutro. Chce pan z nimi zrobić wywiad?
- Coś w tym rodzaju.
- Z tego Tonia od małego był nicpoń. Nigdy nie chciał pomagać braciom przy rybach. Nie chciał sobie brudzić rączek. Uważał się za coś lepszego. Mówiłem jego ojcu, że to się musi źle skończyć.
- Gdzie jest ten zakład pogrzebowy?
- Wie pan, gdzie jest Bimbo? No to po drugiej stronie ulicy, zaraz za rogiem.
- Dziękuję.

Wróciłem do auta i udało mi się zaparkować je w pobliżu zakładu pogrzebowego. Był to budynek z białego piaskowca, fronton wyłożono marmurem. Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka.

Musiąłem chwilę przyzwyczajać się do przyćmionego światła. Podeszedłem do szklanej gabloty z informacjami. Zaraz pojawił się przy mnie mężczyzna w czarnym garniturze.

- W czym mógłbym panu dopomóc? - spytał przyciszonym głosem.

- Szukam rodziny Riccio.

- Proszę za mną.

Zaprowadził mnie do windy. Nacisnął guzik i drzwi się otworzyły.

- Nie wiem, czy rodzina jeszcze tam jest. Mieli wyjść na kolację. Ale może się pan wpisać do leżącej przy drzwiach książki. Pokój A.

- Dziękuję

Drzwi zamknęły się. Kiedy się znów otworzyły, wysiadłem. Pokój A znajdował się naprzeciwko windy.

Zajrzałem. Na drugim końcu pokoju stała na podwyższeniu trumna okryta kobiercem kwiatów.

Miękki dywan tłumił odgłos kroków, gdy podchodziłem do trumny.

Riccio był piękny, gęste czarne włosy nad wysokim czołem, prosty nos, mocno zarysowane usta, nawet teraz bardzo zmysłowe. Długie jak u dziewczyny rzęsy. Zrobiło mi się go strasznie żal. Miał nie więcej niż trzydzieści lat.

Usłyszałem za sobą szloch. Odwróciłem się. Z boku przy drzwiach siedział na krześle niski staruszek.

Nie zauważyłem go wchodząc. Patrzył na mnie załzawionymi oczami.

- Jestem jego ojcem. Pan go znał? Zaprzeczyłem ruchem głowy i podeszedłem.

- Chcę złożyć panu najgorętsze wyrazy współczucia.

- **Grazie** - odpowiedział szukając mojego wzroku. - Mój Tonio nie był taki zły, jak o nim mówią. On tylko zbyt wiele chciał od życia.

- Na pewno, panie Riccio. Nikt nie jest taki zły, jak o nim mówią.

Zza drzwi dobiegły głosy.

- Z kim ty rozmawiasz, tato?

Zobaczyłem w drzwiach młodego mężczyznę i kobietę. Młody mężczyzna przypominał bardzo Tonię, choć miał grubsze rysy. Czerń żałoby kobiety była najczarniejsza na świecie. Tylko Włoszkom udaje się wyglądać aż tak żałobnie. Włosy okrywał czarny koronkowy szal, na pięknej zmęczonej twarzy malował się cierpliwy smutek.

- To mój syn Stefan - powiedział staruszek. - *Ifidan-zata* mojego Tonię Anna Stradella.

Młody mężczyzna przyjrzał mi się i na jego twarzy pojawiło się wzburzenie.

- Papo! - krzyknął. - Czy ty wiesz, kto to jest! Staruszek pokręcił przecząco głową.

- To ojciec tej dziewczyny! Nie wolno ci z nim rozmawiać. Czy zapomniałeś, co powiedział adwokat? Staruszek spojrział mi w oczy i odwrócił się do syna.

- Co on tam wie! Jak ten pan stanął nad trumną, zobaczyłem jego twarz. Jego też zabolalo serce tak jak mnie.

Młody człowiek dalej protestował.

- Papo, przecież my wystąpimy o odszkodowanie. Adwokat mówił, żeby z nimi nie rozmawiać, bo możemy stracić szansę.

Pan Riccio podniósł rękę.

- Dostyc tego! - powiedział stanowczym, pełnym godności głosem. - Prawnicy będą się potem kłócić, a teraz jesteśmy on i ja - po prostu ojcami, których własne dzieci okryły hańbą i żałobą.

Zwrócił się do mnie.

- Niech pan siądzie, panie pułkowniku. Proszę wybaczyć mojemu synowi. Jest jeszcze młody i głupi.

- Dziękuję panu, panie Riccio.

Młody mężczyzna wyszedł zagniewany. Dziewczyna została. Wziąłem spod ściany dwa krzesła i jedno po-

stawilem koło niej. Chwilę się wahała, ale usiadła. Usiadłem na drugim krześle.

- Chcę pani złożyć wyrazy współczucia.

Skinęła bez słowa głową, w oczach jej malowała się rozpacz.

- Jak pana córeczka? - spytał starszy pan.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Jak tu wyznać, że czuje się dobrze, skoro o parę kroków od nas spoczywa ciało jego syna?

- Biedna mała - powiedział pan Riccio. - Przecież to jeszcze dziecko. - Zajrzał mi pytająco w oczy. -

Dlaczego pan tu przyszedł, panie pułkowniku?

- Chciałbym się czegoś dowiedzieć o pańskim synu. - Zobaczyłem wyraz jego oczu. - Nie, nie chcę znieważać jego pamięci. Ale chcę zrozumieć córkę.

- Proszę się nie krępować, panie pułkowniku. Ma pan prawo chcieć pomóc córce.

- Dziękuję za wyrozumiałość, panie Riccio.

- Więc o co chce się pan zapytać?

- Czy pana syn miał jakichś bliskich przyjaciół? Wzruszył ramionami.

- Przyjaciół? Nie. Nie miał przyjaciół. Miał się ożenić z tu obecną Anną i mógł na nią liczyć. I na swoich braci, Jana i Stefana. Ale nie chciał mieć z nimi nic wspólnego. Chciał być człowiekiem światowym.

W oczach staruszka pojawiło się rozgoryczenie.

- Kiedy Tonio był jeszcze dzieckiem, powiedział mi kiedyś: „Patrz, papo, na wzgórze Nob Hill. To tam będę kiedyś mieszkał. Z dala od tego smrodu ryb”. Zacząłem się śmiać. „Daj spokój, Tonio. Ucz się pilnie. I graj w baseball. I może któregoś dnia powiesz ci się tak jak braciom Di Mag i kupisz ojcu restaurację w Przystani. Ale nie zwracaj sobie głowy głupimi mrzonkami”.

Tonio nie posłuchał mnie. Kiedy skończył szkołę, chciał zostać artystą. Zapisał brodę i zaczął się włóczyć po kawiarniach. Wracał późną nocą i spał do południa.

Nie wypływał z braćmi na połów. Miał za delikatne ręce. Kiedy skończył dwadzieścia lat, zaczął pracować u handlarki obrazami. To była taka tłusta starsza pani. A po roku przeniósł się do dużej galerii koło Gumpu.

Któregoś dnia pojawił się przy moim straganie z ładną panią. Powiedział, że to żona jego szefa. Pałaszowali krewetki i zaśmiewali się jak dzieci. Potem przeczytałem kiedyś w gazecie, że jego szef się rozwiódł. Martwiłem się, co będzie z jego posadą, a tu nagle Tonio przyjechał nowym autem. Zagranicznym.

- Papo! - powiedział. - Udało mi się. Jestem teraz menedżerem żony szefa. Zarabiam kupę forsy. I wiesz gdzie mieszkam? - Pokazał na wzgórze. - Na Nob Hill! Tam gdzie zawsze chciałem mieszkać. I tam naprawdę nie czuć zapachu ryb!

Stary Riccio zasepił się. Spojrzał na trumnę.

- Teraz też Tonio nie czuje już smrodu ryb. Chwilę siedziałem w milczeniu. Potem wstałem.

- Dziękuję panu za pańską dobroć, panie Riccio. I bardzo pana przepraszam, że niepokoiłem pana w takiej chwili.

Starzec zatonął w myślach. Wpatrywał się w trumnę i poruszał wargami.

- Będę się modlił za pańską córkę - powiedział. - Tak jak modlę się za mojego syna.

Nachyliłem się nad panną Stradella. Sprawdziła, że starzec nie odrywa wzroku od trumny, i szepnęła:

- Niech pan na mnie zaczeka przed domem. Skinąłem głową i wyszedłem. Minąłem na korytarzu młodszego syna. Nie czekałem na windę, zbiegłem po schodach.

Stanąłem koło auta. Po chwili zobaczyłem pannę Stradella. Rozglądała się. Zawołałem ją.

Spiesznie do mnie podeszła. Obejrzała się przez ramię.

- Lepiej wsiądźmy do auta. Stefan i jego ojciec zaraz tu zejda. Nie chcę, żeby nas zobaczyli.



Otworzyłem drzwiczki, wsiadła, ja wsiadłem z drugiej strony i zapuściłem motor.

- Dokąd pojedziemy?

- Dokąd pan chce. Byle szybko.

Ujechaliśmy dobre pół mili, nim znów się odezwała. Zdenerwowanym tonem spytała:

- Szuka pan listów?

Zdziwiłem się. Nie sądziłem, że to będzie takie łatwe.

- Ma je pani? Nie odpowiedziała.

- Szantaż to ciężkie przestępstwo. Może pani spędzić w więzieniu wiele, wiele lat.

- Nie mam tych listów, panie pułkowniku. Ale wiem, kto je ma. - Łzy napłynęły jej do oczu. -

Przeklęty Tonio! Nie powinnam była go posłuchać. Powinnam zaraz spalić te listy.

Zatrzymałem auto przy krawężniku.

- Kto ma te listy? Otarła oczy chusteczką.

- Mój brat.

- Gdzie on jest? Muszę z nim pomówić.

- Nie wiem, gdzie jest. Dałam mu te listy w piątek wieczorem i od tego czasu nie widziałam go.

- Dała mu je pani?

- Tak. Nabrał mnie. Przyszedł do mnie późnym wieczorem i powiedział, że Tonio przysłał go po nie.

Ucieszyłam się, bo chciałam się ich pozbyć. A zaraz potem usłyszałam w telewizji, że Tonio nie żyje, i zrozumiałam, co mój brat chce zrobić.

- Skąd to pani przyszło na myśl?

- Lorenzo jest taki sam jak Tonio. Tylko patrzy, gdzie by się można obłowić. Był u mnie, kiedy Tonio przyniósł listy. I słyszał, jak Tonio powiedział, że te listy są jego ubezpieczeniową polisą. Że jak będzie musiał rozstać się z tą swoją szefową, to za te listy dostaniemy tyle forsy, że starczy nam do końca życia.

Zawsze ulegałam Toniowi. Zawsze mi obiecywał złote góry. Kiedy zaczął pracować u pańskiej żony, mówił, że to tylko kwestia czasu. Mówił, że się jej brzydzi, ale ona za nim szaleje. I że przyjdzie czas, że z tego będzie forsa. Wciąż te pieniądze. Wszystko dla pieniędzy.

- Czytała pani te listy?

- Nie. Dał mi je w dużej zapieczętowanej żółtej kopercie.

- Wspominał coś o mojej córce?

- Nie... zaraz, zaraz... Owszem, jakiś rok temu. Powiedział, że mała dorasta i zanim się matka spostrzeże, stanie się rodzinną pięknoscią. I matce to nie będzie w smak.

- Czy ktoś oprócz pani i jej brata wie o tych listach? Co z braćmi Toniego?

- Tonio żarł się z braćmi. Oni uważali go za nicponia, a on ich za frajerów.

Zapaliłem papierosa.

- Czy Renzo dzwonił do pana?

- Nie. Napisał list do mojej byłej teściowej, że przeczytał te listy i gotów jest je oddać, jeśli otrzyma jakąś okrągłą sumkę. - Zastanowiłem się. - Gdzie mieszka pani brat? Może mi się uda złapać go w domu?

Zaśmiała się.

- Myśli pan, że nie próbowałam? Jego gospodyni oświadczyła mi, że wyprowadził się w piątek wieczorem. Nie wiedziała dokąd.

- Ma jakąś dziewczynę? Pokręciła przecząco głową.

- Zawsze uganiał się za dziewczynami, ale ich nie znam. Dwa lata temu, po śmierci mamy, wyprowadził się z domu. I teraz pojawia się tylko wówczas, gdy mu trzeba pieniędzy.

- Mieszka pani sama? - Skinęła głową i zaczęła płakać. - Długo sądziłam, że Tonio w końcu ze mną zamieszka.

- Strasznie mi przykro, panno Stradella.

- Nie musi pan wyrażać mi współczucia. Nie płaczę z powodu śmierci Tonią. Już od dawna pogodziłam się z jego stratą. Jego ojciec też. Myślę, że teraz Stefan mi się oświadczy. Przedtem nie śmiał.

Przypomniałem sobie, że widziałem jak ten patrzący spode łba chłopak opiekuńczo prowadzi ją pod rękę. Wytarła oczy chusteczką.

- Co pan zamierza zrobić Renzowi?

- Nic. O ile uda mi się odszukać go przed czwartkiem i odzyskać listy.

- A jeśli się panu nie uda? Przybrałem ostry ton.

- W czwartek pani Hayden ma się z nim spotkać i zapłacić mu za listy. Jeśli do tego dojdzie, sprowadzę policję.

Chwilę się zastanawiała.

- Czy jutro po południu będę mogła gdzieś pana złapać?

- Nie myślę, żebym siedział w motelu. Może lepiej to ja do pani zadzwonię?

- Okay. - Wyrwała kartkę z notesika i zapisała mi swój numer telefonu.

- Będę od czwartej w domu. Postaram się odszukać Renza.

8

- Jak myślisz, Sally? - spytała Marian Spicer stawiając na biurku dwa kubki z kawą. - Czy to dziecko rzeczywiście zdradza odchylenia od normy?

Pani psycholog wypła łyk kawy.

- Oczywiście, że tak. Inaczej by się tu nie znalazła.

Ale trudno mi jeszcze powiedzieć w jakim stopniu. Jeśli pytasz, czy obawiam się paranoi - nie, nie obawiam się. Tylko że jest jeszcze za wcześnie, żeby ją stanowczo wykluczyć.

- Wciąż nic nie mówi?

- Bardzo mało. Ale jednego udało mi się dowiedzieć. Dani wyraźnie stara się upewnić, że matka ją kocha.

- To by wskazywało, że czuje się wobec niej winna.

- Przestań, Marian. Wiesz zbyt wiele o psychologii, żeby wyciągać tak pochopne wnioski. Każde dziecko w pewnym stopniu czuje się winne wobec swoich rodziców.

- Chciałam powiedzieć, że czuje się winna z jakiegoś konkretnego powodu.

- Że odebrała matce kochanka?

- Tak. Że go uwiodła. A potem zabiła.

Sally Jennings zapaliła papierosa i wypła następny łyk kawy.

- Pewnie masz trochę racji. Ale to stało się dopiero w ostatnim okresie. A my chcemy dotrzeć do jądra sprawy i nie możemy od Dani niczego wyciągnąć.

- Sędzia Murphy kazał mi przynieść stenogram rozprawy rozwodowej rodziców Dani.

- No i czego się dowiedziałaś?

- Niewiele. Wiesz jak to bywa. Strony układają się przez adwokatów. Tylko na końcu rozprawy matka Dani próbowała ograniczyć prawa ojca do widywania córki.

- Tak bywa. Rodzice są o siebie wzajemnie zazdrośni.

- Ale wysunęła niezwykle powód. Oświadczyła, że pułkownik Carey nie jest ojcem Dani.

Sally zamyśliła się.

- No i co o tym powiesz?

- Zastanawiałam się nad czymś innym... Nie, to mnie nie dziwi. Nie jest mnie w stanie zdziwić nic, co rodzice potrafią wymyślić, gdy podczas rozprawy rozwodowej

dochodzi do ustalania praw rodzicielskich. Myślałam, czy Dani o tym wie.

- Sądzisz, że może wiedzieć?

- Przed dziećmi nie da się niczego ukryć. Jeśli Dani wie... Tak, to by zmieniało wszystko - Sally spojrzała na Marian. - Gdybyż ona zechciała ze mną porozmawiać!...

- A jeśli nadal nie zechce?

- To wiesz dobrze, Marian, że będę musiała posłać ją do Instytutu w Perkins na trzymiesięczną obserwację.

Marian nic nie odpowiedziała.

- Będę musiała. Nie wolno mi ryzykować. Musimy być pewni, że dziecko nie ma schizofrenicznych skłonności. Bez stuprocentowej pewności nie wolno nam pozwolić mu wrócić do normalnego życia.

Marian usłyszała w głosie Sally ton rozpaczki.

- Może jednak dziś po południu uda ci się do niej trafić.

- Daj Boże! - żarliwie zawołała Sally. - Kiedy się masz zobaczyć z jej matką?

- Dziś po południu. Muszę już lecieć.

\* \* \*

W pół godziny później Marian szła za kamerdynerem przez obszerny hol, z którego prowadziły na górę piękne marmurowe schody. Potem kamerdyner poprowadził ją korytarzem do drugiego skrzydła domu. Tak, ten dom był wspaniały, w niczym nie przypominał mieszkań, które musiała odwiedzać w trakcie swojej pracy zawodowej.

Na końcu korytarza kamerdyner otworzył drzwi.

- Zechce pani wejść. Pani Hayden czeka na panią. Pracownia była duża i słoneczna, północna ściana była

taflą szkła. Widać było przystań, most nad zatoką, a dalej Oakland.

Nora pracowała ze spawarką w ręku, twarz zasłonięta była ochronną maską. Miała na sobie poplamiony kombinezon i grube rękawice. Spojrzała na Marian.

- Za sekundę jestem do pani dyspozycji.

Marian rozejrzała się po pracowni. Na stołach stały nie ukończone rzeźby. Drewno, kamień, metal. Każdy materiał, który poddawał się ludzkiej ręce. Na jednej ze ścian wisiały oprawione fotografie i rysunki. Marian podeszła bliżej.

Oto wielki szkic węglem *Umierający Człowiek*, który to posąg znajdował się obecnie w Muzeum Guggenheimów w Nowym Jorku. Obok fotografia *Kobiety w sieci*, która przyniosła Norze nagrodę Eliofheimów. Wyżej zdjęcie posągu *Pokój domową kobiety*, zamówionego przez ONZ. Rysunków i fotografii było więcej, ale tylko te trzy przedstawiały dzieła znane Marian.

Odwróciła się. Nora wyłączyła spawarkę. Zdjęła rękawice, zsunęła maskę.

- Bardzo przepraszam. Ale *musiałam* to skończyć. Marian nie odpowiedziała. Czekwała na następne pytanie. „Jak się ma Dani?” Ale to pytanie nie padło.

Nora odpięła maskę, na policzku pozostał brudny ślad ręki.

- Przez ten cały rozgardiasz jestem do tyłu z robotą!

- zauważyła z goryczą.

- Postaram się nie zabrać pani zbyt wiele czasu

- oświadczyła Marian.

Nora spojrzała na nią - czyżby dotarła do niej ironia?

- Napijemy się może herbaty? - nacisnęła guzik nad warsztatem.

Niemal natychmiast pojawił się kamerdyner.

- Słucham, proszę pani.

- Niech nam Karol poda herbatę.

Uklonił się i wyszedł. Nora podeszła do małej kanapki, przed którą stał niski stolik i parę fotelików.

- Proszę, niech pani siądzie. Marian usiadła naprzeciw niej.
- Pewnie chce pani, żebym pani opowiedziała o Dani. Marian skinęła głową.
- Nie bardzo wiem, co. Dani jest zwykłym, normalnym dzieckiem.

Marian nie była pewna, czy Nora mówi to z aprobatą, czy wręcz przeciwnie. Raczej to drugie.

- Zależy, co się rozumie przez słowo „zwykłe”. Testy wykazały, że Dani jest wyjątkowo inteligentna i spostrzegawcza.

- Czyżby? Bardzo się cieszę.

- Widzę, że panią to dziwi?

- Chyba tak - przyznała Nora. - Ale sądzę, że rodzice często nie doceniają swoich dzieci.

Marian nie odpowiedziała. Rodzice, którzy interesują się swoimi dziećmi, zwykle dość dobrze orientują się w ich możliwościach.

- Może mi pani opowie o życiu domowym Dani. Wiem już jak wyglądało jej życie w szkole.

Nora spojrzała z ciekawością.

- Była tam dziś pani?

- Tak. Wszyscy ją bardzo lubią. I nauczyciele, i koleżanki zgadzają się, że jest miłą dziewczynką.

Nie dodała, że wszyscy dziwili się, że Dani nie zdradzała większego zainteresowania dla tych wszystkich spraw, którymi pasjonują się jej rówieśniczki. Chodziła własnymi drogami. Wolą towarzystwo dorosłych. Ale, owszem, uczestniczyła w zabawach i potańcówkach.

- Bardzo się cieszę - powtórzyła Nora.

Wszedł kamerdyner i podał herbatę. Milczały, póki nie zniknął. Nora spojrzała na Marian.

- Od czego mam zacząć?

- Od czego pani sobie życzy. Im więcej dowiemy się o Dani, tym łatwiej będzie nam jej dopomóc.

- Dani w domu zachowywała się jak normalne dziecko. Dawniej miała guwernantkę, właściwie niańkę, która była z nią od urodzenia. Dwa lata temu Dani doszła do wniosku, że jest już na to za duża, i zwolniłam ją.

- Dani uznała, że jest za duża na guwernantkę?

- Tak. Uważała, iż przestała już być dzieckiem.

- Kto się nią później zajmował?

- Nikt nie musiał. Zawsze sobie świetnie radziła sama. Jej ubraniem zajmowała się służąca, tak jak moim. Poza tym nie wymagała specjalnej opieki.

- Czy często wychodziła? To znaczy z koleżankami i kolegami?

Nora się chwilę zastanawiała.

- Nie bardzo wiem. Jak pani widzi, mnóstwo pracuję. Niezbyt uważnie śledziłam towarzyskie życie Dani. Zresztą dobrze pamiętam, jak drażniła mnie matka, która stale dopytywała się, gdzie byłam. Chciałam tego oszczędzić Dani. Parę miesięcy temu, kiedy wróciła z przyjęcia, spytałam, jak się bawiła. Powiedziała, że dobrze, ale kiedy zapytałam co robili, przyznała, że nudzą ją te dziecinne baliki. Te gry towarzyskie i tańce. Dobrze ją rozumiałam. Mnie w jej wieku też to nudziło.

- Jak układały się jej stosunki z panem Riccio?

- Bardzo dobrze - odpowiedziała szybko Nora. Zbyt szybko. - Bardzo lubiła Ricka. Zawsze wolała moich przyjaciół niż towarzystwo swoich rówieśników.

- Mówiąc „przyjaciół” ma pani na myśli mężczyzn? Nora zawahała się.

- No tak. Nie mam czasu na przyjaźnie z kobietami.

- Czy nie sądzi pani, że Daniela kochała pana Riccio? Znow moment wahania.

- To możliwe. Bardzo była przywiązana do mojego drugiego męża. Więc niewykluczone, że kiedy Rick u nas zamieszkał, w nim z kolei ulokowała swoje uczucia. Cóż, brak ojca...

Marian skinęła głową.



- Ojciec przestał ją odwiedzać, gdy miała osiem lat. Bardzo się tym przejęła. Choć starałam się jej to wytłumaczyć.
  - Właśnie się nad tym zastanawiałam. Z jakiego powodu ojciec przestał się z nią widywać?
  - Trudno mi powiedzieć. W tamtych czasach dużo pił. To zresztą było przyczyną naszego rozvodu. A po rozwodzie rozpił się zupełnie. Mieszkał w La Jolla na statku, który wynajmował na rejsy. Pewnie nie chciało mu się przyjeżdżać do San Francisco.
  - Rozumiem - powiedziała Marian. - A jak to pani wytłumaczyła Danieli?
  - Że jej ojciec ciężko pracuje i nie ma czasu na podróże. Cóż innego mogłam powiedzieć?
  - Czy Daniela wspominała, że jest zainteresowana jakimś chłopcem?
- Nora pokręciła przecząco głową.
- Może zakochała się w jakimś mężczyźnie? Marian odniosła wrażenie, że Nora lekko zbladła.
  - O co pani właściwie chodzi, panno Spicer?
  - Chciałabym wiedzieć, z kim Daniela miała, nazwijmy to - romans.
- Tak, Nora była blada jak ściana.
- Czy to znaczy, że... Marian skinęła głową.
  - Boże!... Ale chyba nie jest...
  - Nie, nie jest w ciąży. Nora westchnęła z ulgą.
  - Zawsze to jakaś pociecha - starała się uśmiechnąć, ale w kącikach oczu pojawiły się łzy.
- Marian po raz pierwszy poczuła do niej sympatię.
- Czy nie sądzi pani, że mógł to być pan Riccio?
  - Nie! - zaprzeczyła stanowczo Nora. Potem zawahała się. - Sama nie wiem, co myśleć. Trudno mi uwierzyć w jej seksualne życie. To dla mnie szok.
  - Dla matki jest to zawsze szok.

- Tak. Człowiek się dziwi, że jego dziecko jest znacznie bardziej dorosłe niż przypuszczał.

Marian doceniła to sformułowanie. Żadnych słów oburzenia, potępienia.

- Czy często znajdowała się sam na sam z panem Riccio?

- Prawdopodobnie. W końcu on tu mieszkał.

- Ale nigdy nie zauważyła pani, że między nimi coś jest?

- Nie - stanowczo oświadczyła Nora. Spojrzała na Marian z niepokojem. - Czy Dani mówiła, że...

- Nie. Dani w ogóle nic nie mówi. I to nam bardzo utrudnia sprawę.

Nora wróciła do równowagi.

- Napije się pani jeszcze herbaty? - spytała uprzejmym tonem.

- Nie, dziękuję. Nora naląła sobie.

- Jak pani myśli, co oni zrobią z Dani?

- Trudno jeszcze powiedzieć, co zdecyduje sąd. Chwilowo wygląda na to, że pośle ją na obserwację do Instytutu w Perkins. Tutejsi psychiatrzy nie mogą się z nią porozumieć.

- Przecież Dani nie jest chora psychicznie!

- Nie. Ale zabiła człowieka. Trzeba wykluczyć schizofrenię.

- To wręcz śmieszne. Dani jest tak samo normalna jak ja!

„To chyba głęboka prawda” - pomyślała Marian. I zaraz poczuła wyrzuty sumienia. Nie do niej należał osąd.

- Przyślę własnego lekarza - oświadczyła nagle Nora.

- Ma pani do tego prawo, pani Hayden. I może się to okazać bardzo pomocne. Niewykluczone, że wybranemu przez panią lekarzowi uda się łatwiej zdobyć zaufanie Dani.

Nora odstawiła filiżankę. Marian wiedziała, że oznacza to koniec rozmowy.

- Czy chce pani ode mnie jeszcze jakichś informacji?

- Nie, dziękuję pani, pani Hayden. - Podniosła się. - Tylko chciałabym, jeśli to możliwe, zobaczyć pokój Dani.

Nora skinęła głową.

- Zaraz poproszę Karola, żeby panią zaprowadził. Marian weszła za kamerdynerem na marmurowe schody. - Jak się miewa panienka Dani? - spytał kamerdyner.

- Dobrze.

Znaleźli się na górze i Karol otworzył drzwi do pokoju Dani. Marian weszła. Z domofonu dobiegł głos Nory.

- Karol?

- Tak, proszę pani.

- Niech Karol poprosi Wioletę, by oprowadziła pannę Spicer. A samemu proszę tu przyjść.

- Tak, proszę pani - kamerdyner ruszył w stronę drzwi, w których pojawiła się już służąca.

Karol uklonił się i wyszedł. Służąca weszła i zamknęła za sobą drzwi. Marian rozejrzała się po pokoju.

Był piękny. Na małym podium stało szerokie łóżko. Pod przeciwległą ścianą telewizor, radio i gramofon. Zasłony były żółte, kapa na łóżku tego samego koloru. Koło okna stało biurko, na nim maszyna do pisania i kilka książek. W pokoju znajdowała się jeszcze toaletka, komoda i parę fotelików. Marian zwróciła się do służącej.

- Dani nie wieszala na ścianie zdjęć ani plakatów?

- Nie, proszę pani. Panienka nie zbierała takich rzeczy.

- Co tam jest? - Marian wskazała na drzwi z drugiej strony pokoju.

- To szafa ścienna. A obok łazienka.

Marian otworzyła drzwi szafy. Rząd sukienek, rząd starannie ustawionych pantofli. Zamknęła drzwi i usłyszała jak wyłącza się światło.

- Gdzie panna Dani trzymała bieliznę?

- Tam, w szufladach toaletki.

Marian zajrzała. W szufladach panował wzorowy porządek. Starannie ułożone chusteczki do nosa, pończochy, majtki, staniki. Marian podeszła do biurka. W szufladzie leżały ołówki, pióra, papier. Śladu bałaganu, którym zwykle odznaczają się biurka nastolatków. W ogóle pokój ten nie robił wrażenia pokoju dziecka. Spojrzała na służącą.

- Czy tu zawsze panował taki porządek?

- Tak. Panienska lubiła, żeby wszystko było na swoim miejscu.

- Co jest w tej komodzie?

- Panienska nazywała ją swoim skarbcem. Wszystkie szuflady są zamknięte na klucz.

- Ma Wioletta klucz?

Służąca zaprzeczyła ruchem głowy.

- Czy pani Hayden może mieć ten klucz?

- Nie proszę pani. Panienska zawsze go chowała.

- I Wioletta nie wie gdzie?

Służąca chwilę się zastanawiała i jasne się stało, że wie dobrze.

- Proszę mi go dać.

- Panienska by się gniewała.

- Muszę tam zajrzeć. Może Wioletta spytać panią Hayden.

Służąca podeszła do łóżka i wyciągnęła spod materaca klucz. Podała go Marian.

Marian otworzyła szufladę. Pełno tu było zdjęć. Szybko je przejrzała. Były tam zdjęcia ojca Dani jeszcze w oficerskim mundurze, zdjęcia matki, w tym jedno z okładki „Life'a” z 1944 roku. Zdjęcia małej Dani, samej i z rodzicami, wreszcie zdjęcie statku nazwanego Mała Dani.

W drugiej szufladzie pełno było wycinków prasowych dotyczących matki Dani. Dani ułożyła je w chronologicznym porządku.

W trzeciej szufladzie wycinki dotyczyły ojca. Dani musiała sobie zadać wiele trudu, by je zgromadzić. Niektóre z nich pochodziły z czasów wojny - na długo przed jej narodzeniem.

W najniższej szufladzie pełno było rupieci. Dużo połamanych zabawek. Wytarty miś bez oka. I pudełko z zielonej skóry. Marian wyjęła je i otworzyła.

W pudełku leżało jedno zdjęcie. Pięknego uśmiechniętego młodego człowieka. A w rogu napis: **MOJEJ MALEŃKIEJ KOCHAJĄCY RICK**

Marian wyjęła zdjęcie i zobaczyła pod nim maleńki metalowy pojemnik. Nie musiała otwierać, by wiedzieć, co zawiera. Pigułki. Można je było kupić w każdym automacie w drogerii, wrzucając pięćdziesiąt centów.

## 9

Kiedy Dani weszła do jej maleńkiego biura, Sally Jennings podniosła znad papierów głowę.

- Siadaj, Dani - przysunęła jej paczkę papierosów. - Zaraz pogadamy, ale muszę skończyć to sprawozdanie.

Dani zapaliła papierosa. Przyglądała się jak pani psycholog wodzi piórem po żółtawym papierze.

Szybko jej się to znudziło i wyrzała przez okno. Było już późne popołudnie i blask słoneczny nabrał pomarańczowego odcienia. Nagle zapragnęła wyjść na dwór.

Zaczęła się zastanawiać jaki to dzień tygodnia. Straciła rachubę czasu. Spojrzała na wiszący na ścianie kalendarz. Środa. Zatem jest tu piąty dzień. A wydaje się, że całą wieczność.

Znów spojrzała na niebo. Jak też dziś wygląda ulica?

Czy panuje duży ruch? Szkoda, że nie może wyrzeć. Okna w tym gmachu były niewielkie i umieszczone niemal pod sufitem.

Panna Jennings wciąż pisała, zatopiona w pracy. Dani zaczęła się zastanawiać, jak długo przyjdzie jej tutaj czekać. Na niebie pojawiły się pomarańczowe obłoczki. Tak jak wtedy w Acapulco.

\* \* \*

Wśród chłopców, którzy z zapalonymi pochodniami wskakiwali do morza był jeden, na którego zwróciła uwagę. Uśmiechnął się do niej, błysnęły białe zęby, a ona odpowiedziała mu uśmiechem. Rick rozgniewał się.

- Nie pozwól się zaczepiać tym metysom! Spojrzała na niego szeroko otwartymi niewinnymi oczyma. Zawsze reagował na takie spojrzenie gniewem. Wiedziała dlaczego. Bo w takich chwilach jeszcze bardziej przypominała matkę.

- Dlaczego? On wygląda na miłego chłopca.

- Bo już nie jesteś dzieckiem - oświadczył gniewnie. - I wyglądasz na więcej niż te twoje trzynaście lat.

- Na ile wyglądam, Ricku?

Nie mógł oderwać wzroku od jej białego kostiumu kąpielowego.

- Co najmniej na siedemnaście!

Uśmiechnęła się do niego, a potem odwróciła się w stronę chłopca wiedząc, że w ten sposób jeszcze bardziej rozwścieczy Ricka.

W tym momencie pojawiła się jej matka.

- Psiakrew! Wiesz, Ricku, Scaasi chce, żebym dziś wieczorem przyleciała do San Francisco podpisać kontrakt.

- Musisz?

- Muszę.

- No to idę pakować walizki - oświadczył wstając Rick.
- Nie. Nie musimy wszyscy jechać. Zostań tu z Dani. Ja wrócę jutro na lunch.
- Odwiozę cię na lotnisko. Dani zerwała się.
- Ja też. Dobrze, mamó?

Wychodząc po odlocie samolotu z lotniska zatrzymali się przy sklepie z pamiątkami. Tania biżuteria, spódnice, bluzki. Dani przyjrzała się meksykańskiej spódnicy.

- Kupić ci taką spódnicę? - spytał Rick.

Weszli do sklepu. Wybrała sobie i spódnicę, i haftowaną bluzkę. Włożyła je przed kolacją i rozpuściła włosy.

Zobaczyła wyraz oczu Ricka.

- Jak ci się podobam?
- Wspaniale wyglądasz. Tylko...
- Co tylko?
- Co na to powie twoja matka? Dani roześmiała się.
- Mamie się to na pewno nie spodoba. Mama chciałaby, żebym na zawsze pozostała małą dziewczynką.

Poszli na kolację do restauracji i kelner zaproponował jej koktajl. Więc rzeczywiście wyglądała na dorosłą. Kiedy orkiestra zaczęła grać, poprosiła Ricka, żeby z nią zatańczył.

Było cudownie. Z Rickiem tańczyło się inaczej niż z kolegami ze szkoły. I pięknie pachniał. Podobał jej się ten zapach wody kolońskiej i whisky. I podobały mocne ramiona. Przytuliła się do niego.

Nagle on zatrzymał się, zaklął i odsunął ją od siebie.

- Wracamy do stolika.

Grzecznie poszła za nim. On zamówił następnego drinka i wychylił go duszkiem. Milczał. Po chwili Dani powiedziała:

- Nie przejmuj się. Widziałam jak ci się to zdarza, gdy tańczysz z mamą.

- Za dużo widzisz!

- Strasznie się cieszę, że ze mną też ci się to zdarzyło. To znaczy, że już jestem dorosła.

Zarumienił się i spojrzał na zegarek.

- Już po jedenastej. Czas, żebyś poszła spać. Leżała na łóżku, wsłuchując się w odgłosy nocy.

Zmysłowe nawoływania ptaków, szmer palm. Nagle usłyszała, że w sypialni Ricka zadzwonił telefon.

Ale po chwili znów zapanowała tam cisza.

Wstała i poszła przez salon do jego drzwi. Chwilę nadśluchiwała. Cisza. Nacisnęła klamkę i weszła.

Było ciemno, ale zobaczyła otwarte drzwi do sypialni matki. Podeszła do jego łóżka.

- Czy to dzwoniła mama?

- Tak.

- Czego chciała?

- Po prostu potwierdziła, że jutro wróci. Podeszła do brzegu łóżka i zajrzała mu w twarz.

- Sprawdzała, co robisz. Mama zawsze lubi wszystko wiedzieć. Miałaś szczęście, że byłeś w hotelu.

- Ja robię zawsze to co chcę - oświadczył gniewnie.

- Powiedzmy.

- Czy nie uważasz, że powinnaś wrócić do łóżka?

- Nie chce mi się spać.

- Nie możesz tu zostać. Jestem nagi.

- Wiem. To widać nawet po ciemku. Usiadł na łóżku. Zobaczyła nagi tors.

- Nie bądź niemądra. Jesteś jeszcze za mała - napomniał ją zdyszczanym głosem.

Przycupnęła na brzegu łóżka.

- Dziś po południu wcale tak nie uważałeś. Kiedy uśmiechnęłam się do tego chłopca, byłeś zazdrosny.

- Ależ nie.

- I kiedy tańczyłeś ze mną, wiedziałeś, że nie jestem



już dzieckiem - odpięła guziki pidżamy. On wpatrzył się w jej piersi. Uśmiechnęła się.

- No i co? - Położyła rękę na prześcieradle okrywającym jego biodra.

- Co ty wyprawiasz? - szepnął zgorzonym tonem.

- Nie bój się. Mama się o tym nie dowie. Wzięła jego rękę i położyła sobie na piersi.

- Czy wiesz, że to boli? - spytał.

- Wiem. Ale tylko pierwszy raz.

- Jesteś gorsza od matki.

Roześmiała się i wsunęła rękę pod prześcieradło.

- Nie bądź niemądry, Ricku. Naprawdę nie jestem już dzieckiem. Wiem, że mnie kochasz. Widziałam jak na mnie patrzysz.

- Patrzę na każdą ładną dziewczynę - zauważył. Zaczęła go pieścić.

\* \* \*

- Dani! - Głos panny Jennings przywołał ją do rzeczywistości. - Dani!

- Tak, panno Jennings. Szpakowata pani uśmiechnęła się.

- Byłaś gdzieś bardzo daleko. O czym myślałaś? Dani poczuła, że się rumieni.

- Myślałam o tym, jaki dziś piękny dzień...

Pani psycholog bacznie jej się przyglądała i Dani miała uczucie, że jakimś dziwnym sposobem udało jej się odczytać myśli dziewczynki. Jeszcze bardziej się zarumieniła.

- Pani też by o tym myślała, gdyby nie mogła pani wyjść!

Sally Jennings skinęła głową.

- Możliwe. Ale ja *mogę* wyjść. A ty nie.

- To już długo nie potrwa. Jeszcze tydzień. I wrócę do domu.

- Tak sądzisz?

Danię po raz pierwszy ogarnęła panika.

- Wszyscy mi to powtarzają!

- Kto? - spytała spokojnym tonem panna Jennings.

- Twój rodzice?

Dani nie odpowiedziała.

- Chyba nie słuchałaś uważnie słów sędziego Murphy. To on zdecyduje o twoim dalszym losie. Może będziesz tu musiała dłużej zostać, a niewykluczone, że pošle cię na dalszą obserwację do Instytutu w Perkins. Na podstawie naszych sprawozdań wybierze to, co uzna dla ciebie za najlepsze.

- Przecież nie może mnie tu zatrzymać!

- Dlaczego tak przypuszczasz, Dani? Czy zapomniałaś, z jakiego powodu tu się znalazłaś? To poważna sprawa.

Dani opuściła głowę.

- Ja przecież nie chciałam tego zrobić.

- To nie wystarczy, żeby przekonać sędziego Murphy. Każde dziecko tak mówi. - Panna Jennings sięgnęła po papierosa. - Musisz mu udowodnić, że znalazłszy się na wolności nie wyrządzisz już nikomu krzywdy. - Zajrzała do papierów na biurku. - Mam tu dokumenty dziewczynki, która pojawiła się już u nas parę razy. I sądzę, że tym razem sędzia odeśle ją do zakładu poprawczego. Okazało się, że nie można jej ufać. - Spojrzała na Dani. - Ty ją chyba znasz. Mieszka w sąsiednim pokoju.

- Sylwia? Panna Jennings przytaknęła.

- Przecież Sylwia jest świetną dziewczyną.

- Tak ci się wydaje. Wciąż jednak popada w jakieś tarapaty. Więc coś z nią nie jest w porządku.

- No bo szaleje za chłopakami!

Panna Jennings uśmiechnęła się. - Tak, to jeden z jej problemów. Obecnie przywieziono ją tutaj po raz trzeci. Za każdym razem złapano ją z innym chłopcem, którego

namówiła na kradzież auta. Więc nie tylko źle się prowadzi, ale ma szkodliwy wpływ na otoczenie.

- Co się z nią stanie?

- Prawdopodobnie zostanie wysłana do zakładu poprawczego i wyjdzie dopiero po ukończeniu osiemnastu lat.

Dani zamilkła.

- Bardzo starałam się jej pomóc. Ale nie chciała mnie słuchać. Uważała, że sama wie najlepiej. I oto rezultaty.

- Tak... - westchnęła Dani.

Panna Jennings odsunęła stos papierów i wzięła kartkę, którą podała Dani.

- Mam tu sprawozdanie panny Spicer - powiedziała naciskając jednocześnie kolanem ukryty pod biurkiem guzik. - Była dziś w twojej szkole, a potem rozmawiała z twoją matką.

- Ach tak? - spytała grzecznie Dani.

- Nauczyciele i koledzy bardzo cię chwalą. Mówią, że ze wszystkimi byłeś w jak najlepszych stosunkach. - To prawda.

- Twoja matka bardzo się zdziwiła dowiadując, że łączył cię z panem Riccio związek seksualny.

- Kto to powiedział? - zawołała z gniewem Dani.

- Przecież tak było?

- Nie! To głupie kłamstwa!

- To po co ci były te pigułki? - panna Jennings wyjęła z szuflady metalowy pojemnik. - Zostały znalezione pod zdjęciem.

- To Wioletta! - zawołała znów wściekła Dani. - Musiała podpatrzeć gdzie chowam klucz.

- Kim jest Wioletta?

- To pokojówka matki. Zawsze mnie szpiegowała.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie, Dani - przerwała jej ostro panna Jennings. - Jeśli nic cię nie łączyło z panem Riccio, to z kim?

- Dlaczego uważa pani, że musiałam z kimś sypiać. Tylko dlatego, że przypadkiem miałam pigułki?  
- Zapominasz, Dani, że przeszłaś badania lekarskie - wzięła następną kartkę. - Czy mam ci przeczytać orzeczenie ginekologa?

- Nie musi pani!... Ale to przecież może być wynik konnej jazdy.

- Nie bądź niemądra. Dani, ja naprawdę chcę ci pomóc. Bardzo mi zależy, żebyś się nie musiała znaleźć w zakładzie poprawczym.

Dani nie odpowiedziała.

- Powiedz mi, jak to się stało? Zgwałcił cię? Jeżeli zgwałcił, to powinien dowiedzieć się o tym sędzia. Może to wpłynąć na jego decyzję.

Dani dłuższą chwilę milczała patrząc Sally prosto w oczy.

- Tak - powiedziała wreszcie szeptem. - Zgwałcił mnie.

Sally Jennings nie spuszczała z niej wzroku. Wyczekująco milczała.

- No co? Przecież chciała pani, żebym to powiedziała. Zawiedziona pani psycholog westchnęła.

- Nie, Dani. Chciałam, żebyś powiedziała prawdę. A ty skłamałaś. - Znow naciśnęła guzik wyłączając magnetofon. - Póki kłamiesz, nie będę w stanie ci pomóc.

Dani spuściła wzrok.

- Nie chcę o tym mówić, panno Jennings. Nie chcę o tym myśleć. Chcę zapomnieć.

- To nie będzie takie łatwe, Dani. Cokolwiek cię dręczy - możesz się od tego wyzwolić tylko myśląc o tym i mówiąc. Musisz stawić temu czoło. Zrozumieć, dlaczego tak postąpiłaś. Tylko wtedy możesz być pewna, że nigdy więcej czegoś podobnego nie zrobisz.

Dani nie odpowiedziała.

Pani psycholog naciśnęła dzwonek, wzywając dozorczynię.

- Dobrze, Dani - powiedziała znużonym tonem. - Możesz odejść.

Dani wstała.

- Mam jutro przyjść o tej samej porze?

- Nie, Dani. Wydaje mi się, że dalsza rozmowa nie ma sensu... Chyba że to ty zechcesz się ze mną zobaczyć. Wtedy daj znać.

- Tak, panno Jennings.

Ktoś zapukał do szklanych drzwi. Panna Jennings wstała.

- Powodzenia, Dani.

- Dziękuję. - Dani ruszyła w stronę drzwi i nagle się zatrzymała. - Proszę pani...

- Tak, Danielo?

- Myślałam o Sylwii... Przecież ona nie miałaby tych wszystkich kłopotów, gdyby jej chłopcy mieli własne auta?

Pannie Jennings udało się nie roześmiać. Rzeczywiście, to byłby sposób na przestępczość wśród młodzieży. Dać im auta.

- Nie, nie sądzę - odpowiedziała starając się zachować powagę. - Sylwia ma naprawdę zły wpływ na chłopców. Gdyby nie musiała im kazać kraść aut, wymyśliłaby coś innego. W gruncie rzeczy żądała od nich, by jej udowodnili, że zasługują na jej łaski. Czuła, że sama źle postępuje i chciała, by oni zrobili coś dużo gorszego, wtedy łatwiej jej przychodziło usprawiedliwić się we własnych oczach.

- Rozumiem - zastanowiła się Dani. - Mam nadzieję, że jeszcze tu panią zobaczę.

- Kiedy zechcesz, Dani. Jestem do twojej dyspozycji.

Dzielnica Barbary Coast na nabrzeżu to brudne szare budynki, w których obecnie mieszczą się niemal wyłącznie fabryki i składy. Gdzieś tam jeszcze nocne lokale, tęskniąc do minionej świetności. Najlepsze z nich znajdują się na parterze i specjalizują się w jazzie.

Bywają w nich *afficionados* i młodzież studencka, która z rozmarzeniem przysłuchuje się muzyce. Najgorsze lokale stanowią tanią imitację kabaretów Północnego Wybrzeża. Do tej kategorii należała „Góra Forsy”. Pojawiłem się tam przed samą północą. Z obu stron drzwi widniały wąskie gablotki z fotografiami. Dwie identycznymi fotografiami. Mocno zbudowana starszawa pani w obcisłej wieczorowej sukni wyszywanej cekinami szczyrzyła lubieżnie zęby, które niewątpliwie były ostatnim krzykiem mody, jeśli chodzi o sztuczne szczęki. Wielkie litery głosiły:

OTO MAUDE MACKENZIE

Gdybym znalazł się tutaj szukając rozrywki, fotografie te na pewno by mnie odstraszyły. Ale ja przyszedłem spotkać się z Anną Stradella. Pracowała w tej speluncie jako fotografka.

- Prosimy, prosimy - zachęcał portier. - Za chwilę zaczynają się występy.
- Zaryzykuję - oświadczyłem. Mrugnął do mnie.
- Jeśli boi się pan ciemności, niech pan powie kelnerowi, że Maks obiecał panu towarzystwo.
- Dziękuję.

Na ulicy było ciemno, ale tu było czarno jak w piekle.

Nie widziało się własnych rąk. Dostrzegłem biały gors kierownika sali.

- Czy ma pan zamówiony stolik? Uśmiechnąłem się pod nosem. Naokoło mnie było pusto.

- Nie. Siądę przy barze.

- Bardzo mi przykro, proszę pana, ale przy barze podajemy tylko podczas weekendów.

W tej knajpce dbano o interesy. A musiały marnie wyglądać, skoro te trzy dolary więcej za stolik odgrywały aż taką rolę.

- Mam świetny stolik blisko estrady. Niejeden.

Na sześćdziesiąt stolików zajętych było najwyżej dziesięć.

Odsunął dla mnie krzesło. I czekał. Dałem mu dolara. Nie wiem, czy był zadowolony, ale na niego chuchnął.

Pojawił się kelner i zamówiłem burbona. Nie musiałem dolewać wody. Wodę dolano już do butelki.

Popijałem i starałem się rozejrzeć. Nigdzie nie zobaczyłem Anny Stradella.

Tak jak mi kazała, zadzwoniłem do niej po południu.

- Czy znalazła pani swego brata?

- Jeszcze nie. Ale dziś wieczorem powinnam się dowiedzieć, gdzie on jest.

- To zadzwonię wieczorem.

- Wrócę do domu późną nocą. Może pan do mnie przyjedzie do pracy? Jeśli uda mi się zdobyć informacje, będziemy mogli od razu zadziałać.

- Okay. Gdzie pani pracuje?

- W „Górze Forsy”. To nocny lokal na...

- Wiem gdzie on jest - przerwałem i musiała w moim głosie wyczuć zdziwienie.

- Pracuję tam jako fotografka. Od piątej do ósmej pracuję w restauracjach Portu. A od dziewiątej w „Górze”.

- O której są ostatnie występy?
- Dziś w ogóle są tylko dwa. O dziewiątej i o północy. Drugi kończy się koło pierwszej.
- Dobrze. Przyjadę po panią.
- Lepiej niech pan wejdzie do lokalu. Jeśli się niczego nie dowiem, nie będzie pan musiał czekać.
- Okay.
- Tylko niech pan nie zostawia auta portierowi. Bierze dwa dolary. A zaraz za rogiem ma pan mnóstwo miejsca na zaparkowanie.

- Dziękuję.

Odłożyłem słuchawkę i zaraz nakręciłem numer mojej eks-teściowej.

- Ona nie wie jeszcze, gdzie go szukać. Mam się z nią spotkać późnym wieczorem i jeżeli się czegoś dowie, to mnie do niego zaprowadzi.

- W nocy pojawią się już gazety-z naszym ogłoszeniem. Będzie wiedział, że chcemy kupić te listy.

- Co mam zrobić? - spytałem.

- Chcę mieć te listy. Jeśli będziesz musiał - zapłać. Te listy nie mogą trafić w niepowołane ręce.

- Już są w niepowołanych rękach. - Więc staraj się nie pogarszać sprawy.

- Na to może pani liczyć.

- Jakie masz plany na jutrzejsze popołudnie?

- Żadnych.

- Przyjdzie tu Nora z Gordonem. Musimy przygotować nasze podanie dla sądu. Zaprosiłam też doktora Bonnera i dyrektorkę szkoły Dani. Może też wpadniesz?

- O której?

- O pół do czwartej.

- Świetnie.

- I daj mi znać, co dziś załatwiłeś. Choćby było nie wiem jak późno.

- Dobrze.



Maude Mackenzie pojawiła się dopiero w pół godziny później. Przez ten czas przyszło jeszcze paru naiwniaków, więc mniej więcej jedna trzecia stolików była zajęta.

Maude Mackenzie wyglądała dokładnie tak jak na zdjęciach. Pojawiła się w białym świetle reflektora, rozejrzała po sali, usiadła przy fortepianie i oświadczyła, że najbardziej lubi śpiewać dla małego, a dobranego grona. W jej wieku przestaje się występować w cyrku.

Widzowie wybuchnęli śmiechem, ale ja widziałem, że śpiewaczka ma skwaszoną minę. Pewnie była na procencie.

Zaczęła śpiewać starą piosenkę o dawnych dobrych czasach, kiedy to karawana wozów zmierzała do San Francisco. Babsko pociło się nieludzko i pomyślałem sobie jaka to szkoda, że nie dopadli jej Indianie.

- Może zrobić panu zdjęcie?

Anna Stradella wyglądała jak heroina włoskiego filmu. Króciutki obcisły trykot i długa czarna spódnica z przejrzystego woalu. Szerokie ramiona, wysokie piersi, cienka kibić i rozłożyste biodra.

*Dolce vita.* Zofia Loren dla ubogich.

Przecząco pokręciłem głową.

Uśmiechnęła się.

- Zrobię panu piękne zdjęcie - zachęcała i dorzuciła szeptem. - Muszę mieć pretekst do rozmowy z panem. Mój szef bacznie mnie obserwuje.

- Okay - zgodziłem się. - Ale chciałbym być podobny do siebie.

Coś tam gmerała przy aparacie, potem nachyliła się nade mną i kazała mi przesunąć w lewo krzesło.

- Teraz dobrze.

Odsunęła się, podniosła do oczu aparat i pstryknęła. I znów podeszła do stolika.

- Napiszę na odwrocie zdjęcia, gdzie się spotkamy - szepnęła.

- Odnalazła go pani?

Skinęła głową i wyprostowała się. Poczujęm raczej niż zobaczyłem, że zbliża się jakiś mężczyzna.

- Za piętnaście minut przyniosę panu gotowe zdjęcie. Odwróciła się i odeszła. Nie mogłem oderwać od niej

wzroku. Kiedy spotkałem ją w zakładzie pogrzebowym, nigdy bym nie przypuścił, że pracuje w nocnym lokalu. Jeszcze jeden dowód, jaką tajemnicą jest dla nas każdy człowiek.

- Czy mogę panu jeszcze czymś służyć? - spytał kelner.

Skinąłem głową. Ten burbon był tak strasznie rozwodniony!

Reszta programu była równie okropna jak początek. Maude Mackenzie nie była ani Pearl Williams, ani Bellą Barth, śpiewała jednak z taką samą prymitywną brutalnością. I widzom się to wyraźnie podobało. Cóż, może istotnie przyjemniej było słuchać jej niż gapić się w telewizor.

Kiedy zaparkowałem wóz pod latarnią przed numerem 800 na ulicy Jackson, była już pierwsza.

Zgasilem silnik i znów spojrzałem na zdjęcie. Zważywszy na okoliczności było zupełnie dobre. Na odwrocie nabazgrano ołówkiem „ul. Jackson 800”.

Położyłem fotografię na siedzeniu koło siebie i zapaliłem papierosa. Anna Stradella pojawiła się dziesięć minut później, wysiadła na rogu z taksówki. Podeszła do mego wozu. Przez ramię miała przewieszony aparat fotograficzny. Wychyliłem się z auta. Wsiadła.

- Czego się pani dowiedziała?

W oczach jej pojawiło się zakłopotanie.

- Wszystko to bardzo mi się nie podoba. Renzo ma współników. Dajmy lepiej spokój.

- Czy wie pani, gdzie go można znaleźć? - spytałem niecierpliwie.

- Tak.

Zapuściłem motor.

- No to jedziemy. Proszę mną kierować.
- Renzo mieszka nad barem koło Cliff House.
- Dlaczego jest pani taka tajemnicza?
- Już powiedziałam panu, że Renzo ma wspólników. To groźni przeciwnicy.
- Czyżby uważał, że sam sobie nie poradzi? - spytałem ironicznie.
- Tak. Poszedł do jednego ze swoich przyjaciół, który dobrze znał Tonię.
- Do kogóż to? - Do Charleya Coriano.

Powiedziała to bezbarwnym tonem. Jeśli miała rację, to chłopak wdał się w nieliczną aferę. Charley Coriano maczał palce we wszystkich nielegalnych interesach w San Francisco, a w każdym razie cieszył się taką opinią. Oczywiście nikt mu nigdy niczego nie udowodnił, ale Mickey Cohen też został skazany tylko za fałszywe zeznania podatkowe. - Skąd pani o tym wie?

- Powiedziała mi jedna z dziewczyn z „Góry”.
- A ona skąd się o tym dowiedziała?
- Jest przyjaciółką jednego z ludzi Coriano.
- I nie boi się paplać?
- Myślała, że o tym wiem. Coriano jest moim szefem.
- Więc kto ma listy? Pani brat czy Coriano?
- Nie wiem.
- No to musimy się dowiedzieć.
- Nie chcę, żeby mój brat ucierpiał.
- To zależy tylko od niego. Nie ja dobierałem mu przyjaciół.

Od dawna już nie byłem w tej części miasta. Od czasów, gdy przywoziłem Dani do Kryształowego Pałacu, gdy była jeszcze zupełnie mała.

Nic się nie zmieniło. Te same stragany z hot-dogami i pizzerie i tanie bary. Tyle że wtedy hot-dogi z piwem kosztowały dziesiątaka, a teraz ćwierć dolara.

Pokazała mi bar.

- Wejdziemy tutaj. Często tu przesiaduje.

Pora była już późna i bar świecił pustką. Paru zatwardziałych bywalców piło strzemiennego.

Barman przesunął się w naszą stronę, przejeżdżając ścierką po ladzie.

- Halo, Anno.

- Halo, Johnny. Czy był tu dziś Renzo? Spojrzał na mnie spod oka.

- Był. Ale już dawno wyszedł.

- Dziękuję, Johnny. - Odwróciła się, by wyjść, ale zatrzymał ją.

- Strasznie się zmartwiłem Tonim. Tak go lubiłem.

- Dziękuję, Johnny - powtórzyła. Poszedłem za nią.

- No to dokąd idziemy?

- Tam na końcu budynku są schody. Ale zatrzymała się.

- Nie chodźmy tam. Barman próbował nas ostrzec.

- Skąd to pani przyszło na myśl?

- Mówiąc o Toniu. On Tonią nie cierpiał. Raz się nawet pobili.

- Czy ten bar jest własnością Coriano? Skinęła głową.

- Dajmy im lepiej spokój - położyła mi rękę na ramieniu. - Pan jest przyzwoitym człowiekiem. Nie chcę, żeby zrobili panu krzywdę.

- Chodzi o przyszłość mojej córki. Mogę pójść sam. Niech pani zaczeka w aucie.

- Nie... - jej dłoń zacisnęła się na pasku kamery. - W takim razie idę z panem.

- Czemu pani nie zostawiła tego aparatu w aucie? Musi być bardzo ciężki.

- Tu strasznie kradną. Ten aparat kosztował mnie dwieście zielonych.

## 11

Szliśmy po drewnianych schodach na zewnątrz budynku. Każdy krok dudnił. Na samej górze były drzwi, zobaczyłem przez szparę światło. Zapukałem.

- Kto tam? Spojrzałem na Annę.

- To ja, Anna. Otwórz, Renzo.

Usłyszałem stłumione przekleństwo, drzwi się otworzyły.

- Skąd u diabła dowiedziałaś się, że tu jestem? - zobaczył mnie i próbował zamknąć drzwi.

Wsunąłem nogę w szparę i popchnąłem. Cofnął się. Był podobny do siostry, tylko że do niego ta uroda nie pasowała. Wyczuwało się słabość. Miał na sobie ciemne obcisłe spodnie i bawełniane podkoszulek.

- Co to za facet?

- To pan pułkownik Carey. W sprawie listów. Z drugiego pokoju dobiegł głos dziewczyny.

- Kto przyszedł, skarbie?

- Moja siostra ze znajomym.

- Ze znajomym? Już lecę.

- Tylko się nie śpiesz. - Spojrzył na mnie. - O jakich listach ona mówi?

- O listach w żółtej kopercie, które zabrał pan w dzień śmierci Tonią Riccio.

- Co za bzdury. Nie brałem żadnych listów. Spojrzałem na stół. Leżał tam jutrzejszy „Examiner”.

- Świetnie pan wie, o jakich listach mówię. O tych, o których napisał pan do pani Hayden. -

Zobaczyłem w kącie pokoju maszynę do pisania. - O, na tej maszynie.

W tym momencie weszła dziewczyna. Miała rudo-

pomarańczowe włosy. Była ubrana w tandetne błękitne kimono przewiązane czerwoną szarfą.

- Przedstaw mnie, skarbie. Spojrzał na nią, spojrzał na mnie.

- Nigdy nic nie pisałem na tej maszynie. Przeszedłem przez pokój, wziąłem maszynę pod pachę i ruszyłem w stronę drzwi.

- Ejże! - zawołała dziewczyna. - Dokąd to się pan wybiera z moją maszyną?

Spojrzałem na Lorenza.

- Policja sprawdzi, czy list do pani Hayden został napisany na tej maszynie. O ile się nie mylę, za szantaż otrzymuje się od dziesięciu do dwudziestu lat.

- Mówiłam ci, żebyś nie ruszał mojej maszyny! - wrzasnęła dziewczyna.

- Zamknij się! - Zwrócił się do mnie: - Chwileczka. Chce pan je kupić?

Postawiłem maszynę.

- Niewykluczone.

- To ta stara tu pana przysłała?

- A skąd bym wiedział o tych listach?

- Ile pan daje?

- Zależy od listów. Nic nie kupimy w ciemno.

- Listy są prawdziwe. Mucha nie siada! Nagle wpadłem na świetny pomysł.

- Pańska oferta nie jest jedyna.

- Co to znaczy?

- Pański list był czwarty z kolei. Stropił się.

- Skąd mam wiedzieć, że naprawdę ma pan listy? Musiałbym je zobaczyć.

- Nie myśli pan chyba, że je noszę przy sobie. Mam wspólników. Listy znajdują się w bezpiecznym miejscu.

Wziąłem maszynę.

- W takim razie pogadam z pańskimi wspólnikami, gdy mi pokażą towar.

- Niech pan czeka. Mam tu dwa listy, które wyjąłem z koperty.

- No to dawaj pan.

Renzo zwrócił się do dziewczyny.

- Ubierz się i idź do baru. Poproś Johnny'ego o kopertę, którą u niego zostawiłem.

- Niech się pani nie fatyguje. - Spojrzałem na Annę.

- Zechce pani? Anna skinęła głową. Jej brat zaczął kpić.

- Widzę, że cię traktuje jak posłańca. Ile ci płaci? Mam nadzieję, że dużo, bo jak dwa a dwa cztery, wkrótce wylecisz z pracy.

- Ach, ty kretynie! Przecież ona robi, co może, by nie trafił pan do więzienia.

Anna wyszła. Renzo zwrócił się do mnie.

- Nie musi pan stać. Proszę usiąść i napić się.

- Nie, dziękuję.

Podszedł do szafy i wyjął butelkę.

- Przynieś lód, mała - poprosił dziewczynę.

- Sam sobie przynieś - odparła niechętnie.

Renzo wzruszył ramionami. - Ach, te baby! - zauważył pod nosem. Poszedł do alkowy, w której była kuchenka i otworzył lodówkę. Wyjął parę kostek lodu i wrzucił do szklanki. Potem nalał sobie whisky. Usiadł naprzeciwko mnie.

- Tonio był naprawdę wielkim lowelasem! Nie odpowiedziałem.

- Wszystkie za nim latały. Moja siostra. Pańska była żona. Pańska córka. Nie zdarzała mu się wolna noc.

Opanowałem się. Należało się przyzwyczaić do takich opinii.

- Pana córka szalała za nim. Zobacz pan, co powypisywała. Aż dziw, że nie spłonął ze wstydu papier. Tonio nieźle ją wyszkolił. A ona nie wahała się dokładnie opisywać, co robi, kiedy się znów spotkają.

Zazgrzytałem zębami. Nie oczekiwałem, że usłyszę tu portugalskie sonety!

- Pańska żona to też niezłe ziółko. Choć może trochę bardziej dyskretna od małej. Za to zazdrosna. W jednym z listów pisze, że jeśli się dowie, że on ją oszukuje, nie zawaha się go zabić. No cóż, mała ją wyprzedziła.

Wciąż milczałem.

- I ta moja niemądra siostra. Jak kretyńka czekała, że Tonio do niej wróci. - Zaśmiał się. - Owszem wpadał, kiedy miał ochotę na spaghetti i staromodne obłapianki. Czasem miał dość tych wymyślnych sztuczek na wzgórzu. Mawiał, że człowiek musi od czasu do czasu zjeść kawał mięsa z kartoflami. Ma dosyć kawioru i *pdte de foie*. Usłyszałem kroki na schodach. Renzo też je usłyszał. Podniósł szklanę.

- Powodzenia!

Otworzyły się za mną drzwi, nie obejrzałem się. Nagle moja czaszka eksplodowała i runąłem w ciemność.

Przed oczyma latały błyski. Popychano mnie i przewracano. Jęczałem i usiłowałem podnieść się, ale obezwładniała mnie gęsta mgła. Jeszcze parę błysków i spokój. Tylko ten piekielny ból w głowie. Ktoś chlusnął mi w twarz zimną wodą. Zacząłem prychać i pluć. Otworzyłem oczy. Nade mną stał Lorenzo z Johnnym. A ja leżałem na łóżku całkiem nagi.

Usłyszałem szmer, odwróciłem głowę i znów ten przeszywający ból. Zobaczyłem, że dziewczyna z pomarańczowymi włosami wkłada z powrotem to swoje kimono z Grant Street.

Myślałem, że ból rozsadzi mi czaszkę. Zamknąłem szczelnie oczy. Trochę pomogło. Dopiero teraz zacząłem uświadamiać sobie, co zaszło. Wpadłem w pułapkę.

- Ubranie leży na krześle - oznajmił Renzo. - Proszę się ubrać.

Wyszli z pokoju zamykając za sobą drzwi. Usiadłem na łóżku. Starąłem się poruszyć głową. Cholerny ból.



Bynajmniej nie czułem się jak Mickey Spillane<sup>2</sup>. Żadnych erotycznych marzeń. Tylko ten ból. Zwlokłem się z łóżka i poszedłem do łazienki. Puściłem zimny prysznic i wsadziłem głowę pod strumień wody. Trochę pomogło. Dotknąłem głowy ręką. Pod włosami z tyłu wyczułem guz wielkości jajka. Chwała Bogu mam twardą czaszkę.

Puściłem gorącą wodę, potem znów zimną, doznałem ulgi. Sięgnąłem po wiszący opodal brudny ręcznik i wytarłem się. Potem ubrałem się.

Kiedy wszedłem, siedzieli wokół stołu popijając.

- Przyda się panu drink - zauważył Renzo. Nalał trochę whisky do szklanki i popchnął w moją stronę. Wypiłem duszkiem. Poczulem ciepło i ulgę.

- Gdzie Anna?

- Odesłałem ją do domu. Już zrobiła swoje. - Podał mi zdjęcie. - Świetna robota, prawda?

Była to odbitka z polaroidu. Przypomniałem sobie, że Anna wsiadła do mojego auta z innym aparatem niż ten, którym posługiwała się w nocnym lokalu. Zdjęcie wyglądało tak jak tego należało oczekiwać. I ja, i ta dziewczyna z pomarańczowymi włosami byliśmy zupełnie nadszy. Klasyczna pozycja orientalna. Oddałem zdjęcie.

- Na mój gust jest trochę za chuda.

- Może pan to zdjęcie schować sobie na pamiątkę - oświadczył wspaniałomyślnie Renzo. - Mamy kupę innych.

- No i co dalej?

- Proszę spokojnie czekać. Będziemy mieli gości. Wsadziłem zdjęcie do kieszeni.

- O nie. Miałem już dziś dosyć rozrywek. Ruszyłem w stronę drzwi. Johnny, barman, szybko wstał.

---

<sup>2</sup>Słynny bohater powieści kryminalnych

- Na pana miejscu zastanowiłbym się - zauważył Renzo. - Johnny był mistrzem wagi półciężkiej Wybrzeża Pacyfiku.

Zrobiłem krok naprzód. Johnny wymierzył prawy sierpowy. Łatwo udało mi się uchylić. Nie na darmo pracowałem jako robotnik budowlany. Zdobyłem doświadczenie.

Uciekłem się do judo. Zgiął się wpół, a ja wymierzyłem mu cios karate w kark. Upadł jak kłoda. Mój instruktor z Air Force byłby ze mnie naprawdę dumny.

Odwróciłem się dostatecznie szybko, żeby móc stawić czoło Lorenzowi. Pchnąłem go pod ścianę i mocno trzymałem. Dotknąłem jego szyi kantem dłoni i dziewczyna zaczęła krzyczeć.

- Gadaj, gdzie jest reszta listów?

W oczach Renza pojawiło się przerażenie. Ale milczał. Stuknąłem go w jabłko Adama. Na tyle silnie, że się zakrztusił.

- Wystarczy, że nacisnę mocniej i będziesz gryzł korzonki u boku swego druha Tonią.

- Nie mam ich - wyjąkał. - Wziął je Coriano. Znów mu zagroziłem.

- Przysięgam!

- Dawaj zdjęcia!

- Johnny ma zdjęcia - Renzo trząsał się ze strachu. Wymierzyłem mu mocny policzek i upadł. Zaczął jęczeć. Podbiegła do niego dziewczyna.

- Renzo, co on ci zrobił?

Podszedłem do Johnny'ego. Zaczął się ruszać. Ucieszyłem się, że żyje i przewróciłem go na plecy.

Uklęknąłem i przetrząsałem jego kieszenie. Znalazłem zdjęcie, ale w tej chwili otworzyły się znajdujące się za mną drzwi.

Kiedy odwróciłem się, zobaczyłem lufę pistoletu. Wycelowana była w mój brzuch. Pistolet trzymał pucołowaty człowieczek, jego oczka ginęły w fałdach tłuszczu.

- Czy będzie pan tak uprzejmy i wręczy mi te odbitki?

- spytał.

Bez słowa mu je podałem.

- Proszę je położyć na stole. Położyłem.

- Teraz proszę podnieść ręce do góry, odwrócić się i oprzeć je o ścianę. Jak w telewizji. Okay?

Jasne, że okay.

Słyszałem jak podchodzi do stołu. Potem usłyszałem szelest papieru.

- Może pan się odwrócić, panie pułkowniku.

- Mam przyjemność z panem Coriano?

Skinął głową. Spojrzał na Johnny'ego, spojrział na Lorenzo. Mile się do nich uśmiechnął.

- Widzę, że zabawiał się pan z moimi chłopcami. - Bardzo się napraszali.

- Żaden z nich nie ma oleju w głowie. Nieważne. Już i tak ubiłem interes z pana byłą magnifiką.

Był tak zadowolony z siebie, że postanowiłem mu dokuczyć.

- Ile panu dała? Machnął pistoletem.

- Dwadzieścia pięć tysiączków.

- Dał się pan nabrać. Starsza pani była gotowa zapłacić sto tysięcy.

Chwilę rozmyślał i wzruszył ramionami.

- Takie to już życie. Na giełdzie też zawsze sprzedaję akcje, nim naprawdę zwyżkują.

- Po co panu te zdjęcia?

- To moja polisa ubezpieczeniowa. Moja i tej pani, która kupiła listy - przyjrzał się uważnie zdjęciom.

- Świetnie uchwycone podobieństwo.

Poszedłem w stronę drzwi. Coriano, Renzo i jego dziewczyna bacznie mi się przyglądali. Tylko

Johnny nie. Bo wciąż leżał na wznak na podłodze. Ruchem głowy wyraziłem im moje współczucie i wyszedłem.

Wóz stał tam gdzie go zostawiłem. Otwierając drzwiczki usłyszałem głos Anny.

- Panie pułkowniku. Usiadłem obok niej.

- Jak się pan czuje?

- Jak pani widzi!

- To nie moja wina, panie pułkowniku. - Zaczęła płakać. - Oni mnie zmusili! Kiedy zeszałam na dół, w barze już był Coriano.

- Oczywiście, Anno, oczywiście - wskazałem na leżący między nami aparat. - A pani zupełnie przypadkowo miała przy sobie polaroid.

- No właśnie. Coriano go zobaczył i stąd przyszło mu to do głowy. Żeby pan nie poleciał do gliniarzy. Na wszystkich zdjęciach ma pan zamknięte oczy, bardzo uważałam, będzie pan mógł udowodnić, że był pan nieprzytomny.

Nieprzytomny? Wyglądałem na człowieka w ekstazie!

- Musiałam to zrobić, pułkowniku Carey - wyjaśniła smutnym tonem. - Coriano wywaliłby mnie z pracy i dopilnował, żeby mnie nigdzie nie zatrudnili.

- Dobrze, dobrze, Anno. Niech mi pani poda adres, to odwiozę panią do domu.

Wysadziłem ją po drodze. Kiedy wszedłem do mojego pokoju, zobaczyłem, że przy telefonie mruga czerwone światełko. Dowiedziałem się w recepcji, że dzwoniła starsza pani i prosi, bym natychmiast zadzwonił. Nakręciłem jej numer.

Odezwała się zaraz, bynajmniej nie zaspanym głosem.

- No co, Łukasz? Udało ci się je wydostać?

- Nie.

- A to dlaczego? - spytała gniewnie.

- Bo już kupiła je Nora.

- Nora? - W głosie jej zabrzmiało zdziwienie.

- A któżby inny? Zachichotała.

- Powinłam była się tego domyślić. Norze na pewno bardzo zależało, żeby te listy nie trafiły w nasze ręce. Cóż, przynajmniej możemy się o nie przestać martwić.
- No właśnie - powiedziałem i odłożyłem słuchawkę. Z najwyższym trudem rozebrałem się i dowlokłem do łóżka. Była to długa męcząca noc.

## 12

Wychowawczynie otworzyła drzwi pokoju Dani.

- Przyszła do ciebie matka. Dani wstała z łóżka.
- Gdzie ona jest?
- Czeka na ciebie w kafeterii.

Dani poszła za wychowawczynią przez długi korytarz. Minęły stalową bramę. Wsiadły do windy i zjechały piętro w dół. Dochodziła trzecia, kafeteria była niemal pusta. Z matką siedziała panna Jennings i jakiś obcy mężczyzna.

Nora nadstawiła policzek.

- Halo, kochanie.
- Halo, mamusiu. Dzień dobry, panno Jennings. Sally Jennings wstała.
- Cześć, Dani - powiedziała i zwróciła się do siedzących przy stoliku. - Muszę wracać do pracy.

Ukloniła się i wyszła.

- Nie stój tu nad nami - powiedziała ostro Nora. - Siadaj.

Dani posłusznie usiadła.

- Czego ona chciała?
- Niczego. To my pragnęliśmy z nią porozmawiać.
- O czym? - podejrzliwie spytała Dani.

- O tobie. Podobno są z tobą kłopoty.

Dani dłuższą chwilę przyglądała się matce. Potem spojrzała na mężczyznę.

- Kto to?

- Dani! - Nora była naprawdę zgorzonna. - Co to za maniery?

Dani zniecierpliwiła się.

- Mamo, to nie pora na dobre maniery. Kim jest ten pan?

Nora spojrzała wymownie na towarzyszącego jej mężczyznę.

- To doktor Weidman, Dani. Prosiłam, żeby cię zbadał.

- Po co?

- Dla twojego własnego dobra. Oni tu nie potrafią dojść, co z tobą właściwie jest.

- Jeszcze jeden łapiduch! Nora rozgniewała się.

- Doktor Weidman jest psychiatrą.

- Nie chcę z nim rozmawiać!

- Musisz.

- Dlaczego, mamusiu? Czy naprawdę uważasz, że jestem nienormalna?

- To co ja uważam, Dani, nie ma tu najmniejszego znaczenia. Chodzi o to, co uważają *oni*. Mogą cię na dłuższy czas odesłać do instytutu.

Dani nie spuszczała oczu z twarzy matki.

- Ale dla mnie, mamusiu, najważniejsze jest, co ty myślisz. Czy naprawdę sądzisz, że ze mną jest coś nie w porządku? Nora zaczerpnęła powietrza.

- Nie, kochanie... Ale...

- Nie będę z nim rozmawiać.

Lekarz wstał. Uśmiechnął się. - Wydaje mi się, pani Hayden, że nie ma pani powodów do niepokoju.

Panna Jennings cieszy się jak najlepszą opinią i może pani

polegać na jej zdaniu. - Zwrócił się do Dani. - Lepiej by dla ciebie było, młoda damo, żebyś zaufała pannie Jennings. Ona naprawdę chce ci dopomóc.

Uklonił się i wyszedł.

Dłuższą chwilę siedziały w milczeniu.

- Mamo, masz dziesiątaka? Kupiłabym sobie coca-colę.

Nora patrzyła na nią nieobecny wzrokiem. Dani wiedziała, że matka myśli o czymś innym.

- Mamo, dasz mi dziesiątaka? Nora otworzyła torebkę.

- Czy mogę napić się kawy?

- Oczywiście.

Dani wstała i podeszła do drzwi kuchenki.

- Hej, Charley! Czy dostanę filiżankę kawy dla mojej matki?

W drzwiach ukazała się uśmiechnięta czarna twarz.

- Sekundę, Dani.

Dani przyniosła matce filiżankę kawy i ruszyła po swoją coca-colę. Gdy wróciła, Nora paliła. Dani spojrzała na nią wymownie i Nora podsunęła jej paczkę papierosów.

- Sądziłam, mamusiu, że ty nie wierzysz w psychoanalizę.

- Sama już nie wiem w co wierzyć.

Dani z ciekawością spojrzała na matkę. Dotąd Nora miała na każdą sprawę bardzo zdecydowany pogląd. Nora spróbowała kawy i skrzywiła się. Dani uśmiechnęła się.

- To nie to co w domu, prawda?

- Czy jedzenie jest tu też takie wstrętne?

- Nie. Zupełnie przyzwoite.

- Widziałam listy, które napisałeś do Ricka - Nora zniżyła głos. - Dlaczego mi o nich nie powiedziałaś? Dani poczuła, że się rumieni.

- Zupełnie o nich zapomniałam.

- Chwała Bogu, udało mi się je odzyskać. Nie wiedziałam, że to już tak długo trwało...

Dani poczuła, że ściska ją w gardle. Nora znów spuściła oczy.

- Kiedy się to zaczęło?

- W Acapulco. Pamiętasz: poleciałaś do San Francisco...

- Powinnaś mi była o tym powiedzieć. Jak to się stało, że cię uwiódł?

- To ja jego uwiiodłam.

W oczach Nory pojawiły się łzy.

- Dlaczego, Dani? \*

- Bo miałam na to ochotę. Znudziło mi się udawanie, że jestem małą dziewczynką. - Zamilkła i zaciągnęła się papierosem. - Wiesz, mammo, lepiej o tym nie mówmy.

- Może masz rację.

Miałyby sobie wiele do powiedzenia, ale Dani nie umiała rozmawiać z nią, a ona nie potrafiła rozmawiać z Dani, tak jak kiedyś nie potrafiła ze swoją matką. Każde pokolenie żyje na innej planecie. Spróbowała jednak.

- Dani - powiedziała poważnym tonem - proszę cię, porozmawiaj jednak z panną Jennings. Ona naprawdę może ci dopomóc, może nam dopomóc.

- Nie śmiem, mamusiu. Jeśli raz zacznę z nią rozmawiać, nie będę mogła się wycofać. I ona dowie się, co naprawdę zaszło tej nocy. A tego nie chcę. Nie chcę tak samo jak ty.

Nora spojrzała na córkę. Tak, do tego musiało dojść, pomyślała. Łączy je w tej chwili tylko wspólne poczucie winy.

Dani spojrzała na zegar. Dochodziło pół do czwartej.

- Muszę wracać - skłamała. - Mam lekcję. Wstała i pocałowała matkę w policzek. Nora impulsywnie przygarnęła ją do siebie.

- Nie martw się, mamusiu. Wszystko będzie okay.



Norze udało się uśmiechnąć.

- Na pewno, kochanie. Zobaczymy się w niedzielę. Patrzyła jak dozorczyńni wstaje i wychodzi za Dani na

korytarz. Spojrzała na popielniczkę. Dymił nie zgaszony papieros. Zgniotła niedopałek i wzięła torebkę. Wyjęła z niej lusterko, poprawiła usterki makijażu i wyszła.

- Masz bardzo piękną matkę, Dani - zauważyła dozorczyńni odprowadzając Dani do pokoju. Ktokolwiek pierwszy raz zobaczył matkę, zawsze to mówił. Potem spoglądał na nią i wyczuwała rozczarowanie. Owszem, nazywano ją ładnym dzieckiem. Ale czy tak myślano?

Dani weszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Przez chwilę przyglądała się napisom na obdrapanych ścianach, potem wyciągnęła się na łóżku.

Jej matka... Piękna i utalentowana. A ona nie jest ani piękna, ani utalentowana. Pamiętała jak podczas nieobecności matki wkradała się do jej pracowni i usiłowała kopiować wspaniałe rzeźby. Ale nic z tego nie wychodziło.

Ze zdziwieniem zobaczyła, że płacze. Po chwili łzy ustały. Wstała i przejrzała się w lusterku. Matka nawet płacząc pozostawała piękna. A ona miała spuchnięte zaczerwienione powieki.

Rozerwała celofan, w który opakowane były odświeżające chusteczki przysłane przez matkę.

Przyłożyła jedną z nich do twarzy, rozkoszując się świeżym zapachem mentolu.

Rick wykpiwał często tę jej namiętność. Zawsze miała przy sobie takie chusteczki. Kiedyś, kiedy leżeli koło siebie po miłości, chciała go odświeżyć. Niemal wyskoczył ze skóry.

- Co ty wyprawiasz?

- Chciałam ci zrobić przyjemność.

Roześmiał się i przytulił ją. Wziął w usta jej pierś i poczuła szorstkość zarostu. - Ty jesteś całkiem

zwariowana - szepnął i znów poczuła cudowny dotyk jego rąk, które upewniły ją, że jest mu potrzebna.

Poczuła napływające do oczu łzy. Starła się stłumić płacz. Płacz teraz na nic się nie zda, nie ma już komu się poskarżyć. Dawniej, kiedy czuła się przygnębiona, udawała się z tym do Ricka. On uśmiechał się, brał ją w ramiona i smutek pierzchał. A to się już nigdy nie powtórzy!

Zastanowiła się, jaki to może być dzień. Wczoraj zabrano Sylwię. Zatem jest piątek. Więc na pewno pogrzeb Ricka musiał się już odbyć. Czy aby matka posłała kwiaty?

Chyba nie. Jeżeli dobrze zna matkę, to na pewno nie. Szybko o wszystkim zapominała, zapomniła więc już o Ricku. A jeśli nie, to była wciąż zbyt zazdrosna.

Jakże była wściekła, gdy zastała ją w pokoju Ricka. Rzuciła się na niego krzycząc, a jej długie paznokcie pozostawiły na jego ramionach krwawe ślady. Dani przeraziła się, że matka go zabije.

Zaczęła błagać: . - Nie, mamó, nie.

Matka ściągnęła ją z łóżka i nagą zawlokła do jej pokoju. Pamięta, że skuliła się w kącie. Płacząc i drżąc na przemian wsłuchiwała się w szalejącą w domu burzę.

Tak, matka na pewno nie posłała kwiatów. Ale i nie zapomniła o Ricku. Oczy Dani wyschły, zaczęły ją piec. Wyciągnęła następną chusteczkę i wytarła nią twarz. Potem zmięła ją i wrzuciła do kosza na śmieci.

Poczuła się strasznie samotna. Ta zmięta chusteczka wydała jej się symbolem całej przeszłości, przeszłość zniknęła. Jeden Rick próbował ją zrozumieć, teraz nie ma nikogo. Nikogo. Znów zaczęła płakać.

\* \* \*

Sally Jennings spojrzała na zegar. Za kwadrans szósta. A miała jeszcze do napisania kilka sprawozdań.

Schowała papiery to teczki. Zajrzy do nich po powrocie z teatru.

Już dawno temu i z dużym trudem udało jej się zdobyć bilety na to przedstawienie. Nic nie jest w stanie jej powstrzymać. Ma akurat dość czasu, by dojechać do domu, przebrać się, coś zjeść i wrócić do miasta.

Ktoś zapukał. Dość niecierpliwie zawołała:

- Proszę.

Zobaczyła biały mundur wychowawczyni, za nią stała Dani. Dani dość niepewnym głosem spytała:

- Czy mogę z panią porozmawiać?

Panna Jennings zobaczyła, że dziewczynka płakała i straciła pewność siebie.

- Oczywiście, Dani. Dani spojrzała na teczkę.

- Pani już wychodziła. Może przyjdę jutro rano? Sally Jennings zamknęła teczkę i postawiła ją obok biurka.

- Nie. Właśnie pomyślałam sobie, że zostanę dłużej i popracuję.

Dani weszła do środka.

- Nie chciałabym pani przeszkadzać.

Panna Jennings uśmiechnęła się do niej i w tym uśmiechu odmłodziła.

- Wiesz co? Pójdziemy do kafeterii coś zjeść. Miło mi będzie pogadać z kimś przy kolacji.

Dani obejrzała się na wychowawczynię, która czekała za drzwiami biura.

- Myśli pani, że mi pozwolą?

Sally Jennings sięgnęła po telefon i nakręciła numer kierownika schroniska.

- Sądzę, że uda się to załatwić.

Sally nie była pewna, czy w oczach Dani dostrzegła ulgę czy wdzięczność, ale dziewczynka przestała robić wrażenie zagubionej. I to przedstawienie, na które się od dawna cieszyła, nagle przestało być ważne.

## 13

- To kiedy ojciec przestał mnie odwiedzać, uświadomiłam sobie po raz pierwszy, że nikt nie będzie ze mną zawsze - wyznała Dani patrząc na siedzącą z drugiej strony biurka pannę Jennings. Właśnie wróciły z kolacji. - W dzieciństwie każdy myśli, że jest pępkiem świata, a potem kiedy jest starszy, wie już, że tak nie jest. Przez miesiąc co dzień płakałam. A potem przyzwyczaiałam się.

Wuj Sam, myślę o panu Corwinie, był bardzo miły. Matka wyszła za niego, gdy rozwiodła się z ojcem. Chyba było mu mnie żal. Zabierał mnie do zoo i do parków tak jak przedtem ojciec. Raz nawet zabrał mnie na łódź. Ale jak byłam z tatą, czułam, że on myśli tylko o mnie. A wuj Sam nie. Bardzo się starał, żeby być dla mnie dobry, ale myśleć to myślał o czymś innym. Ale i tak bardzo go polubiłam. Tylko że on także któregoś dnia zniknął. Dobrze pamiętam ten dzień.

Dani zamilkła i zaciągnęła się papierosem.

- Mów dalej, Dani. Dobrze pamiętasz ten dzień. Dlaczego?

\* \* \*

Przed drzwiami domu zatrzymał się biało-niebieski mikrobus z napisem  
SZKOŁA PANNY RANDOLPH

Kierowca w eleganckim szarym mundurze wysiadł i otworzył drzwiczki. Dani wyskoczyła i pobiegła do domu z rozwianym włosom.

- Życzę panience miłego weekendu - zawołał za nią szofer.

- Nawzajem! - odkrzyknęła wpadając do domu. Rzuciła książki na stojący w holu stolik i trzymając w ręku cenzurkę wbiegła na marmurowe schody, a potem popędziła korytarzem do pracowni matki.

- Mamo! Mamo! Mam piątkę z rysunków!

W pracowni zorientowała się, że nikogo nie ma. Spróbowała otworzyć drzwi do małej sypialni za pracownią. Drzwi były zamknięte. Lekko zapukała.

- Mamo, jesteś tu? Żadnej odpowiedzi.

Otworzyła drzwi i zajrzała. Pustka. Bardzo to było dziwne. O tej porze matka zwykła była pracować. Wróciła do holu. Wzięła książki i z powrotem poszła na górę. Z sypialni wuja Sama wychodził Karol.

- Dzień dobry, panienko.

- Gdzie jest mama? Kamerdyner stropił się.

- Jaśnie pani wyszła.

- Nie mówiła, kiedy wróci? - Dani podniosła cenzurkę. - Dostałam piątkę z rysunków. Chcę jej pokazać.

- Winszuję panience. - Kamerdyner pogratulował jej i zmienionym tonem dodał: - Pani nic nie mówiła, kiedy wróci.

- Och - westchnęła rozczarowana Dani. Ruszyła w stronę swego pokoju, ale przedtem poprosiła:

- Karolu, Karol będzie tak dobry i da mi znać, jak tylko ona wróci.

- Dobrze, panienko.

Kiedy Dani weszła do swego pokoju, pani Holman wieszła w szafie sukienki. Jej twarz rozpromieniła się, kiedy zobaczyła małą.

- No, nareszcie jesteś. Właśnie myślałam, że już powinnaś wrócić. Jak cenzurka?

- A jak pani myśli? - roześmiała się Dani.

- No, pokaż!

Dani schowała cenzurkę za plecami.

- Nie pokażę jej niani, póki niania nie spełni obietnicy.
  - Ależ ja już upiekłam ciasto!
  - No to proszę - Dani podała kartkę.
  - Muszę włożyć szkła - oznajmiła pani Holman.
  - Jestem taka podniecona, że nic nie widzę! Sięgnęła do kieszeni i wyjęła okulary.
  - Dani, masz piątkę z rysunków! Guwernantka objęła Dani.
  - Jestem z ciebie bardzo dumna. - Pocałowała ją w policzek. - Wyobrażam sobie, jak się ucieszy twoja matka.
  - Gdzie mama? Już jej szukałam w pracowni.
- Na twarzy pani Holman pojawił się ten sam wyraz, co przedtem na twarzy Karola.
- Twoja matka musiała nagle wyjechać. Wróci w poniedziałek.
  - Aha...- Ostatnio już parę razy matka wyjeżdżała na weekend w jakichś ważnych sprawach. Dani odebrała od guwernantki cenzurkę. - Mam nadzieję, że wróci dostatecznie wcześnie, by zdążyć się na cenzurce podpisać. Muszę ją w poniedziałek oddać.
  - Na pewno. No, leć do kuchni i poproś kucharkę, żeby podała mleko i ciasto. Urządzimy sobie w trójkę mały bankiecik.
- Dani miała już dosyć tych bankiecików z nianią. Co innego, gdyby miała w nim wziąć udział matka.
- Nie mam ochoty na przyjęcie.
  - Bądź grzeczną dziewczynką i słuchaj niani
  - oświadczyła guwernantka z udaną surowością. Wiedziała, co dziecko myśli.
  - Okay. - Dani odwróciła się i wyszła. W holu spotkała wuja Sama i Karola obarczonych walizkami.
  - Wujku! - zawołała Dani i podbiegła. Przystanął. Karol zszedł po schodach z walizkami.
  - No co, Dani.

- Dostałam piątkę z rysunków!

- Wspaniale.

Głos wuja Sama brzmiał jakoś dziwnie, bacznie mu się więc przyjrzała. Na jego twarzy malował się smutek i znużenie. Spojrzała na walizkę.

- Wujek też wyjeżdża na weekend? Do mamy?

- Wyjeżdżam. Ale nie spotkam się z twoją matką.

- Szkoda. Myślałam, że jej wujek powie, że... Wuj Sam wyraźnie myślał o czymś innym.

- Że o czym jej powiem?

- No, o mojej piątce.

- Nie, Dani. Nie zobaczę się z twoją matką.

- Wróci wujek w poniedziałek?

Chwilę patrzył na nią bez słowa, potem postawił walizkę.

- Nie, Dani, nie wrócę w poniedziałek. Nigdy już tu nie wrócę.

- Nigdy? - spytała zdumionym tonem.

- Nigdy. Właśnie się wyprowadzam.

Napływały jej do oczu łzy. Tak samo było z tatusiem. Któregoś dnia wyprowadził się, a po jakimś czasie przestał się z nią widywać.

- Dlaczego? Już nas nie lubisz?

Zobaczył jej łzy, usłyszał rozpacz w głosie. Wziął ją za rękę.

- Nie, Dani. Bardzo cię lubię. Ale w życiu nie zawsze układa się tak, jakbyśmy tego chcieli. Twoja matka i ja rozwodzimy się. - Tak jak przedtem mama z tatusiem? Skinął głową.

- I nie będę wujka widywała? Nie będzie wujek do mnie przychodził?

Objął ją niezdarnie.

- Bardzo bym chciał przychodzić do ciebie, Dani. Ale to będzie niemożliwe.

- Dlaczego? - spytała. - Mama Zuzi Colter rozwiodła

się pięć razy i wszyscy jej ojcowie stale ją odwiedzają. Zuzia siedzi obok mnie w klasie i wciąż mi pokazuje prezenty, które od nich dostaje.

- Twoja matka się na to nie zgodzi.

- To dlaczego, jeśli chce się rozwieść, sama nie wyprowadzi się z domu? Dlaczego zawsze wyprowadza się ojciec?

- Nie wiem.

Rzuciła mu się na szyję.

- Wujku Samie, zostań. Strasznie mi będzie wujka brakowało.

Uśmiechnął się i pocałował ją.

- Mnie także będzie ciebie brak, Dani. Ale musisz być grzeczną dziewczynką i ładnie się ze mną pożegnać, a obiecuję ci, że co jakiś czas przyślę ci śliczne prezenty i będziesz je mogła pokazywać twojej koleżance.

- No dobrze - westchnęła Dani. - Ale ja i tak będę do wujka tęsknić.

Sam jeszcze raz pocałował ją, wyprostował się i wziął walizki.

- Pora na mnie.

Zeszła z nim po schodach.

- Czy wujek też pojedzie do La Jolla i zamieszka na statku tak jak mój tatuś?

Roześmiał się.

- Nie, Dani. Jadę na jakiś czas do Nowego Jorku. Dani zmartwiła się.

- Gdyby wujek zamieszkał na statku, mogłabym z wujkiem popływać.

Znów się roześmiał.

- Nie jestem takim dobrym żeglarzem jak twój tatuś. Dani stanęła w drzwiach i patrzyła, jak Karol wkłada

walizki do taksówki. Wuj Sam nachylił się i jeszcze raz ją pocałował.

- Do widzenia, Dani. Dani stała i kiwała mu ręką.



- Do widzenia, wujku Samie! - zawołała i nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, dorzuciła:- Niech się wujek dobrze bawi!

Zamyślona poszła do kuchni. Czekali tam na nią Karol, kucharka i guwernatka. Brakowało tylko Wioletty, pokojówki. Kiedy matki nie było w domu, Wioletta natychmiast gdzieś zniknęła.

- Mama i wujek Sam biorą rozwód - oświadczyła. - Wujek Sam będzie mieszkał w Nowym Jorku.

Pani Holman postawiła na stole czekoladowy tort.

- No, jak ci się on podoba?

- Wygląda cudownie. - Ale w głosie Dani nie było entuzjazmu.

- Usiądź przy stole i zaraz ci ukroję kawałek - zaproponowała kucharka.

Dani posłusznie usiadła. Kucharka ukroiła ogromny kawał i nałożyła jej na talerzyk, obok którego stała szklanka mleka. Potem podała tort reszcie obecnych i wszyscy usiedli wokół stołu. Dani wiedziała, że czekają, aby ona pierwsza zaczęła jeść. Widelczykiem wzięła kawałek do ust.

- Pyszne - powiedziała.

- Nie mów z pełną buzią. Wszyscy zaczęli jeść.

- Ten tort jest naprawdę świetny, pani Holman - zauważył Karol.

- Ho, ho, znalazł się znawca - wtrąciła się kucharka.

- Ale twoje torty też są znakomite - dorzucił Karol, świadom, że niełatwo jest znaleźć dobrą kucharkę.

- Dlaczego oni się rozwodzą? - spytała nagle Dani. Służący spojrzeli po sobie. W końcu zabrała głos niania.

- Tego my nie wiemy. To nie nasza sprawa.

- Czy to dlatego, że mamusia jest taka śliczna i ma tylu przyjaciół?

Nikt nie odpowiedział.

- Parę dni temu słyszałam, jak wuj Sam kłócił się z mamusią. Mówił, że ma dość tych współników do łóżka. Wiem, że współnikiem wuja Sama jest pan Scaasi, więc widać nie chce innych.

- To nie nasza sprawa, Dani - oświadczyła ostro pani Holman. -1 nie twoja. Zjadaj tort i ruszaj odrabiać lekcje.

Dani przełknęła parę kęsów.

- Wuj Sam obiecał, że będzie mi przysyłał prezenty i Zuzia Colter zobaczy, że nie tylko ona otrzymuje prezenty od swoich tatusiów - oświadczyła z dumą.

W dwa tygodnie później ukończyła dziesięć lat i z Nowego Jorku nadeszła wielka paczka pełna upominków. Wuj Sam dotrzymał słowa. Ucieszyła się. I nadal do niego tęskniła.

Po zakończeniu roku szkolnego matka zabrała ją na rancho nad jeziorem Tahoe. Wytlumaczyła jej, że muszą tam pomieszkać, żeby mogła dostać rozwód, a Dani zachwycona była tymi wakacjami. Co rano jeździła konno, a po południu pływała w jeziorze. Na rancho pojawił się Rick. Został nowym menedżerem matki. Pewnie był jednym z tych łóżkowych współników, o których mówił wuj Sam, bo widziała rano, jak wychodził z pokoju matki.

Niemniej polubiła Ricka. Rick miał podobne upodobania jak ona, chętnie jeździł z nią konno i nauczył ją utrzymywać równowagę na nartach wodnych. Stale żartował i śmiał się. Nie tak, jak wujek Sam, którego niemal nic nie śmieszyło. Matka twierdziła, że Rick jest takim samym dzieciuchem jak ona?. Matka nie lubiła jazdy konnej i niechętnie przesiadywała nad wodą. Bała się słońca, skarżyła się, że jej skóra źle je znosi. Większość czasu spędzała w swoim pokoju, w którym urządziła prowizoryczną pracownię. Wieczorem jeździła często z Rickiem do Reno. I następnego dnia długo spała. Ale Rick zawsze wstawał wcześniej i razem jeździli konno. Nazywał ją Żywym Srebrem.

W tamtych czasach miał wąsy, a właściwie cienki przystrzyżony wąsik biegnący linijką nad górną wargą szerokich ust. Bardzo jej się to podobało. Uważała, że przypomina Clarka Gable'a. Kiedyś powiedziała to matce i matka z niezrozumiałych powodów wpadła w gniew. Kazała Rickowi przestać się ośmieszać i zgolić wąsy.

Dani zaczęła płakać. Nie wiedziała, czemu płacze.

- Proszę cię, nie gol tych wąsów - błagała Ricka.

- Przestań się wygłupiać - krzyknęła matka. Dani z gniewem napadła na matkę.

- Każesz mu je zgolić, bo powiedziałam, że mi się podobają. Ty nigdy nie chcesz, żeby ktoś mnie lubił, ani żebym ja kogoś lubiła! - Zwróciła się do Ricka. - Powiedz jej, że chcesz mieć wąsy.

Rick spojrział na nią, potem spojrział na jej matkę. Chwilę się wahał. Wówczas matka uśmiechnęła się. Był to dziwny uśmiech. Tak uśmiechała się, kiedy zmuszała kogoś, by zrobił coś, na co nie miał ochoty.

- Cóż, Ricku, jesteś pełnoletnim białym człowiekiem i masz prawo postępować jak chcesz. Zastanów się.

Rick po chwili poszedł do swego pokoju. W parę minut później wrócił bez wąsów. Wyglądał zupełnie inaczej. Tam gdzie były wąsy, widniała biała smużka nieopalonej skóry. Nie przypominał już Clarka Gable'a. Dani wybuchnęła płaczem i wybiegła.

Odtąd Rick przestał z nią jeździć konno. I nie zabierał jej już na narty wodne. Nie było to zbyt straszne, bo wkrótce opuścili jezioro Tahoe i na resztę lata matka wysłała ją na kolonie.

## 14

Nora usłyszała, że ktoś cicho puka do drzwi i podniosła głowę.

- Proszę.

Drzwi uchyliły się, stanęła w nich nieśmiało pani Holman.

- Czy mogłabym zamienić z panią parę słów? Nora skinęła głową.

- Oczywiście. - Odłożyła bryłę gliny i wytarła ręce. Guwernantka weszła. Zaledwie parę razy była w tej pracowni.

- Chciałam pomówić z panią o Danieli. - I spojrzała na stojącego obok Ricka.

- O co chodzi? - spytała Nora.

Pani Holman znów spojrzała na Ricka. Zawahała się. Rick zrozumiał.

- Zostawię panie same - oświadczył i wyszedł do pokoiku za pracownią, zostawiając otwarte drzwi.

- No więc, słucham - zniecierpliwiła się Nora. Guwernantka nie bardzo wiedziała jak sformułować swoje wątpliwości.

- Daniela dorasta.

- To daje się zauważyć.

- Nie jest już dzieckiem.

Nora patrzyła na nią pytającym wzrokiem.

- Chcę przez to powiedzieć - ciągnęła zakłopotana guwernantka - że trudno mi jej wyjaśnić pewne sprawy.

- Jakie? - spytała poirytowana Nora. - Myślę, że nie potrzeba jej wyjaśniać, jak przychodzą na świat dzieci. Tym już zajęła się szkoła.

- No właśnie - zawołała pani Holman. - Ona już wszystko wie.

Nora pokręciła głową.

- Powinna wiedzieć.
- Dani jest spostrzegawcza. Nora przez chwilę milczała.
- O co pani właściwie chodzi, pani Holman? Niania spuściła oczy.
- Daniela obserwuje to, co się dzieje w domu. Wszystko widzi. A dziewczynka w jej wieku nie powinna widzieć takich rzeczy we własnym domu.
- Czy zamierza mnie pani pouczać, jak powinnam się zachowywać w moim domu?  
Guwernantka szybko zaprzeczyła.
- Ależ nie, proszę pani. Chodzi mi tylko o Danielę. Ona wszystko widzi, a trudno jej wiele rzeczy zrozumieć. I wyciąga fałszywe wnioski. A ja nie potrafię jej niczego wytłumaczyć.
- I nie należy to do pani obowiązków, pani Holman - oznajmiła chłodnym tonem Nora.  
Na twarzy guwernantki pojawił się upór.
- I tak, i nie, proszę pani. Zajmuję się Danielą od dnia jej narodzin. Uważałam więc, że ze względu na dobro dziecka powinnam panią ostrzec.
- Dziękuję pani - powiedziała Nora jeszcze chłodniejszym tonem. - Ale zdaje się pani zapominać, że to **ja** jestem matką Dani. I to ja jestem za nią odpowiedzialna.
- Tak, proszę pani. - Niania wyszła. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, natychmiast pojawił się Rick.
- Słyszałeś? - spytała Nora.
- Trzeba się tej baby pozbyć - odparł Rick.
- Ona ma trochę racji. Dani dorasta. Musimy bardziej uważać. - Nora wzięła do ręki grudkę gliny.
- Bardziej uważać? - oburzył się Rick. - Spróbuj sama wymknąć się o świcie z tego domu! Obudzisz wszystkich sąsiadów!  
Nora roześmiała się.
- Mógłbyś trochę ciszej zamykać drzwi.

- Co ty powiesz! Zwłaszcza kiedy pada deszcz! Te przeklęte drzwi zacinają się. I tak wracam przemoczony.

Nora położyła grudkę gliny.

- Tak... Musimy coś wymyślić.

- Może się pobierzemy? - zaproponował Rick.

- Nie - zaprotestowała Nora. - Żadne z nas nie nadaje się do małżeństwa. Dwa razy próbowałam i co? A ty jesteś taki sam jak ja.

Podszedł i objął ją.

- Ale nie próbowaliśmy razem. Może by się nam udało?

Nora odepchnęła go.

- Nie oszukuj się. Żadne z nas nie zniosłoby małżeńskich więzów. Ty tak samo jak ja szukasz wciąż czegoś nowego.

- O nie. Mógłbym być z tobą szczęśliwy.

- Ach tak? A co powiedziałyby twoje przyjaciółki, gdybyś przestał wychodzić we wtorek i w czwartek wieczorem? A zwłaszcza ta mała Włoszka, która pracuje w nocnym lokalu i w wolny wieczór gotuje dla ciebie spaghetti? Co byś jej powiedział? Przecież ona wciąż czeka, że się z nią ożenisz.

Rick zarumienił się i spojrzał na nią zdumiony.

- Skąd ty o niej wiesz? Nora uśmiechnęła się.

- Wiem o tobie wszystko. Nie jestem idiotką. - Wzruszyła ramionami i wzięła papierosa. Zaczekała, by jej go zapalił i dorzuciła. - Nie mam ci tego za złe. Możesz sobie robić, co chcesz, pod warunkiem że spełniasz wszystkie moje życzenia.

Objął ją ramieniem. Tym razem nie broniła się. Wyjął jej z ust papierosa i zgasił w popielniczce. I pocałował ją.

Patrzyła mu w oczy.

Pchnął ją tak, że oparła się o stół i wsunął jej rękę pod spódnice.

- Okno! - szepnęła wskazując na tafłę szkła za plecami.
- Do diabła z oknem! Nie mogę czekać. Niech sąsiedzi popekają z zazdrości.

\* \* \*

Kiedy Dani wróciła z letnich kolonii, na dworcu powitał ją Karol. Rozejrzała się. Zwykle towarzyszyła mu pani Holman.

- Gdzie niania?

Karol unikając jej wzroku podniósł walizkę.

- To panienka nie wie? Pani Holman odeszła. Dani stanęła jak wryta.

- Niania mnie porzuciła? Karol miał zakłopotaną minę.

- Myślałem, że panienka wie. Pani Holman ma nową posadę.

Dani wpadła w furję.

- To mama ją odprawiała?

- Nie wiem, proszę panienki. Pani Holman odeszła zaraz po panienki wyjeździe na wakacje.

- Czy wie Karol, gdzie niania pracuje? Karol skinął głową.

- To proszę mnie tam zawieźć - rozkazała gniewnie Dani.

- Ależ panienko... Panienki mamusia będzie bardzo niezadowolona.

- Nic jej nie powiem. Jedziemy.

Dani usiadła na tylnym siedzeniu i Karol zamknął za nią drzwiczki. Jeszcze raz spróbował się jej sprzeciwić.

- Panienko, to naprawdę...

Nagle głos dziecka nabrał lodowatego tonu, którym przemawiała jej matka.

- Jeśli Karol mnie tam nie zawiezie, to zaraz powiem mamusi, że Karol mnie zawiózł!

Auto zatrzymało się przed jednym z domków nowego osiedla w St. Francis Wood. Niania wychodziła właśnie pchając szary wózek dziecinnie. Dani wyskoczyła z auta.

- Nianiu! - wołała biegnąc w jej kierunku. - Nianiu! Pani Holman przystanęła i zmrużyła oczy, raził ją bowiem blask zachodzącego słońca. Przysłoniła oczy ręką

- Dani?

Tak, to była Dani, otworzyła więc ramiona.

- Dani! - powtórzyła i w jej oczach pojawiły się łzy. - Dani! *Mein kleines Kind!*

Dani się także rozplakała.

- Dlaczego niania ode mnie odeszła? Dlaczego? Guwernantka obsypała ją pocałunkami.

- Moja maleńka! Niech ci się przyjrzę. Pięknie się opaliłaś. I wyrosłaś.

Dani ukryła twarz na jej piersiach.

- Dlaczego mi niania nic nie powiedziała? - szlochała. - Jak niania mogła mnie tak zostawić?

Guwernantka uświadomiła sobie nagle, o co małej chodzi. Spojrzała na Karola. Ten pokręcił przecząco głową.

Zrozumiała. Znow zwróciła się do dziecka.

- Jesteś już dużą dziewczynką. Niania jest ci niepotrzebna.

- Powinna mi była niania powiedzieć. Nie wolno tak nagle zniknąć!

- Widzisz, Dani, ja zasadniczo opiekuję się tylko małymi dziećmi, którym potrzebna jest ta moja opieka.

- Mnie też jest potrzebna! Niech niania ze mną wróci. Guwernantka pokręciła głową.

- Nie mogę, Dani.

- Dlaczego?

Pani Holman wróciła do wózka.

- Nie mogę zostawić tego maleństwa.

- Mnie jest niania bardziej potrzebna! Przecież niania była ze mną zawsze!



- Tak, a teraz już czas, żebyś sobie radziła beze mnie. Jesteś już dużą dziewczynką. Nie miałabym nic do roboty. Mogłabym tylko siedzieć i patrzeć, jak ty przychodzisz i wychodzisz. Całe lato byłaś sama i było ci bardzo dobrze. Tak samo będzie ci w domu.
  - Ale ja nianię kocham! Pani Holman znów ją objęła.
  - Ja także cię kocham, maleńka.
  - No to niech niania do mnie wróci.
  - Nie, Dani. Nie mogę wrócić. Twoja matka miała rację mówiąc, że prędzej czy później będziemy się musiały rozstać.
  - Mama? Wiedziałam, że to ona nianię wyrzuciła.
  - Nie, Dani, tak być musiało. Masz już dwanaście lat. Jesteś już panienką. Wkrótce pojawią się w twoim życiu chłopcy. Będziesz wychodzić na randki i przyjęcia. Co ci wtedy przyjdzie ze starej niani, która będzie się do ciebie wtrącać? Będziesz chciała być samodzielna.
  - Czy to mamusia odprawiła nianię? - spytała jeszcze raz Dani.
  - Obie zgodziłyśmy się, że tak będzie dla ciebie najlepiej. Twoja matka bardzo się ładnie zachowała. Wyplaciła mi roczną pensję.
  - Ale i tak powinna niania mi o tym powiedzieć. Niania była moją nianią, nie jej! Starsza pani milczała. Trudno było znaleźć jakiś argument, dziecko myślało logicznie.
  - Powinnaś już chyba wrócić do domu. Twoja matka będzie się niepokoić, co się z tobą stało. I przygotowała dla ciebie piękną niespodziankę.
  - Nie chcę żadnej niespodzianki - zawołała Dani. - Czy mogę nianię odwiedzać? Choćby od czasu do czasu.
- Pani Holman objęła ją.
- Oczywiście, Dani. Mam wychodne co drugi czwartek. Mogę przyjść do ciebie pod szkołę.

Dani ucałowała nianię.

- Będę strasznie do niani tęsknić!

- Ja do ciebie też - odparła pani Holman. Znow była bliska łez.

- No, idź już, bo Karol będzie miał kłopoty.

Dani z wolna wróciła do auta. Niemal całą drogę milczała. Dopiero kiedy zajeżdżali przed dom, nachyliła się do przodu i spytała:

- Jaką niespodziankę przygotowała mi mamusia?

- Tego nie mogę panience powiedzieć. Obiecałem zachować tajemnicę.

Jednak to właśnie Karol pokazał Dani niespodziankę. Do pracowni przyszli goście i matka prosiła, by nikt jej nie przeszkadzał. Dani weszła więc na schody, a za nią szedł Karol z walizkami. Skierowała się do swego pokoju, ale Karol ją powstrzymał.

- Tędy, panienko - poprowadził ją na drugą stronę holu.

- Czy to ma być ta niespodzianka? - spytała Dani. Skinął głową. Zatrzymali się przed drzwiami największego pokoju gościnnego. Otworzył drzwi.

- Widzi panienska?!

Pokój był dwa razy większy od jej poprzedniej sypialni. Wszystko było nowe, począwszy od błyszczącego łóżka z baldachimem, aż po wbudowane w ścianę telewizor i radio. Ogromna szafa ścienna, do której można było wejść, nowa łazienka z wpuszczoną w posadzkę wanną i niszą służącą za ubieralnię.

- I telewizor, i radio są zdalnie sterowane - oznajmił z dumą Karol.

- Bardzo się cieszę - odparła bez śladu entuzjazmu Dani. Rozejrzała się po pokoju.

- A gdzie jest moja skrzynia skarbów?

- Nie pasowała do nowych mebli i mamusia panienki kazała ją wstawić na strych.

- Proszę mi ją zaraz przynieść.

- Tak, proszę panienki.
  - A co teraz jest w moim dawnym pokoju?
  - Biuro pana Riccio. Pan Riccio zamieszkał teraz w sypialni pani Holman.
  - Aha - szepnęła Dani. Była już na tyle duża, że świetnie wiedziała, co to oznacza. Dziewczynki na koloniach stale szeptały o tym, co dzieje się między mężczyzną a kobietą, którzy mieszkają w sąsiadujących z sobą pokojach.
- Karol wniósł do pokoju walizki. Kufer już tam stał.
- Zaraz przyślę Wiolettę, żeby pomogła panience się rozpakować. Czekaliśmy tylko na klucz od kufra.
  - Nie potrzeba mi niczyjej pomocy.
  - Owszem, potrzeba! - Otworzyły się drzwi, stała w nich matka. - Sama sobie na pewno nie poradzisz.
- Dani spojrzała na matkę.
- Owszem, poradzę. Sama się przecież spakowałam. Nie trzeba mi pomocy Wioletty.
- Nora poczuła, że coś jest nie w porządku. Spojrzała na Karola. Ten skinął głową.
- To tak się witasz z matką, której nie widziałaś całe lato? Chodź tu, chcę ci się przyjrzeć.
- Nora nachyliła się, nadstawiając policzek. Dani posłusznie ucałowała ją. Karol wyszedł, zamykając za sobą drzwi.
- Dlaczego wyrzuciłaś nianię? - spytała Dani.
  - Czy nie powinnaś raczej podziękować mi, że zadałam sobie mnóstwo kłopotu urządzając dla ciebie nowy pokój? Mogłabyś przynajmniej powiedzieć jak ci się tutaj podoba?
  - Dziękuję, bardzo tu ładnie - powiedziała Dani dając do zrozumienia, że jest jej to zupełnie obojętne.
  - Wiesz, że telewizję i radio możesz włączyć leżąc w łóżku?
  - Tak, Karol mi pokazał.
- Dani wyraźnie czekała na odpowiedź na swoje pytanie, a Nora była zdecydowana odpowiedzi takiej nie udzielić.

- Wyrosłaś. Jesteś już niemal tak wysoka jak ja. Mierzyłaś się?
- Tak. Mam już blisko metr pięćdziesiąt pięć.
- Obróć się w koło. Chcę ci się dobrze przyjrzeć. Dani posłusznie się obróciła.
- Dorosłaś. Jest już z ciebie panienka.
- Noszę stanik numer 32 - oznajmiła z dumą Dani. - Ale mam bardzo szerokie plecy i pielęgniarka mówiła, że na wiosnę będę już musiała nosić numer 34.

W głosie Nory zabrzmiało rozdrażnienie.

- Młode damy nie mówią o takich rzeczach. Przyślę Wiolettę, żeby pomogła ci się rozpakować.
  - Nie chcę Wioletty! Chcę nianię! Zirytowana Nora odwróciła się.
  - Niania już u nas nie pracuje. Jeśli nie chcesz, żeby ci pomogła Wioletta, będziesz musiała poradzić sobie sama.
  - Niepotrzebna mi niczyja pomoc! - krzyknęła Dani. W jej oczach pojawiły się łzy. - Dlaczego nie powiedziałaś mi, że masz zamiar odprawić nianię? Dlaczego utrzymywałaś to przede mną w tajemnicy?
  - Nie robiłam z tego żadnej tajemnicy. Po prostu jesteś już dużą dziewczynką i nie potrzeba ci niańki! Dani zaczęła płakać.
  - Powinnaś była mnie uprzedzić.
  - Nie zachowuj się jak małe dziecko! Nie muszę ci się opowiadać z tego, co zamierzam zrobić. Postępuję tak, jak uważam za stosowne.
  - To samo powiedziałaś, jak wyrzuciłaś tatusia. I jak wyrzuciłaś wuja Sama. Za każdym razem, kiedy ktoś mnie pokocha bardziej niż ciebie, to go wyrzucasz.
  - Milcz!
- Po raz pierwszy matka wymierzyła Dani policzek. Dziecko dotknęło twarzy i wpatrzyło się w matkę przerażonymi oczyma.
- Nienawidzę cię! Nienawidzę! Kiedyś pokochasz kogoś i ja ci go odbiorę! Zobaczysz jak to smakuje.

Nora uklękła przy córce.

- Przepraszam cię, Dani - szepnęła. - Nie chciałam cię uderzyć.

Dani odwróciła się i pobiegła do łazienki.

- Daj mi spokój! Nie chcę na ciebie patrzeć - powtórzyła. - Nienawidzę cię.

\* \* \*

Sally Jennings patrzyła na nią z drugiej strony biurka. Oczy małej były zaczerwienione. Policzki były lepkie od łez. Sally podała jej paczkę higienicznych chusteczek.

Dani wzięła jedną i wytarła twarz. Z wdzięcznością patrzyła na pannę Jennings.

- Ja tak wcale nie myślałam! Ale z mamusią trudno było rozmawiać. Jeżeli nie krzyczałam i nie wpadałam w histerię, to wcale mnie nie słuchała.

Sally skinęła głową. Spojrzała na zegar.

- Dani, na dziś wystarczy. Wróć do siebie i spróbuj zasnąć.

Dani wstała.

- Tak, proszę pani. Czy mogę przyjść w poniedziałek?

- Niestety, to niemożliwe, Dani. Cały poniedziałek muszę być w szpitalu.

- A we wtorek jest rozprawa. Więc też nie będę mogła z panią porozmawiać.

- Tak. Ale nic się nie martw. Coś wymyślimy. Sally patrzyła jak nadzorczyńni wyprowadza Dani.

Sięgnęła po papierosa i wyłączyła magnetofon. Nie miała jeszcze dosyć materiału, ale przynajmniej wiedziała od czego zacząć. W jej pracy najgorsze było to, że nie starczało czasu, by naprawdę dobrze przyjrzeć się sprawie.

Podszedłem do okna i wyjrzałem. Wisiała jeszcze ciężka poranna mgła. Zapaliłem papierosa. Spojrzałem na telefon. Może by jeszcze raz spróbować zadzwonić do Elżbiety? Nie, nie ma sensu. Ona po prostu nie podniesie słuchawki. Zachowałem się jak głupiec. Nie należało posyłać jej tego zdjęcia.

Kiedy jej o nim opowiedziałem, zachowała spokój.

- Co za zwariowana historia - zauważyła. - Co Norze z tego przyjdzie?

- Nie wiem. Może rzeczywiście uważa to za ubezpieczenie, a może po prostu chce mieć na mnie bat. Więc wolę sam wysłać ci to zdjęcie.

- Nie, Łukasz, nie przysyłaj. Nie chcę go oglądać. Zniszcz je.

- Nie mogę - odparłem. - Tylko w ten sposób mogę się obronić. Jeśli wysyłam ci to zdjęcie, to dowód, że zostało ono sfabrykowane. Inaczej nie śmiałybym ci go pokazać. Wyślę je zaraz listem poleconym. Możesz nie otwierać koperty. Schowaj ją tylko w bezpiecznym miejscu.

- Za dużo ode mnie wymagasz. Wiesz, że nie oprę się chęci obejrzenia tej fotografii.

- No to obejrzyj ją. Zobaczysz, za jakiego bęcwała wysłaś!

Elżbieta chwilę milczała.

- Żałuję, że kazałam ci jechać.

- Teraz już za późno na żale. Znów zamilkła.

- Nic ci nie jest?

- Nie.

- Na pewno?

- Na pewno. Tylko chciałbym już być w domu.

To było w czwartek rano. Wysłałem list i zadzwoniłem następnego dnia, kiedy powinna go już była dostać. Kiedy usłyszałem jej głos od razu wiedziałem, że wpadłem w tarapaty. Jej głos brzmiał tak jakby płakała. - Wracaj natychmiast!

- Ależ Elżbieto, za parę dni będzie rozprawa.
- To mnie już nie obchodzi. Wracaj.
- Obejrzałaś to zdjęcie?
- Zdjęcie nie ma nic do tego.
- Przecież ci powiedziałem, jak do tego doszło.
- Nawet jeśli powiedziałaś prawdę, to nie musiałaś wyglądać na tak rozanielonego.
- Elżbieto, bądźże rozsądna.
- Już dość długo byłam rozsądna. Ja też jestem w końcu kobietą! Nie mam ci już nic do powiedzenia. Przyślij mi telegram, kiedy zamierzasz wrócić.

I odwiesiła słuchawkę. Zaraz znów zadzwoniłem. I przez całą następną godzinę słyszałem sygnał: zajęte. Musiała odłożyć słuchawkę. Aż wreszcie zadzwoniono do mnie z holu, że czeka na mnie panna Spicer i musiałem zejść na dół.

Poszliśmy do kafeterii.

- Jak się miewa Dani? - spytałem, gdy kelnerka podała nam kawę.
- Dużo lepiej - odpowiedziała. - Zaczęła z nami rozmawiać.
- Chwała Bogu. Spojrzała na mnie.
- Ale wciąż jeszcze nie jest z nią dobrze.
- Dlaczego pani tak sądzi?
- To, co ją gnębi, ukryła głęboko w sobie. Ciągle jeszcze nie wiemy, co naprawdę spowodowało, że rzuciła się na pana Riccio. Wielu rzeczy nie rozumiemy.
- Na przykład czego? Może mógłbym pomóc?
- Czy jako małe dziecko łatwo wpadała w furję?

Pokręciłem przecząco głową.

- Nie, o ile dobrze pamiętam. Wręcz przeciwnie. Kiedy coś ją rozgniewało lub przygnębiło, odchodziła. Szła do siebie albo do niani. Albo udawała, że to jej nie obeszło. I przymilała się.
- To w stosunku do pana tak się zachowywała? Roześmiałem się.
- Nie. Ze mną robiła co chciała.
- Zatem w stosunku do matki? Zawahałem się.
- Proszę mi szczerze powiedzieć. To nie wścibstwo. Ja naprawdę powinnam wiedzieć.
- Nora nigdy nie robiła jej specjalnie przykrości. Ale Dani nieraz bolał brak zainteresowania matki.
- Czy państwo często kłócili się w obecności dziecka? Spojrzałem na nią i roześmiałem się.
- Nie. Zawsze zachowywaliśmy się jak ludzie cywilizowani, żeby użyć wyrażenia Nory. Był to stan zimnej wojny i nigdy nie dochodziło do konfliktów.
- Dlaczego przestał pan odwiedzać córkę?
- Bo mi tego zabroniono.
- Zabroniła panu pani Hayden? Skinąłem głową.
- Sąd nie odebrał panu prawa do odwiedzin. Dlaczego nie odwołał się pan do sądu?
- Nie miałem możliwości. Zbankrutowałem. I piłem.
- Dlaczego nie próbował pan wytłumaczyć córce, czemu przestał się pan z nią widywać?
- Co by to dało?

Panna Spicer nie odpowiedziała. Po paru minutach zauważyła:

- Widziałam się wczoraj z pana byłą teściową. Zna pan jej plany?
- Tak.

Wziąłem udział w spotkaniu, podczas którego dyskutowano o przyszłości Dani. Starsza pani w krótkim



czasie działała cuda. Pewnie ją to niełicho kosztowało, lecz udało jej się załatwić, by Dani została przyjęta do renomowanej szkoły dla trudnych dzieci. Na zebranie przyszedł też doktor Weidman, najlepszy psychiatra dziecięcy, który był z ową szkołą związany i gotów był przyjąć odpowiedzialność za stan psychiczny Daniela.

- I zgadza się pan na nie?

- Uważam to za najlepsze wyjście. Pani Hayden potrafi zająć się Danią znacznie lepiej niż jakaś instytucja państwowa.

- Więc nie będzie się pan sprzeciwiał powierzeniu Daniela opiece babki.

- Nie. Wydaje mi się to jedynym rozsądnym rozwiązaniem. Pani Hayden jest mądrą osobą i zadba o to, by zapewnić Daniela odpowiednie otoczenie i opiekę.

- Nie wątpię - odpowiedziała oschle panna Spicer. - Ale matka Daniela też ponoć dbała o wszystkie jej potrzeby.

Wiedziałem, co chce przez to powiedzieć. Nora zapewniła Dani wszystko, czego dziewczynce było trzeba, a mimo to...

- Pani Hayden będzie mogła poświęcić Daniela znacznie więcej czasu niż Nora.

- Wie pan oczywiście, panie pułkowniku, że pańska córka nie jest dziewicą. I wszystko wskazuje na to, że jej kochankiem był mężczyzna, którego zabiła.

- Tak przypuszczałem.

- Pani Hayden twierdzi, że nic o tym nie wiedziała. Trudno mi było na ten temat zabrać głos.

- Wydaje nam się, że Dani nie ma pojęcia, co to jest moralność seksualna. A według naszych informacji matka dostarczała jej nie najlepszego przykładu.

- To prawda. I między innymi dlatego uważam, że dla Dani będzie lepiej, jeśli zamieszka u babki.

- Tak. Ale czy będzie to idealne wyjście? Skoro babka nie potrafiła wpłynąć na córkę, to czy poradzi

sobie z wnuczką? - Panna Spicer wypila resztkę kawy. - Czy dla dziecka nie będzie lepiej, jeśli zupełnie zmieni środowisko? Wstała.

- Dziękuję panu za rozmowę. W holu przystanęła.

- Dwie rzeczy są dla mnie ciągle niejasne.

- A mianowicie?

- Jeżeli Dani go kochała, dlaczego go zabiła?

- A druga?

- Jeżeli rzeczywiście go zabiła, jak się to mogło stać? Wszyscy mówią o jej opanowaniu, nigdy nie wybuchala, skąd nagle taki wyskok? - Chwilę milczała. - Ach, gdybyśmy mieli więcej czasu.

- Co by to pomogło?

- Zanim się zaczyna kurację, trzeba znać powód choroby. A my go jeszcze nie znamy. Musimy podjąć decyzję i ufać, że będzie słuszna. A skoro nie wiemy, co powodowało Daniela, będziemy musieli posłać ją na obserwację do Instytutu w Perkins.

Patrzyłem jak odchodzi, a potem wróciłem do pokoju. Jeszcze raz zadzwoniłem do Elżbiety, ale nie odebrała telefonu. Zrezygnowałem i poszedłem do baru „U Toma” na kolację, zjadłem kiełbasę z fasolą popijając piwem.

W niedzielę pojechałem do schroniska dla nieletnich. Dani była w dobrym nastroju.

- Mamusia była u mnie dwa razy. Przed chwilą wyszła. Powiedziała, że ułożyliście wszystko tak, żebym po wyjściu stąd zamieszkała u babci. Za każdym razem był z nią doktor Weidman. Znasz go?

- Tak, poznałem go.

- To łapiduch. Musiał się mamusi spodobać.

- Skąd wiesz?

Uśmiechnęła się złośliwie. - Jest w typie mamusi.

Wiesz, to taki facet, który lubi mówić, ale uważa, żeby nic nie powiedzieć. Roześmiałem się.

- Może się napijemy coca-coli?

- Fajnie.

Dałem jej dwa dziesiątaki i przyglądałem się jak podchodzi do automatu. Dużo stolików było zajętych. Wyglądało to raczej na Dzień Rodziców w szkole niż na dzień odwiedzin w więzieniu. Tylko siedzące przy drzwiach nadzorkynie i kraty w oknach przypominały smutną rzeczywistość. Dani wróciła i postawiła na stoliku butelki.

- Chcesz słomkę, tatusiu?

- Nie, dziękuję. Napiję się prosto z butelki. - Podniosłem butelkę do ust.

Dani piła przez słomkę.

- Mamusia nie pozwalała mi tak pić. Mówiła, że to wulgarne.

- Twoja matka jest prawdziwym ekspertem w sprawie wulgarności - zauważyłem ironicznie i zaraz zrobiło mi się głupio. Chwilę milczeliśmy.

- Czy ty wciąż pijesz, tatusiu? - spytała nagle Dani. Spojrzałem na nią ze zdziwieniem.

- Skąd ci to nagle przyszło na myśl?

- Przypomniałam sobie, jak pachniało od ciebie whisky, kiedy po mnie przychodziłeś.

- Nie, już nie piję.

- Czy piłeś z powodu mamusi?

Chwilę się zastanawiałem. Łatwo byłoby powiedzieć tak, ale nie byłoby to całkowitą prawdą.

- Nie. Nie dlatego.

- To dlaczego, tatusiu?

- Z wielu powodów. Ale przede wszystkim dlatego, że chciałem uciec przed samym sobą. Nie chciałem spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że jestem nikim.

Dani chwilę milczała i zastanawiała się. I znalazła odpowiedź.

- Ależ ty, tatusiu, nie byłeś nikim! Byłeś kapitanem statku.

Uśmiechnąłem się doceniając jej logikę. Pewnie nawet nie wiedziała, że próbowałem być kimś innym.

- Byłem kiedyś architektem. Usiłowałem zostać budowniczym, ale to mi się nie udało.

- Jak to? Przecież jesteś budowniczym. Czytałam w którejś gazecie.

- Nie naprawdę. Pracuję na budowie, ale to zupełnie coś innego.

- Chciałabym zostać budowniczym - zauważyła nagle Dani. - Ale budowałabym tylko szczęśliwe domy.

- Jak byś się do tego zabrała?

- Budowałabym domy tylko takim rodzinom, które byłyby szczęśliwe i chciałyby pozostać razem.

Nie mogłem jej odmówić racji. Ale kto mógłby jej to zagwarantować? Pan Bóg?

- Skoro już bawimy się w mówienie prawdy - zauważyłem jakby mimochodem - to może ty także odpowiesz mi na kilka pytań?

W jej oczach pojawiła się nieufność.

- Na jakie, tatusiu?

- Czyim przyjacielem był w gruncie rzeczy Riccio? Twoim czy twojej matki?

Zawahała się chwilę.

- Mamusi.

- Ale ty... - teraz mnie trudno było znaleźć odpowiednie słowo.

Spojrzała mi prosto w oczy.

- Powiedzieli ci, że z nim sypiałam? Skinąłem głową.

Spuściła wzrok.

- To prawda, tatusiu.

- Dlaczego, Dani? Dlaczego wybrałaś właśnie jego?

- Znasz przecież mamę. Lubi wszystkimi rządzić. Chciałam jej chociaż raz pokazać, że ja też coś potrafię.

- Tak? - spytałem. - I dlatego go zabiłaś?

- Nie - szepnęła. - To był przypadek.

- Czy byłaś zazdrosna o matkę? Czy to był prawdziwy powód?

Pokręciła przecząco głową.

- Nie chcę o tym mówić - powtórzyła z uporem.

- Wszystko już powiedziałam policji.

- Jeśli nie powiesz im prawdy, Dani, nie pozwolą ci zamieszkać u babki.

Wciąż unikała mego wzroku.

- Nie mogą mnie tu wiecznie trzymać. Muszą mnie wypuścić, kiedy skończę osiemnaście lat.

- Trzy i pół roku to bardzo długo.

- Co cię to właściwie obchodzi? - Spojrzała na mnie dość wyzywającym wzrokiem. - We wtorek po rozprawie wyjedziesz i pewnie już nigdy mnie nie odwiedzisz. Tak jak przedtem.

- Ależ Dani, przecież wiesz jak cię kocham. I to dlatego przyjechałem. I wyjaśniałem ci, czemu nie mogłem cię widywać.

- Bzdury! Gdyby ci na mnie naprawdę zależało, to byś mnie widywał. - Wpatrzyła się w coca-cole. Zastanawiałem się, co widzi w tym brunatnym płynie.

- Łatwo ci mówić - dorzuciła. - Dużo trudniej jest coś zrobić.

- Wiem, Dani. Wiem, że popełniłem mnóstwo błędów.

- No tak, tatusiu. - Spojrzała na mnie i nagle przestała być dziewczynką, miałem przed sobą młodą kobietę.

- Wszyscy popełniamy błędy. Nie mówmy już o tym. Cokolwiek powiesz, nie wpłynie to na moje życie, a to o moje życie chodzi. Już jest na to za późno. Zbyt długo cię nie było.

Miała rację i nie miała racji. Nic nie jest całkiem czarne ani całkiem białe.

- Czy był w twoim życiu ktoś inny?

- Nie.

- Mówisz mi prawdę, Dani?

Nagle w jej oczach pojawił się głęboki smutek.

- Kochałam go, tatusiu - wyznała. - I on mnie kochał. Czekaliśmy, aż dorosnę, i mieliśmy uciec i się pobrać.

\* \* \*

Słońce rozproszyło wreszcie mgłę. Odszedłem od okna. Wziąłem gazetę i spojrzałem na stronę poświęconą rozrywkom. Miałem ochotę pójść do kina, ale widziałem już niemal wszystkie wyświetlane tu filmy. Włączyłem telewizor. Po dziesięciu minutach miałem dosyć. Byłem w nieodpowiednim wieku, by oglądać dzienny program. Przeznaczony był, albo dla młodzieży albo dla starców.

Nagle zadzwonił telefon i podbiegłem do aparatu. Może Elżbieta wreszcie się uspokoiła.

- Pan pułkownik Carey?

- Tak.

- Mówi Lorenzo Stradella. Pamięta pan te listy, po które poszła Anna?

- A bo co?

- Te dwa listy wciąż znajdują się w moim posiadaniu.

- Ale po co pan mi to mówi? Wie pan przecież, kto kupił listy.

- Tak. Ale ona już zapłaciła. Te listy na pewno pana zainteresują.

- Nie - oświadczyłem. - Niech je pan zaproponuje pani Hayden.

- Chwileczka. Niech pan nie przerywa rozmowy.

- Słucham.

- Nie mogę ich zanieść do niej. Odstąpię je panu bardzo tanio.
- Nagle zrozumiałem. Oczywiście, nie mógł tych listów zaproponować Norze. Nora powiedziałaaby Coriano. A Coriano nie lubił, by jego ludzie coś przed nim ukrywali. Postanowiłem to sprawdzić.
- Okay, ale nie zamierzam pertraktować z podwładnymi. Niech Coriano do mnie zadzwoni. Chcę by pewien, że to są już ostatnie dwa listy. Miałem rację. Przerwał mi.
- Te listy mam ja. I to ja je panu proponuję.
- Coriano nie byłby z tego zadowolony.
- Nie musi się dowiedzieć, odstąpię je panu bardzo tanio.
- To znaczy za ile?
- Za pięćsetkę.
- Żegnam - oświadczyłem i odłożyłem słuchawkę. Ledwie zdążyłem zapalić papierosa rozległ się dzwonek. Tym razem jego głos brzmiał niemal pokornie.
- Ile pan proponuje?
- Pięćdziesiąt.
- Trochę przymało.
- Co robić? Jak pan wie, należę do ubogiej części rodziny.
- Pójdę panu na rękę. Dwieście pięćdziesiąt.
- Mogę dać setkę.
- Chwilę milczał, niemal słyszałem o czym myśli.
- I tak te pieniądze spadną panu z nieba - zauważyłem. - No dobrze.
- To proszę te listy przynieść.
- Zaraz, zaraz. Skąd wiem, że nie sprowadzi pan gliniarzy?
- Niech się pan nie wygłupia.
- Proszę czekać o jedenastej w swoim pokoju. Przyślę kogoś z listami.
- Okay.

- Tylko bez żadnych sztuczek. Wręczy pan forszę - dostanie listy.  
Telefon umilkł, odłożyłem słuchawkę. Usiadłem przy stole i wypisałem czek na sto dolarów. Potem zszedłem na dół i wymieniłem go w recepcji. Drżałem, czy w banku mam jeszcze dosyć pieniędzy.

## 16

Kiedy wróciłem do pokoju, migotało światelko przy telefonie. Dowiedziałem się od telefonistki, że dzwoniła Nora. Nakręciłem jej numer.

- Dobry wieczór, Karolu, mówi Carey. Czy pani Hayden jest w domu?
- Proszę chwileczkę poczekać. Zaraz pana połączę. Usłyszałem głos Nory.
- Łukasz?
- Tak. Czego sobie ode mnie życzysz?
- Muszę z tobą porozmawiać. Czy możesz przyjść na kolację?
- Chyba nie.
- Nie bądź taki staroświecki. Przecież cię nie zjem. Musimy pogadać o Dani.
- To znaczy?
- Powiem ci podczas kolacji.

Chwilę się wahałem. Miałem ochotę na coś smacznego. Jak długo można wcinać kielbasę z fasolą?

- O której mam przyjść?
- Może koło siódmej, będziemy mieć czas czegoś się napić.
- No to do zobaczenia - odłożyłem słuchawkę zastanawiając się, co znów strzeliło jej do głowy.



Kiedy o siódmej zadzwoniłem do drzwi, Karol niemal natychmiast mi otworzył.

- Dobry wieczór, panie pułkowniku.

- Dobry wieczór, Karolu.

Nagle poczułem się tak, jakbym nigdy nie opuścił tego domu.

- Pani jest w bibliotece. Zna pan drogę - uśmiechnął się.

- Znam drogę - odpowiedziałem dość oschle. Zapukałem do drzwi biblioteki i wszedłem. Nora wstała z ogromnej kanapy naprzeciwko biurka. Niemal równocześnie wstał doktor Weidman. Podeszła do mnie z wyciągniętą ręką.

- Łukasz. Strasznie się cieszę, że mogłeś przyjść. Znałem ten ton. Ciepły i przyjacielski, jak gdyby nigdy

nic. Kiedy znajdowaliśmy się w towarzystwie, zawsze mówiła tym tonem.

Wciąż trzymając mnie za rękę zwróciła się do doktora.

- Znasz przecież doktora Weidmana. Poznałeś go u mamy.

Jakże mógłbym zapomnieć. Zwłaszcza po tym, co powiedziała mi Dani. Jak się miałem zachować? Przekazać mu moją byłą oblubienicę?

- Witam pana, panie doktorze. - Wyciągnąłbym do niego rękę, gdyby nie to, że z bliżej nieznanymi mi powodów Nora wciąż trzymała moją dłoń w swojej.

Doktor lekko się skłonił.

- Miło mi pana znów zobaczyć. Nora wreszcie puściła moją dłoń.

- W barku stoi burbon. Dalej lubisz burbona? Skinąłem głową. Podeszedłem do barku.

- Czy mogę ci też nalać? - spytałem automatycznie, tak jak zawsze pytałem w dawnych czasach.

- Nie, dziękuję. Ja i doktor pijemy martini. Spojrzałem na nich z zaciekawieniem. Jeszcze jeden dowód, że Nora zaczęła się interesować doktorem.

Zwykle piła whisky, ale kiedy w jej życiu pojawiał się nowy mężczyzna, zaczynała pić to co on i palić ten sam gatunek papierosów.

Podnieśliśmy do ust szklaneczkę. Dopiero siedząc zorientowałem się, że automatycznie zająłem miejsce za biurkiem. Pociągnąłem łyk burbona i odstawiłem szklanę.

- Nic się tu nie zmieniło - zauważyłem rozglądając się po pokoju.

- Nie zamierzałam tu niczego zmieniać - szybko odpowiedziała Nora. - To był twój pokój i taki pozostał.

Zastanowiłem się, czemu to powiedziała. Nora nie była sentymentalna.

- Ja na twoim miejscu zmieniałbym wszystko. Żeby pozbyć się przykrych wspomnień.

Uśmiechnęła się.

- To mi nie było potrzebne.

Doktor Weidman wypił resztkę martini i wstał.

- Na mnie już czas, Noro.

- Jesteś pewien, że nie chcesz zostać na kolacji?

- Niestety muszę wracać do mojego gabinetu. Mam o ósmej pacjenta.

Nora postawiła szklanę i wstała.

- Odprowadzę cię do drzwi.

Weidman podszedł do mnie. Tym razem uścisnęliśmy sobie ręce.

- Miło mi było pana zobaczyć.

- Do widzenia, panie doktorze.

Patrzyłem jak wychodzą i znów zasiadłem za biurkiem. Machinalnie wysunąłem szufladę. W szufladzie leżały plany pierwszego domku osiedla.

Ileż to minęło lat, a czułem się tak, jakby to było wczoraj. Przyjrzałem się planom. Tak, ten dom i dziś także chciałbym wybudować. Zmieniłbym zaledwie parę drobiazgów.

Nagle zobaczyłem, że w drzwiach stoi Nora i obserwuje mnie.

- Jak widzisz, Łukaszu, nawet nie opróżniłam twojego biurka.

- Widzę. - Włożyłem plany do szuflady. - Właściwie dlaczego zaprosiłaś mnie na kolację?

Uśmiechnęła się.

- Najpierw ją zjemy, a potem ci o tym powiem. Zawsze zachowywałeś się rozsądniej po zjedzeniu czegoś smacznego.

Podeszła i stanęła nade mną z drugiej strony biurka.

- Zawsze uważałam, że pokoje związane są z ludźmi. Bez ciebie ta biblioteka wydawała mi się dziwnie pusta.

- Przestań, Noro. Nie masz już widowni - uśmiechnąłem się, by złagodzić moje słowa. - Nigdy nie byłaś sentymentalna.

Nagle się roześmiała.

- Nie mamy co do siebie żadnych złudzeń, prawda, Łukaszu?

- Istotnie.

Usiadła na kanapie i wzięła do ręki swoją szklaneczkę, chwilę patrzyła na to nieszczęsne martini, potem odstawiła je wzruszając ramionami.

- Bądź człowiekiem i nalej mi whisky. Nie rozumiem, jak można lubić martini. Śmierdzi tanimi perfumami.

Wstałem, nalałem whisky z wodą sodową i zaniósłem jej. Wypiła łyk i pokiwała głową.

- To jest to!

Wróciłem za biurko po moją szklanekę. Podniosłem ją do góry. Ona podniosła swoją zachęcającym gestem. Wypiliśmy.

- Doktor Weidman ma bardzo interesującą twarz. Prawda, Łukaszu?

Bezradnie rozłożyłem ręce.

- Wiesz, jak ma na imię?

- Nie.

- Wyobraź sobie, że Izydor. Izydor! W naszych czasach! I wcale mu nie przychodzi do głowy, że powinien je zmienić.
  - Może podoba mu się to imię?
  - Nie sędzę. Ale jest zbyt dumny, żeby się do tego przyznać. Wszyscy ci żydowscy lekarze odznaczają się dumą.
  - I słusznie.
  - Obnoszą się z tą swoją religią. I wiesz, co jeszcze zauważyłam?
  - Co?
  - Wszyscy mają przesmutne oczy. Takie jak Chrystus. Otworzyły się drzwi i do biblioteki wszedł Karol.
  - Kolacja na stole, proszę pani.
- Kolacja była wyszukana i obfita. Najpierw krab we wspaniałym musztardowym sosie, którego sekret znał tylko Karol. A krab ten spoczywał na liściach sałaty okrywających zmiażdżony lód. Potem podano *cioppino*, słynną rybną zupę z San Francisco, tak gęstą, że można było ją uznać za potrawkę z wszystkich morskich żyjątek Pacyfiku. *Clou* kolacji stanowił krwisty rostbef. A na deser były moje ulubione brzoskwinie z czekoladowymi lodami.
- Spojrzałem na Karola, gdy nalewał mi kawę. Uśmiechnął się do mnie. Pamiętał, jak przepadałem za tymi brzoskwiniami z puszek. Z początku gorszył się i zamawiał dla mnie świeże owoce. Ale po jakimś czasie uległ i kupował puszki. Pamiętał także, że po kolacji lubię wypić dużą filiżankę kawy.
- Wspaniała kolacja, Noro - zauważyłem. Uśmiechnęła się.
  - Cieszę się, że ci smakowała.
- Owszem, smakowała. Obzerałem się nieprzytomnie, choć ona jak zwykle tylko skubała każde danie.
- Myślę, że znamy się na tyle dobrze, iż nie weźmiesz mi za złe, jeśli zajrzę do kuchni i pogratuluję kucharce.

Nora wstała od stołu.

- Idź. Potem napijemy się w pracowni kawy z koniakiem.

Wszedłem do kuchni. Kucharcia wstała spocona i czerwona jak zawsze. Tyle, że posiwała.

- O, pan pułkownik! - zawołała ucieszona.

- Chciałem kucharci pogratulować cudownej kolacji.

- Cieszyłam się, że mogłam ją dla pana ugotować. Pan pułkownik zawsze lubił dobrze zjeść. - Nagle zachmurzyła się. - Tylko to okropne, że nie ma w domu panienki.

- Może już niezadługo wróci - pociesyłem ją.

- Czy pan pułkownik naprawdę tak myśli?

- Mam taką nadzieję, kucharcu.

- Modłę się o to. Och, gdybyśmy tego dnia byli w domu, może by do tego nie doszło!

Miałem już wyjść, ale zawróciłem.

- Nie było was w domu?

- No tak. Zwykle mamy wychodne w czwartek, ale ponieważ pani Hayden była w Los Angeles i miała wrócić dopiero w piątek późnym wieczorem, pan Riccio zwolnił nas także i w piątek.

- Tego nie wiedziałem.

- Pojechałam do Oakland odwiedzić siostrę i wróciłam bardzo późno. Już po wszystkim.

Spojrzałem na Karola.

- A Karol?

- Ja wróciłem o szóstej - odpowiedział. - Pani Hayden była już w domu.

- A Wioletta?

- Wioletta wróciła parę minut po mnie.

- No to musieliście słyszeć sprzeczkę? Karol pokręcił głową.

- Nie, proszę pana. Przygotowaliśmy zimną kolację, ale nikt nie chciał jeść, więc Wioletta i ja siedzieliśmy w kuchni. W kuchni nic nie słyhać.

Była to prawda. Umyślnie urządziłem dom w ten sposób, żeby kuchnia i pokoje służby znajdowały się z dala od nas. Nora zawsze twierdziła, że nie ma nic bardziej przykrego niż dobiegające z kuchni odgłosy zmywania.

Znów zwróciłem się do kucharki i powtórzyłem.

- Kolacja, kucharcu, była naprawdę świetna. Jeszcze raz dziękuję.

- Dziękuję panu, panie pułkowniku.

W rogu pracowni stał stolik, a na nim czekała kawa i koniak. Nora powitała mnie uśmiechem.

- No co? Kucharcia ucieszyła się?

- Czułem się jak syn marnotrawny po powrocie do domu.

Nora nalala do kieliszków koniaku i podała mi jeden z nich. Wziąłem go w garść, by ogrzać, podniosłem i powąchałem. Cudowny aromat.

Nora obserwowała mnie.

- No co? - spytała.

Wzięła swój kieliszek i wypila łyk. Kiedy znów odezwała się, jej głos brzmiał chrapliwie.

- Chcę, żebyś mi pomógł. Uważam, że Dani powinna wrócić do domu. Jej miejsce jest w domu.

Wyglądało na to, że góra przysłała nagle do Mahometa.

- Cóż miałbym w tym celu zrobić?

- A gdybyśmy wystąpili o to razem? Ty i ja. Wtedy mogłoby się udać.

- Zapominasz, że ja już od dawna tu nie mieszkam.

- Można by to zmienić - szepnęła.

Spojrzałem na nią i uświadomiłem sobie, że ona się nic a nic nie zmieniła. Uważała, iż ma prawo do tego, czego chce i gotowa była w tym celu zrobić wszystko, nie zważając kogo strąca po drodze.

- Co?

- Zastanów się nad tym. Dani będzie z nami lepiej niż u mojej matki. Gordon uważa, że mamy szansę.

Doktor

Weidman opowiada się za tym projektem i podejmuje się przekonać sąd.

- Gdybym był człowiekiem samotnym, można by się ze względu na Dani nad tym zastanowić. Ale zdajesz się zapominać, że mam żonę.

- Mówiłeś, że twoja żona jest bardzo wyrozumiała. I wie dobrze, jak kochasz Dani, inaczej nie pozwoliłaby ci tu przyjechać. Możemy sprawić, że ta propozycja wyda jej się atrakcyjna.

Zabezpieczymy ją finansowo aż do końca życia.

- Nie, Noro, nie trać czasu i energii. To nie wchodzi w rachubę.

Odstawiłem kieliszek i zamierzałem wstać. Nachyliła się i wzięła mnie za rękę.

- Łukaszu!

Poczułem jak przeszywa mnie elektryczny prąd. Nie odpowiedziałem.

- Łukaszu, nie pamiętasz?

- Pamiętam.

Jej palce zacisnęły się na mojej dłoni.

- Znów może być nam dobrze. Żadnemu z nas z nikim innym nie było tak cudownie.

Czułem się zahipnotyzowany.

- Tak.

- I to może wrócić.

Wyrwałem rękę. Byłem wściekły. Wściekły na samego siebie. Nie wolno mi było poddawać się.

Wiedziałem, co się za tym kryje. Czar przysł.

- Nie - powiedziałem ostro. - Nie może wrócić coś, co nigdy nie było prawdą. Nigdy już nie zgodzę się żyć kłamstwem.

- Ale teraz już nie będzie żadnych kłamstw. Nie masz już złudzeń.

- Noro, jesteś niemądra.

- Ja mam swoją pracę - oświadczyła patrząc mi

w oczy. - Ty będziesz miał swoją. Rozmawiałam z Jerzym. Chętnie ofiaruje ci poprzednie stanowisko. I stworzymy Dani dom.

Poczułem straszne znużenie. Nora niby to pomyślała o wszystkim, a naprawdę w ogóle nie wzięła pod uwagę rzeczywistości. Zrobiło mi się jej żal.

- Nie, Noro.

Oparła się o poręcz krzesła i w głosie jej pojawił się gniew.

- Tak się rozczulałeś nad swoją córką. Niby tak ją kochasz, że gotów jesteś dla niej wszystko zrobić. A teraz, kiedy masz okazję, nie chce ci się kiwnąć palcem.

Wiele rzeczy sobie uprzytomniłem. Zrozumiałem, co miała na myśli Elżbieta prosząc, bym wrócił do domu wyzwoliwszy się od dręczących mnie demonów. Musiała przewidzieć, co nastąpi. Musiała przewidzieć, że będę musiał wybrać. Ona albo Dani.

Poczułem ukłucie w sercu. Wiedziała, a mimo to kazała mi pojechać. Czyż można by znaleźć lepszą żonę?

Spojrzałem na Norę i było tak, jakbym ją zobaczył pierwszy raz w życiu. Sam Corwin miał rację twierdząc, że ludzie dla niej nie istnieją. Obchodziła ją tylko sztuka.

- Przyjechałem tu, by dopomóc Dani. Ale nie będę stwarzał jej życia w oparciu o pozory i hipokryzję.

- Używasz wielkich słów. Za chwilę powiesz mi pewnie, że kochasz żonę.

- Tak, Noro. Kocham ją.

- I może myślisz, że ona da ci się zbliżyć, gdy zobaczy te fotografie?

Oczekiwałem tego. I zmilczałem.

- Więc nie masz powodu odrzucać mojej oferty.

- Mam, Noro. Najlepszy powód na świecie. Nie lubię cię.



Wróciłem do motelu za kwadrans jedenasta i poszedłem prosto do mojego pokoju. Punkt jedenasta ktoś zapukał. Otworzyłem drzwi.

Zobaczyłem Annę Stradella, na jej twarzy malował się przestach.

Cofnąłem się.

- Proszę wejść, Anno - powiedziałem i zamknąłem za nią drzwi. - Dlaczego on tu panią przysłał?

- Bo uważał, że *mnie* nie odda pan w ręce policji, o ile ją pan zaalarmował.

- Nie musi się pani bać. Nie zawiadomiłem policji. Zobaczyłem w jej oczach ulgę.

- Wcale się nie bałam.

- Ma pani listy?

Otworzyła torebkę. Wyjęła listy i podała mi.

- A co się stanie, jeśli powiem pani, że nie mam pieniędzy?

Wzruszyła ramionami.

- Mało mnie to obejdzie.

- Ale jak pani to wytłumaczy bratu?

- Nie będę musiała. Dałam mu sto dolarów biorąc listy.

- Dlaczego?

- Bo chciałam, żeby one trafiły w pana ręce. Już dosyć się pan przez nas nacierpiał.

Zacząła płakać.

- Anno, proszę nie płakać. Mam pieniądze.

- Ja nie dlatego płaczę - oświadczyła. Łzy rozmazały tusz. - Wszystko jest takie skomplikowane.

- Na przykład?

- Stefan poprosił mnie dzisiaj, żebym za niego wyszła. **I** nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć.

Uśmiechnąłem się. Widać wciąż nie rozumiem kobiet.

- Myślałem, że pani na to czeka.
- To prawda. - Wytarła nos w higieniczną chusteczkę.
- Więc o co chodzi? Czy on wie o swoim bracie?
- Wie o Toniu. Ale nie wie o innych rzeczach.
- To znaczy?
- Kiedy dziewczyna pracuje dla Coriana, musi robić rozmaite rzeczy.

Zaczerpnąłem powietrza.

- Ma pani ochotę za niego wyjść? Skinęła głową.

Położyłem jej rękę na ramieniu.

- No to niech pani zaraz bierze ślub. Cokolwiek pani przedtem robiła, nie ma żadnego znaczenia.
- Czy pan tak naprawdę myśli?
- On panią kocha. Przecież inaczej nie chciałby się z panią ożenić. I tylko to jest ważne.

Uśmiechnęła się.

- Proszę iść do łazienki i umyć buzię. A ja zadzwonię, żeby nam przynieśli kawę. Dobrze nam zrobi.

Weszła do łazienki, ja zaś zamówiłem kawę i zacząłem przeglądać listy.

Najpierw otworzyłem list Dani. Kiedy go czytałem, poczułem, że mnie mdli. Tylko dziecko mogło napisać taki list, ale dziecko nie powinno nic wiedzieć o tym wszystkim, o czym pisało. Tak, Lorenzo dobrze ten list określił.

Zapukano do drzwi. Pomyślałem sobie, że obsługa w tym motelu jest naprawdę sprawna.

Ale to była Nora. Spojrzałem na nią ze zdumieniem.

- Czy mogę wejść? - spytała i weszła. - Przyszłam cię przeprosić. - Wyjęła z torebki kopertę. - Oto te fotografie. Nie miałam zamiaru ich wysłać.

Machinalnie wziąłem kopertę. Nie zdążyłem nic powiedzieć, kiedy z łazienki wyszła Anna.

Miała w ręku ręcznik, z twarzy znikł makijaż.

- Czy przynieśli już kawę, panie pułkowniku? - spytała i zobaczyła Norę.

Chwilę się sobie przyglądały, potem Nora zwróciła się ku mnie. Na jej twarzy malował się zawód i gniew.

- Powinnam być mądrzejsza - zauważyła chłodnym tonem. - A już gotowa byłam ci uwierzyć.

Wziąłem ją za ramię, by zatrzymać potok słów. - Ależ nie, Noro, zaraz ci wytłumaczę. Wyrwała mi się i zajrzała w oczy.

- Przestań się zgrywać. Jesteś taki sam jak my wszyscy. A przemawiasz tak, jakbyś był Panem Bogiem.

Zatrasnęła za sobą drzwi.

- Strasznie mi przykro, panie pułkowniku. Przynoszę panu pecha! - powiedziała Anna.

Wpatrywałem się w drzwi. Pierwszy raz słyszałem, żeby Nora za coś przepraszała. Nigdy dotąd się to nie zdarzyło. Spojrzałem na kopertę z fotografiami i wsunąłem ją do kieszeni.

Znów zapukano do drzwi. Tym razem była to kawa. Zapłaciłem i napełniłem filiżanki. Podałem jedną z nich Annie.

- Niech się pani napije. Zaraz się pani lepiej poczuje. Usiedliśmy z dwóch stron stołu. Oczy Anny były smutne. Zacząłem czytać list Nory.

I zapomniałem o Annie. W tym liście zawarta była odpowiedź na wszystkie dręczące mnie pytania.

Jeszcze raz - by się upewnić - przeczytałem ostatni akapit.

***Ale teraz, kochany, kiedy ustaliliśmy, że pobierzemy się w Święto Dziękczynienia, chcę cię jeszcze raz ostrzec. Jestem zazdrosna i żądam wyłączności. Jeśli choćby spojrzysz na inną kobietę, gotowa jestem cię zabić. Uważaj.***

***Całuję, Nora***

Usłyszałem z oddali głos Anny.

- Panie pułkowniku, co się stało? Wygląda pan jak duch.

W skroniach pulsował ból. Zobaczyłem w oczach Anny przerażenie.

- Nie, nic. Wszystko w porządku - wykrztusiłem. Tak, teraz sytuacja była jasna. Znałem prawdę i poza Norą i Dani byłem jedynym człowiekiem, który ją znał. Pozostawał tylko jeden problem.

Udowodnić sądowi, że moja córka nie zabiła Riccia. Że zabiła go jej matka.

**Część V**  
**Opowieść Łukasza**  
**Proces**

1

Dani wchodząc na salę sądową była bledziutka i spięta. Stała za Marion Spicer w drzwiach i rozejrzała się.

Siedzieliśmy tak jak poprzednim razem wokół długiego stołu, tyle że tym razem koło Nory siedział doktor Weidman, a Harris Gordon między nią a jej matką. W ten sposób ja znalazłem się z dala od Dani, która musiała być u boku swojej opiekunki sądowej.

Sędzia, urzędnik sądowy i stenotypistka zajęli już miejsca.

Kiedy Dani przechodziła koło mnie, dotknąłem jej ręki i uśmiechnąłem się, by dodać jej otuchy. Miała bardzo zimne ręce.

Usiłowała odpowiedzieć mi uśmiechem, ale był to tylko cień uśmiechu. Podniosłem do góry kciuk.

Dani skinęła głową i poszła dalej. Zatrzymała się, by ucałować babkę i matkę, potem poszła na swoje miejsce.

Sędzia nie tracił czasu. Uderzył młotkiem w stół, nim jeszcze Dani zdążyła usiąść.

- Celem obecnej rozprawy jest ustalenie, komu zostanie powierzona opieka nad nieletnią Danielą Norą Carey. Sąd weźmie pod uwagę interesy podopiecznej i stanu Kalifornia - spojrzał na Dani. - Rozumiesz, Danielo?

Dani skinęła głową.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Pamiętajsz pewnie, że tydzień temu poinformowałem cię o tym, jakie przysługują ci prawa. Masz prawo powoływać własnych świadków, prawo zasięgania porady prawnej i kwestionowania każdego oświadczenia, które wyda ci się niezgodne z prawdą, albo mogłoby przynieść uszczerbek twoim interesom.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Jak rozumiem, zgodziłaś się na to, by mecenas Harris Gordon, który reprezentuje twoją rodzinę, występował także w twoim imieniu. To prawda, Danielo?

Nie podniosła oczu.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Zatem przystępujemy do rozprawy - oznajmił biorąc do ręki kilka arkuszy papieru. - Mamy dwa wnioski. Panna Marian Spicer, opiekunka sądowa Danieli Carey, uważa, że nieletnia powinna pozostać w instytucji państwowej do chwili, gdy upewnimy się, że jej zachowanie nie będzie zagrażało ani jej samej, ani interesom stanu. Drugi wniosek złożył pan mecenas Harris Gordon imieniu rodziny, która uważa, że opiekę nad dzieckiem powinna objąć jej babka, pani Hayden. Pani Hayden zapewni dziecku wykształcenie i opiekę medyczną do chwili ukończenia przez nie osiemnastu lat.

Oba wnioski wyraźnie określają, jakie środki należy podjąć dla zapewnienia dziecku jak najstaranniejszej opieki. Jeśli nie usłyszę sprzeciwu, zaczniemy od rozpatrzenia wniosku opiekunki sądowej.

- Nie wnoszę sprzeciwu, Wysoki Sądzie - oświadczył Gordon.

- W porządku. - Sędzia zwrócił się do opiekunki sądowej. - Panno Spicer, czy zechce pani przedstawić sądowi powody, dla których uważa pani, że dziecko winno pozostać pod opieką państwa.

Marian Spicer nerwowo odchrząknęła i wstała.

- Wysoki Sądzie, istnieje wiele powodów. Nie wolno nam zapominać, że dziecko zostało oddane pod opiekę sądu po popełnieniu poważnego przestępstwa - zabójstwa.

- Zgłaszam sprzeciw - zerwał się Gordon. - Werdykt sędziego pokoju brzmiał: „nieumyślne zabójstwo”.

Panna Spicer straciła wątek. Spojrzała na sędziego.

- Sąd uznaje sprzeciw - oświadczył sędzia. - Ale chcę zwrócić uwagę, że Sąd dla Nieletnich sam bierze pod uwagę wszystkie tego typu obiekcje przemawiające na korzyść nieletniego. Tym razem, ponieważ nie ma ławy przysięgłych, których należałoby o tym poinformować, sąd wstrzymał się od zabrania głosu.

Gordon lekko się uklonił.

- Tak, Wysoki Sądzie.

Sędzia spojrzał na opiekunkę sądową.

- Proszę kontynuować, panno Spicer.

Marian Spicer spojrzała na leżące przed nią papiery i zaczęła mówić.

- Wydział nadzoru sądowego zajmuje się nie tyle winą nieletniej, ile powodami, dla których nieletnia popełniła przestępstwo, i stara się znaleźć rozwiązanie, które wykluczyłoby na przyszłość możliwość popełnienia podobnego przestępstwa.

Wysoki Sąd przeczytał w naszym sprawozdaniu, że skrupulatnie przyjrzelismy się otoczeniu dziecka i zbadaliśmy okoliczności sprawy. Dziecko przeszło wszystkie możliwe badania lekarskie.

Spojrzała przelotnie na Norę.

- Z badań lekarskich wynika, że dziewczynka jest zdrowa i że na krótko przed wizytą u lekarza miała stosunek seksualny. Zdaniem ginekologa co najmniej od roku utrzymywała z kimś stosunki seksualne. Zatem zaczęła życie płciowe mając zaledwie trzynaście lat.

Kiedy spytaliśmy o to Dani, odmówiła wszelkiej odpowiedzi. Nie chciała nam powiedzieć, kto był jej



kochankiem, nie chciała nawet potwierdzić faktu, że miała kochanka. Kiedy próbowaliśmy jej wytłumaczyć, że odmowa wszelkich wyjaśnień może niekorzystnie wpłynąć na decyzję sądu, odpowiadała uparcie, że nie ma to nic wspólnego z jej przestępstwem. Sędzia odchrząknął.

- Danielo - powiedział surowym tonem - czy dobrze zrozumiałaś oświadczenie panny Spicer?

Dani nie podniosła oczu.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Wiesz chyba, że zachowywałaś się karygodnie. Powinnaś rozumieć, że wykroczyłaś przeciwko wszelkim zasadom moralnym. Czy możesz powiedzieć coś na swoje usprawiedliwienie?

Tym razem na niego spojrziała.

- Nie, Wysoki Sądzie - odpowiedziała stanowczo. Sędzia chwilę się jej przyglądał, po czym znów zwrócił się do panny Spicer.

- Zechce pani kontynuować?

- Panna Sally Jennings, psycholog naszego wydziału, wielokrotnie rozmawiała z Danielą. Daniela odmawiała odpowiedzi na pytania dotyczące jej życia seksualnego, uważając, że jest to zbyt prywatna sprawa. Niemniej opowiedziała pannie Jennings kilka wydarzeń ze swego życia. Sprawozdanie panny Jennings dołączyliśmy do naszego wniosku.

Panna Spicer wzięła kartkę papieru.

- Oto streszczenie sprawozdania panny Jennings. Cytuję.

„Po wielokrotnych rozmowach z Danielą Norą Carey doszłam do następującego wniosku. Dziecko pozornie opanowane i zrównoważone jest podświadomie bardzo zazdrosne o matkę. Jak sama mówiła, często wobec matki „wybuchala”, by zwrócić na siebie jej uwagę i w ten sposób upewnić się, że matka ją kocha. Gdyż tylko w takich

chwilach czuła, że matka uprzytamnia sobie jej istnienie, a poza tym nie bardzo się nią interesuje. Daniela uważa, że matka odsuwała od niej wszystkich, którzy ją kochali, którzy obdarzyli ją większym uczuciem niż matkę, uważa, że matka jest o nią zazdrosna i zaraz zaprzecza samej sobie utrzymując, że matka ją kocha. To wskazywałoby na pewne skłonności paranoiczne, ale nie mogliśmy tego z całą pewnością stwierdzić. I nie potrafię powiedzieć czy taka ukryta paranoja może w pewnych okolicznościach doprowadzić do aktu agresji. Uważam zatem, że dziecko powinno pozostać pod opieką państwa, dopóki dalsze badania psychiatryczne nie wykluczą takiej możliwości".

Panna Spicer odłożyła arkusik papieru i znów spojrzała na sędziego.

- Oczywiście, zgodnie z przepisami zbadaliśmy dokładnie życie dziecka w szkole i w domu. Szkoła wysoko ocenia jej rozwój intelektualny. Dziewczynka należy do najlepszych uczennic. Jest lubiana przez koleżanki, acz traktuje je z pewną wyższością. Chłopcy, z którymi się stykała uważają, że nudziła się w ich towarzystwie i nie potrafiła tego ukryć. Rozmawialiśmy także z matką Danieli, która twierdzi, że nic nie wiedziała o życiu seksualnym córki. Danieli w domu pod względem materialnym niczego nie brakowało, ale pod względem moralnym wpływ i przykład matki był na pewno fatalny. Bynajmniej nie zamierzamy osądzać pani Hayden, zdajemy sobie sprawę, że jako artystka żyje w wyimaginowanym świecie, niemniej nie wpoila ona Danieli podstawowych kryteriów dobra i zła. Nie chcemy wchodzić w szczegóły intymnego życia pani Hayden, uważamy jednak, że dziecko nie powinno znajdować się w zasięgu jej wpływów.

Spojrzałem na Norę. Zacisnęła usta wpatrzone w pannę Spicer. Gdyby wzrok mógł zabijać, opiekunka sądowa padłaby trupem.

Panna Spicer nie zwracała uwagi na Norę. Mówiła wyłącznie do sędziego.

- Rozmawialiśmy także z babką dziecka, panią Hayden, która pragnie podjąć się opieki nad wnuczką. Pani Hayden cieszy się ogólnym poważaniem. Niemniej mamy jedno zastrzeżenie. Pani Hayden liczy obecnie siedemdziesiąt cztery lata i choć stan jej zdrowia można uznać za zadowalający, na pewno nie będzie osobiście zajmowała się dzieckiem, obawiamy się więc, czy mimo najlepszej woli potrafi wywiązać się z przyjętego na siebie obowiązku. Tak więc, mimo najgłębszego szacunku dla pani Hayden, nie możemy zalecić, aby dziecko zostało powierzone jej opiece.

Starsza pani nawet nie drgnęła. Spokojnie patrzyła na opiekunkę sądową. Musiała oczekiwać takich obiekcji. Teraz przyszła kolej na mnie.

- Rozmawialiśmy także z ojcem dziecka, pułkownikiem Careyem. Mieszka poza stanem Kalifornia, a to automatycznie wyklucza możliwość powierzenia mu Daniela. Istnieją jednak dalsze przeciwwskazania. Przez wiele lat nie miał kontaktu z córką. I uważamy, że nie ma dostatecznego doświadczenia ani możliwości finansowych, żeby zająć się dzieckiem.

Uważamy zatem, że ze względu na dobro dziecka Wysoki Sąd powinien skierować je do Instytutu w Perkins. Mamy nadzieję, że po przejściu odpowiednich badań Instytut odeśle ją do szkoły dla trudnych dzieci w Los Guilicos, gdzie otrzyma wykształcenie i przejdzie psychoterapię, która wraz z dojściem do pełnoletności umożliwi jej powrót do normalnego życia.

Opiekunka sądowa skończyła, zapadła cisza. Przerwał ją głos sędziego.

- Czy ktoś pragnie zadać jakieś pytanie?

Harris Gordon wstał.

- W normalnych okolicznościach zgłosiłbym wobec tego sprawozdania szereg obiekcji. Ale jestem pewien, że Wysoki Sąd sam weźmie te zastrzeżenia pod uwagę.

Sędzia skinął głową.

- Owszem, panie mecenasie.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Uważamy ponadto, że nasz wniosek zawiera już w sobie potencjalny protest wobec wniosku wydziału nadzoru sądowego nad nieletnimi. Uważamy, że wydział nadzoru sądowego powierzchownie podszedł do sprawy i nie wykazał należytej bezstronności. Nie wziął pod uwagę, że w tym wypadku rodzina jest w stanie zapewnić dziecku lepszą opiekę niż jakakolwiek instytucja państwowa.

- Panie mecenasie, sąd zapoznał się z pańskim wnioskiem. Czy pragnie pan obecnie bliżej go uzasadnić?

Gordon skinął głową. Wciąż stał.

- Wysoki Sądzie, wniosek ten został złożony przez panią Małgorzatę Cecylię Hayden, babkę dziecka ze strony matki.

- Tak, sąd czytał wniosek.

- Dziękuję Wysokiemu Sądowi. Wnioskodawczyni podziela wiele opinii wyrażonych w piśmie wydziału nadzoru sądowego. Niemniej uważa, że instytucje państwowe są zbyt przeciążone, żeby zapewnić dziecku warunki do pełnej rehabilitacji.

Wnioskodawczyni przedstawia konkretny plan: Uzgodniliśmy ze Szkołą w Abingdon dla dziewcząt, że przyjmie Daniełę, nie zważając na to, iż rok szkolny już się zaczął. Wysoki Sąd wie niewątpliwie, jaką reputacją cieszy się owa szkoła. W całym kraju nie ma szkoły, która by równie świetnie radziła sobie z tak zwanymi trudnymi dziećmi. I jestem pewien, że sukcesy te uzyskuje dzięki temu, że dziecko nie jest pozbawione normalnego życia rodzinnego, wracając co wieczór do domu nie czuje się wyobcowane.

Na dzisiejsze posiedzenie sądu stawił się doktor Izydor Weidman, wybitny psychiatra dziecięcy. Jest związany ze Szkołą w Abingdon i podejmuje się zająć psychoterapią Daniela. Zgodził się przyjść, by odpowiedzieć na wszelkie pytania dotyczące przyszłej kuracji dziecka.

- Sąd zna dobrze doktora Weidmana - oznajmił sędzia - i odnosi się z najwyższym szacunkiem do jego talentów medycznych. W obecnej chwili jednak nie zamierzamy zadawać mu żadnych pytań.

Gordon skłonił się lekko.

- Pani Hayden nawiązała także kontakt z kościołem Sw. Tomasza, gdzie jej wnuczka będzie mogła uczęszczać na nabożeństwa i lekcje religii. Pastor J.J. Williston nie mógł niestety dziś przyjść, ale gotów jest stawić się w uzgodnionym przedtem terminie i zapoznać Wysoki Sąd ze swymi planami religijnego wychowania dziecka.

Jeśli chodzi o stan zdrowia pani Hayden, o który tak się troszczy wydział nadzoru sądowego, to chcę zaznaczyć, że pani Hayden zasiada w jedenastu radach nadzorczych towarzystw przemysłowych i aktywnie zajmuje się sprawami czterech. Jest także członkiem zarządu Fundacji Sztuki przy tutejszym uniwersytecie i członkiem zarządu Stowarzyszenia Córek Założycieli San Francisco.

Przed paroma dniami pani Hayden została dokładnie przebadana w szpitalu San Francisco. Pozwolę sobie odczytać fragmenty orzeczenia lekarskiego.

Wziął do ręki kartkę papieru.

- My, niżej podpisani stwierdzamy, że pani Małgorzata Cecylia Hayden, lat siedemdziesiąt cztery, cieszy się doskonałym stanem zdrowia i nie ma żadnych dolegliwości związanych zwykle z podeszłym wiekiem, nic też nie wskazuje na to, by w ciągu najbliższych pięciu lat groziła jej jakaś choroba.

Gordon przerwał i spojrzał na sędziego.

- Orzeczenie to zostało podpisane przez doktora Waltera Llevellyna, profesora geriatrici Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Południowej Kalifornii, oraz pięciu lekarzy, którzy pod jego kierownictwem zbadali panią Hayden. Czy mam odczytać ich nazwiska?

- Sąd przyjmuje do wiadomości diagnozę profesora Llevellyna. Nie ma powodu do odczytywania wszystkich nazwisk.

Gordon znów wypił łyk wody.

- Do wniosku pani Hayden chciałbym dodać tylko jedno. Spojrzał przez stół na Dani. - Chcemy prosić Wysoki Sąd, żeby wziął pod uwagę, że dziecku dla odzyskania równowagi psychicznej potrzebna jest przede wszystkim miłość i poczucie bezpieczeństwa, którego dostarcza pewność, że jest się kochanym. Inaczej cała nasza wiedza medyczna i psychiatryczna może się okazać bezsilna.

Uważamy, że pani Hayden może zapewnić wnuczce równie dobrą opiekę medyczną jak państwo. I otoczyć ją miłością, której dziecko w żadnej instytucji państwowej nie znajdzie.

Sędzia spojrzał na pannę Spicer.

- Czy ma pani jakieś uwagi? Opiekunka sądowa wstała.

- Wydział nadzoru sądowego rozpatrzył skrupulatnie wniosek pani Hayden, niemniej nadal uważa, że dziecko powinno zostać przebadane w Instytucie w Perkins. Gdybyśmy nie byli o tym przekonani, poparlibyśmy wniosek pani Hayden.

Sędzia zwrócił się do Dani.

- Danielo, czy masz jakieś uwagi odnoszące się do tych dwóch wniosków.

- Nie, Wysoki Sądzie - odpowiedziała Dani cichutkim głosem.

- Czy dobrze zrozumiałaś, że mam obecnie podjąć

decyzję, komu powierzyć opiekę nad tobą - państwu czy twojej babce? Im więcej będę o tobie wiedział, tym łatwiej będzie mi taką decyzję podjąć. Więc może chciałabyś mi coś jeszcze powiedzieć? Dani nie podniosła wzroku.

- Nie, Wysoki Sądzie.

- Ty nie tylko popełniłaś coś strasznego, ale twoje poprzednie zachowanie sprzeczne było ze wszelkimi zasadami moralności. Czy możesz mi powiedzieć coś, co przekonałoby mnie do przyjęcia wniosku twojej babki?

Dani wciąż nie podnosiła oczu.

- Nie, Wysoki Sądzie.

- Może wolałabyś porozmawiać ze mną w cztery oczy w moim gabinecie?

- Nie, Wysoki Sądzie. Sędzia westchnął.

- Sama rozumiesz, że nie zostawiasz mi możliwości wyboru.

W oczach sędziego dostrzegłem smutek. Chwilę siedział bez ruchu. Potem podniósł głowę i kolejno nam się przyjrzał. Jego twarz przybrała uroczysty wyraz. Odchrząknął.

Wpatrywaliśmy się w niego bez tchu. Sięgnął po młotek.

- Wysoki Sądzie! - zawołałem zrywając się z miejsca.

- Słucham, panie pułkowniku?

Rozejrzałem się wokoło. Na wszystkich twarzach malowało się zdumienie, ale ja widziałem tylko Dani.

Wpatrywała się we mnie podkrążonymi oczyma. Na pewno dziś rano płakała. Zwróciłem się w stronę sędziego.

Nadeszła ostatnia chwila, w której mogę jeszcze coś zrobić dla mojej córki.

2

Odchrząknąłem.

- Wysoki Sądzie, czy wolno mi zadać kilka pytań?

- Ma pan ku temu wszelkie prawa - odpowiedział sędzia. - Tak samo jak pańskiej córce wolno panu przesłuchiwać świadków i zasięgać porady adwokata.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Chciałbym o coś spytać pannę Spicer.

- Proszę.

Zwróciłem się w stronę opiekunki sądowej.

- Panno Spicer, czy wierzy pani, że moja córka zdolna była kogoś zabić?

Gordon zerwał się.

- Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw. Pułkownik Carey zadaje pytanie, na które odpowiedź może się okazać niekorzystna dla mojej klientki.

Sędzia spojrział na niego i oznajmił lekko poirytowanym tonem.

- Panie mecenasie, wyjaśniłem już panu, że sąd nie bierze pod uwagę żadnych wypowiedzi, które mogłyby zaszkodzić nieletniej. - Zwrócił się do panny Spicer. - Zechce pani odpowiedzieć na to pytanie.

Opiekunka sądowa zawahała się.

- Nie wiem.

- Powiedziała mi pani któregoś dnia, że trudno pani uwierzyć, żeby tak opanowane dziecko jak Dani mogło kogoś zabić. I że czułaby się pani spokojniejsza, gdyby potrafiła pani znaleźć psychologiczne uzasadnienie takiego czynu. Dlaczego?

Panna Spicer spojrziała na sędziego.

- Ani pannie Jennings, ani mnie nie udało się nawiązać kontaktu z Danielą i nie wiemy, do czego jest czy



była zdolna. Ale stwierdziłyśmy, że wykazuje niezwykle wręcz - jak na dziewczynkę w jej wieku - opanowanie.

- Była pani w sądzie pokoju i słyszała pani, co orzekła ława przysięgłych. Czy zgadza się pani z tym werdyktem? - spytałem.

- Przyjęłam go do wiadomości i zaakceptowałam.

- Ja nie o to pytałem. Czy poznawszy moją córkę uważa pani, że mogła ona w chwili podniecenia zabić człowieka? Znow się zawahała.

- Nie mogę tego wykluczyć.

- Ale ma pani wątpliwości? Skinęła głową.

- Zawsze istnieją wątpliwości, panie pułkowniku. Ale mamy do czynienia z faktami i nie możemy powodować się niejasnymi odczuciami. Fakty zgodne są z orzeczeniem sądu.

- Dziękuję pani, panno Spicer.

Zwróciłem się w stronę sędziego. Oparł się o stół i bacznie mi się przyglądał. Z ciekawością oczekiwał moich dalszych słów. Gordon znow wstał.

- Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw. Nie wiem do czego zmierzają pytania pułkownika Careya. Ale wydają mi się niezgodne z przyjętą procedurą prawną.

Sędzia zwrócił się w moją stronę.

- Muszę przyznać, panie pułkowniku, że wprawia mnie pan w zakłopotanie. Nie. bardzo rozumiem, do czego pan zmierza.

- Ja sam, Wysoki Sądzie, nie jestem tego pewny, ale jest parę rzeczy, które wydają mi się niejasne.

- A mianowicie?

- Gdyby moja córka nie była nieletnia, a orzeczenie sądu brzmiało: „nieumyślne zabójstwo w usprawiedliwionym afekcie", prawdopodobnie nie groziłaby jej kara więzienia. Czy Wysoki Sąd się ze mną zgadza?

Sędzia skinął głową.

- Ale ponieważ jest nieletnia, wobec tego zostanie ukarana i stąd ta dzisiejsza rozprawa?

Sędzia zaprotestował.

- O nie, panie pułkowniku. Dzisiejsza rozprawa ma na uwadze tylko dobro nieletniej.

- Wysoki Sąd zechce mi wybaczyć, że nie rozumiem. Nie jestem prawnikiem. Ale skoro grozi jej zamknięcie, muszę to uznać za karę.

- Zapewniam pana, że my nie zajmujemy się ani winą, ani karą.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Niemniej muszę wyznać, że wciąż mam wątpliwości. Gdyby to *mnie* sędzia pokoju obciążył winą za jakieś przestępstwo, miałbym możliwość obrony podczas przewodu sądowego. Mógłbym udowodnić swą niewinność - lub musiano by dowieść mi winy.

Sędzia skinął głową.

- Ale w przypadku mojej córki nie uznano tego za konieczne. Wysoki Sąd od pierwszej chwili tłumaczył nam, że skoro Dani jest nieletnia, nie może być mowy o karze. Chodzi tylko o to, kto będzie sprawował nad nią opiekę. I dopiero dziś zdałem sobie sprawę, że zapomniano o najważniejszym. Zachciało mi się pić i sięgnąłem po szklankę wody. Sędzia przyglądał mi się z nie ukrywanym zaciekawieniem.

- Podczas całej procedury nie umożliwiono mojej córce obrony.

- Przecież miała do niej wszelkie prawo - znów zaprotestował sędzia. - Pan Gordon jest świetnym adwokatem i uczestniczył we wszystkich posiedzeniach sądu. To rodzina Daniela powierzyła mu misję obrony nieletniej, a jeśli ma pan w stosunku do niego jakieś zastrzeżenia, zgłasza je pan w nieodpowiednim miejscu.

Poczułem się zagubiony w tych wszystkich subtelnościach prawnych.

- Wysoki Sądzie, ja próbuję się dowiedzieć jednego... Co mam zrobić, żeby Wysoki Sąd zechciał dociec, jak wyglądała prawda?

Sędzia dłuższy czas milczał.

- Jeśli pan sobie tego życzy, panie pułkowniku, to proszę pytać. Sąd jest w tym samym stopniu co pan zainteresowany prawdziwym przebiegiem wydarzeń.

Gordon zerwał się: - Wysoki Sądzie, nie jest to zgodne z procedurą - zaprotestował. - Pułkownik Carey niepotrzebnie przedłuża sprawę. Ława przysięgłych sędziego pokoju wydała werdykt. Nie widzę powodu, żeby go kwestionować. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że celem obecnej rozprawy jest jedynie wyznaczenie opieki nad dzieckiem. Zgłaszam sprzeciw.

- Wysoki Sądzie, gdyby chodziło o normalny sąd, moja córka miałaby prawo do apelacji. Czy nie możemy potraktować tak dzisiejszej rozprawy?

Sędzia spojrzał na nas.

- W naszych kompetencjach nie leży podważanie wyroku sędziego pokoju. Niemniej naszym obowiązkiem jest wysłuchanie wszystkich argumentów, które mogłyby wpłynąć na naszą decyzję. I obrona interesów nieletniej. Dzisiejsze posiedzenie sądu nie jest formalnie rozprawą sądową, nie widzę zatem przeszkód, by wysłuchać zastrzeżeń pułkownika Careya.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Gordon siadając spojrzał na mnie niechętnie.

- Czy mogę wezwać świadka? - spytałem sędziego. Ten skinął głową.

Podszedłem do prowadzących do poczekalni drzwi i otworzyłem je. Anna siedziała w kącie pod oknem. Przywołałem ją skinieniem i weszła na salę sądową.

- Wysoki Sądzie - oznajmiłem - oto jest Anna Stradella.

Nora zbladła z wściekłości. Szepnęła coś do Gordona.

Starsza pani zachowała spokój. A na buzi Dani odmalowała się ciekawość.

- Proszę usiąść, panno Stradella - powiedział sędzia wskazując jej krzesło. Anna usiadła, a urzędnik sądowy podszedł do niej z biblią w ręku. Ceremonia przysięgi trwała parę sekund.

- Może pan zaczynać, panie pułkowniku - oznajmił sędzia, a na jego twarzy pojawiło się zainteresowanie.

Anna była ubrana na czarno, czerń podkreślała tylko jej bujne kształty. Siedziała nieruchomo oparłszy dłonie o torebkę.

- Czy zechce pani opowiedzieć Wysokiemu Sądowi, gdzie panią poznałem?

- Pułkownika Carey poznałam, gdy przyszedł do zakładu pogrzebowego, by pomówić z rodziną Tonią Riccio.

Kącikiem oka zobaczyłem, że Dani nachyla się, chcąc lepiej przyjrzeć się Annie.

- A czemu należy przypisać, że była tam pani także obecna?

- Tonio był moim narzeczonym - odpowiedziała spokojnie.

- Od jak dawna?

- Od dziesięciu lat.

- Jak na obecne czasy było to bardzo długie narze-czeństwo?

- Owszem. Ale Tonio chciał, żebyśmy poczekali ze ślubem, aż się wzbogaci.

- Rozumiem. Wiedziała pani, że pracuje on u pani Hayden?

Skinęła głową.

- Czy wypytywała go pani, na czym polega jego praca?

- Nie. Ale on często opowiadał mi o pani Hayden.

- Na przykład co?

Gordon znów się zerwał.

- Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw. Nie ma to żadnego związku z tym, co stanowi przedmiot dzisiejszej rozprawy.

- Oddalam sprzeciw - sędzia był wyraźnie ciekawy do czego zmierzam. - Proszę kontynuować, panie pułkowniku.

- Mawiał, że jest to bogata dama w średnim wieku i dobrze mu płaci za wszystkie jego usługi.

- Czy opowiadał coś o swoim życiu w domu chlebo-dawczyni?

- Tak - wyszeptala. - Mówił, że nie wie, kto mu bardziej daje w kość - mała czy jej matka.

- Czy przez to chciał powiedzieć, że z obydwoma utrzymuje stosunki seksualne?

- Tak.

- A jednocześnie sypiał także z panią?

- Tak - szepnęła Anna spuściwszy oczy.

- I pani nie protestowała? Zgadzała się pani na jego związek z panią Hayden i jej córką?

- Cóż by to dało? Mówił mi, że tylko w ten sposób może utrzymać się na tej posiadzie.

- To kłamstwo - zawołała nagle Dani. - Podłe kłamstwo!

Sędzia stuknął młotkiem.

- Danielo, nie przeszkadzaj. Bo będę cię musiał prosić o opuszczenie sali sądowej.

Twarz Dani skamieniała. Spojrzała na mnie. Zrozumiałem jak poczuł się Judasz, gdy spojrział na niego Chrystus. Znów zwróciłem się w stronę Anny.

- Kiedy po raz ostatni widziała się pani ze swoim narzeczonym?

- Jakies dwa tygodnie przed jego śmiercią.

- Co wówczas pani powiedział?

- Dał mi dużą żółtą kopertę i prosił, bym ją dla niego przechowała. Powiadomił mnie, że są tam listy pani

Hayden i jej córki i że wkrótce będzie mógł uzyskać za nie dużą sumę pieniędzy, która umożliwi nasz ślub. - Czy przeczytała pani te listy?

- Nie - odparła. - Koperta była zapieczętowana.

- Co pani z nią zrobiła?

- Schowałam. Któregoś wieczoru pojawił się mój brat i oznajmił, że przysłał go po nią Tonio. Dopiero po wyjściu brata dowiedziałam się o śmierci Tonią.

- Co pani brat zrobił z tymi listami? - Sprzedał je.

- Komu?

- Pani Hayden.

- Wszystkie?

- Nie. Brat zachował dwa listy.

- I co się z nimi stało?

- Sprzedał je panu za sto dolarów. Tym razem Nora zerwała się z miejsca.

- A to skurwiel!

Gordon zmusił ją, by usiadła, był tak samo zaskoczony jak wszyscy obecni.

Wyjąłem listy z kieszeni.

- Czy to są te listy, które przyniosła mi pani w imieniu brata?

Przyjrzała im się.

- Tak.

- To by było wszystko, Anno. Dziękuję pani. Wstała i wyszła.

- Chciałbym przeczytać fragment jednego z listów - oświadczyłem i odczytałem ostatni akapit listu Nory nie czekając na przyzwolenie sędziego.

- Mamusiu! Nie powiedziałaś mi, że miałaś za niego wyjść! - zawołała Dani. - Dlaczego mi tego nie powiedziałaś?! - Uspokój się, Dani. - Opiekunka sądowa objęła Daniełę.

Gordon wstał.

- Zgłaszam wniosek, żeby wykreślić z protokołu zeznania tej kobiety oraz fragment listu jako nie mające nic wspólnego ze sprawą decyzji co do opieki nad nieletnią.
  - Podtrzymuję sprzeciw - zgodził się sędzia. Spojrzał na mnie. - Czy ma pan dla nas jakieś dalsze niespodzianki?
  - Tak, Wysoki Sądzie. Chciałbym zadać parę pytań pani Hayden.
- Gordon znów wstał.
- Zgłaszam sprzeciw.
  - Uchylam sprzeciw.
  - Wobec tego proszę o chwilę przerwy, w celu naradzenia się z moją klientką.
- Sędzia nachylił się.
- Ma pan kilka klientek. O którą panu w tej chwili chodzi?
- Gordon zaczerwienił się.
- Chcę się naradzić z panią Norą Hayden. Sędzia skinął głową i uderzył młotkiem w stół.
  - Sąd ogłasza piętnastominutową przerwę. Wstaliśmy, gdy wychodził. Panna Spicer zabrała Dani do poczekalni dla dziewcząt. Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Gordon zaatakował mnie.
  - Co u diabła, Łukasz, chce pan przez to osiągnąć?

3

- Próbuję zastąpić pana, panie mecenasie. Bronię mojej córki.
- Chyba pan oszalał! Pan tylko pogarsza jej sytuację.
- Czyż mogłaby być gorsza? Sędzia zamierza przecież odesłać ją do zakładu zamkniętego.

- Tego pan nie wie. Nie ogłosił jeszcze swej decyzji. A w takim wypadku złożylibyśmy jutro następny wniosek. Mamy do tego prawo.

- I co by to dało? - spytałem. - Dani siedziałyby za kratkami. Dlaczego pan tak bardzo obawia się prawdy? Czyżby ją pan znał?

- Co?

Widziałem, że naprawdę nie rozumie.

- Nora boi się, że odkryję, co naprawdę zdarzyło się tamtego wieczoru. I to dlatego zleciła Coriano, żeby znalazł na mnie bata.

- Jak to?

Wyjąłem z kieszeni zdjęcia, pokazałem mu je i wyjaśniłem, co owego dnia zaszło. Zbladł. Schowałem zdjęcia.

- Nora ostrzegła mnie, że jeśli się będę wtrącał, wyśle te zdjęcia mojej żonie.

- Nie powinnam była ci ich oddawać! - krzyknęła gniewnie Nora. - Musiało mi coś paść na mózg! Gordon był wściekły. Wziął ją niemal brutalnie za ramię i zaprowadził w kąt sali.

Słyszałem ich głosy, ale nie słyszałem słów. Usiadłem i sięgnąłem po szklanekę wody. Marzyłem o papierosie, ale nie wiedziałem, czy wolno tu palić.

- Panie pułkowniku, gotów pan doprowadzić córkę do prawdziwego rozstroju nerwowego - zauważył doktor Weidman.

Spojrzałem na niego. Zobaczyłem w jego oczach sympatię. Wypiłem łyk wody.

- Panie doktorze, wolę, żeby cierpiała przez chwilę, niż spędziła trzy lata w poprawczaku.

Weidman nie odpowiedział. Sięgnąłem po papierosa i zapaliłem. Do diabła z przepisami.

Stwierdziłem, że drżą mi ręce.

Starsza pani wzięła mnie za rękę.

- Mam nadzieję, Łukaszu, że wiesz, co robisz.



Spojrzałem na nią. Ona jedna robiła wrażenie osoby przy zdrowych zmysłach.

- Tak mi się wydaje - odparłem.-

Nagle zateęskniłem za obecnością Elżbiety. Ona wiedziałaby jak powinienem postąpić, pomogłaby mi zwalczyć wątpliwości, które nagle mnie nawiedziły. A może Gordon ma rację? Może moje nieudolne próby pomocy córce wyrządzą więcej szkody niż dobrego? Sam już nie wiedziałem... Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak rozpaczliwie samotny.

Otworzyły się drzwi gabinetu i pojawił się w nich sędzia. Wstaliśmy. Uderzenie młotka pozwoliło nam z powrotem usiąść. Gordon i Nora wrócili. Zobaczyłem, że Gordon jest wciąż wściekły.

- Poproszę o przyprowadzenia dziecka - oświadczył sędzia.

Urzędnik podszedł do drzwi poczekalni dla dziewcząt i zapukał. Po chwili Dani wraz z opiekunką sądową zasiadły za stołem.

Oczy Dani były jeszcze bardziej zapuchnięte, widać było, że znów płakała. Nawet nie spojrzała na mnie siadając.

- Proszę kontynuować, panie pułkowniku - powiedział sędzia.

Gordon wstał, nim ja zdołałem to uczynić.

- Jeszcze raz zgłaszam sprzeciw. Jeśli Wysoki Sąd nie przerwie tej haniebnej procedury, oskarżymy Wysoki Sąd o stronnictwo.

Oczy sędziego Murphy'ego nabrały stalowego wyrazu.

- Czy pan mecenas mi grozi?

- Ależ nie, Wysoki Sądzie. Formułuję jedynie prawne zastrzeżenia.

- Sąd odnosząc się z całym szacunkiem do opinii pana mecenasa pragnie jednak zaznaczyć, że jeśli zostanie oskarżony o stronnictwo na korzyść nieletniej, będzie to tylko oznaczało, że godnie wypełnił swoje zadania.

Bowiem ochrona jej interesów jest pierwszym i najważniejszym obowiązkiem tego sądu.

Gordon w milczeniu usiadł. Sędzia zwrócił się do mnie. Teraz jego głos utracił lodowaty ton.

- Może pan kontynuować, panie pułkowniku. Wstałem.

- Jak już mówiłem, chciałbym zadać parę pytań pani Norze Hayden.

- Pani Hayden, zechce pani usiąść na tym krześle. Sędzia wskazał Norze krzesło, na którym siedziała przedtem Anna.

Nora spojrzała na Gordona. Ten skinął głową, wstała zatem i podeszła do wskazanego miejsca.

Urzędnik odebrał od niej przysięgę.

Nora usiadła i spojrzała na mnie. Twarz jej wyglądała jak wykuta z kamienia.

Zaczerpnałem powietrza.

- Noro - zacząłem - na rozprawie u sędziego pokoju zeznałaś, że w dniu śmierci Antoniego Riccia nastąpiła między wami gwałtowna kłótnia. Czy możesz nam powiedzieć, o której się zaczęła?

- Dokładnie nie pamiętam.

- To może mniej więcej? O ósmej rano, o dziesiątej, o dwunastej czy też o drugiej po południu?

Zobaczyłem błysk zrozumienia w jej oczach.

- Nie potrafię wymienić dokładnej godziny.

- Pozwolę sobie odświeżyć twoją pamięć. Przez cały czwartek byłaś w Los Angeles. W Western Airlines dowiedziałem się, że wróciłaś samolotem, który wylądował w San Francisco o szesnastej dziesięć. Czyli w domu mogłaś być mniej więcej o siedemnastej. Czy zatem ta kłótnia rozpoczęła się właśnie o siedemnastej?

W oczach jej pojawił się gniewny wyraz.

- Mniej więcej.

- Zatem kłótnia ta nie trwała cały dzień, lecz zaczęła się dopiero wieczorem?

- Tak.

Gordon znów podskoczył.

- Wysoki Sądzie, nie rozumiem, co...

- Panie mecenasie. - Sędzia też się wreszcie rozgniewał. - Proszę nie przerywać. Jako adwokat reprezentujący interesy nieletniej powinien pan pragnąć wszelkich dodatkowych informacji mogących rzucić światło na jej zachowanie. A jakoś na to nie wygląda. Pozwoli pan, że przypomnę panu, że to ja jestem sędzią i na pewno w odpowiedniej chwili udzielię panu głosu. Zechce pan usiąść. Gordon był niemal purpurowy z wściekłości. Usiadł. Sędzia znów zwrócił się do mnie.

- Proszę kontynuować, panie pułkowniku.

- Kogo po powrocie zastałaś w domu? - spytałem Norę. Po raz pierwszy zawahała się.

- Nie rozumiem? - Czy służba była w domu?

- Nie, chyba nie.

- Czy byli w domu Dani i Antonio Riccio?

- Tak.

- Oboje?

- Oboje.

- Czy zobaczyłaś ich zaraz po powrocie do domu?

- Nie. Poszłam prosto do pracowni. Chciałam naszkicować coś, co przyszło mi na myśl w samolocie.

- Kiedy ich zobaczyłaś?

Spojrzała na mnie błagalnie, jakby chcąc prosić, bym przestał ją wypytywać.

- O której ich zobaczyłaś?

- Koło pół do ósmej.

- Zatem kłótnia zaczęła się o pół do ósmej, nie o piątej?

- No tak.

- U sędziego pokoju twierdziłaś, że chodziło o sprawy finansowe. Ale naprawdę poszło o coś innego?

- Tak.

- I kiedy powiedziałaś pannie Spicer, że nic nie wiedziałaś o tym, co łączyło Dani z Antonim Riccio, także nie mówiłaś prawdy?

Zaczęła płakać, łzy spływały po policzkach, nerwowo zacisnęła ręce.

- Tak.

- Gdzie ich zobaczyłaś?

- Kiedy poszłam się przebrać.

- Nie pytam kiedy, ale gdzie? W którym pokoju?

- W pokoju Ricka.

- Co robili?

- Oni... oni byli w łóżku.

- Dlaczego nie powiedziałaś tego podczas rozprawy u sędziego pokoju?

- Nie chciałam pogarszać sprawy. Nie myślałam, że...

- Nie myślałaś?! Owszem, myślałaś. Wiedziałaś, że powiedziawszy o tym będziesz zmuszona wyznać całą prawdę. O wszystkim, co zdarzyło się tego wieczoru.

- Nie rozumiem... - szepnęła patrząc na mnie z przerażeniem.

- Owszem, rozumiesz. Nie wiem, jak skłoniłaś Dani, żeby wzięła na siebie twoją winę. Wiedziałaś, że jeśli powiesz prawdę o okolicznościach, w jakich ich zastałaś, wyjdzie na jaw, że to ty zabiłaś Antoniego Riccio. Ty, nie Dani. Zobaczyłem jak jej twarz starzeje się. Nagle pojawiły się na niej zmarszczki. Tymczasem z tyłu rozległ się straszny krzyk.

- Nie! Mamusiu, nie!

Zobaczyłem, że Dani biegnie w stronę matki. Objęła Norę. Po twarzy Nory spływały łzy, oczy Dani błyszczały z gniewu.

- Myślisz, że zjadłeś wszystkie rozumy! - krzyknęła w moją stronę. - Wracasz sobie po wielu latach i myślisz, że wszystko wiesz! Jesteś dla mnie obcym człowiekiem.

Wcale mnie nie znasz. I ja ciebie nie znam. Jesteś obcy!

- Ależ Dani...

- Powiedziała ci prawdę - krzyczała. - A ty nie chcesz uwierzyć. Powiedziała ci, że to był przypadek, że tego nie chciałam. Ale ty tak bardzo nienawidzisz mojej matki, że nie chciałeś słuchać! No to ci powiem całą prawdę. Ja wtedy w pracowni rzeczywiście nie chciałam zabić Ricka. Chciałam zabić matkę!

#### 4

Rozejrzałem się po sali. Wszyscy znieruchomieli. I wpatrywali się w Dani. Nawet stenograf, który dotąd nie odrywał oczu od kartki papieru.

- Kiedy mama weszła, byliśmy z Rickiem w łóżku - zaczęła opowiadać spokojnym już tonem Dani. - Wiedzieliśmy, że jest już późno i chciał, żebym sobie poszła, ale ja nie mogłam się z nim rozstać. Nie słyszeliśmy nic, więc myśleliśmy, że jesteśmy sami w domu. Od dwóch dni wstawaliśmy tylko, żeby coś zjeść. Ale ja wciąż nie chciałam się z nim rozstać.

W jej oczach pojawiło się wyzwanie.

- No co, tatusiu, może chcesz wiedzieć, co robiliśmy, kiedy weszła mama? Chcesz?

Nie odpowiedziałem.

- Byliśmy nadzy. On leżał na wznak, a ja nad nim opierając się na rękach i na kolanach. Wiesz dlaczego, tatusiu? Bo chciałam, żeby mnie znów zapragnął.

Zrobiło mi się niedobrze. Pewnie było to widać, bo jej głos znów zabrzmiał wyzywająco.

- Więc widzisz, tatusiu. Ale nie chcesz przyjąć tego do wiadomości. Wolisz myśleć, że jestem wciąż tą małą dziewczynką, którą byłam sześć lat temu, kiedy mnie porzuciłeś. Nie jestem. Nie podoba ci się, że wiem o takich rzeczach. A ja wiem wszystko.

Znów podniosła głos, a w jej oczach pojawiły się łzy.

- I kiedy tylko zdarzyła się okazja, sypiałam z Rickiem!

Patrzyła mi w oczy. Poczułem skurcz w żołądku.

- No co, tatusiu? Przykro ci tego słuchać, prawda? Nie odpowiedziałem. Nie mogłem wykrztusić słowa.

- Mama weszła od strony twojej dawnej sypialni. Pamiętam, że często do mnie zaglądałeś. Ale teraz był to pokój Ricka, nie mój. Ściągnęła mnie z łóżka, zawlokła do mojej sypialni i tam zamknęła. Płakałam. Powtarzałam, że Rick i ja mamy zamiar się pobrać, ale ona nie chciała słuchać. Była wściekła. Nigdy dotąd nie widziałam jej w takim stanie.

Potem poszła do pracowni, a ja siedziałam na łóżku póki nie usłyszałam, że otwierają się drzwi pokoju Ricka. Zszedł po schodach, wiedziałam, że idzie z nią porozmawiać. Szybko się ubrałam i wyszłam przez łazienkę, mama zapomniała zamknąć drzwi do łazienki.

Cichusieńko zbiegłam po schodach. Słyszałam, jak w kuchni rozmawiają Karol i Wioletta. Przeszłam przez hol i stanęłam pod drzwiami pracowni. Słyszałam niemal każde słowo.

Mama powiedziała Rickowi, że za godzinę ma go tu już nie być. Wtedy Rick zagroził mamie, że cały świat dowie się jakie z nas kurwy. Ma na to dowody. A mama powiedziała, że wezwie policję i oskarży go o gwałt na nieletniej...

Na sali nastąpiło poruszenie.

- Potem mama roześmiała się i zauważyła, że mogła się tego po nim spodziewać. Spytała, ile chce.

Tonio też się roześmiał. „No, nareszcie sięgnęłaś po rozum

do głowy. Pięćdziesiąt tysięcy". Mama oświadczyła, że zwariował. Da mu dziesięć tysięcy. „Co najmniej dwadzieścia pięć" - odpowiedział Rick. Mama zgodziła się. I wtedy ogarnął mnie amok. Po policzkach Dani spływały łzy.

- Wydawało mi się, że oszaleję. Ona znów chce zrobić to samo. Znów wyrzucić kogoś, kto mnie kocha.

Otworzyłam drzwi i krzyknęłam: „Nie! Nie! Nie możesz go wyrzucić!" Mama spojrzała na mnie i kazała mi pójść do siebie. Podeszłam do Ricka, a on powiedział, żebym robiła, co każe mi matka. Wtedy zobaczyłam na stoliku przy drzwiach dłuto, chwyciłam je i pobiegłam w stronę mamy. „Nie dam ci go wyrzucić. Zabiję cię!" - zawołałam.

Podniosłam rękę i uderzyłam, ale między mną a matką stanął Rick i teraz to dłuto sterczało mu z brzucha. Dotknął go. „Jezus Maria, Dani, coś ty najlepszego zrobiła?". Zobaczyłam krew i zaczęłam krzyczeć. Podbiegłam do mamy wołając: „Mamusi, ja tego nie chciałam! Mamusi!"

„Wiem, maleńka" - szepnęła i powtórzyła: - „Wiem, że nie chciałaś".

I zaraz wymyśliła, że powiemy wszystkim, że Rick chciał ją uderzyć, a ja rzuciłam się w jej obronie. I nikt nie musi się dowiedzieć, co było między mną a Rickiem. Powtórzyła to parę razy, by upewnić się, że zapamiętam. Schowałam twarz w dłoniach i zaraz otworzyły się drzwi i wszedł Karol.

Teraz obie, Nora i Dani, płakały obejmując się. Nie mogłam oderwać od nich wzroku. Były takie do siebie podobne. Jak dwa portrety tej samej osoby. Matka i córka. Stanowiły jedność.

Czułem się zahipnotyzowany. Nagle czar prysł. Nora wciąż płakała, ale oczy Dani były już suche.

- No co, tatusiu? - spytała. - Teraz znasz prawdę. Cieszysz się?

Zajrzałem jej głęboko w oczy. Nie wiem, co w nich zobaczyłem, ale nagle poczułem ulgę. Tak, znałem prawdę. Nie wiem, w jaki sposób, bo przecież ona dalej nie mówiła prawdy, ale teraz nie miało to już znaczenia. Musiałem zaakceptować to, czego życzyła sobie Daniela. Choć w głębi duszy wiedziałem, że to nie ona popełniła zabójstwo.

Sędzia zarządził dziesięciominutową przerwę. Kiedy wrócił na salę, ogłosił wyrok.

- Decyzją sądu opieka nad nieletnią Danielą Norą Carey zostaje zgodnie z wnioskiem wydziału nadzoru sądowego powierzona władzom Stanu Kalifornia. Opiekunka sądowa zawiezie ją do Instytutu w Perkins na sześciotygodniową obserwację. Potem zostanie przeniesiona do Szkoły Los Guilicos w Santa Rosa na okres nie krótszy niż sześć miesięcy. Wówczas sąd ponownie rozważy wniosek babki nieletniej, którego chwilowo nie może uwzględnić.

Rodzice nieletniej winni porozumieć się z wydziałem nadzoru sądowego, by wpłacać co miesiąc czterdzieści dolarów na koszty utrzymania nieletniej.

Sędzia uderzył młotkiem w stół, po czym zwrócił się do Daniela.

- Danielo, Los Guilicos to świetna szkoła. Jeśli będziesz się dobrze sprawować i starać się poprawić, nie masz się czego obawiać. Okaż tylko dobrą wolę, a władze szkolne zrobią wszystko, żebyś możliwie jak najszybciej mogła powrócić do normalnego życia.

Wstaliśmy, a sędzia majestatycznym krokiem wycofał się do swego gabinetu.

- Jutro będą państwo mogli odwiedzić Dani - powiedziała panna Spicer prowadząc Dani w stronę drzwi. Dani spojrzała na nas i wyszła. Drzwi zamknęły się.

Nora znów zaczęła płakać. Doktor Weidman objął ją ramieniem i wyprowadził.

Gordon podszedł do mnie. Uśmiechnął się.



- No cóż, udało się panu. Spojrzałem na niego nic nie rozumiejąc.
- Zanosilo się na to, że każe jej pozostać w szkole aż do ukończenia osiemnastu lat. A teraz mamy wielkie szanse, że za osiem miesięcy wyjdzie.

Nic nie odpowiedziałem, a on poszedł za Norą. Ktoś wziął mnie za rękę. Starsza pani zajrzała mi w oczy. Zobaczyłem w jej wzroku zrozumienie.

- Dziękuję ci, Łukaszu, że próbowałeś jej bronić
- powiedziała cicho. - Obiecuję ci, że dobrze się nią zajmę.
- Wiem, proszę pani. I przepraszam panią. Myślę o Norze.
- Nie przejmuj się, Łukaszu. To już minęło. Robiliśmy, cośmy mogli. Do widzenia. Trzymaj się.
- Dziękuję.

Wyszła na korytarz. Spojrzałem na schody. Wszyscy już znikli. Chwilę się wahałem i poszedłem do biura opiekunki sądowej.

Panna Spicer siedziała za biurkiem.

- Muszę dziś po południu wrócić do Chicago - oznajmiłem. - Czy nie mógłbym zobaczyć Dani dziś zamiast jutro?

- Zaraz się dowiem, czy Dani chce się z panem widzieć - odpowiedziała uprzejmie i wyszła.

Po chwili wróciła razem z Dani.

- Może pan z nią tu porozmawiać - zaproponowała.
- Zaczekam na korytarzu.

Zamknęły się drzwi. Wyciągnąłem ręce i moja córka pozwoliła się objąć.

- Przepraszam cię, tatusiu - powiedziała.
- Wszystko w porządku, Dani - odparłem. - Długo trwało nim zrozumiałem, ale zrozumiałem.

Zajrzała mi w oczy.

- Przecież jej nie nienawidzisz aż tak, żebyś chciał ją zobaczyć w komorze gazowej?

- Nie, Dani. Nie nienawidzę jej. Już nie. Dawniej jej się bałem, ale teraz jest mi jej po prostu żal.
- Ona zawsze musi mieć kogoś, kto by ją kochał ponad wszystko. Każdy tego pragnie. Ty masz żonę. I ona cię tak kocha.
- A twoja matka ma ciebie, Dani. Nagle zabłyśły jej oczy.
- Może kiedyś przyjedziesz znów mnie odwiedzić? Albo ja będę mogła do ciebie pojechać...
- Na pewno, Dani. Drzwi otworzyły się.
- Przepraszam cię, Dani, ale już na ciebie pora. Dani pocałowała mnie w policzek.
- Będiesz do mnie pisał, tatusiu? Pocałowałem ją w czoło.
- Tak, maleńka.

Patrzyłem jak idzie przez hol stukając obcasikami. Znikła za zakrętem.

Żegnaj, Dani. Żegnaj, dzieciно. Pamiętam tę twoją czerwoną buzię w dzień narodzin. Pamiętam jak patrzyłem przez szybę i twoja buzia zmarszczyła się, zaczęłaś płakać, a mnie też zachciało się płakać, bo byłaś moim dzieckiem, i to najcudowniejszym dzieckiem na świecie.

Gdziekolwiek podziała się miłość, ciebie ona nie opuści.

\* \* \*

Kiedy odrzutowiec wylądował na lotnisku O'Hara w Chicago było już pół do dziesiątej wieczorem. Otworzyły się drzwiczki samolotu i do kabiny wtargnęło chłodne powietrze. Wsiadłem pierwszy. Nie miałem czasu zabawiać się w uprzejmości. Zastanawiałem się, czy Elżbieta otrzymała mój telegram. Niemal klusem ruszyłem w stronę nie wykończonego budynku lotniska. W pierwszej chwili nie zobaczyłem jej

wśród tłumu oczekujących. Ale była tam, śmiała się i płakała jednocześnie, dając mi znaki ręką. Podbiegłem do niej i świat przestał być huśtawką, znikł ból. Wziąłem ją w ramiona.

- Kocham cię. Było mi ciebie strasznie brak. Poszliśmy odebrać moją walizkę i ruszyliśmy w stronę auta. Otworzyłem tylne drzwiczki, by położyć tam walizkę i zobaczyłem torbę. Spojrzałem na Elżbietę. Uśmiechnęła się do mnie.

- Czyżbym ci jeszcze nie powiedziała, że prosto stąd jedziemy do szpitala?

- Zaraz?

- Zaraz.

- Jak mogłaś tu przyjechać? Wsiadaj natychmiast.

- Nie musimy się aż tak śpieszyć. Bóle pojawiają się tylko co godzina. - Spojrzała na wielki elektryczny zegar. - Za chwilę minie godzina.

- Nie stój tu! - krzyknąłem. - Wsiadaj do auta! Wsiadła. Widać było jak cierpi. Zbladła, skurczyła się jej twarz. Ale po chwili powiedziała:

- Widzisz, że to nie takie straszne.

Pobiliśmy wszystkie rekordy szybkości i znaleźliśmy się w szpitalu Sw. Józefa. Policjanci drogowi nie wrócili widać jeszcze z kolacji.

Staliśmy przed drzwiami windy. Elżbieta była blada, lecz uśmiechnięta.

- Nie rób takiej przerażonej miny - zauważyła. - My, Szwedki, jesteśmy odporne. Rodzimy dzieci bez wysiłku.

Nachyliłem się i ucałowałem ją.

- Jesteś taka dzielna...

Drzwi otworzyły się i pielęgniarka wprowadziła Elżbietę do windy.

- Nic mi się nie stanie - szepnęła jeszcze Elżbieta. - Ale ty uważaj na siebie. Żebyś znów nie wpadł w jakieś tarapaty. Słyszysz?

- Słyszę - odparłem.

Poszedłem wzdłuż korytarza do poczekalni zwanej klubem. Siedziało tam wielu oczekujących dziecka ojców. Otworzyłem drzwi i cofnąłem się. Wyglądali okropnie ponuro i nie miałem ochoty znaleźć się w ich gronie.

Zszedłem na dół i kupiłem paczkę papierosów. Zapaliłem, zaciągnąłem się parę razy i zgasilem papierosa. Wróciłem na górę do klubu.

- Czekam już dziewięć godzin - powiedział mężczyzna, obok którego usiadłem.

- Coś takiego - odpowiedziałem grzecznie, rozglądając się po pokoju. Na jego ścianach wisiały humorystyczne rysunki i napisy. „Nam jeszcze nie zdarzyło się stracić tatusia”. Bardzo śmieszne!

W drzwiach pojawiła się pielęgniarka.

- Pan Carey?

- To ja - zawołałem zrywając się.

- Coś podobnego! Pan to ma szczęście - zauważył siedzący obok mnie mężczyzna. - Ja czekam cały dzień, a pan pojawił się przed niespełna pięcioma minutami!

Usłyszała to pielęgniarka i uśmiechnęła się.

- Tak, jest pan szczęśliwym ojcem.